

Hans Hellmut Kirst
Noc długich noży

„Niech każdy wie, że jeżeli odważy się podnieść rękę na państwo, czeka go tylko śmierć”.

(Adolf Hitler w przemówieniu wygłoszonym w Reichstagu w dniu 18 lipca 1934 roku)

„Wierność to sprawa naszego honoru”.

(hasło SS)

„Kat również należy do świty króla”.

(powiedzenie średniowieczne)

„To, co jest naszą wieczną powinnością, wynika ze świętej tradycji naszej siły, niezłomnej stanowczości i niemieckich zasad. Jesteśmy to winni naszemu narodowi, naszej Rzeszy, naszemu ukochanemu Führerowi. Nasza godzina wybiła!”

(z pism Waldemara Wesela)

„Nawet śmierć może stać się pośmiewiskiem”.

• (ze Starego Testamentu)

Prolog rozgrywający się w Lugano

Wiosna tego roku — jak prawie każda w Lugano — była rozrzutnie piękna. Pąki kwiatów pokrywające drzewa tulipanowe wzdłuż promenady wokół jeziora zdawały się rozchyłać z rozkoszy, choć na szczytach okalających je gór zalegała jeszcze śnieżna zmarzlina. Błada różowość kwiatnych płatków jakby szukała samopotwierdzenia na tle zimnej bieli. Niebo nad całą okolicą lśniło łagodnym blaskiem, w którym połyskiwały ulice jeszcze mokre po niedawnym deszczu. Ludzie z lubością wdychali ciepłe opary wiosny.

W pewnym domu przy jednej z luksusowych ulic tego wspaniałego miasta, przy Viale Cattaneo, ciągnącej się wzdłuż wielkiego parku, leżały zwłoki mężczyzny. Leżały tam już od kilku dni. Gdy je znaleziono, znajdowały się już w stanie rozkładu.

Z przesłuchania niejakej Rossany Bossi, wdowy, lat 56, matki ośmiorga dzieci, zamieszkałej w Varese we Włoszech, która trzy razy w tygodniu dojeżdżała do pracy w Lugano, gdzie była zatrudniona jako sprzątaczką u pewnego właściciela sklepu odzieżowego, szwajcarskiego Niemca, wieloletniego pracownika miejskiego banku, oraz w każdy poniedziałek na Viale Cattaneo na piątym piętrze na prawo, u niejakiego signora Nordena:

Był to wyjątkowo sympatyczny starszy pan. Miał chyba pięćdziesiąt kilka lat. Raz na tydzień sprzątałam jego dwupokojowe mieszkanie. Nie była to szczególnie uciążliwa praca. Żadnych zalegających brudów, pościel miał zawsze czystą, kuchni prawie nie używał. Signor Norden był chyba uczonym. Było tam mnóstwo książek i oprócz tego całe stosy zapisanego papieru. Nie miał maszyny do pisania, pisał zawsze ręcznie. Rozmawiał ze mną po włosku. Nie miał obcego akcentu. Mówił jak ktoś z radia. Najczęściej, kiedy ja sprzątałam, on wychodził na spacer.

Chodził chyba na cmentarz i tam odwiedzał czyjś grób tuż koło muru w głębi. Grób nieznaney zmarłej. Często zanosił tam kwiaty. Wprawdzie nie kosztują tu aż tak drogo, ale zawsze... Hojny gest. Hojny był zresztą także i dla mnie. Jeszcze nim zaczynałam u niego sprzątać, już pieniądze za moją pracę, przygotowane z góry, leżały na kuchennym stole. Za każdym razem pięćdziesiąt franków w jednym banknocie, a do tego dokładał jeszcze jedną srebrną pięciofrankówkę na dodatek. Tego poniedziałku, kiedy przyszedłam do pracy, drzwi nie były zamknięte na klucz, a ze środka straszliwie cuchnęło. Signor Norden nie leżał na łóżku, ale na podłodze obok. Miał okropnie wykrzywioną twarz. Biała koszula była cała przesiąknięta krwią. Więc zawiadomiłam policję.

Tego dnia w Lugano, w komisariacie będącym oddziałem policji kantonu Tessin w Bellinzonie, dyżur pełnił pracownik policji kryminalnej Luigi Fellini. Jak zwykle nie był zbyt przeciążony pracą, rzadko bowiem w tym mieście zdarzało się coś niezwykłego, co każe poderwać się na równe nogi, nie mówiąc już o odkrywaniu czyichś zwłok. To się dawno nie zdarzyło nawet w policji drogowej. Drobne oszustwa, sprzeniewierzenia, fałszerstwa, banki i ludzie interesu załatwiali między sobą. Gorliwa i czujna policja do spraw cudzoziemców umiała zawsze w porę z całą bezwzględnością wysiedlić niepożądane elementy.

Kto chciał tu mieszkać, ten zazwyczaj szybko dochodził do wniosku, że w Tessin lepiej nie napytać sobie kłopotów. A już broń Boże narazić się tej na pozór dobrotliwej policji. I jeśli nawet inspektor kryminalny Fellini nie okazał szczególnego zapału do zajęcia się tą sprawą, to jednak należy przyznać, że był wytrawnym i do tego niezwykle wytrwałym funkcjonariuszem swego urzędu.

Z nieco leniwą ciekawością pojawił się na Viale Cattaneo. Jak już powiedziano, rzadko tu się oglądało trupa. Ale natychmiast się zorientował, że to, co przed nim leży, nie są to bynajmniej zwyczajne zwłoki.

Mimo to mogło się wydawać, że Fellini przyszedł tu jedynie dla rutynowych czynności. Natychmiast przeprowadził rozmowę z signorą Bossi, pozwolił jej się spokojnie wygadać, prawie nie zadawał pytań, nie robił żadnych notatek. Fellini dysponował najważniejszą cechą wybitnego kryminologa, wyśmienitą pamięcią. A ponadto nieskończoną cierpliwością.

Zebrawszy podstawowe informacje o zmarłym, oczekiwał już tylko na oględziny wezwanego lekarza. Ten tylko bezradnie rozłożył ręce.

— Niech pan na niego spojrzy! Jego wprost zmiażdżono, rozerwano na strzępy! I to prawdopodobnie tylko jednym strzałem. To musiał być potężny kaliber!

— Być może — powiedział Fellini spokojnie — użyto tu jakiejś starej historycznej broni. Może to był jakiś ciężki pistolet używany do pojedynków w osiemnastym wieku, a może karabin z obciążoną lufą.

Fellini porozumiał się więc ze swoimi zwierzchnikami w Bellinzonie, nadmieniając, że jest tu koniecznie potrzebny specjalista od broni palnej.

— Jeżeli to możliwe, sprowadźcie kogoś z Zurychu, ze szwajcarskiego najlepszego laboratorium techniki kryminalistycznej.

Po niecałych dwóch godzinach, dowieziony helikopterem policyjnym, pojawił się na lotnisku Agno pod Lugano wezwany specjalista, niejaki Karl Brucker. Tym samym niemal błyskawicznie można było rozpocząć czynności śledcze. A to, co przy tym wyszło na jaw, miało zadziwić i poruszyć

nie tylko najbardziej doświadczonych, ale nawet już zobojętniałych kryminologów.

Wstępne wyniki śledztwa dotyczącego zabójstwa w Lugano:

1. Raport policji do spraw cudzoziemców:

Heinrich-Hermann Norden, urodzony 1 maja 1913 roku w Szczecinie, obywatel Republiki Federalnej Niemiec, ubiegał się w 1963 roku o prawo stałego pobytu w Lugano. Uzasadniał swoje starania złym stanem zdrowia; przedłożył odpowiednie świadectwa. Twierdził, że zamierza pogłębić swoją znajomość języka włoskiego i pracować nad niemiecko-włoskim słownikiem z zakresu architektury, sztuk plastycznych oraz muzyki. Miał potwierdzone przez bank zabezpieczenie finansowe. Nie było wobec niego żadnych zastrzeżeń. Pełnomocnikiem Nordena był radca prawny doktor Dino Bolla.

2. Informacja radcy prawnego doktora Dino Bolli:

Pan Norden zjawił się u mnie w 1963 roku z polecenia pewnego mojego cieszącego się zaufaniem kolegi z Monachium z prośbą o opiekę prawną. Chciał, bym zajął się jego finansami i sprawami podatkowymi. Miał dość znaczny odziedziczony majątek wartości około 750000 franków, który w jego imieniu złożyłem w banku i którym zarządzałem. Był to człowiek bardzo sympatyczny, taktowny i rzeczowy. Zamierzał się poświęcić pracy naukowej. Bez wahania w najlepszej wierze przyjąłem jego propozycję.

3. Wyjaśnienie Sergia Bernasconiego, pracownika cmentarza w Lugano:

Rzecz dotyczyła grobu numer 217, położonego nieco na uboczu przy tylnym murze z prawej strony. Pochowano tam zwłoki pewnej nieznaney kobiety, prawdopodobnie ofiary nieszczęśliwego wypadku w górach. Znalaziono je na początku lipca 1960 roku w rejonie San Bernardino. Zmarła, mimo pewnych obrażeń i początków rozkładu, wyglądała na bardzo piękną kobietę. Była to jasna blondynka, delikatnej budowy, w wieku, jak wówczas określono, około czterdziestki. Sądzę, że dokładniejsze dane znajdują się w aktach policji w Bellinzonie. W każdym razie nigdy, jak się zdaje, nie udało się ostatecznie ustalić tożsamości zmarłej.

Kilka miesięcy później, pewnie pod koniec roku 1960, a może nawet na początku 1961, zjawił się tu pewien hrabia z Republiki Federalnej Niemiec, von Tannen, już mocno starszy pan, ale świetnie się prezentujący. Przypuszczał, zwłaszcza po rozmowach ze świadkami i po obejrzeniu fotografii, że zmarła mogła być jego córką Elisabeth. Ale ze stu- procentową pewnością nie dało się tego ustalić.

Od 1963 roku, mniej więcej od jesieni, nad tym grobem roztoczył bardzo troskliwą opiekę pan Nor den. Zamówił grobowiec z białego marmuru, kazał go obsadzić pięknymi roślinami, a miejsce opłacił z góry na pięćdziesiąt lat.

Bardzo często przynosił świeże kwiaty, a szczególnie wspaniałe wiązanki w trzy dni każdego roku: gdzieś na początku lipca, a więc w przypuszczalnym dniu śmierci owej nieboszczki zapisanej jako nieznaną, a także-każdego 1 maja i 10 października.

4. Pierwszy protokół eksperta broni palnej Karla Bruckera z Zurychu:

Wstępne oględziny rany postrzałowej zmarłego pozwalają na następujące stwierdzenie: Do ofiary nie strzelano ołowianym nabojem własnej produkcji, jak to było praktykowane w broni historycznej. Była to broń nowej konstrukcji, prawdopodobnie wytworzona w jakiejś specjalistycznej pracowni. Jej kaliber należy określić jako nadwymiarowy.

Innymi słowy, rana w ciele zmarłego nie powstała od postrzału z żadnej znanej broni ręcznej. Współcześnie produkowane pistolety i rewolwery mają kaliber 6,25 albo 7,65 mm, a także 9 mm, jak na przykład niemiecki pistolet 08, stanowiący wyposażenie armii. W tym przypadku jednak mamy do czynienia z kalibrem 10 mm albo nawet większym. Broń tak wielkiego kalibru jest nam nieznana.

5. Wyniki dalszego dochodzenia inspektora kryminalnego Felliniego na miejscu zbrodni:

Podczas dokładnego przeszukania mieszkania Nordena znaleziono:

A. Rękopis zawierający szkic studium porównawczego haseł faszyzmu włoskiego i formuł nazistowskich używanych w Niemczech.

B. Trzy klucze ukryte za rzędem książek, głównie dzieł dotyczących Trzeciej Rzeszy, szczególnie formacji SS. Są to prawdopodobnie klucze do skrytek bankowych, najpewniej w Lugano, gdzie jest zresztą około czterdziestu banków, albo też gdzieś w północnych Włoszech, być może w Varese, Luino bądź w Mediolanie.

C. Swego rodzaju wizytówkę koloru kości słoniowej, z bardzo starannym napisem, zapewne rzuconą już na trupa. Zabójca musiał ją rzucić bardzo energicznie, bo znalazła się między łóżkiem zabitego a ścianą i leżała w dość grubej warstwie kurzu na podłodze. Na karcie tej napisano dużymi zamaszystymi literami: „Ostatnie pozdrowienia od Dietmara!”

6. Dalszy raport specjalisty od broni palnej Karla Bruckera z Zurychu:

Proby rozpoznania tej nowoczesnej broni niezwyklego kalibru, według orzeczenia Urzędu Kryminalnego w Wiesbaden, nie przyniosły dotąd jednoznacznego rezultatu. Można tu podejrzewać posłużenie się pewną bronią, której tylko dwa typy, dość rzadko

używane, mogą wchodzić w grę: belgijski karabinek ręczny, specjalnie skonstruowany do polowania na dzikie zwierzęta w Afryce, zwany strzelbą słoniową 48 oraz rosyjski Maxim K II, broń o dużej sile rażenia, używana przez strażników w obozach karnych.

O ekspertyzę zwrócono się też do światowej sławy kolekcjonera i uznanego rzeczoznawcy w sprawach broni ręcznej i amunicji, szczególnie dwudziestowiecznej pochodzenia europejskiego, profesora doktora Müllera z Bazylei. Oto opinia, jaką wydał:

„Użyta do zabójstwa broń, prawdopodobnie niezwyklego kalibru, nie pochodzi z żadnej seryjnej produkcji znanej mi europejskiej broni. Prawdopodobnie nie została też wytworzona fabrycznie. Podobno w roku 1933 czy 1934 wyprodukowano w Solingen przez tamtejszą firmę Wolf i Kustermann, przy pomocy wybitnego konstruktora nazwiskiem Grabart, niewielką liczbę egzemplarzy broni krótkiej dużego kalibru o podobnej sile rażenia na zamówienie jakiejś, zapewne wpływowej, grupy SS.

W latach 1940 do 1942 prowadziłem na ten temat specjalne badania wspólnie z pewnym niemieckim inspektorem policji kryminalnej, nazwiskiem Dickopf. Pan Dickopf był zbiegiem politycznym z Niemiec. Znalazł on zatrudnienie w policji szwajcarskiej. Po wojnie mianowano go szefem policji kryminalnej w Wiesbaden.

Wyniki naszych ówczesnych badań wysyłam niezwłocznie listem poleconym. Proszę jednak o traktowanie ich jedynie jako pewnej hipotezy, nie potwierdzonej szczegółowymi dowodami”.

Szef policji kryminalnej kantonu Tessin był człowiekiem o ujmującej powierzchowności, lat około pięćdziesięciu. Uchodził za wybitnego znawcę win Merlot, kochał dzikie koty i ciekawskie dzieciaki. Jeździł starym, dobrze już wysłużonym fiatem. Jego stały uśmiech nadawał mu pozór człowieka połażliwego o uspo-

sobieniu nieco marzycielskim. Ale lepiej było nie patrzeć mu w oczy. Jego spojrzenie było ostre, przenikliwe, zimne.

Przyjechał do Lugano z komendy w Bellinzonie, jak się zdaje, tylko po to, by wypić z inspektorem Fellinim kieliszek wina. W praktyce nawet więcej, całą butelkę, rzecz jasna wytrawnego Merlota, dobrze wystudzonego, którego nie było jednak w zwyczajnej karcie win, ale znalazła się na jego życzenie w pewnej małej restauracyjce obok dworca. Zamówili sobie do tego salami i specjalny chleb z doliny Maggio, jedno i drugie w bardzo cienkich plasterkach. Rozmowę zaczęli od omawiania z całym zapafem różnych dań miejscowej kuchni, a szczególnie weneckiej polenty i różnych sposobów jej przyrządzania.

Po czym poszli sobie na długi spacer do parku ciągnącego się wzdłuż promenady na brzegu jeziora, obejrzeni zagrodę z sarnami, plac zabaw dla dzieci, aż w drodze powrotnej doszli do pewnego banku, który stał pośród kilkunastu innych znajdujących się na tym samym placu. Sprawiali wrażenie turystów, których interesuje jedynie piękno architektury i nie mają żadnych kłopotów.

Ale placu tego, jak musiał przyznać inspektor Fellini, jego szef nie wybrał bynajmniej przypadkowo. Dom, w którym znaleziono zwłoki Nordena, wznosił się niemal za ich plecami. Gdyby tu przyszli o zachodzie słońca, staliby właśnie w jego cieniu.

— Czy pan już się domyśla — zapytał szef — w co pan wdepnął?

— Morderstwo jest morderstwem — powiedział Fellini, jakby chcąc się usprawiedliwić.

— Ale każde morderstwo jest inne. Miałem możliwość się na tym poznać. Nim przyjechałem tutaj, przez kilka lat praktykowałem gościnnie w Mediolanie i tam nauczyłem się rozpoznawać różne rodzaje morderstw. Bywały przypadki, które nie robiły na mnie większego wrażenia, ale też trafiałem na zabójstwa, które wstrząsały mną głęboko; kiedy ich ofiarą padali biedni, niewinni ludzie. I wtedy bardzo pragnąłem wytropić mordercę. To, co się stało, stało się nie bez racji. I teraz, drogi Fellini, mam właśnie takie fatalne przecucie.

Fellini rozłożył bezradnie ręce.

— Chce mnie pan sprowokować, szefie? — wyraził przy puszczeniu. — Czy pan chce wiedzieć, co myślę o tym przy padku? Wciąż mi się zdaje, że chodzi tu o jakieś stare pora chunki dawnych faszystów, a może nawet zbrodniarzy wo jennych. Może to być próba pozbycia się tak zwanego zdradzieckiego elementu czy też niebezpiecznego prze ciwnika, bądź też jakaś inna próba rozliczenia się z prze szłością. I to właśnie u nas, w Lugano!

A w Lugano było przepięknie tego dnia. Od jeziora ku miastu ciągnął się jedwabście ciepły powiew. Kiedy świeciło słońce, a jak głośno prospekty świeciło tu ono zazwyczaj przez trzysta dni w roku, nawet starzy ludzie, odkrywając głowy, wciągali głęboko wonne powietrze, rozkoszując się nim z sercem pełnym wdzięczności.

— Niestety nie znajduję żadnych powodów, drogi Fellini — powiedział szef z pewną troską — by podważać pańskie podejrzenia. Uważałbym je może tylko za przedwczesne. Ale jednak naprawdę wydaje się, że chodzi tu o coś w rodzaju sądu kapturowego, a nawet o coś znacznie gorszego, o czyn, który można określić mianem politycznego bratobójstwa.

Fellini długo milczał.

— Co pana skłania do tego rodzaju przypuszczeń?

— spytał. — Chyba nie moje urzędowe raporty.

— Są one, na szczęście, zarówno ostrożne, jak poprawne. I oficjalnie, mój drogi, nie zapuszczajmy się w spekulacje tego rodzaju. Ale kiedy przeczytałem te orzeczenia ekspertów od broni, skóra mi ścierpła.

— Co nas bynajmniej nie zwalnia od naszych obowiązków, szefie. Musimy dalej prowadzić to śledztwo.

— Niestety tak — potwierdził szef i naraz ku zaskoczeniu Felliniego dodał: — Przeglądając akta tej sprawy, myślałem nieraz: Niechby się ci faceci wzajem wymordowali! Takich trupów dla mnie nigdy za dużo!

Fellini spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie powinniśmy się zajmować tą sprawą?

— No nie, oczywiście nie — mruknął niechętnie szef. — Choć budzi to we mnie absolutne obrzydzenie.

— Czy chciałby pan może przekazać tę sprawę policji federalnej? A może zwrócić się bezpośrednio do Niemców z prośbą o urzędową pomoc?

— Ani jedno, ani drugie, Fellini! To pańska sprawa. I jeżeli pana dobrze znam, chciałby ją pan osobiście prowadzić. No to niech pan spróbuje!

— A zatem spróbuję! Ma pan dla mnie, szefie, jakieś wytyczne, zalecenia, rozkazy?

— Tymczasem zostawiam panu, Fellini, wolną rękę. Czy udało się już panu wyjaśnić, do których skrytek pasują te klucze?

— Jeszcze nie.

— A czy pomyślał już pan o kimś, kto mógłby przejrzeć spuściznę Nordena. Mam na myśli jego rękopisy, książki i dokumenty.

— Myślałem o którymś z niemieckich, a przynajmniej znających niemiecki, pisarzy. Wielu ich tu mieszka.

— Niech pan jednak będzie ostrożny, Fellini. Niech pan najpierw spróbuje znaleźć odpowiedź na pytanie, kto mógł zabić Nordena i dlaczego. Im więcej pan będzie o nim wiedział, tym łatwiej trafi pan na ślad mordercy. Życzę panu wiele szczęścia. Będzie go pan potrzebował. A poza tym radziłbym przetrzymać tego nieboszczyka jak się da najdłużej w lodówce. Może znajdzie się ktoś, kto zechce go sobie obejrzeć.

Wyjątki z rezultatów wspólnych badań profesora doktora Müllera z Bazylei i Dickopfa, późniejszego szefa policji kryminalnej w Wiesbaden, prowadzonych w czasie drugiej wojny światowej, a także przypuszczenia co do posłużenia się tą niezwykłą bronią w niezwykłych wydarzeniach:

A. W przeddzień zamachu na ministra spraw zagranicznych Francji Barthou oraz ówczesnego króla Jugosławii Aleksandra w Marsylii w dniu 9 października 1934 roku dwóch nieznanymi osobnikami zastrzeliło tamtejszego szefa

służby bezpieczeństwa. Użyto wówczas broni, której nie mogli określić nawet eksperci z Lyonu, uważani za najlepszych we Francji.

B. Z podobnej ręcznej broni całkiem niezwykłego kalibru zamordowany został Ernst von Raths, pracownik niemieckiego poselstwa w Paryżu, dnia 7 listopada 1938 roku, prawdopodobnie przez Żyda nazwiskiem Herszel Grünspan.

C. Z takiej samej lub podobnej broni o zbliżonym kalibrze dokonano morderstw pamiętnej „nocy kryształowej”. Jej ofiarą padli wówczas Żydzi sprawujący ważne funkcje publiczne w Monachium, Berlinie i Frankfurcie.

D. Późniejsze przypadki użycia podobnej broni odnotowano w Wiedniu w czasie tak zwanego wyzwania narodu austriackiego; zamordowano tam wówczas wielu oponentów aneksji.

Użycie tej niezwykłej broni stwierdzono także podczas napadu na radiostację w Gliwicach na Śląsku, które to wydarzenie, według oficjalnych oświadczeń, wywołało drugą wojnę światową. Jak później zostało dowiedzione, napadu dokonała niemiecka grupa specjalna, którą bezlitośnie wystrzelała własnych współziomków. Również w czasie zamachu na Heydricha w Pradze w 1942 roku obok granatów ręcznych prawdopodobnie użyto tej niezwykłej broni.

E. Przepuszczalnie użyto również tej broni, czego niestety nie da się stwierdzić ze stuprocentową pewnością, do zamordowania Röhma i jego ludzi w ostatnich dniach czerwca 1934 roku.

F. Nawet śmierć Führera w jego berlińskim bunkrze w 1945 roku, jak wynika z sowieckich badań, nastąpiła

w wyniku rozstrzaskania jego czaszki strzałem z broni o niezwykle dużym kalibrze. Dopiero potem zwłoki oblano benzyną i spalono.

Spuścizną po Nordenie zajął się H. H., pisarz o międzynarodowej sławie, mieszkający wówczas w Asconie nie opodal Locarno, urodzony na Węgrzech, lecz potem przez wiele lat przebywający w Austrii. Stamtąd uciekł do Francji. Czuł się Niemcem, walczył jednak przeciwko Niemcom. W końcu wyładował w Ameryce, gdzie uzyskał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Jako oficer amerykański spędził kilka lat w Niemczech.

Potem znów zamieszkał w Austrii, a ostatecznie osiedlił się, tym razem chyba już na stałe, w południowej Szwajcarii.

H. H. znakomicie włada kilkoma językami. Jego angielszczyzna jest rodem z Oksfordu, podobno mógłby, gdyby zechciał, pisać swoje książki równie łatwo po francusku, po amerykańsku czy po węgiersku, ale jak zapewniał ze śmiechem swoich nielicznych przyjaciół, marzyć zwykł po niemiecku. I po niemiecku także pisał.

— Zgodnie z pańską prośbą — powiedział H. H. do Felliniego — spędziłem kilka dni na przeglądaniu książek, notatek i pism zmarłego Nordena. Odniosłem przy tym przemożne wrażenie, że ten człowiek był zapamiętałym, wprost fanatycznym faszystą. Jego przekonania, które wręcz można by określić jako wiarę, pozostały całkowicie niezachwiane. Można rzec, żarliwe jak w młodzieńczych latach.

Ten człowiek nie próbował usprawiedliwiać Trzeciej Rzeszy. Jego zdaniem, było to zupełnie niepotrzebne. Nieśmiertelność tego państwa była dla niego całkowicie niewątpliwa. Próbował jedynie opracować dla niej pewnego rodzaju nową filozofię.

I to nie w takim sensie, jak to zrobił Rosenberg w swoim *Micie XX wieku*. Dla niego inspiracji w znacznie większym stopniu dostarczała twórczość niejakiego Waldemara We-

sela, którego maksymy stanowiły dla pewnych kręgów w Niemczech źródło natchnień. Były jednak one przeznaczone tylko dla elity. I właśnie o to wówczas chodziło. I w duchu owego Wesela pracował Norden nad swoim sztandarowym dziełem. Miało ono nosić prosty tytuł: *Nasza walka!*

*Wyniki dalszego śledztwa inspektora policji kryminalnej
Luigi Felliniego w Lugano:*

Ze znalezionych u Nordena trzech kluczy do skrytek bankowych dwa udało się zidentyfikować. Pierwszy klucz otwierał sejf w Societa Bank Swizzera w Lugano, należącym do Szwajcarskiego Związku Banków z centralami w Bazylei i Zurychu. W skrytce w Lugano znaleziono około dwóch milionów dolarów amerykańskich, głównie w banknotach studolarowych. Znajdowały się tam też funty brytyjskie w kwocie niecałego miliona. Te jednak okazały się fałszywe.

Drugi klucz był do sejfu w First National Bank, w którym znajdował się około osiemdziesięciostronicowy maszynopis zatytułowany *Zapiski Heinza-Hermannna Nordena*. Oprócz niego paczka różnych dokumentów, zaświadczenia, instrukcje, delegacje służbowe, wycinki prasowe, obwieszczenia.

— Aż trudno wierzyć własnym oczom — powiedział do siebie Fellini, uradowany i przerażony zarazem.

Wszystko to zostało przekazane H. H., pisarzowi w Anconie, aby się temu dokładnie przyjrzał.

Wprawiły go one w zdumienie i głęboko zaintrygowały. Zrazu czuł się w tym wszystkim nieco zagubiony, mając przed sobą coś, co można by uznać za nie wiarygodny wytwór fantazji. Lecz potem uświadomił sobie, że ów świat niemal nieograniczonych ludzkich możliwości przez całe dwanaście lat, dzień po dniu, trzymał całe Niemcy w zasięgu swojej władzy.

Wyznanie niejakiego doktora Isaaca Londona:

Cchodzi tu o doktora Londona, wybitnego amerykańskiego lekarza o międzynarodowej sławie, specjalistę onkologa.

Do roku 1935 praktykował w Monachium, gdzie jeszcze jako bardzo młody lekarz przeprowadził wiele udanych operacji, w szczególności raka piersi. Potem nagle, w dotąd nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, wyemigrował do Ameryki, gdzie uniwersytet w Bostonie przyjął go z otwartymi ramionami.

Już w 1933 roku udało mu się namówić swoją matkę, Ruth Gołdę London, by przeniosła się do Lugano. Pani London bardzo polubiła tę okolicę i jej mieszkańców. W kilka miesięcy nauczyła się mówić po włosku i tak dobrze opanowała miejscowy dialekt, że wkrótce wszyscy o niej mówili signora London. Syn odwiedzał swoją „kochaną mamę” każdej wiosny, ona zaś na każde święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok wyjeżdżała do Bostonu.

W tym roku także doszło do spotkania doktora Londona z pisarzem H. H. Znali się od wczesnej młodości, jeszcze ze szkolnej ławy.

Siedzieli teraz w znakomitej restauracji słynącej z podawanych tam win tokańskich i pieczonego mięsa, szczególnie pieczeni z jagnięcia.

Dopiero przy deserze zdobył się doktor London na wyznanie, które, jak później opowiadał pisarz H. H., wprost nim wstrząsnęło.

Doktor Maximilian Isaac London powiedział mianowicie, co następuje:

— Przed kilkoma dniami przy wspaniałej wiosennej pogodzie jadłem z moją matką obiad w hotelu „Meister”, w którym zresztą starsza pani mieszka. Cieszył mnie widok jej dobrego apetytu oraz żywość, zadziorność i rzeczowość, z jaką prowadziła ze mną rozmowę. Musisz wiedzieć, mój drogi, że ona przekroczyła już osiemdziesiątkę. Niedawno zwrócono się do niej o wsparcie finansowe pewnego żydowskiego cmentarza, ale odmówiła. Znacznie bardziej ją interesuje udzielanie pomocy sierocińcom i przedszkolom, a także młodym ubogim rodzinom.

W każdym razie wyszedłem z tego obiadu szczerze uradowany jej kondycją fizyczną i umysłową. Zrobiłem sobie długi spacer po Lugano i czułem się zupełnie szczęśliwy. Nagle zauważyłem mężczyznę, który bardzo mi przypominał kogoś z odległej przeszłości. Tamten mężczyzna nazywał się chyba Siegfried.

Tego Siegfrieda spotkałem kiedyś, bardzo dawno, niemal przed czterdziestu laty! Ja przez ten czas kompletnie osiwiąłem, a on się prawie nie zmienił. Dziś wygląda jak dawniej: te same jedwabiste jasne włosy, takie same lodowate niebieskie oczy. To taki typ, co zawsze prze naprzód i nie istnieją dla niego żadne przeszkody. Na jego widok omal nie dostałem zawału. Rozpoznałem tego człowieka. To był on!

— Jesteś zupełnie pewny? — zapytał H. H. — A może ci się tylko przywidziało? Taki żydowski sen? Zresztą trudno się dziwić po tym wszystkim, co się wówczas działo. Ale przecież nie tylko ciębie to dotyczyło. W końcu żyjesz! Nie podzieliłeś losu milionów ofiar tej rzezi. Jakoś udało ci się wymknąć.

— Wiesz — powiedział doktor London — zdarzyło się w moim życiu coś, o czym ci dotąd nie opowiadałem. Ale teraz muszę się z tego zwierzyć. A przed tobą przyjdzie mi to łatwiej niż przed kimkolwiek innym.

Otóż w 1936 roku pewnej letniej nocy zostałem w Monachium aresztowany, i to bezpośrednio po operacji, w zakrwawionym kitlu, i wywieziony wspólnie z trzydziestoma innymi więźniami, niezbyt daleko, do Lasu Bawarskiego. Wieziono nas ciężarówkami do przewozu bydła. I wtedy właśnie spotkałem tego Siegfrieda. Stojąc jak posąg odbierał nasz transport. Patrzył na nas, jakbyśmy byli wstrętnym robactwem, i dokonywał selekcji. Skinieniem ręki wskazywał, kto na lewo, kto na prawo. Co oznaczało albo natychmiastową śmierć, albo powolne konanie.

— I mimo to udało ci się przeżyć! W jaki sposób?

— Nie mogę niestety powiedzieć, że to było rezultatem szczególnej przemyślności. Zawdzięczam to moim przyjaciółom, a raczej ich pieniądzom. Jeden z tamtych, chyba nazywał się Hagen, a mówiono także do niego Dietmar, dał się przekupić. Zwolniono mnie. Udało mi się, jak się

to mówi, umknąć grabarzowi spod łopaty. Jak tylko można było najszybciej zwałem do Ameryki.

— I teraz sądzisz, że spotkałeś właśnie tego Siegfrieda? Człowieka, który cię wtedy skinieniem ręki skazywał na śmierć? Czy jesteś naprawdę przekonany, że to właśnie on? A czy on cię poznał?

— Nie patrzył na mnie. Może nawet mnie nie zauważył. Ale nic w tym dziwnego. Czy masowy ludobójca może zapamiętać swoje pojedyncze ofiary? Po chwili zamroczenia zacząłem iść za nim. Szedłem za nim aż do hotelu „Paris in Paradiso”. Jest tam zameldowany jako S. Fried.

— Czy możesz mi podać dokładną datę, kiedy go spotkałeś?

— Tak. Było to następnego dnia po urodzinach mojej matki.

A był to dokładnie ten dzień, kiedy został zamordowany w swoim mieszkaniu przy Viale Cattaneo niejaki Norden.

Trzeba tu na koniec zamieścić zapisaną na bieżąco uwagę Luigi Felliniego, inspektora policji kryminalnej.

Istna dżungla! I wciąż te spekulacje specjalistów. Przypuszczają..., uważają za możliwe..., gubią się w domysłach. ..., sięgają do wyjaśnień historycznych... I nic pewnego z tego nie wynika.

A cała reszta spada na nas, na wyrobników kryminalistyki. Jedno stare wiertło do przewiercania całej góry — oto obraz naszego zawodu. Ale tak jak ono próbujemy wciąż i wciąż z nadzieją, że ma to jednak jakiś sens.

I jednak ma, do diabła! Szukajcie, a znajdziecie! Tak się mówi, prawda? A czasem znajduje się coś, czego się wcale nie szukało. Nawet się nikomu nie śniło, by to znaleźć. Ale schodzić z tropu już nie wolno.

Grupa Wesela

1. Jak się dobiera elitę

Z zapisków Heinza-Hermajma Nordena z dnia 1 maja 1933 roku:

Był to chyba decydujący dzień w moim życiu — moje dwudzieste urodziny. Spędziłem je na obozie szkoleniowym w Prien nad jeziorem Chiem na dwutygodniowym kursie próbnym dla młodych członków SS.

W tym dniu spotkałem człowieka, któremu mam nieskończenie wiele do zawdzięczenia, Waldemara Wesela, który stał się moim przewodnikiem i mistrzem duchowym. Poznałem też jednocześnie mojego przeciwnika, może nawet wroga. Ścisłe mówiąc, zaczynam go dopiero poznawać. Ale cóż to znaczy wobec wielkości historycznego zadania, które stanęło przede mną! Zaczęło się moje prawdziwe życie — a stało się to w znamienity sposób.

Ow dzień 1 maja 1933 roku był słoneczny, choć chłodny. Od pobliskiego jeziora nadciągnęła o poranku ku obozowi lekka mgła, ale wkrótce ją rozwiął świeży wiatr, który orzeźwił ciało i dodawał zapału do wzmożonego wysiłku. Nie paraliżowało zimno, nie męczył upał.

Namioty ustawiono półkolem wokół wysokiego masztu, na którym powiewała dumnie na wietrze czerwona flaga z czarną swastyką na białym tle. Zebrało się tu pięćdziesiąt-

ciu młodych Niemców. Dobrano ich starannie spośród kilku setek chętnych. Według zasady: Najlepsi mają pierwszeństwo!

Kierownikiem obozu był niejaki Bertram, nazywany też Bykiem. Był to osobnik wagi co najmniej ciężkiej, były oficer frontowy, podobno odznaczony Żelaznym Półksiężycem. Umięśniony jak zawodowy zawodnik, pojawiał się zazwyczaj z obnażonym torsem, ubrany jedynie w złotobrunatne spodnie od dresu.

Jego grzmiący głos rozlegał się od rana do wieczora, słuchało się go jednak z przyjemnością, zwłaszcza kiedy wykrzykiwał swoje ukochane zawołanie: „No, chłopcy, pokażcie, co potraficie!”

A to, co chłopcy potrafili, było dokładnie rejestrowane — za pomocą stopera, taśmy i tyczki, czy był to bieg po lesie, czy skok w dal, pływanie na wytrzymałość czy podnoszenie ciężarów albo wspinanie się po linie, po słupie bądź drzewach.

Już po czterech dniach Bertram podzielił całą pięćdziesiątkę na pięć grup. Do pierwszej, w której znaleźli się sami najlepsi, przydzielony został Heinz-Hermann Norden. Z takim uporem i zapałem wykonywał wszystkie ćwiczenia, że uzyskał wyraźną przewagę nad innymi. Tylko jeden mógł się z nim równać.

Był to niejaki Hagen, który zawzięcie usiłował okazać się lepszy. W skoku w dal pokonywał Nordena, i to nawet więcej niż o dziesięć centymetrów, ale w biegu długodystansowym Norden był lepszy o dwie minuty na dziesięciu kilometrach. Teraz jednak, tego dnia, odbywało się ćwiczenie numer trzynaście, rzut kamieniem z miejsca — prastara germańska dyscyplina.

Norden postanowił, że pokona tego Hagen, był tego pewien, i to wcale nie dlatego, żeby miał być od niego silniejszy, ale opracował lepszą technikę rzutu. Za pierwszym razem osiągnął wynik o prawie pięćdziesiąt centymetrów lepszy od Hagen. Ale przy następnym swoim rzucie Hagen zmniejszył tę różnicę niemal o połowę. Między tymi dwoma najlepszymi wywiązał się rodzaj pojedynku, który bynajmniej nie skończył się wraz z końcem zawodów.

Nie uszło jednak ich uwagi, że tymczasem do Byka Bertrama podszedł jakiś niezwykle ubrany mężczyzna. Rzucił się w oczy, gdyż nosił na sobie strój bawarski: wysokie sznurowane buty, krótkie skórzane spodnie i ciemnozieloną kurtkę. Oczy jego połyskiwały jak światło latarni morskiej.

Bertram przywitał przybyłego z widocznym szacunkiem, obaj wymienili serdeczny uścisk dłoni. I natychmiast rozbrzmiewał rozkaz Byka: „No chłopcy, pokażcie, co potraficie!”

Próbowali więc dać z siebie wszystko. Norden w następnym rzucie osiągnął rekordową, jeszcze dotąd nie notowaną w tym obozie odległość. Rzut Hagena był tylko nieznacznie krótszy. Pozostali przyglądali się tym wynikom z zazdrością. Dla nich były nieosiągalne.

— Wspaniale! — powiedział przybysz w stroju bawarskim, z uwagą przyglądający się tym zmaganiom. — Czy to tylko przypadek, czy rzeczywiście ta dwójka jest tak nieporównywalnie lepsza od pozostałych?

— Tak właśnie jest, Sturmbannführer! — potwierdził Bertram. — To są nasi najlepsi ludzie. Wspaniały ludzki materiał! Dawno nam się taki nie trafił.

— Chciałbym ich poznać. Obu. Jednego po drugim. Najpierw tego Nordena.

Co o tym mówił Bertram, podający się za nauczyciela gimnastyki, niemal czterdzieści lat później:

Musi pan wiedzieć, że zawsze byłem wyjątkowo wysportowany. I jestem jeszcze do dzisiaj. Choć przekroczyłem już siedemdziesiątkę, ciągle chodzę po górach, gram w tenisa, także w golfa. A wówczas prowadziłem obóz treningowy.

Moim zadaniem było usprawnienie fizyczne młodych ludzi. To i, muszę podkreślić, nic ponadto. Jeżeli więc moja praca została wykorzystana do innych celów, to było to bez mojej wiedzy i zgody. Musi pan to wiedzieć, że zawsze mi chodziło o wyższe wartości.

Tak, zdarzyło się, że kiedyś gdy prowadziłem obóz w Priennad jeziorem Chiem, przyjechał tam ten Sturmbannführer SS. Zresztą nieprzypadkowo. Zapowiedział mi jego wizytę osobiście Reichsführer SS, i to ściśle poufnie. Nie wiedziałem, czego on tam u nas szukał. Nawet się nie domyślałem. Słowo honoru!

Więc pan jest Norden — powiedział człowiek w bawarskim ubraniu. — Ma pan na imię Heinz-Hermann.

Jego głos brzmiał łagodnie. Jakby nieco sepleniąc wymawiał głoskę s, jego r natomiast było ostre i wyraziste.

— Ja nazywam się Wesel, Sturmbannführer Wesel. Przyjechałem tu z zadaniem specjalnym. Ale to nie powinno pana obchodzić. To tylko tak, dla informacji. Jasne?

— Tak jest, Sturmbannführer — zawołał Norden, stojąc przed nim w postawie zasadniczej. — Zdaje się, że zrozumiałem.

— Spocznij! Niech pan do mnie mówi po prostu Wesel. Może pan zapomnieć, że jestem Sturmbannführerem. Nie przywiązuję większej wagi do związków typu zwierzchnik — podwładny. Zależy mi na współpracy opartej na zaufaniu. Co pan o tym myśli?

— Jako zaprzysiężony członek organizacji, panie Sturmbannführer, jestem gotów do podjęcia każdego powierzono mi zadania. — Norden wygłosił te słowa, jak gdyby zdawał egzamin dojrzałości. Tak zresztą było w istocie.

Waldemar Wesel skinął z uznaniem głową, przy czym jego jasne, zimne oczy mierzyły nadal stojącego przed nim młodzieńca. Chłopak miał około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, był smukły, ale silny zarazem, elastyczny jak sprężyna, spięty, jakby gotów do skoku. Do tego miał gładką, jeszcze bez wyrazu twarz, jasne włosy koloru dojrzałego zboża, wysokie czoło i bładniebieskie oczy.

— Przed rokiem zdał pan maturę z notami celującymi z prawie wszystkich przedmiotów. Dlaczego nie chciał pan

pójść na studia? Dlaczego się pan nie zgłosił do władz, aby pana gdzieś skierowano? Może do Reichswehry. Nie chce pan być oficerem? Dlaczego wybrał pan sobie akurat SS? Czego pan po tym oczekuje?

— Niczego, panie Wesel. Myślę, że musiałem pójść za głosem wewnętrznej potrzeby. Żyjemy w czasach najgłębszych przemian i stoimy wobec konieczności wyciągnięcia ostatecznych wniosków na tej drodze, na którą nas wprowadził nasz Führer, Adolf Hitler. I jeśli to tylko możliwe, chcę w tym uczestniczyć.

— Bardzo słusznie, Norden. Właśnie o to teraz chodzi. Ale czy pan sobie wyobraża, co by to mogło znaczyć w danych okolicznościach? Na co naprawdę jest pan gotów?

— Nie ma takiej rzeczy, której bym nie zrobił dla Führera!

— To brzmi, mój drogi, nader obiecująco z mojego punktu widzenia. — Waldemar Wesel przyjął przychylnie to oświadczenie, ale jeszcze nie był w pełni usatysfakcjonowany.

Zaproponował mały spacer na skraju boiska zalanego słońcem i rozpoczął swój monolog. Norden szedł pół kroku za nim z lewej strony i uważnie słuchał jego rozważań.

Główny tok jego myśli był taki: Nasze ukochane Niemcy nie uzyskały w wojnie światowej jakże zasłużonego zwycięstwa z powodu zmywy zdecydowanych wrogów: Anglików, Francuzów, a także Amerykanów. — Ale z tymi byśmy sobie poradzili!

Ale w dodatku tych odwiecznych wrogów wspiera łajdacki, parszywy wróg wewnętrzny, ci podstępni, kałający cześć narodu socjaliści, komunistyczne świnię, różnej maści liberałowie, wszelkiego rodzaju wichrzyciele. I przede wszystkim ci panoszący się wszędzie Żydzi! To nasze nieszczęście!

— Jak więc pan widzi, Norden, musimy się rozprawić z tym zabagnionym, głęboko przegniłym środowiskiem politycznym. Musimy je oczyścić! Przed nami stoi zadanie wyprostowania tego wszystkiego, co przez piętnaście lat systematycznie wykrzywiała Republika Weimarska. Musimy to przewyciężyć!

— A to może zrobić tylko jeden człowiek, nasz Führer!

— Bardzo słusznie, Norden! Ale sam pan widzi, jakiej gigantycznej pracy trzeba, by oczyścić tę całą kloakę. Chce pan wziąć w tym udział?

— Tak, koniecznie! Teraz jasno pojmuję, że tu, u nas, rozpoczynamy nową epokę dziejów. Chcę ją budować!

Wyjątki z opracowania Instytutu Historii Współczesnej w Monachium:

Pod nazwiskiem Wesel (nie Wessel) w polityczno-pedagogicznym wydziale SS, później przekształconym w formę specjalną, figurują co najmniej trzy osoby:

1. Wesel, Kurt-Wilhelm — dziennikarz o zapatrywaniach narodowo-socjalistycznych, później sprawozdawca wojenny, po wojnie redaktor naczelny pewnej gazety w południowych Niemczech.

2. Wesel, Erich — komentator radiowy, pisarz, wykładowca, zmarły tuż po wojnie.

3. Wesel, o różnych imionach: Waldemar, potem Walter, również Walt, zwany także Waldi.

Ostatni z wymienionych zaliczał się do ważnych osobistości ukrytej sceny Trzeciej Rzeszy. Choć jego nazwisko nie pojawia się na żadnych oficjalnych listach sztabowych, należy jednak sądzić, że należał do najściślejszego otoczenia Hitlera wraz z Heydrichem, z którym był podobno zaprzyjaźniony.

Należy sądzić, że właśnie ów Waldemar Wesel należał do duchowych heroldów narodowego socjalizmu. Duży wpływ na poglądy pewnych elit wywarły dwie jego książki: *Tylko śmiałe działanie ma sens*, wydana w 1931 roku, oraz *Na grobach wzniesiemy nowy gmach*, wydana rok później, obie w wydawnictwie Franz Eher Nacht w Monachium. Książki te zadedykował autor Adolfowi Hitlerowi, pierwszą: „Żołnierzowi frontowemu wojny światowej”, drugą: „Odnowicielowi bytu niemieckiego”.

Wygłąda pan na odważnego człowieka, Norden — stwierdził Waldemar Wesel, gdy obaj przechadzali się na skraju obozowiska Priem nad Jeziorem Chiem. — Jest pan bez żadnych zastrzeżeń zwolennikiem naszego Führera?

— Tak jest, Sturmbannführer!

— To świetnie — stwierdził Wesel. — Bo właśnie przyjechałem tu z zadaniem dla pana. Od niego.

Nordenowi na te słowa jakby grunt usunął się spod nóg. Ale już po chwili poczuł, że ratuje go przed zapadnięciem się w głąb miękka siatka, która rozpostarła się pod nim i uchroniła przed upadkiem. Wydało mu się, że widzi tuż za Sturmbannführerem Weselem Hitlera, swego ukochanego Führera, który patrzy na niego — po niemiecku dociekliwie i po prusku rozkazująco.

Zadowolenie Wesela rosło. Teraz już szedł jakby z kolegą, przyjacielem. Wkrótce opuścili teren boiska Byka Bert-rama i poszli w kierunku zieleniejących łąk, aż doszli do drogi wysypanej trzeszczącym żwirem.

Waldemar Wesel zasypywał Nordena gradem pytań, jak gdyby chciał wszystko o nim wiedzieć:

— Czy jest coś albo ktoś, wobec kogo ma pan jakieś zobowiązania? Na przykład dziewczyna, z którą chce się pan ożenić? Czy nie ma pan czasem skłonności homoseksualnych? Co samo w sobie nie stanowi żadnego kryterium, ale chciałbym również o tym wiedzieć. Niech mi pan nie ma za złe- tego pytania.

I wreszcie ostatnia sprawa:

— Czy wyobraża pan sobie sytuację, która by pana tak obezwładniła, że nie mógłby pan reagować energicznie i skutecznie?

— Nie — brzmiała jednoznaczna odpowiedź Nordena.

— Nasz Führer — powiedział Waldemar Wesel — zobowiązał mnie do stworzenia wokół jego osoby grupy specjalnej, elity szczególnego rodzaju. Ma ona skupiać ludzi gotowych absolutnie na wszystko. Nawet na rzeczy okropne. Przynajmniej dla tych, którzy nie potrafią zrozumieć znaków czasu. Ale które są zupełnie oczywiste dla tych, którzy zrozumieli, że na tym świecie nie ma nic za darmo. Musimy to wywalczyć, zdobyć!! Czy jest pan na to gotów?

— Bez zastrzeżeń, Sturmbannführer!

— A co pan sądzi — dopytywał się dalej Wesel — o tak zwanym koleżeństwie?

— Jest ono najważniejszą zasadą naszej organizacji.

— A czy według pana Hagen też do niej należy?

— Oczywiście Sturmbannführer!

— Ale chyba, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, tego Hagen pan zbyt nie ceni?

— Być może — potwierdził szczerze Norden. — Pewnie dlatego, że mnie nie odpowiada jego sposób bycia, a jemu mój. Ale nie zmienia to faktu, że jesteśmy tu kolegami i służymy wspólnej sprawie. I tylko to się liczy.

Wesel odnotowywał w swojej pamięci wszystkie dane jak księgowy, by dokonać wreszcie pełnego bilansu.

— Jestem w zasadzie zdecydowany, Norden, przyjąć pana do tworzącej się elitarnej grupy. Będzie bardzo niewielu wybranych. Chce pan się znaleźć wśród nich?

— Tak jest, Sturmbannführer! — powiedział Norden. — Jestem zdecydowany na wszystko.

Powtarzał się, ale z najgłębszym przekonaniem.

— Wobec tego załatwione — powiedział Wesel, nie kryjąc zadowolenia. — Ale w związku z tym musi pan tu na miejscu podjąć pewną decyzję.

Wesel zamyślony z uśmiechem patrzył przed siebie, poza połyskującą zielenią tafłę jeziora ku pobliskim góróm, zamykającym od zachodu horyzont. Na ich szczycie jeszcze leżał śnieg.

— Przypuśćmy, Norden, że obok pana mam zamiar przyjąć do naszej grupy również tego Hagen. Ale tylko pod warunkiem, że pan się na to zgodzi. Co pan zdecyduje? Niech się pan dobrze zastanowi.

— Oczekuję rozkazów, Sturmbannführer. I bez wahania posłucham każdego. To jest dla mnie oczywiste.

Niektóre zeznania Brigadeführera SS z Komendy Głównej Clausena, zamieszczone w protokołach procesu norymberskiego:

Nic mi nie jest wiadome na temat istnienia w ramach SS jakichś grup specjalnych, szczególnie wyszkolonych do wykonywania określonych zadań i dysponujących nieograniczonymi pełnomocnictwami. W każdym razie nie były one rejestrowane w Komendzie Głównej.

Mówiło się jednak — i do mnie też to dotarło — o istnieniu takich elitarnych jednostek, może dwóch lub trzech, uformowanych na początku 1933 roku. Nieoficjalne wzmianki o tej treści istotnie się ukazały w tak zwanej prasie międzynarodowej, zapewne z inspiracji emigracyjnych grup opozycyjnych. I to nie tylko w „Timesie”, ale także w „Neuen Zürcher Zeitung”, a nawet w końcu w „New York Timesie”. Ze szczegółami, które nam wydawały się mocno wątpliwe. Uważaliśmy te wzmianki za próby oczerniania nas przed światem. Nie mogłbym jednak całkowicie wykluczyć istnienia podobnych brygad. Mogły być przecież finansowane z funduszy specjalnych Reichsführera SS. W latach 1933 do 1939 Himmler dysponował bez potrzeby rozliczeń kwotą od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu milionów marek, która to suma później się podwoiła, a następnie jeszcze czterokrotnie wzrosła.

Niejaki Waldemar Wesel nie jest dla mnie osobą nie znaną. Nie umiem jednak nic powiedzieć o jego szczególnej funkcji od 1933 roku. Przypominam sobie, że gdzieś w 1938 albo 1939 roku został za jakieś zasługi dla Führera, narodu i Rzeszy, na bezpośredni rozkaz Himmlera mianowany generałem broni SS. Ale o jakie zasługi przy tym chodziło, nie umiem powiedzieć. Nawet człowiek na moim stanowisku nie mógł się w tym wszystkim rozeznąć.

Bertram, mój drogi — powiedział Waldemar Wesel do Byka, szefa obozu w Priem nad jeziorem Chiem— po tych tu chłopcach można się wiele spodziewać. Wspaniały materiał! A najlepszego z nich, Nordena, biorę ze sobą.

— Ależ Norden i Hagen są niemal równi. Przynajmniej ja ich tak oceniam — zapewnił Byk Bertram. — Ten Hagen wprost wspaniale strzela z pistoletu. Powinien pan się przyjrzeć temu, co ten chłopak potrafi!

Waldemar Wesel chętnie przystał na swój udział w pokazie. Mistrzowskie opanowanie tej dziedziny było jednym z punktów programu szkolenia. Jeszcze przed rozmową z Nordenem zapoznał się na podstawie przedłożonych materiałów z wynikami swego protegowanego. Były świetne.

Mógł teraz uzupełnić sobie obraz, oglądając Hagena w akcji. Podobał mu się zresztą ten Hagen. Sprawiał wrażenie człowieka o wyjątkowo zimnej krwi. A Wesel znał się dobrze na ludziach, szczególnie sobie podobnych.

Tak więc zgodnie z planem miało się teraz odbyć ćwiczenie numer dwadzieścia — strzelanie z pistoletu z pozycji stojącej bez podparcia. Ocenie podlegał czas wykonania ośmiu strzałów oraz liczba trafień do manekina. Była to niezła zabawa, bo kartonowa tarcza przedstawiała Żyda z kędzierzawymi włosami, haczykowatym nosem i orientálną brodą.

Taką strzelniczą tarczę, wykonaną na specjalne zamówienie w Monachium, nazywano Izaakiem.

— Ognia! — ryknął Byk Bertram, jakby z kapitańskiego mostku dowodził marynarką wojenną.

Chłopcy z pierwszej grupy wystrzelili radośnie w wyobrażonego przed nimi wroga. Było wiele trafień w sam środek figury, które rozdarły ją na strzępy. Wesel przypatrywał się temu przedstawieniu, jakby oglądał dziecięcą zabawę.

— Teraz kolega Norden! — zarządził rozochocony Bertram. — Nową tarczę dla niego!

Heinz-Hermann Norden, spokojny i skoncentrowany, odwrócił się plecami do wjeżdżającej na szynach figury. Pistolet trzymał w opuszczonej prawej ręce. Na komendę „ognia” odwrócił się błyskawicznie i zaczął strzelać. Rytmiczną serią opróżnił magazynek. Wszystkie osiem naboí utkwilo dokładnie w samej głowie figury, w tym miejscu, gdzie znajduje się mózg.

— Bardzo dobry jest ten Norden — powiedział Waldemar Wesel do Bertrama, kiwając z uznaniem głową. — Czego można więcej chcieć? Nawet od Hageny.

— Dwa pistolety dla Hageny! — krzyknął Byk Bertram. — A teraz chciałbym zobaczyć, kolego, twój numer specjalny!

— Tak jest — odpowiedział, całkiem pewny swych umiejętności.

Podano mu dwa pistolety, naładowane i zabezpieczone. Wyciągnął po nie obie ręce i zaczął ważyć je w dłoniach. Potem stanął w lekkim rozkroku, wziął głęboki oddech i zameldował: — Gotów!

Po komendzie błyskawicznie uniósł oba pistolety do strzału, najpierw w lewej ręce, potem w prawej i opróżnił oba magazynki; oddał razem szesnaście strzałów niemal w mgnieniu oka.

A na piersi żydowskiej sylwetki służącej za tarczę pojawił się w okolicy serca wybity kulami zarys swastyki!

— No co? Nie mówiłem? — zapytał Byk Bertram z dumą swego gościa.

Waldemar Wesel tylko skinął głową. — Pogadam sobie także z tym Hagenem.

Rozmowa odbyła się natychmiast po zakończeniu ćwiczeń na strzelnicy. Stanęli naprzeciwko siebie, osłonięci grubym wałem ochronnym. Wesel przyglądał się uważnie Hagenowi, jakby miał przed sobą jakieś cenne zwierzę hodowlane. Cał po calu taksował stojący przed nim okaz.

— Gdzie się pan tego nauczył?

— Mój ojciec był leśniczym — odpowiedział Hagen. — Zbierał różną broń i uczył mnie posługiwać się nią. Już jako dzieciak kładłem jednym strzałem wielkie jelenie. Mojego ojca zamordowano kilka lat temu. Twierdziło się, że to kłusownicy go zastrzelili. Ale on był zdeklarowanym nacjonalistą. Sądzę, że go zabili socjaliści albo komuniści.

— A kto pana nauczył, Hagen, tej sztuczki ze swastyką?

— Sam to sobie wymyśliłem. I nawet niezbyt długo trenowałem. Ze dwa lata. Ale teraz mógłbym to zrobić nawet we śnie.

Waldemar Wesel starał się nie okazać zbyt wyraźnie swego podziwu dla tego wyczynu, ale jego głos zabrzmiał niemal przyjacielsko, kiedy zwrócił się do Hagen:

— Bardzo uważnie pana obserwowałem, kiedy pan strzelał. I zauważyłem coś, co mnie zdziwiło. Ody strzelał pan z obu pistoletów naraz, miał pan otwarte oboje oczu. To stoi w sprzeczności z wszelkimi zasadami celowania. Przecież ustawić muszkę można tylko za pomocą jednego oka.

— Ja mam tylko jedno oko — powiedział Hagen. — Drugie straciłem przed dwoma laty podczas bójki w Weilheim. Była to rozprawa z Żydami grupy lokalnych bawarskich patriotów. Odtąd zaczęto nazywać mnie Hagen. Że niby jestem jak ten z *Pieśni o Nibelungach*.

— Więc to nie jest pańskie nazwisko?

— Po ojcu — odpowiedział — nazywam się Dietmar.

— No dobrze — powiedział Wesel. I nagle zmieniając temat zapytał: — A co pan sądzi o Nordenie?

— Wszystko co najlepsze oczywiście. To wspaniały człowiek!

— Żadnych zastrzeżeń, Hagen?

— Żadnych. Norden jest moim przyjacielem. Bardzo go cenię.

Wesel wpatrywał się nadal uważnie w stojącego przed nim młodzieńca z wzrastającym uznaniem.

— Jak mnie poinformowano, ma pan brata. Podobno jest zagorzałym katolikiem, wychowankiem jezuitów.

— Mój brat nie żyje — odparł Hagen — od tamtej bójki przed dwoma laty, kiedy ja straciłem oko. To ja go zabiłem. W obronie własnej. Nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia.

Wesel patrzył teraz prosto w słońce.

— Skoro tak, to mam wszelkie podstawy sądzić, że jest pan gotów służyć duszą i ciałem Führerowi i jego celom. I nie ugnie się pan przed niczym.

— Przed niczym i przed nikim.

— To właśnie chciałem od pana usłyszeć — zamknął rozmowę Wesel.

Tym samym Hagen, przedtem Dietmar, został obok Nordena zakwalifikowany do elitarniej grupy Waldemara We-

sela. Odbyło się to uroczyście, do czego Wesel przywiązywał wagę, przez wymianę mocnych uścisków dłoni na znak zaprzysiężenia.

Wkrótce potem, tego samego dnia 1 maja 1933 roku, Wesel oświadczył kierownikowi obozu Bertramowi:

— Zabieram ich obu ze sobą, Nordena i Hagenę. Mają pół godziny na spakowanie swoich rzeczy. A pan, panie Bertram, ma jak najszybciej zapomnieć o tych ludziach, którzy odtąd są moimi ludźmi. Nigdy ich tu nie było. Jasne?

2. Zaprzysiężenie i jego następstwa

W godzinach popołudniowych tego pamiętnego dnia — czyli wciąż jeszcze 1 maja — przez kraj Górnej Bawarii mknął wielki czarny mercedes Sturmbannführera Wesela. Po prawie dwóch godzinach jazdy z Priem nad jeziorem Chiem zbliżał się do Wolfratshausen. Z przodu po prawej obok ośpałego kierowcy siedział Wesel. Na tylnych siedzeniach Norden i Hagen.

Niemal idylliczna podróż odbywała się w wielkim milczeniu. Przez całą drogę nikt nie odezwał się ani słowem.

— Wjedź na to wzgórze — powiedział wreszcie Wesel do kierowcy — tą samą drogą co zwykle.

Ten nawet nie skinął głową.

Przejechali przez Wolfratshausen, a potem wóz pomknął krętą wijącą się drogą w kierunku jeziora Starnberg. Minęli jakąś schludną wieś, jakich z pewnością było wiele w tej okolicy.

Potem szosa wspinała się dość stromo. Samochód pokonał wzniesienie, skręcił w jakąś polną drogę i warkot motoru nagle ustał. Przed nimi wznosiło się stożkowate wzgórze, na którego szczycie stało wielkie, rozrosłe drzewo. Był to dąb. Prawdziwy germański dąb. Prawdopodobnie kilkusetletni.

W kierunku tego dębu ruszył Waldemar Wesel. Na znak dany przez kierowcę Norden i Hagen podążyli za nim.

Gdy dotarli na szczyt, Sturmbannführer oparł się jedną ręką o szorstki pień tego symbolicznego drzewa, drugą wskazując jakby błogosławiącym gestem rozciągającą się wokół okolicę.

Patrzyli teraz wspólnie w dal, ponad leżące gdzieś daleko w dole małe miasteczka, w kończącej się gdzieś

na odległym horyzoncie przestrzeń zamkniętą wyraźnie rysującymi się górami. Zdawało im się, że gdzieś tam u ich stóp dostrzegają nawet lśniąca jezioro Chiem, nad którym leżał ich obóz.

— To miejsce — powiedział uroczyście Wesel — jest poniekąd miejscem historycznym. Pod tym dębem wielokrotnie odpoczywał Adolf Hitler, nasz Führer, który uwielbia niemieckie góry. I właśnie tutaj, w tym miejscu podjął ważką decyzję o budowie gigantycznych betonowych autostrad, które prowadzą z Hamburga do Berchtesgaden, z Berlina do Monachium, z Królewca do Berlina. Jedyne w swoim rodzaju szosy, które pozwalają na szybki transport wojsk. Tylko Napoleon miał przed nim podobne plany. Wykorzystalibyśmy je oczywiście jedynie w przypadku, gdy by nas do tego zmusili nasi wrogowie.

Norden przytaknął głową. Był szczerze urzeczony tą heroiczną wizją. Hagen natomiast starał się nie okazać żadnych wzruszeń. Samo jednak jego milczenie wskazywało, że poczuł się jakby w kościele.

Jakby nie dostrzegając podniosłego nastroju młodych ludzi Waldemar Wesel z właściwą mu rzeczowością wyjaśnił:

— Podpiszecie mi tutaj, a nie jest sprawą przypadku, że właśnie tutaj, dwa oświadczenia: jedno: to zaprzysiężenie na wierność Führerowi i drugie: zobowiązanie się do zachowania absolutnej tajemnicy. Dopiero potem możemy przystąpić do rzeczy.

Dokumenty znalezione wśród notatek Heinza-Hermanna Nordena dokładnie czterdzieści lat później w Lugami:

1. Przysięga na wierność

Ja, Heinz-Hermann Norden, urodzony 1 maja 1913 roku w Szczecinie, oświadczam, że gotów jestem do bezwzględności posłuszeństwa mojemu Führerowi Adolfowi Hitlerowi. Ten obowiązek bezwarunkowego posłuszeństwa przyrzekam jedynie mojemu Führerowi

i bezpośrednio przez niego wskazanym i mającym jego pełnomocnictwa osobom. Przysięgam to na mój honor!

2. Zobowiązanie

Ja, Heinz-Hermann Norden, urodzony 1 maja 1913 roku w Szczecinie, zobowiązuję się do wykonywania wszelkich powierzonych mi zadań i rozkazów z najwyższym oddaniem i poświęceniem, traktując je jako obowiązek wobec Rzeszy i zachowując je w pełnej tajemnicy.

Zobowiązuję się jednocześnie, że nigdy nie będę rozmawiał z osobami postronnymi na ich temat i ani ustnie, ani na piśmie nie przekażę im żadnej związanej z nimi informacji. Nie będę też robił żadnych notatek ani rysunków, stanowiących ślad mojej działalności.

Otrzymane rozkazy i polecenia nie podlegają dyskusji ani ocenie. Wydawać je może tylko bezpośredni przełożony, działający z upoważnienia Führera.

Zobowiązanie to zachowuje swoją moc także po ewentualnym odejściu z naszej organizacji.

Waldemar Wesel odebrał od nich przeczytane, podpisane i uściskiem ręki potwierdzone dokumenty i schował je troskliwie do swojej teczki. — Jesteście teraz członkami elitarnego grupy, której powołanie zlecił mi osobiście sam Führer.

Norden i Hagen — pełni heroicznej dumy, i z cielecym wręcz oddaniem — wpatrywali się w swego Sturmbannführera, który z wyraźną ulgą, wciąż oparty o dąb Hitlera, oświadczył:

— Wasz okres próbny, okres bardzo intensywnych ćwiczeń będzie trwał mniej więcej cztery do sześciu tygodni. Jestem pewien, że wszystkie czekające was zadania wykonacie rzetelnie. Ja się nie mylę w doborze ludzi! Podczas

tych pierwszych, rozstrzygających o waszej przyszłości tygodni będziecie moimi gośćmi, a dokładnie mówiąc gośćmi Führera. Otrzymacie pełne utrzymanie, to znaczy mieszkanie, wyżywienie i ubranie. Do tego przysługuje wam tak zwane kieszonkowe — na początek dwieście pięćdziesiąt marek tygodniowo.

— To jest tysiąc marek miesięcznie — wyrwało się, nie bez zdumienia, Hagenowi.

— Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, nie będziecie się musieli wyliczać z waszych wydatków. Gdy tylko pozytywnie przejdziecie okres próbny, zacznie się wasza właściwa, trudna, ale zaszczytna praca. Możecie się też spodziewać, że zostaną wam przyznane wyższe stopnie służbowe oraz dostaniecie do własnej dyspozycji konta bankowe, na które będą wpływały nagrody za dobrze wykonaną pracę. Kapitałem początkowym będzie suma pięciocyfrowa. Pierwszą liczbą tymczasem jest dwójka, ale wkrótce będzie to piątka.

Informacja ta mocno ożywiła Hagenę. Zaczął gorączkowo obliczać swoje przyszłe dochody.

— To nawet wcale nieźle brzmi!

Norden natomiast, jak alpinista sięgający szczytu, jedno chciał wiedzieć:

— Czy będziemy mieli zaszczyt spotkać się osobiście z Führerem?

— On na was czeka — oznajmił Wesel, jakby pokazując im czek in blanco.

— A kiedy to by się mogło stać?

— Jak tylko zaliczycie okres próbny i będę mógł zameldować Führerowi, że wasza grupa jest już całkowicie przygotowana, by stanąć do jego dyspozycji. Czterech już czeka na was w pewnej willi nad jeziorem Starnberg. Zaraz tam pojedziemy. Nasza miejscowość nazywa się Feldafing. Jest tam kilka gospodarstw chłopskich, ale też sporo luksusowych willi należących do wyższej rangi funkcjonariuszy partyjnych. Znajduje się też tam szkoła partyjna dla aktywu kierowniczego i całoroczny obóz szkoleniowy Związku Dziewcząt Niemieckich oraz Hitler-Jugend. A my pośród tego wszystkiego!

Zeznanie Josefa Hubera, właściciela gospodarstwa w Feldafing, przesłuchiwanego w związku z tą sprawą:

Ja wiem tyle cdo nic. Mogę was zapewnić , że nigdy nie byłem nazistą! Ale też nie występowałem przeciwko tym ludziom. A dlaczego ? Bo byli oni na śmierć i życie oddani ojczyźnie!

Zaraz na początku 1933 roku opróżniła się tak zwana willa Salomona, położona nie opodal mojego gospodarstwa. Jej właściciel zmarł. Wielu chciało ją nabyć, ja także. Ale bezskutecznie. Wciąż ktoś dawał lepszą cenę. Nie umiem powiedzieć kto. Oficjalnie nam powiedziano, że obiekt będzie zagospodarowany dla celów Rzeszy i ma służyć jej interesom.

W każdym razie pojawiły się tam wkrótce brygady budowlane, jedna ze Starnbergu, druga z Monachium. Zatrudniono także miejscowych. Zakładano nowe instalacje, urządzenia elektryczne, odmalowano wnętrza. Ja sam dostarczyłem wiele wozów żwiru, a potem jeszcze całe fury ziemi ogrodowej.

Za to wszystko płacono od ręki i bardzo przyzwoicie.

Dodatkowo dom poszerzono i dobudowano jedno piętro. Doszło całe nowe skrzydło i pokoje mieszkalne. Całe sześć mieszkań na nowo wybudowanym piętrze. Wszystko z pełnym komfortem, łazienkami i toaletami. Budowano coś także w piwnicy, zużyto tam wiele betonu. A w końcu otoczono całą posesję dwumetrowej wysokości murem z osadzonymi na szczycie odłamkami szkła, a nad tym jeszcze rozciągnięto drut kolczasty.

Chociaż mieszkalem, można powiedzieć, w dość bliskim sąsiedztwie, nie potrafię powiedzieć, co tam się działo. Nic, co jak to się mówi, miałoby ręce i nogi. Czy dochodziły stamtąd jakieś podniesione głosy? Może krzyki? No tak, mogłoby tak być. Ale dokładnie to ja nic nie wiem. Ujądanie psów, ludzkie jęki, strzały? Być może. Ale głowy bym nie dał.

Nieraz bywało tam jednak wesoło, można powiedzieć, bawiono się. Tak jak to bywa wśród młodych. Dochodziły wtedy stamtąd głośne śmiechy, męskie głosy, które się

nawoływały. Czasami chyba jakieś rozkazy. Tak, możliwe. Słychać też czasem było jak dźwięczy szkło i chóralne śpiewy, zwłaszcza pieśni ludowe i żołnierskie. Co można było na to poradzić?

Uzgodniliśmy zatem wszystkie zasadnicze sprawy— stwierdził Wesel. — Oznacza to w praktyce, że zaczęliście mnie bliżej poznawać. A teraz przedstawię wam najpierw mego współpracownika, który należy do naszego najściślejzego kręgu.

Po czym Sturmbannführer, wciąż oparty o hitlerowski dąb i ocierając się o niego plecami, skinął ręką na kierowcę. Jegomość ten mimo swej ciężkiej wagi poruszał się ze zwinnością wytrawnego piłkarza na boisku. Stał przed Weselem może nie w przepisowej postawie wojskowej, ale z wyraźnym respektem.

— To jest — powiedział Wesel — nasz kierowca Sobottke.

— Bardzo mi przyjemnie — zapewnił uprzejmie Norden, wyciągając do niego rękę. Hagen natomiast, zachowując dystans, wymienił tylko swoje nazwisko i kiwnął mu głową.

— Nie ma żartowania — powiedział Sobottke, szczerząc zęby w uśmiechu. — Ja nie mam prawa wydawać wam żadnych rozkazów. Mam wam tylko pomóc na początku, jeżeli będzie potrzeba.

— Jakoś się dogadamy, co? — Hagen zerknął ostrzegawczo na kierowcę. — W każdym razie, jak mnie się kto nie czepia, to żyję z nim w zgodzie.

— Należałoby jeszcze dodać — nadmienił Wesel — że nasz Sobottke jest starym kryminalistą, podwójnym mordercą. Przynajmniej udowodniono mu w nich bezpośredni udział.

— Odsiedziałem prawie dziesięć lat — dopełnił Sobottke z uśmiechem. Wydawało się, że to wspomnienie sprawia mu przyjemność tak jakby rzewnie wracał myślą do dawnej porzuconej miłości. — Posadzono mnie w 1923. Załatwiłem

wtedy nie dwóch, ale trzech, ale tego trzeciego mi nie udowodniono. A przedtem jeszcze dwóch, ale o nich ta ślamazarna weimarska sprawiedliwość się nie dowiedziała. A może nie chciała wiedzieć? Oni już wtedy w portki robili ze strachu. A potem się udławili, i to na dobre.

Norden i Hagen z pełnym uznaniem zdumieniem przyglądali się temu pocziwie wyglądającemu grubasowi, jakby mieli przed sobą jakiegoś bajkowego stwora. O nic podobnego go nie podejrzewali. Tego się nie spodziewali. Właśnie po nim!

— Chodziło wówczas — objaśniał Wesel — o tak zwane sądy kapturowe. W 1923 roku wydano bowiem sporo zaocznych wyroków na zdrajców. Należałem wówczas do organizacji, która się tym zajmowała. I Führer także z nią współpracował. A Sobottke był naszym niezawodnym wykonawcą zdrowych dążeń narodu. Oczywiście więc, że kiedy tylko objęliśmy władzę, był on jednym z pierwszych, których uwolniliśmy.

Hagen podszedł do kierowcy, chwycił jego rękę i mocno ucisnął. Potem powiedział:

— Naprawdę się cieszę, że będę mógł pracować z takim człowiekiem jak pan.

Z relacji bankiera Henry'ego B. Salomona z Nowego Jorku, składanej ostatnio:

Znałem dobrze posiadłość mego stryja Salomona w Feldafig. Spędziłem tam kiedyś jako młody chłopiec wspaniałe wakacje. Stryj Ben, któremu żona umarła, a dzieci nie mieli, chętnie gościł w swoim wspaniałym domu członków rodziny i przyjaciół. W dniu swoich sześćdziesiątych urodzin postanowił wybudować sobie ten dom, jako rodzaj podsumowania swego życia. Powiedział sobie przy tym, że dość się już napracował i dostatecznie wiele zrobił. Teraz chciał się tylko cieszyć pięknem życia. Znaczyło to dla niego wytworne jedze-

nie, inteligentne rozmowy, wybrednie dobrane lektury, oglądanie obrazów oraz sprawianie radości swoim przyjaciołom.

Cztery lata później wszystko było gotowe. Wspaniała budowla, luksusowo wyposażona, otoczona ogrodem przypominającym park. Sprowadził się tam 30 stycznia 1932 roku.

A równo rok później, w dniu jego sześćdziesiątych piątych urodzin, znaleziono go martwego przed wejściem do rezydencji. Zabito go. W nie wyjaśnionych okolicznościach.

Kilka lat po wojnie postanowiłem pojechać do Feldafig i odwiedzić posiadłość stryja. Była nie do poznania. Park, założony z takim pietyzmem, był całkowicie zdziczały. Z takim kunsztem architektonicznie zbudowany dom zniekształciły po 1933 roku nieforemne przybudówki. A teraz była to jedna ruina!

Próbowałem się dowiedzieć, co tam się stało. Trafiłem jednak na mur milczenia. Nawet mnie ostrzeżono, mniej więcej tymi słowami: „Na litość boską, niech ta cała przeszłość wraz ze zmarłymi odpoczywa w spokoju”.

Jeszcze przed zachodem słońca tego pamiętnego dnia dotarli do Feldafig nad jeziorem Starnberg. Drogę wiodącą przez środek miasteczka nagle zamykał olbrzymi kamienny mur, za którym wznosiły się stuletnie chyba drzewa. Dalej widniała kuta w żelazie brama, dzieło bawarskiego barokowego rzemieślnika. Sobottke nacisnął trąbkę samochodową — dwa razy krótko, raz długo. Gdy samochód stał czekając na otwarcie bramy, u wejścia do położonej naprzeciwko willi pojawiła się dość hałaśliwa kobieca postać. Była postawna, dość tęga, o typowej germańskiej urodzie, słowem istna Walkiria. Miała na sobie jedwabną niebieską obcisłą suknię, powiewała takiego samego koloru chustką i wołała jasnym, wesołym głosem:

— Heil Hitler, panie Wesel!

— Heil Hitler! — odpowiedział krótko Wesel z taką miną, jakby nagle postawiono przed nim misę cuchnącego błota.

Z trudem ukrywał swoją niechęć na widok tej damy, próbował jednak zachować się uprzejmie. Zdjął kapelusz i podniósł prawe ramię do niemieckiego pozdrowienia. Zarazem warknął:

— Zatrąb jeszcze raz, Sobottke!

Ledwo przebrzmiał głos klaksonu, znów odezwał się głos krzepkiej blondyny:

— Niechże mnie pan odwiedzi, panie Wesel. Jak najszybciej!

Z wyraźnym zainteresowaniem obejrzała dwóch młodych mężczyzn siedzących w głębi wozu.

— Może mogę panom w czymś pomóc?

— Dziękuję za zaproszenie, szanowna pani Franke! — krzyknął Wesel siłąc się na grzeczność. — I serdeczne pozdrowienia dla męża!

Późniejsze zeznania kierowcy Sobottke na temat pani Franke:

Ta osoba, że tak powiem, nieraz dała się nam porządnie we znaki. Szczególnie w pierwszych miesiącach. Potem jakoś nam się udało ją wyłączyć. Wesel jej nie znosił, ale jednak musiał się z nią liczyć, co mu przychodziło z cholernym trudem.

Mąż tej kobiety, to znaczy pani Franke, która, zdaje się, na imię miała Hermina, był wysoką szychą partyjną. Rozporządzał grubą forszą i miał wpływ na awanse i obsadzanie różnych ważnych stanowisk. W Feldafig pojawiał się rzadko. Pewnie miał tyle roboty w Berlinie, że dla żony nie miał czasu. Kto go tam wie, czym i jak sobie ten brak rekompensował. Ale to oczywiście tylko przypuszczenie. Tak więc pani Franke czuła się chyba z tego powodu trochę niedopieczona, jeśli wolno to tak określić. Była już nie pierwszej młodości, ale jeszcze zupełnie do rzeczy. Co oczywiście szybko rozniosło się po okolicy.

Nic zatem dziwnego, że lgnęła do Wesela; może nie tyle do niego osobiście, ile do jego chłopaków. Wciąż

próbowała jakichś do nich podchodów. Zawsze pod pozorem a to dobrego sąsiedztwa, a to bezinteresownej pomocy czy potrzeby integracji ludzi tej samej ideologii.

Nie było to tak zupełnie bezpieczne i Wesel zdawał sobie z tego sprawę. Bądź co bądź była żoną Reichsleitiera. Nie było łatwo jej się pozbyć.

Wreszcie podbiegł ogrodnik i ściągnawszy najpierw z głowy kapelusz, otworzył bramę. Patrzył pokornie przed siebie, na wysypaną białym chrzęszczącym żwirem drogę. Wiodła ona zakolem pod samą willę, którą jeszcze do niedawna nazywano „Oazą Salomona”, a obecnie „Labiryntem Wesela”.

Tu, przy głównym wejściu, które zasługiwałoby na miano portalu, oczekiwały na przybyłych dwie osoby: młoda, ponętna, hoża kobieta, stojąca nieco z tyłu, oraz jakaś postać wyglądająca chyba na mężczyznę, o tanecznych ruchach, niezwykle ujmującym uśmiechu i melodyjnym dźwięcznym głosem.

— Przedstawiam wam Raffaela — powiedział Wesel do Nordena i Hagen — sekretarza naszej grupy. Podlega bez pośrednio mnie i proszę pamiętać, że jest kimś w rodzaju mojej prawej ręki. A to jest nasza kochana Klara, która będzie się wami opiekować i dbać o wasze dobre samopoczucie.

Osoba zwana Klarą uważnie się przyglądała nowo przybyłym. Była to śliczna dziewczyna o typowej bawarskiej urodzie, kwitnąca zdrowiem, o pełnych, zmysłowych kształtach. Poruszała się z wdziękiem i biła z niej wesołość i radość życia.

— Więc ona ma dbać o nasze dobre samopoczucie? — zapytał Hagen, nie kryjąc swego męskiego zachwyty. — Pod każdym względem? Chyba jednak nie pod każdym? Z pewnym wyjątkiem?

— Dla nas nie ma wyjątków, Hagen — powiedział Wesel takim tonem, jakby nadawał komunikat meteorologiczny. — Już sam rodzaj naszego życia stanowi całkowity wyjątek. I to

pozwała nam na wszystko, prócz tego co mogłoby zaszkodzić naszej organizacji lub narazić ją na niebezpieczeństwo. A kto by się na to odważył, niech się ma na baczności!

— Rozumiem — powiedział Hagen, cofając się o krok.

— Będziecie się musieli tu jeszcze bardzo wielu rzeczy nauczyć — powiedział Wesel pobłażliwym tonem. — Najpierw jednak wprowadzicie się do przeznaczonych dla was pokoiów. Macie na to dokładnie, co do minuty, jedną godzinę. Punktualnie o godzinie dwudziestej odbędzie się wspólna kolacja. Tym razem możecie ubrać się, jak zechcecie.

Z zapisków Heinza-Hermannna Nordena:

To, co zastaliśmy w Feldafig, było tak wspaniałe, że wydawało się wprost nieprawdopodobne. Na górnej dobudowanej kondygnacji znaleźliśmy nie oddzielne pokoje dla każdego z nas, ale prawdziwe apartamenty, składające się z trzech pomieszczeń: pokoju dziennego przystosowanego do pracy, który można by nazwać salonem, a obok była sypialnia połączona z łazienką. Wszystko świetnie wykończone, na pewno kosztowne i całkowicie nowoczesne. Nawet Hagenowi, gdy to zobaczył, odebrało mowę.

Doszło jednak do sytuacji, nie mającej może szczególnego znaczenia, która jednak mnie oburzyła. Otóż ten Hagen znów próbował się rozpychać i postawić na swoim. A ja na to w żaden sposób nie mogłem pozwolić.

Nordena i Hageną zaprowadzono na górę po grubym, tłumiącym odgłos kroków dywanie. Tam Raffael, sekretarz grupy, wskazał im dwa jeszcze puste, przeznaczone dla nich apartamenty. — Oba te pomieszczenia — wyjaśnił im uprzejmie — są dokładnie tej samej wielkości i mają dokładnie takie samo

wyposażenie. Różnią się nieco tylko kolorem. W jednym przeważa kolor ciemnobrązowy, a w drugim jaśniejszy. I w jednym z nich okna wychodzą na jezioro, a w drugim na ogród.

— Nie masz chyba nic przeciwko temu, Norden — zapytał Hagen — że ja wybiorę pierwszy?

— Owszem, mam.

— Co to ma znaczyć? — oburzony Hagen zrobił krok w kierunku Nordena. — Zamierzasz tu grać pierwsze skrzypce? Kim ty tu właściwie jesteś?

— Wkrótce się o tym przekonasz, Hagen!

— Chwileczkę, panowie — wtrącił się Raffael. — Tak nie wolno! Jedną z podstawowych zasad naszej grupy jest, że wszyscy są wobec siebie równi. Wszyscy mają równe prawa. Nie ma tu lepszych i gorszych.

— Zgoda! — przytaknął krótko Norden.

— Wyciągnij więc z tego odpowiedni wniosek — poradził mu Hagen.

— Może będziecie jednak, panowie, doszli do porozumienia. Każdy z tych apartamentów ma swoje dobre strony.

— Wobec tego — zdecydował Hagen — ja biorę ten z widokiem na jezioro.

— Mnie też na nim zależy — powiedział Norden.

Raffael usiłował pospiesznie znaleźć kompromisowe wyjście z sytuacji.

— A gdybyście tak, panowie, ciągnęli losy? Mam tu dwie zapalki. Który wyciągnie dłuższą, ten będzie miał prawo wyboru.

— W porządku — zgodził się Norden.

— A ja się nie zgadzam — stwierdził zdecydowanym głosem Hagen. — Z zasady nie zdaję się na przypadek.

Twarz Raffaela, przypominająca anioła z późnogotyckiej rzeźby, poczerwieniała. Jego głos, dotąd uprzejmy i łagodny, zabrzmiał niespodziewanie ostro:

— Wobec tego ja zarządzam tak: Apartamenty piąty i szósty zostaną przydzielone według alfabetu. Hagen otrzymuje piątkę, Norden szóstkę. Proszę natychmiast wykonać!

— Czy ma pan upoważnienie do takich decyzji? — zapytał wściekły Hagen.

— Mam — zapewnił krótko Raffael.

Tak więc Norden otrzymał ten apartament, który chciał. Z widokiem na jezioro.

Hagen uznał to za swoją porażkę — tymczasową porażkę. Ale to jeszcze nie koniec dnia. Najciemniejsze noce miały dopiero nadejść.

Pierwsza uroczysta kolacja, do której mieli zasiąść Norden i Hagen wraz z pozostałymi członkami grupy, rozpoczęła się punktualnie co do minuty o godzinie dwudziestej. Miejsce: sala numer dwa, tuż obok holu oznaczonego jako sala numer jeden. Dalsze pomieszczenia mieli dopiero poznać.

W pokoju jadalnym stał długi stół z uroczystą zastawą: sztuce ze starego srebra, kielichy i szklanki z kryształu, obrus z Końskiego adamaszku, talerze z miśnieńskiej porcelany. Do tego wspaniała dekoracja kwiatowa: w niebieskich nordyckich wazonach ciemnoczerwone cieplarniane róże.

W drzwiach stał wyprostowany jak struna Waldemar Wesel w czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli, w lakierkach. Każdemu z szóstki wchodzących młodych mężczyzn mocno ścisnął prawicę, jakby gratulował sześciu świeżo wręczonych odznaczeń.

Obok nowicjuszy Nordena i Hageny usiadła pozostała czwórka. Byli tak samo wysocy jak oni, postawni, o ostrych spojrzeniach i zdecydowanym zachowaniu.

— Najpierw się nieco posilimy — zaproponował Waldemar Wesel swoim sześciu wybrancom — a przy tym zapoznam was ze sobą. Ale z tym się nie spieszymy. Będziemy tu mieli dość czasu, aby do siebie przywyknąć. Poczynajmy więc sobie powoli.

Zajął miejsce na szczycie stołu, po czym wskazał Norde-nowi i Hagenowi miejsca obok siebie po prawej i lewej stronie. Uśmiechał się do nich zwycięsko, jak pokerzysta, który trzyma w ręku same tylko mocne karty.

— O tym, co tu się będzie działo, powiedział już kiedyś Goethe: „Znojne dni pracy, ale święta wesołe”. Dokładnie tak można będzie określić nasze tutaj życie. Nareszcie jesteśmy w pełnym składzie. Chodzi teraz o to, aby jak najszybciej uczynić naszą grupę zdolną do działania.

Wesel wstał, ujął kielich w prawą dłoń i popatrzył po kolei na każdego ze swoich ludzi, od Nordena poczynając, na Hagenie kończąc. Po czym zawołał:

— Za naszą ojczyznę, za naród, za naszego Führera! Pieśń Horsta-Wessela sama im się wyrwała z piersi. Sturmbannführer wypił swój kieliszek do dna jednym haustem. Wszyscy poszli za jego przykładem.

Wesel był z siebie bardzo rad. Jak rzeźnik, który po dokonanej uboju dokonuje przeglądu okazałych tusz.

Właśnie wybiła północ.

Z późniejszego przesłuchania kierowcy Sobottke przez kapitana Scotta, oficera wywiadu amerykańskiego:

Przez dłuższy okres mojego życia wykonywałem zawód kierowcy. Zaraz po pierwszej wojnie światowej jeździłem u pewnego prezesa jakiegoś stowarzyszenia, a później u nazistów, zmuszony do tego niemal siłą. Byłem także kierowcą w czasie drugiej wojny światowej, zostałem przy tym skierowany bezpośrednio na front, gdzie byłem trzy razy ranny. Teraz jestem taksówkarzem. Co wówczas, mniej więcej od 1933 roku, tam się działo w tej willi w Feldafing? Niestety nie umiem powiedzieć, mimo najlepszej woli. Po prostu nie wiem.

Mieszkałem w sąsiednim budynku i pracowałem dla tych ludzi jako kierowca. Czasem nawet woziłem ich za granicę. Robiłem, co mi kazano.

Kto należał do tej grupy? Jeżeli dobrze pamiętam, jakichś sześciu ludzi. Skąd się tam wzięli, jakie mieli zadania, co konkretnie robili? Nie umiem powiedzieć.

Nie znam także ich nazwisk. Dlaczego? Myślę, że nie uży-

wali swoich prawdziwych nazwisk. Nawet między sobą chyba nie wiedzieli, jak się kto naprawdę nazywa. Daję słowo, nie mogłem się połapać w tym całym labiryncie!

Zawsze sobie powtarzałem: Sobottke, człowieku, nie wtykaj za głęboko nosa w to wszystko. Mogą ci go przyciąć, a masz tylko jeden! Ale na szczęście mam go do dziś.

Uzupełniająca notatka kapitana Scotta:

Po wielotygodniowych przesłuchaniach Sobottki i z zeznań innych członków personelu tego przedsięwzięcia, z trudem wydobytych, udało się ustalić następujące dane dotyczące owoych sześciu mężczyzn:

1. Mężczyzna o nazwisku Siegfried, prawdopodobnie syn nauczyciela gimnazjalnego z Nadrenii; w Feldafig nazywany Czyściochem. Prawdopodobnie typ tępego głupca, według mego zdania, kompletny idiota. A zatem zbyt prymitywny, żeby się nadawać do wszystkiego.

2. Mężczyzna nazywający się Hermann, ale który też sam siebie nazywał Arminius. Uchodził za bardzo inteligentnego, w Feldafig zdobył sobie przydomek Rezolutny. Z pewną dozą pewności można podejrzewać, że był to zdeklarowany kryminalista, z wieloma wyrokami za akty przemocy.

3 i 4. Berner i Bergmann. Nazywano ich „syjamskimi braćmi” albo też „naiwniakami” albo „dobrymi kumplami”. Łączyła ich nierozzerwalna przyjaźń, prawdopodobnie na tle homoseksualnym.

5 i 6. Dwaj mężczyźni, którzy na końcu dołączyli do grupy. Prawdopodobnie odgrywali w niej najważniejszą rolę. Tak się przynajmniej wydaje na podstawie dotychczasowego śledztwa.

Jeden z nich to Norden, całkowicie oddany, najczystszej wody idealista, niezawodnie podążający za „głosem swojego sumienia”. Życie ludzkie nie znaczyło dla niego nic.

Ostatni z nich to Hagen, nazywany też niekiedy Dietmarem. Zimny, wyrachowany typ spod ciemnej gwiazdy,

całkiem pozbawiony wszelkich skrupułów, także wobec własnych kolegów.

*Z pism Waldemara Wesela, opublikowanych przed 1933 rokiem:
O odpowiedzialności*

Pamiętaj zawsze o tym, że jesteś Niemcem! Jako taki masz najgłębsze zobowiązania względem twego narodu, jego wartości i dokonań. Masz dochować im wierności, nawet gdybyś miał przez to znieść niesławę, szykany i prześladowanie. Czysty duch wzniesie się ponad wszelkie przeciwieństwa.

O germańskim dziedzictwie

Pamiętaj, że jesteś jedynie jednym z ogniw tysiącletniego łańcucha, który nie może nigdy ulec zerwaniu. Masz więc być świadomie jego silnym ogniwem. Twój dalecy przodkowie stawili zwycięsko czoło nawet imperium rzymskiemu. I odtąd o Europie, owym centrum naszego świata, decydowali Niemcy.

O Führerze narodu niemieckiego

To, co zapoczątkował przed wiekami Hermann Cheresker, który rozbił w pył rzymskie legiony w Lesie Teutońskim, powtarzało się później wielokrotnie w dziejach świata. Nigdy jednak nie doszła do głosu z konieczną konsekwencją wola mocy. Na przestrzeni dziejów Niemcy ofiarowały innym całe imperia. Tak nie powinno było się stać — i nigdy więcej się nie stanie. Poręczycielem tej prawdy jest Adolf Hitler. W pewnej poufnej rozmowie powiedział mi wyraźnie:

Przyjacielu Wesel, stoimy wobec wielkiej, może nawet gigantycznej szansy! Postanowiłem jej nie zmarnować. Będę wierny naszemu hasłu: „Co nas nie zabija, czyni nas silniejszymi!”

3. *Starannie zaplanowane pokolenie*

Wczesnym rankiem na piętrze byłej willi Salomona rozbrzmiewała marszowa muzyka. Był to *Badenweiler*, ulubiony marsz Führera. Po czym odezwał się kilkakrotnie naciskany klakson samochodowy.

Obudzeni w ten sposób mężczyźni nie okazali żadnego zdziwienia, zareagowali szybko i pewnie. Chociaż tej nocy spali nie dłużej niż trzy godziny, wstali ochoczo.

Gdy umilkły dźwięki muzyki i klaksonu, na korytarzu rozległ się donośny głos Raffaela:

— Heil Hitler, panowie! Jest szósta! Mamy dziś 2 maja 1933 roku. Śniadanie zaczyna się punktualnie o siódmej trzydzieści. Wkładamy ubranie numer pięć, wyjściowe. A do tego czasu gimnastyka i zabiegi toaletowe. Najmniej pół godziny ćwiczeń. Można oczywiście ćwiczyć dłużej.

Pierwszy wybiegł na dwór Norden w sportowym stroju, śnieżnobiałej koszulce i w nowych tenisówkach. Tuż za nim, depcząc mu niemal po piętach, biegł Hagen, ubrany tylko w kąpielówki. Zaraz za nim ukazali się Berner i Bergmann, obaj w lekkich ciemnoczerwonych dresach. Do tego oddziału dołączył także Raffael w biadoliła płaszczu kąpielowym z kanarkowożółtą chustą na szyi. Poranek był bardzo chłodny.

Pobiegli w podskokach za dom, do tylnej części ogrodu. Były tam zgromadzone różne przyrządy gimnastyczne: drążki, poręcze, drabinki, koń gimnastyczny. Na materacach leżały przygotowane hantle różnej wielkości, kule, kije do fechtunku, piłki do futbolu, szczypiorniaka i koszykówki.

Sobottke, występujący teraz w roli opiekuna sprzętu, stał sobie z tyłu. Oparty o mur, popijał swoją ranną kawę z wielkiego grubego biało-niebieskiego kubka, zajadając kawał świeżo wyjętego z pieca chleba.

Wesela nie było widać, ale czuwał nad wszystkim. Stał w niebieskim jedwabnym szlafroku przy drzwiach tarasu z lornetką w rękę. Nie musiał jej jednak używać. Miał dostatecznie ostry wzrok.

Norden w dość szybkim tempie okrążał biegiem park, urozmaicając sobie bieg skokami przez konia. Hagen zaś najpierw chwycił najcięższą sztangę, potem pchał kulę, wreszcie ujął młot i po paru obrotach rzucił nim na odległość ponad czterdziestu metrów. Berner i Bergmann niby to się bawiąc, rzucali w siebie piłką lekarską. Nie chwyтали jej jednak w ręce, ale przyjmowali ciskane z całą siłą piłki na klatkę piersiową.

Z pewnym opóźnieniem pokazał się wreszcie Siegfried, również ubrany w dres. Ćwiczył szybko z każdym przyrządem po kolei, żadnego nie pomijając, bez chwili odpoczynku, z całą żarliwością.

Jeszcze później pojawił się Hermann. Podciągnął się na drążku, a następnie rozhuśtał się i wykonał kilka przewrotów. Robił to z taką wprawą, że mógłby z pewnością stanąć w tej dyscyplinie do rywalizacji z zawodowymi gimnastykami i pewnie nie byłby bez szans w takich zawodach.

Zeznania niejakiej Berthy Brenner:

Zatrudniono mnie w willi Salomona jako kucharkę. Byłam wówczas bardzo młoda i, jak mówiono o mnie, bardzo pracowita. Uczyłam się wcześniej w Monachium u najlepszych kucharzy, przez jakiś czas nawet w „Schottenhamel-Hotel”. Zgłosiłam się po przeczytaniu ogłoszenia w „Münchner Zeitung”, że poszukuje się kucharki do pracy w ośrodku położonym nad jeziorem Starnberg. Zapewniony czas wolny, wysokie zaro-

bki. Wymagane wysokie kwalifikacje i dyskrecja. Miejsce wolne od zaraz. Pan Wesel osobiście sprawdził moje umiejętności i od razu mnie zaangażował.

Nie mieszkalam jednak w tej przebudowanej willi, ale na wsi. Po jakimś czasie przeniesiono mnie, jak i pozostałych pracowników, do willi stojącej naprzeciwko. Niekiedy kwaterowano tam również gości.

Moim zadaniem było codzienne przygotowanie dwóch posiłków — obiadu i kolacji — dla około dziesięciu, dwunastu osób. O menu decydował każdorazowo pan Wesel, czasem na trzy dni naprzód, a czasami na godzinę lub dwie przed wydawaniem posiłku. Kto należał do tego Okrągłego Stołu, jak pan Wesel nazywał to całe towarzystwo, tego nie wiem. Ja im tylko gotowałam. Obsługą zajmowali się przeważnie pan Raffael i panna Klara. Czasem także Sobottke.

Najbardziej denerwujące było to, że prawie nigdy nic nie odbywało się o określonym czasie. Godziny obiadów i kolacji podawano mi często w ostatniej chwili. Kolacje jadano zazwyczaj o ósmej wieczorem, ale nierzadko godzinę lub dwie wcześniej, ale czasem nawet o pięć godzin później.

Najgorzej bywało, kiedy panna Klara miała urlop. Musiałam wtedy przyrządzać śniadania. Tego już było dla mnie za wiele, było to bardzo męczące. A i te śniadania czasem bywały o siódmej, czasem dziewiątej, a czasem wcale śniadania nie było. Ci faceci albo spali wtedy do południa, albo w ogóle nie wracali na noc do domu. Co można było o tym myśleć? A co może wiedzieć kucharka?

Do pierwszego wspólnego śniadania z szóstką swych wybrańców Waldemar Wesel przyszedł ubrany w strój ludowy, lecz tym razem dolno-bawarsko-frankoński, a więc w spodnie z jeleniej skóry, ciemnozieloną myśliwską koszulę, a na niej szelki z szerokim zdobionym paskiem na piersiach.

Wesel wchodząc skłonił się swoim ludziom. Zerwali się z miejsc, okazując swoją gotowość do wykonywania rozka-

zów. Podobał mu się ten odruch. Lubił tego rodzaju reakcje.

— A więc, przyjaciele — powiedział — ponieważ zostaliście powołani do tego, by stanowić ekskluzywną grupę, elitę, musicie być świadomi, że żadna sytuacja nie może was zaskoczyć. Nie obowiązują już was prawa rządzące życiem zwyczajnych ludzi! Będą odtąd zdarzały się wam, przyjaciele, takie chwile, kiedy będziecie czuli się jak królowie, jak wszechwładni sędziowie, jak bezpośredni przedstawiciele naszego Führera. Ale też niewątpliwie przyjdą chwile, kiedy będziecie wystawieni na ciężkie próby, które pozwolą wam przetrwać jedynie duch walki. Jedno ściśle łączy się z drugim. I obie te strony waszego życia niosą obietnicę nagrody.

— Jakiej nagrody? — żywo zainteresował się Hagen.

Waldemar Wesel roześmiał się głośno.

— Życie pełną piersią, wspaniałe życie! Czekają was najlepsze warunki bytowe, najszybsze środki lokomocji, możliwość zdobycia najznakomitszego wykształcenia. A do tego pełna władza nad ludźmi niższych szczebli. Władza nad ich życiem i śmiercią! Jesteście na to gotowi?

— Tak, jesteśmy! — zawołał entuzjastycznie Hagen.

— Wobec tego możemy zasiąść do śniadania. — Wskazał ręką na masywny dębowy stół przy frontowej ścianie pokoju. Był cały zastawiony talerzami, półmiskami i salaterkami, wypełnionymi po brzegi różnymi smakołykami.

— Popatrzcie tylko, przyjaciele, przygotowano tu dla was najbardziej wyszukane przysmaki, jakie ma do zaoferowania współczesna Europa. Raffael wam to wszystko objaśni.

Wówczas Raffael skromnie stojący z tyłu za Weselem podszedł swoim tanecznym krokiem do stołu.

— Kraby dalekomorskie i kozi ser z Norwegii; śledzie szwedzkie — przyprawiane na różne sposoby; węgorz w galarecie, wędzony i marynowany z Danii; pieczone kielbaski; jaja na bekonie, przysmak londyński; salami wprost z Gar-dasse i mortadela bolońska, najlepsze specjały włoskie, a do tego dwanaście różnych gatunków francuskich serów.

— To wszystko, przyjaciele, i jeszcze znacznie więcej należy się nam z racji naszych funkcji — stwierdził Wesel,

teraz wracając do swojej roli Sturmbannführera. — Ale może się zdarzyć, że tego wszystkiego nie będzie. Musimy się więc do tego zawczasu przyzwyczajać. Zwalczać pokusy. Pokusy wszelkiego rodzaju. I zaczniemy natychmiast.

Kazał sprowadzić Klarę, która przygotowała to śniadanie. Zjawiła się natychmiast, spojrzała pytającym wzrokiem.

— Czy jeszcze coś podać?

— Sprzątnąć mi stąd to całe lukullusowe gówno! — zarządził Wesel. — Jeśli chodzi o mnie, to wszystko to może zeżreć personel, jeśli koniecznie chce, a jeżeli nie, to do śmieci!

— Rozkaz, panie Wesel! — powiedziała Klara, całkowicie niewzruszona. — Co jeszcze?

— Przynieś nam chleba. Zwykłego chłopskiego chleba. I ma być czerstwy. Co najmniej tygodniowy. Do tego podaj wiejskie masło, sól i cebulę. I wodę mineralną.

— I to wszystko, panie Wesel? — spytała Klara.

— Tak, wszystko! Przecież niczego więcej nam nie trzeba, moja droga.

Z późniejszych zeznań owej Klary, występującej w protokołach także jako Clara, niekiedy również jako Claire:

Nic takiego tam nie robiłam. Miałam po prostu dobrą pracę. Oficjalnie zostałam zatrudniona jako gospodyni domu. Musiałam dbać o utrzymanie willi w czystości.

Do grubszych robót przychodziły trzy razy w tygodniu miejscowe kobiety, które pracowały pod moim nadzorem. Ponadto moją sprawą były śniadania. Pracę zaczynałam zwykle około szóstej rano, a kończyłam zazwyczaj po obiedzie.

Wypraszam sobie wszelkie podejrzenia! Nie mieszkałam zresztą w tym domu. Nigdy tam nie nocowałam. Jestem obecnie szczęśliwą matką czworga dzieci, mam dobrego męża; pracuję w zarządzie miasta. Nie pozwolę, byście swymi niedorzecznymi podejrzeniami mieli zakłócić moje małżeństwo!

W każdym razie szef tego całego przedsięwzięcia, Wesel, którego czasem jego ludzie nazywali także Jowiszem, nie okazywał najmniejszego zainteresowania moją osobą. Miał swojego Raffaela. Może i niesłusznie go o to podejrzewam, w każdym razie na ich temat były różne plotki.

Dobrze się wtedy żyło temu Weselowi! Już sam apartament na parterze, który zajmował, to było coś! Najpierw pokój do rozmów, urządony surowo jak cela mnicha. Potem pokój do pracy czy też wypoczynkowy — cały na wysoki połysk, lakier i skóra. Ale jego sypialnia, to dopiero było чудо! Szejk arabski mógłby mieć taką! Ale co mnie to wszystko obchodziło?

Praca szła mi dobrze, nie była zresztą szczególnie ciężka. O górną część apartamentów prawie nigdy nie musiałam się troszczyć. Panowie sami o nie dbali. Każdy sam słał swoje łóżko; myli po sobie wanny i czyścili podłogi jak najlepsze sprzątaczk.

Czy zauważyłam coś szczególnego? Raczej nic takiego. Może tylko to, że nigdy nie wolno mi było samej przebywać w pewnych pomieszczeniach. Zresztą wszystkich nas obowiązywał pewien regulamin. Kiedy sprzątałam w którymś z pokoiów, drzwi musiały być zawsze szeroko otwarte. Nie wolno mi było robić porządków na biurkach i dotykać żadnych książek ani papierów. Jak już powiedziałam, specjalnie mnie to wszystko nie obchodziło. Aż pojawił się ten Norden. Owszem, on mnie interesował. A tymczasem okazało się, że ja się podobam Hagenowi.

Co ci dwaj z mojego powodu wyprawiali! Nie było to wcale takie bezpieczne! Ale ja byłam nawet z tego trochę dumna. Rozumie pan?

Godzina dziewiąta. Według planu zajęć: podstawy taktyki. Miejsce zajęć: S. III, czyli sala numer trzy. Chodziło tu, jak objaśnił Raffael, o pokój zwany biblioteką. Ta biblioteka — oprawne w skórę tomy ustawione na dębowych regałach — pozostała jeszcze po dawnym właścici-

cielu Salomonie, ale Wesel cały księgozbiór przejrzał i uporządkował, a więc oczyścił pod względem duchowym i uzupełnił o pożądane pozycje. W praktyce oznaczało to: precz z Heinem, a na jego miejsce Kolbenheyer, Zöberlein i Dietrich Eckart; Büchnera i Fontanę też usunął, Goethego zostawił, ale przesunął na górną półkę i upchnął gdzieś z boku.

Na centralnym miejscu całej ściany książek, w pełnym świetle, na wysokości oczu ustawiono *Mein Kampf* Hitlera, *Mit XX wieku* Rosenberga i świeżo wznowione dzieło Chamberlaina. A obok nich oczywiście dzieła Waldemara Wesela, oprawione w ciemnobrązową skórę. Każdego z tych ważnych dzieł było po sześć egzemplarzy.

Sam środek pomieszczenia zajmował ciężki stół dębowy, wokół niego ustawiono sześć krzeseł z wysokimi oparciami w staroniemieckim stylu, obitych cielecą skórą, ale nie wyściełanych. Przed każdym krzesłem na stole leżała płócienna teczka z czerpanym papierem, a obok trzy starannie zatemperowane ołówki o rozmaitej twardości grafitach.

— Potraktujcie, proszę, ten stół jako okrągły — zaprosił do niego Wesel swoich ludzi. — Co ma znaczyć, że zupełnie wszystko jedno, gdzie kto usiądzie. Nie ma tu miejsc lepszych i gorszych.

— A mnie razi światło, które pada mi z okna prosto w oczy. Norden ma lepsze miejsce.

— Jeżeli tylko chcesz — odpowiedział spieszenie Norden — chętnie się z tobą zamienię. Mnie światło nie przeszkadza. Nie jestem taki wrażliwy.

— Ja też — odparł krótko Hagen.

Wesel na to podniósł rękę do góry, jak policjant nakazujący zatrzymanie się kierowcy, który naruszył przepis.

— Wypraszam sobie tego rodzaju idiotyczne zaczepki, i to raz na zawsze. O tym, jaki tu panuje porządek, ja decyduję. A wy macie słuchać. Bez sprzeciwu i bez najlżejszych prób robienia sobie wzajem jakichś świństw! Jasne?

Tak, to było jasne. I nie trzeba było tego więcej powtarzać. Aż miło było patrzeć, jak szybko uczyła się ta szóstka młodych ludzi.

Waldemar Wesel odnotował to z zadowoleniem. Nagłym luchem zwrócił się do drzwi biblioteki, które w tej samej chwili otwały się od zewnątrz.

— Komisarz Müller — powiedział Wesel krótko.

Do sali wkroczył mężczyzna o znacznej tuszy. Ważył chyba za sto kilogramów, może nawet więcej. Miał wygląd nieco zmęczony, ale niezwykle sympatyczny.

Od pierwszej chwili cała szóstka przezwiała go Hipopotamem. Początkowo traktowali go z lekka żartobliwie, a później — i to bardzo szybko — z coraz bardziej rosnącym respektem. Spotkali bowiem swego wielkiego mistrza i nauczyciela.

Notatka informacyjna kapitana Scotta, oficera wywiadu amerykańskiego na temat prowadzonego przez niego śledztwa:

Dość trudno było rozszyfrować, jakie funkcje miała do spełnienia Grupa Wesela, z którą później zetknąłem się służbowo. Jednak, jak mi się wydaje szybko się zorientowałem, że tak wielkie napięcie zbrodniczości mogło powstać tylko tam, gdzie się spotyka i wzajem wzmacnia kilka czynników: upojenie władzą, instynkt niszczycielski i bezwzględność.

Wesel zgromadził wokół siebie prawdziwie piekielną bandę osobników ze zbrodniczymi skłonnościami i systematycznie ich przygotowywał do morderstw. To, co się później dokonało w Oświęcimiu, było tylko tego naturalnym skutkiem.

Aby usprawnić tę ponurą sześciuosobową szajkę, Wesel kazał im przejść odpowiednie elitarne przeszkolenie. Zatrudnił przy tym najlepszych fachowców we wszystkich dziedzinach. Wśród nich pojawia się człowiek, ustalenie tożsamości którego okazuje się szczególnie trudne. Człowiek ten prawdopodobnie nazywa się po prostu Müller.

Ludzi o tym nazwisku — jeśli to w ogóle jest jego prawdziwe nazwisko — jest w Niemczech bez liku. Także wśród

członków SS figuruje pod tym nazwiskiem wiele osób, jak na przykład ów Müller ze Stuttgartu, specjalista od podpalania synagog, albo ten Müller z drewnianą nogą z Hannoveru, straszliwy śledczy, którego przesłuchania mało kto wytrzymał. Szczególnym okazem przedstawicieli tego czarnego cechu był też pewien Müller z Gestapo, szef departamentu w Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, genialny kryminolog, a zarazem jeden z najstraszliwszych zbrodniarzy swego czasu.

Czy ów Müller z Feldafig i późniejszy Müller z Gestapo to jedna i ta sama osoba — nie udało się jednoznacznie stwierdzić. Ale sądzę, że jest to możliwe.

Człowiek o nazwisku Müller, sapiąc nieco, wszedł do sali i zatrzymał się tuż przy drzwiach, przyglądając się uważnie ludziom wybranym przez Wesela. Oni też patrzyli na niego z ciekawością. Stał tak przez dłuższą chwilę w dość szerokim rozkroku. Jego masywny korpus przywodził na myśl japońskiego zapaśnika. Wymownie spojrzął na Wesela i Raffaela. Na ten znak obaj wyszli z sali.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, nowo przybyły zapytał łagodnym głosem:

— Kto spośród was jest najlepszym strzelcem?

— Chyba ja — bez wahania odezwał się Hagen. — Trafiam w ponad dziewięćdziesięciu procentach. I to zarówno z prawej, jak i z lewej ręki.

— Ja też tak strzelam. Ale bez tych artystycznych sztuczek. I tylko z prawej ręki.

— Kto jeszcze może się pochwalić?

— Ja trafiam — zgłosił się Siegfried — z odległości od trzydziestu do pięćdziesięciu metrów w sam środek zegara na każdej wieży kościelnej.

— Następnie zgłosili się „bracia syjamscy”, Berner i Bergmann. Müller uważnie im się przyglądał, gdy zapewniali:

— My jesteśmy specjalistami od walki wręcz. Broń palną, jakiej używamy, przykładą się prawie bezpośrednio do celu.

Müller z wznoszącym zainteresowaniem spoglądał teraz na swoich uczniów. Powoli podszedł do stołu i usiadł na krześle Wesela, składając ręce na brzuchu.

— Jaką bronią panowie się dotychczas posługiwali?

— Pistoletami — odpowiedzieli jednocześnie niemal wszyscy. — Tylko pistoletami o standardowym kalibrze. Takimi, jakie są dostępne na rynku.

— To, panowie — stwierdził Müller z pogardliwą miną — wszystko gówno. Wyrzućcie te wasze pukawki. Nawet do rąk nie bierzciej tej całej sklepowej broni. Odtąd to ma być waszą regułą. A czy kto mi powie, dlaczego?

Zgłosił się Norden:

— Chyba dlatego, panie komisarzu, że chodzi tu o łuski po wystrzelonych nabojach. Rozpryskują się dokoła i stanowią potem pierwszorzędny dowód rzeczowy. Czy o to chodzi?

— Dokładnie o to! — potwierdził Müller i na chwilę przytknął oczy. — Ale najpierw powiem wam coś innego. Proszę uprzejmie nie nazywać mnie komisarzem. Nazywam się Müller. I niech wam nie przychodzi do głowy nazywać mnie Grubasem ani Żarłokiem. Jeszcze parę lat temu byłem chudy jak szczapa, ale wtedy piłem. A teraz nie mogę sobie na to pozwolić, żeby się pokazać w otoczeniu Führera po kieliszku. Więc jem dużo słodczy. Ale co to was może obchodzić? No nie? Pilnujcie lepiej własnego nosa!

Patrzyli na niego ze zdziwieniem, ale i z szacunkiem. Niektórzy uśmiechali się współczująco.

Müller uśmiechnął się także, lecz raczej ponuro.

— Ale nie zbaczajmy z tematu. Pistolety już dla was nie istnieją. Co więc praktycznie wynika z takiego stwierdzenia?

— Używanie rewolwerów! — teraz mógł się popisać Hagen. Tylko na to czekał, nie spuszczać z oka ani Müllera, ani Nordena. — Rewolwer nie wyrzuca łuski, tylko ją zatrzymuje. Ale my nie mamy rewolwerów.

— A właśnie że macie — rzucił obojętnie Müller. — Wystarałem się o nie dla was.

— Amerykański model, panie Müller?

— Na razie ten jest najlepszy. Macie do swojej dyspozycji dwanaście sztuk. Sześć do bezpośredniego użytku, sześć jako rezerwa. I do tego kilka skrzyń amunicji.

— A kiedy, panie Müller, będziemy mogli sobie z nich postrzelać?

— Jeśli o mnie chodzi, to choćby zaraz. Te rewolwery leżą już przygotowane w magazynie broni w piwnicy. Jesteście gotowi?

Zeznanie Sebastiana Caspara, ówczesnego ogrodnika. w Feldafig, obecnie na emeryturze:

To byli wspaniali chłopcy! Zawsze uśmiechnięci i weseli. Wprawdzie beztrąsko traktowali moje starannie wypielęgnowane trawniki, ale i tak nie udało im się ich zdeptać lub zniszczyć. Muszę powiedzieć, że nie niszczyli kwiatów. Nie było ich wiele, ale były to wspaniałe okazy róż. Same czerwone, we wszystkich odcieniach. Pan Wesel też bardzo dbał o te róże, sam je osobiście przycinał. Tym młodym ludziom nie było wolno nawet się do nich zbliżać. A nieraz wariowali w ogrodzie jak dzikusy. Myślałem wtedy: Nawet ciebie nie widzą, dla nich po prostu nie istniejesz. Ale to mi nie przeszkadzało.

Zły tylko byłem, kiedy ten mój wypielęgnowany ogród zamieniali w poligon do ćwiczeń. Nie mogę przy tym nic złego powiedzieć o panu Weselu. Był zawsze wobec mnie bardzo uprzejmy. W przeciwieństwie do tego grubasa, pana Müllera. Kiedy urządzał strzelanie w ogrodzie do ruchomego celu, diabeł w niego wstępował.

Mało mu było treningów w piwnicy, gdzie urządzone strzelnicę, musiał jeszcze zmieniać w poligon mój ogród! Na nie zważał, na mnie także. A przecież byłem tam. A Müller tylko rzucał rozkazy: „Norden, w tę małą gałąź gruszy na prawo, w sam czubek!” A potem trrach! Albo:

„Siegfried, w czwartą butelkę z lewej! Znowu trrach! Potem: „Hagen, trzy strzały w stojące pod murem widły, w sam koniec trzonka!”. Trach, trach, trach!

Mój Boże, panie kapitanie, jak te chłopaki strzelały! Jak szatany! I to z dnia na dzień lepiej. Początkowo bałem się, że mnie postrzelą. Ale pan Wesel wołał do mnie: „Nie bój się, Caspar!” A swoim ludziom mówił: „Gdyby kto z was skrzywdził naszego drogiego Caspara albo, nie daj Boże, tknął moje róże, temu osobiście rozpruję dupę na pół!” Taki był pan Wesel!

Powoli więc się do tego przyzwyczaiłem. A potem nawet kiedy kule gwizdały mi koło ucha, już się nie bałem. Robiłem swoje. Byłem zupełnie pewny, że oni trafiają tam, gdzie chcą trafić. A we mnie nie chcieli.

Któregoś z pierwszych dni po przybyciu szóstki pojawiła się w willi Salomona pani Hermine Franke. Była to zarazem istna Junona i typowa reprezentantka typu germańskiego, wesola, hałaśliwa i absolutnie zdecydowana, że wkroczy na naszą scenę jako opiekunka chłopców. Raffael nie mógł jej się pozbyć. Była w końcu żoną Reichsleitiera. Wesel musiał ją przyjąć.

Odbyło się to w holu willi Salomona. Hermine Franke, tym razem ubrana na niebiesko ze stalowym odcieniem, podeszła z władczą miną do Wesela. Ten próżno próbował się od niej odsunąć. Na powitanie objęła go za szyję. Mógł tylko się uśmiechać.

— Ach, jaki pan niedobry! — zawołała zalotnie. — Tak mnie pan unika! A może pan się mnie boi?

— Ależ dlaczego miałbym się bać? — zapewnił ją, próbując przyjąć jej ton, ale nie wyszło to zbyt przekonująco. Próbował się od niej odsunąć i ukryć za wielkim fotelem.

— A jakże się miewa pani małżonek, mój szanowny przyjaciel?

— Prawdopodobnie świetnie — powiedziała Hermine, siadając na samym środku wielkiej, pokrytej skórą kanapy.

I z prawej, i z lewej strony nie zostało zbyt wiele miejsca. Zapraszającym gestem zaprosiła wciąż kryjącego się Wesela, by usiadł przy niej. — Mój mąż kazał pana pozdrowić.

— Dziękuję. Proszę mu także przekazać ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia. Mam nadzieję, że nie ma nic przeciwko temu, że pani mnie tu odwiedza.

— Wręcz przeciwnie, drogi towarzyszu partyjny Wesel! — Hermine Franke *patrzyła* na niego, jakby wiele *sobie* obiecywała po tym spotkaniu. — Właśnie wczoraj dzwoniłam do męża i rozmawiałam z nim prawie godzinę. Chociaż on jest tak bardzo zajęty! I powiedziałam mu: Nie mogę tak tu siedzieć. Muszę się czymś zająć. Jak współczesna niemiecka kobieta. A on mi powiedział: Zgoda!

— Ale chyba nie tutaj? — zatroskał się Wesel. — Ależ szanowna pani! Mogłoby to doprowadzić do pewnych nieporozumień. Pani szanowny małżonek i ja należymy, by tak rzec, do najbliższego otoczenia Führera!

— Ależ ja od pana, drogi Wesel, niczego nie chcę! — Rozesmiała się i spojrzała mu prosto w oczy. — Ja tylko pragnę, i jest to całkowicie po myśli mego męża, w tych wielkich wspaniałych czasach nie stać na uboczu! A więc chcę pomóc na swój sposób, z moimi możliwościami, właśnie jako niemiecka kobieta. Chcę przyczynić się do wytworzenia harmonijnego nastroju.

— Tutaj? — zapytał Wesel broniąc się przed tym pomysłem. — Jak to sobie pani wyobraża?

— Zebrał tu pan wokół siebie takich sympatycznych młodych ludzi. Na pewno zasługują na to, by się nimi troskliwie i czule opiekować. I właśnie tym chciałabym się zająć.

— Pani? — Nawet takiego Wesela nawiedzały czasem plagi. I oto właśnie go dotknęła. — A więc pani by chciała?....

W tym momencie Hermine Franke rozchyliła swoje kolana do granic, jakie stawiała ciasno opięta spódnica; kusząco — ale nie dla Wesela.

— Mogłabym dla pana podopiecznych — ciągnęła ochoczo — urządzać miłe wieczorki przy kawie, pokazać im piękną okolicę, pozwolić im spędzać miłe godziny. Czy by im to się nie przydało?

— Niewątpliwie — zapewnił pospiesznie Wesel. — Przy jakiejś okazji, niewątpliwie. — Odprowadzając ją do drzwi prawil jej uprzejmości i powtarzał: — Jestem bardzo zobowiązany łaskawej pani. Umiem ocenić jej gotowość. Dam znać.

— Ale możliwie szybko? — zapytała z nadzieją w głosie.

Skinął jej głową i przekazał ją Raffaelowi, by ten odprowadził gościa do bramy. Raffael pożegnał ją, całując w rękę, co przyjęła z lekkim chichotem.

— Panują tu jeszcze dobre obyczaje — wykrzyknęła.

Raffael ukłonił się i pospiesznie poszedł do Wesela. Zastał go siedzącego w holu, jakby wyprutego z sił. Na jego widok Wesel niemal z krzykiem zażądał szampana.

— Co za straszliwa baba! — powiedział. — I do tego taka niemiecka. To znaczy, ona sama ma się za taką niemiecką. Że też coś takiego jest żoną Reichsleitera!

— Musimy coś z tym zrobić!

— Ano musimy! — Wesel odzyskał swój spokój i zdecydowanie. — Czy sądzisz, że pozwolę tej krowie rozwalić moją tu robotę? Tylko dlatego, że to babsko tylko węszy okazji, żeby się pod kimś położyć. Pod naszymi chłopcami! Moje plany szkolenia tego nie przewidują!

Był taki jeden dzień w tygodniu, który wprawiał hożą, pogodną Klarę w pewne zakłopotanie. Był to tak zwany dzień odpoczynku, który jednak nie przypadał regularnie, lecz co pewien czas, na przykład w soboty czy niedziele, ale wyznaczał go według własnej woli sam Wesel, nigdy nie zapowiadając go z góry. Dzień taki zaczynał się w ten sposób, że Raffael na pobudkę zamiast zazwyczaj nadawanego marsza puszczał płytę z wiedeńskimi walcami Johanna Straussa. Miał taką płytę w wykonaniu Marka Webera, a ten był nie tylko Żydem, ale w dodatku Żydem polskiego pochodzenia. Ale nikt tu o tym nie wiedział. A może nie chciał wiedzieć.

Tak się zaczynało „wielkie leniuchowanie”. A mogło ono trwać nawet do wczesnych godzin popołudniowych, tak

długo, jak długo Wesel uznawał to za właściwe. W takie dni pocziwa, oddana Klara miała pełne ręce roboty. Nie podawano wtedy wspólnego śniadania w jadalni, ale musiała wtedy obsłużyć całą szóstkę — każdego oddzielnie. Najmniej kłopotów sprawiali Berner i Bergmann w pokojach trzy i cztery. Im wystarczała jedna taca, leżeli zwykle obok siebie w jednym ze swoich łóżek.

Niekłopotliwy był również Hermann, w pokoju numer jeden. Kiedy nie musiał wstawać, spał twardo dalej. Klara musiała wstawić do jego apartamentu tylko butelkę wody mineralnej.

Siegfrieda, rezydującego w dwójce, już trudniej było obsłużyć. Ten bez żenady żądał zawsze na śniadanie czegoś specjalnego, na przykład smażonych cynaderek albo wędzonego sera. Oczywiście zawsze dostawał wszystko, czego chciał.

Ze szczególnym upodobaniem, od pierwszego dnia jego pobytu w willi, Klara obsługiwała Nordena. Wszystko w nim się jej podobało: jego wytworne zachowanie, ujmująca uprzejmość, skromność. Kiedy do niego wchodziła, był już ogolony i uczesany, i siedział na swoim łóżku przykryty po szyję.

— Czy ma pan jakieś szczególne życzenie, panie Norden? — zapytała go, pochylając się nieco nad nim. — Niech pan tylko powie.

— Ależ w żadnym razie, panno Klaro! Nie mam specjalnych życzeń.

— A mógłby pan mieć, panie Norden! — spojrzała na niego zachęcająco. — I to pod każdym względem. Mam coś dla pana...

— Cieszę się, nawet bardzo — powiedział Norden z lekką rezerwą. — Jestem uszczęśliwiony, panno Klaro. Ale mogłoby to wywołać pewne komplikacje, nieprawda? Należy ich raczej unikać.

— Skąd ta fałszywa skromność? — Klara usiadła na łóżku, opierając się o jego biodro. — W tym domu, jak zawsze powtarza pan Wesel, każdy może robić, co mu się podoba. Dosłownie wszystko, poza tym, co dotyczy służby.

W tym momencie do apartamentu Nordena wtargnął Hagen. Pchnął przymknięte tylko drzwi i zjawił się w jego pokoju. Stał w rozkroku i krzyknął:

— Do diabła! Gdzie moje śniadanie? Jestem głodny jak wilk!

— Zaraz przyniosę — zawołała Klara, zrywając się z łóżka.

— Nie myśl — zwrócił się Hagen do Nordena szczerząc zęby w niby uśmiechu — że chciałem ci przeszkodzić. To nie leży w mojej naturze. Gdybym widział, Klaro, że jesteś w łóżku Nordena, pod nim czy nad nim, to bym się dyskretnie wycofał. Ale wy tu sobie tylko siedzicie. Właściwie dlaczego? On nie chce czy nie może?

— Wypraszam sobie! — krzyknął Norden wściekły. — Nie próbuj ze mną zadzierać. Nie radzę!

— Chciałbym wreszcie udowodnić, który z nas ma więcej do zaferowania. Właśnie ze względu na Klarę. Ty ją możesz sobie trzymać za rączkę. Ale ja mogę, jeśli tylko ona zechce, zaproponować znacznie więcej. Mocne uderzenie! Które na pewno jej dogodzi!

— Wynoś się, ty świni! — krzyknął Norden.

— Wynoszę się. I to razem z Klarą, jeśli ona zechce. A dlaczego miałyby nie chcieć?

Klara wyprostowała się dumnie.

— Ani myślę — powiedziała ostrym głosem — dać się tu wykorzystać. Sama sobą rozporządzam. I idę do łóżka, z kim chcę. — Po czym dumnym krokiem wyszła z pokoju.

— Jeszcze ją dopadnę — stwierdził Hagen, odprowadzając ją wzrokiem. A do Nordena powiedział:

— Ja ją rozłożę, i to na twoich oczach. Założymy się?

— To się jeszcze okaże, Hagen, kto kogo rozłoży!

Podczas kolejnych ćwiczeń na strzelnicy — teraz już z użyciem amerykańskich rewolwerów — odnotowano wiele niezwykłych wyczynów. I oto z odległości dwudziestu pięciu metrów, przy kiepskim oświetleniu, o zmierzchu. Tarcza przedstawiała człowieka

naturalnej wielkości. Każdy z szóstki miał oddać trzy strzały.

Norden umieścił swoje trzy naboje w okolicy serca figury. Berner i Bergmann oddali swoje szybkie strzały tuż pod stopy. — Nauczmy faceta tańczyć! — Siegfried przestrzelił figurze oba kolana i łokieć. — Nie będzie się mógł ruszać!

— Herman wypalił w miejsce, gdzie mieściłyby się genitalia ofiary. Hagen trafił między obydwójce oczu, a trzeci strzał oddał w czoło.

Müller skąpo chwalił, ale było widać, że jest dość zadowolony. Uznał, że ludzie robią szybkie postępy, przynajmniej w tej dziedzinie, w jednym z dziesięciu czy dwunastu przedmiotów, w których się ich szkoli. Muszą się jeszcze mnóstwa rzeczy nauczyć. — Ale czas nagli — mówił Wesel, który chciał nareszcie oglądać czyny.

— A więc, panowie — zawołał Müller do swoich uczniów — postrzeliliście faceta, ten pada, drga jeszcze przez chwilę, wreszcie odwała kitę. Tymczasem wszystko w porządku. Ale co dalej?

— Potem trzeba wiać — natychmiast, jak zwykle, zareagował Hagen.

— Z bronią w ręku? — zapytał Norden.

— A po co są kieszenie?

— No a co z odciskami palców?

Norden i Hagen prowadzili teraz szybki słowny pojedynek. Müller przysłuchiwał się mu z współprzymkniętymi oczami.

— Tylko tak dalej!

— Odciski palców trzeba zetrzeć, na przykład chustką do nosa.

— Ale chustkę można w tym pośpiechu zgubić i może się ona stać dowodem rzeczowym. Przy badaniu śliny można ustalić grupę krwi.

— Dostyc tej amatorszczyzny! — Müller energicznie przerwał tę walkę skaczących do oczu kogutów, choć nieźle się nią ubawił. — Przy wszelkich waszych poczynaniach nie wolno wam zostawiać żadnych odcisków palców. Co w praktyce oznacza, że musicie się nauczyć nawet najbardziej precyzyjną robotę wykonywać w rękawiczkach. Także

strzelać w rękawiczkach, co wcale nie jest takie łatwe, jak się może wydawać. Ale będziemy to ćwiczyć. Ćwiczyć i ćwiczyć, i ćwiczyć, aż flaki wyrzycacie.

I dalej Müller objaśniał:

— Kiedy się już pozna najważniejsze reguły taktyki kryminalistycznej, choćby tylko z grubsza, można sobie na niejedno pozwolić. Nawet dać się złapać na gorącym uczynku. Jednego tylko nie wolno: dostarczyć dającego się wykorzystać, a więc wartościowego, całkiem bezpośredniego materiału dowodowego, czyli poszlak. A jak tego najpewniej uniknąć, dowiecie się **na** następnej lekcji.

Notatki ze śledztwa prowadzonego przez kapitana Scotta po 1945 roku:

Mimo moich usilnych starań o wyjaśnienie roli i znaczenia Grupy Wesela, wielu spraw nie udało się dotąd rozstrzygnąć. Bardzo wielu. Na przykład sprawy tego człowieka w piwnicy. Nie udało się dotąd ustalić, a przynajmniej nie do końca, kim był ten człowiek. Wiadomo tylko, że był to już starszy pan, który przebywał w zamkniętym pomieszczeniu w tylnej części piwnicy, obok spizarni i składu na wino.

Kluczami do tych pomieszczeń dysponował wyłącznie Wesel. Niekiedy dawał je Raffaelowi, czasem Müllerowi. Choć według zeznań Sobottke Müller dysponował stale kluczem zapasowym, być może, dorobionym.

Tego człowieka z piwnicy widywano bardzo rzadko, tylko z daleka i o zmroku. Wtedy przechadzał się po ogrodzie, drobnym ostrożnym krokiem. Nikt mu nie przeszkadzał, a zapewne także nie pilnował.

Głos tego człowieka brzmiał łagodnie i spokojnie, zwłaszcza w rozmowach z Müllerem, który mu dość często towarzyszył. Müller mówił temu człowiekowi po imieniu, co trudno sobie wytłumaczyć.

I znów muszę sobie zadać pytanie: Co w owym czasie było w Niemczech niemożliwe? Czy w ogóle cokolwiek mogło się okazać niemożliwe?

Hermine Franke, żona *Reichsleiters*, która mieszkała dokładnie naprzeciwko *Willi Salomona*, raz po raz próbowała nawiązać kontakt, dodajmy: kontakt męsko-damski, z wybrańcami *Wesela*. Nie było łatwo udaremnić jej próby.

Hermine nie dawała za wygraną. Wciąż usiłowała dodzwonić się do *Wesela*, *Raffael* jednak skutecznie go przed tym chronił.

Wielokrotnie też próbowała dostać się do *Willi*, ale zgodnie z rozkazem bardzo uprzejmie odprawiano ją od bramy. Któregoś dnia jednak udało jej się dopaść *Wesela*, gdy ten zamierzał przespacerować się po wsi.

Znalazł się przed nią, ledwie ogrodnik zdążył zamknąć za nim bramę. Wykrzywił twarz w czymś na podobieństwo uśmiechu i oddał jej niemieckie pozdrowienie. Energicznie, ale w milczeniu.

Głos *Hermine Franke* drżał z oburzenia.

— Co to ma znaczyć, towarzyszu partyjny *Wesel*? Nie chce pan powierzyć mi swoich chłopców?

— Ależ nie, wcale nie... ale...

— Nie radziłabym panu — stwierdziła *Hermine Franke*. — Zwłaszcza że mój mąż wyraźnie mi polecił: rób tam coś dla nas! Chce mnie pan od tego odwieść?

— Jestem jak najdalszy od tego — stwierdził *Wesel* nieco już udęczony.

— To niech mi pan tego dowiedzie. Właśnie jutro zamierzam wydać kolację z racji urodzin mojego męża. Przyjdzie pan ze swoimi ludźmi?

Wesel dołożył wszelkich starań, by nie wyjść z równowagi. On, który potrafił stawić czoło *Bogu* i światu, który umiał sprostać wymaganiom samego *Führera*, miałby sobie nie poradzić z tą *Walkirią*?

— Szanowna pani Franke — powiedział — powierzono nam tutaj zadanie specjalne, jesteśmy tu więc zajęci od rana do wieczora.

— Wiem to od mojego męża — wykrzyknęła. — I właśnie dlatego chciałabym współdziałać z wami. A więc przyjdziecie, prawda?

— No dobrze, pani Franke. Skoro pani tak nalega, to czemu nie? — ustąpił wreszcie Wesel. — A więc jutro na kolację. Zgoda. Niestety nie będziemy mogli przyjść wszyscy. Przyślę pani dwóch moich najlepszych chłopaków. Na pewno będzie pani bardzo zadowolona. Naszych dwóch kolegów: Bernera i Bergmanna.

— No dobrze — zgodziła się Hermine Franke. — Zawsze to będzie jakiś początek!

Po powrocie ze swojej pierwszej wizyty u Hermine Franke jeszcze tej samej nocy, Berner i Bergmann złożyli z niej raport.

Wesel słuchał z całą uwagą. Jego oczy migotały kocim błaskiem.

Berner: Cóż to za babsztyl, Sturmbannführer! Ale podejmowała nas po królewsku! A potem nas wprost zagadła, coś o poczuciu pełni życia, o nowej obyczajowości, o prawdziwej wolności i temu podobne dyrdymały! A potrzasała przy tym swymi cyckami, a wierciła tyłkiem! Aż mnie zemdlilo!

Bergmann: Próbowwała się nawet do nas przyciskać, obejmować za szyję — wszelkich czułości. Zgodnie z zaleceniem pozwalaliśmy na to wszystko. W każdym razie do ostatecznego kontaktu nie doszło. Ale jej zamiary są całkiem jednoznaczne. Ona tylko marzy, żeby się pod nami rozłożyć!

— Rozłożyć się, powiadasz? — zapytał Wesel, popadając nagle w zamyślenie.

— Tak się mówi, szefie, kiedy baba koniecznie chce z kimś iść do łóżka. Ale przecież nie z nami!

Wesel: Coś oczywiście miałem na myśli, kiedy właśnie wam dwóm powierzyłem to zadanie. Ostatecznie nie po to tu jesteśmy, aby zadowalać żony wyższych funkcjonariuszy partyjnych. A tylko wy z całej grupy byliście najmniej zagrożeni. Będziecie zatem dalej rozgrywali ten mecz, a kiedy wam dam znać, strzelicie gola!

Przez ten czas — powiedział Waldemar Wesel pewnego pięknego dnia — udało się nam trochę wzajemnie poznać. I muszę przyznać, że początek jest wielce obiecujący. Ale jest to tylko początek. Musimy teraz pójść dalej. To znaczy, skończyły się piękne czasy strzelaniny i indiańskich podchodów. Wyślę was teraz do jednego z przedsionków piekła naszego bytowania. Jest pełne lato. Czas, kiedy odpady, trupy i świeża krew cuchną szczególnie mocno. I musicie do tego przywyknąć. Stworzę wam po temu warunki. Oto mój plan na najbliższy czas:

I krótko oznajmił:

Pierwszy tydzień: zatrudnienie przy wywozie śmieci, praca na wysypiskach i oczyszczalniach.

— A więc zetkniecie się z ogromnym nagromadzeniem gnijących odpadów, które nie może w was zabić zrozumienia dla wyższych wartości.

Drugi tydzień: Praktyczne studium anatomii, praca przy sekcjach zwłok.

— Przecież śmierć, przyjaciele, jest nieuniknionym etapem naszego życia. Musimy się nauczyć traktować ją jako coś zupełnie naturalnego.

Trzeci tydzień: Praca w rzeźni przy uboju zwierząt.

— Człowiek musi do tego przywyknąć, by móc patrzeć na krew, nawet jeśli płynie strumieniami. Ale, uwaga: to krew pośledniego gatunku. Tak jak pewne grupy ludzkie mają krew pośledniego gatunku. Pomyślcie o tym! A potem — dorzucił Wesel — będziecie wiedzieli więcej. O sobie samych, o naszych zadaniach, o tym, czego musicie dokończyć w służbie naszego Führera!

Tak więc — pomijawszy pewne drobne komplikacje — udało się im i to opanovać.

Siegfried mógł spokojnie patrzeć na krew, nawet w dużej ilości, ale nie znosił jej zapachu.

Hermann odczuwał odrazę do ścieków. Widok ekskrementów pobudzał go do wymiotów, ale jednak nie rzygał. Berner i Bergmann próbowali czasem się wykręcić od zajęć w prosektorium.

Norden usiłował przy tych wszystkich zajęciach nie przejawiać najłżejszych wzruszeń. Wykonywał nałożone na siebie prace niemal z radosnym zapałem. Tylko raz, trzeciego dnia zajęć w rzeźni, kiedy musiał wepchnąć nóż w cicho beczące jagniątko, zbladł i stracił panowanie nad sobą. Ale po chwili mu to przeszło.

Co do Hageny, to ten starał się wręcz ostentacyjnie demonstrować swoją absolutną nieczułość na te wszystkie cuchnące i ociekające krwią doświadczenia. Gorliwie przegarniał szuflę fekalia, wyciągał jelita z martwych ciał, prznosił trupy jak paczki. Piątego dnia pracy w rzeźni przekroczył wszystkie dotychczasowe normy uboju, i to aż o piętnaście procent.

Pewnego dnia jednak nawet Hagen o mało nie zwymiotował. Kiedy mu jego koledzy, chyba Berner i Bergmann, włożyli dla kawału do zupy kawałek obciętego członka męskiego.

Mimo to jednak Waldemar Wesel mógł odczuwać satysfakcję i radośnie odnotować: świetna koncentracja, znakomite opanowanie, widoczna gorliwość przy wykonywaniu nawet tak skrajnie wstrętnych zadań. Jego system funkcjonował.

— W ten sposób — oznajmił swoim ludziom — znów przeszliśmy znaczący odcinek uciążliwej drogi do naszego celu. Wyrażam wam moje szczególne uznanie. Mogę jedno powiedzieć: nie zawiodłem się na was! A jednak, przyjaciele, najcięższe próby są jeszcze przed wami. Dowiedcie się o nich już w najbliższych dniach. Muszę jednak przedtem usunąć z naszej drogi pewną przeszkodę, która mogłaby nam zawadzać.

Waldemar Wesel poleciał do Berlina specjalnym samolotem oddanym mu do dyspozycji przez Kancelarię Rzeszy. Uprzednio poprosił telefonicznie o możliwość spotkania się z Reichsleiterem Frankem. Jego służbowy wóz, czarny mercedes, czekał na niego na lotnisku Tempelhof.

Niespełna godzinę później siedzieli naprzeciw siebie w biurze Frankego: skóra, dąb, wschodnie dywany, prawie puste regały, stos akt. Na ścianie za biurkiem Adolf Hitler, olej na płótnie.

Franke, typ o bulwiastej, dobrodusznie wyglądającej gębie, ale o czujnych oczkach handlarza bydła, był w partii potężną osobistością. Odpowiadał za politykę kadrową, miał ogromne wpływy na związane z nią finanse. Cieszył się, jak mówiono, nieograniczonym zaufaniem Hitlera. Należało więc się z nim liczyć.

— Dowiedziałem się, mój drogi — informował Wesela — o twoich specjalnych zadaniach, które niewątpliwie pociągną za sobą niemałe koszty. Zawsze znajdziesz u mnie pełną pomoc. A więc?

— O tym, mój drogi, może porozmawiamy kiedy indziej. Obecnie mam całkiem inne problemy. Niestety dotyczą one ciebie prywatnie.

— Masz na myśli moją żonę? — Franke roześmiał się rubasznie. — Jak ciebie znam, to jesteś dokładnie poinformowany co jest z naszym małżeństwem.

— Tak mniej więcej — odpowiedział Wesel, mrugając oczyma.

— Widzisz, poślubiłem ją przed kilku laty w chwili słabości, kiedy jeszcze byłem małym urzędnikiem. — Reichs-leiter mówił o tym całkiem bez skrępowania; wiedział że wobec Wesela może sobie na to pozwolić. — Ale od tego czasu, jak to się mówi, nasze drogi się rozeszły. Nie odpowiada już moim potrzebom.

— Mówi się coś niecoś o tym. Jedna z twoich sekretarek ma już z tobą dwoje dzieci.

Franke roześmiał się, szczerze ubawiony.

— Nie jesteś zbyt dobrze poinformowany, przyjacielu. To były dwie sekretarki i każdej z nich zrobiłem po jednym

dziecku. A obecnie jestem związany z pewną prawdziwą damą z najlepszego towarzystwa. I u niej zapowiadają się pewne skutki naszego stosunku.

— Gratuluję — rzekł Wesel z uznaniem. — W związku z tym nie weźmiesz mi chyba za złe, jeśli nieco przykrócę fatalne zapędy twojej małżonki. Przysparza mnie i moim ludziom mnóstwo kłopotów.

— Co ty powiesz? — Twarz Frankego rozbłysła radosnym oczekiwaniem. — Ona stwarza kłopoty? Właśnie tobie? I to takie, z którymi nie umiesz sobie poradzić? Czy to możliwe? Führer niedawno powiedział w pewnym zaufanym gronie: „Jeżeli kto potrafi to tylko Wesel!”

Wesel uśmiechnął się do Frankego.

— Jeżeli mam jakieś kłopoty, to dlatego, że nie chodzi tu o jakąś tam kobietę, ale o żonę Reichsleitera.

— Nie należy nigdy zapominać, przyjacielu Wesel, że dla nas zawsze najważniejsze są nasze zadania i nasza odpowiedzialność przed narodem. Przypadkowo spotkana kobieta jest sprawą drugorzędną. Powinieneś także przy tym się dowiedzieć, że chciałyby dziecko, którego oczekuję z wybraną przeze mnie panią, dać moje nazwisko. Czy mówię wyraźnie?

— Całkowicie — potwierdził Wesel, obmyślając dalszy ciąg zdarzeń. — Chciałbym cię przy okazji prosić o pewną grzeczność. Gdyby się przypadkiem opróżnił dom twojej małżonki w Feldafing, który jest położony tuż naprzeciwko mojej posiadłości, to chętnie bym go przejął dla naszej organizacji. Dla personelu, wykładowców, gości, pracowników, ewentualnie dozorców. Wtedy nareszcie nikt by nam nie przeszkadzał w naszej willi. Jest to dla mnie ważna sprawa.

— Zgoda! — zapewnił Reichsleiter. — Jeżeli dom będzie kiedyś wolny, będzie twój. Wykupimy go dla ciebie z naszych funduszy specjalnych.

Wszystko więc poszło jak po maśle. Wesel zęgnął się ze swoim gospodarzem pełen wdzięczności i przyjacielskich uczuć. Uściskali sobie ręce nader serdecznie.

Ale gdy Wesel już stał przy drzwiach opuszczając gabinet, Franke, stojąc za biurkiem, zwrócił się jeszcze do niego poufałym tonem:

— Cos mi się jeszcze przypomniało, Waldemarze. Moja żona, o którą tak bardzo się troszczę, ma pewną słabość. Całkiem osobliwą: lubi się kąpać w jeziorze nocą i to najchętniej całkiem nago. Nieraz ją przed tym przestrzegałem, mam na to świadków. Ale ona nic sobie z tego nie robi.

Mężczyzna z piwnicy ujawnił swoje istnienie wobec Grupy Wesela następnego dnia po zakończeniu przez nich szkolenia przy śmieciach, trupach i uboju zwierząt. Nie obyło się to jednak bez dokładnego przygotowania. Ostatecznie wszystko tu było — a więc także i to — starannie zaplanowane.

Ale Wesel tak zaraz nie wypuścił swego kota — czy raczej kocura — z worka. Zaprosił do siebie Müllera, czyli Hipopotama, i zapytał go:

— Czy on tam jest?

— Tak — odparł Müller.

— Czy należy się obawiać jakichś komplikacji?

— To zależy, z czyjej strony, Sturmbannführer.

Müller oparł się całym swym masywnym cielskiem o drzwi, za którymi zapewne stał ów „człowiek z piwnicy”, i zapytał nieufnie:

— Czy nie byłoby lepiej, panie Wesel, gdybyśmy go zostawili tam, gdzie był dotąd, to jest w piwnicy?

— Co to znaczy lepiej lub gorzej? Nie należy się uginać przed niczym, co może doprowadzić do pożądanego celu. Przejdźmy więc do rzeczy, panie Müller! Proszę, niech pan wyjaśni naszym przyjaciółom szczególną rolę tego człowieka.

Müller przedstawił rzecz nader lapidarnie, obserwując przy tym uważnie reakcję grupy:

— Chciałbym panom przedstawić niejakiego pana Breslauera. Profesora doktora Breslauera, psychologa, lekarza i filozofa. Jego specjalnym zadaniem będzie przygotowanie panów intelektualnie do przyszłych zadań. Za pomocą argumentów przeciwko temu wszystkiemu, co my tu przedstawiamy.

— On stoi na tak zwanych antypodach naszej wiedzy i naszego jestestwa — wyjaśnił żywo Wesel. — Właśnie dlatego go wyszukałem i tu sprowadziłem. Będzie to dla was wyzwanie duchowe. Spróbujcie, przyjaciele, go pokonać!

Na to Müller powolnym ruchem otworzył za sobą drzwi. Nie patrzył na nikogo. Chyba nawet zamknął oczy.

Do pokoju wszedł żywym krokiem lekko przygarbiony, niewysoki, ujmujący mężczyzna. Spojrzał w jasne światło. Na jego pofałdowanej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Jego włosy połyskiwały srebrzyscie, spod wółprzymk-niętych powiek spoglądały żywe, błyszczące oczy.

— To Żyd! — wyrwało się Hagenowi. — To Żyd, jeśli się nie mylę.

— Nie myli się pan — potwierdził Wesel.

— A jak on się tu znalazł?

— Tak jak księżyc przy słońcu, noc przy dniu, upał przy mrozie.

— Żyd wśród nas?

— Macie się z nim rozprawić! — nakazał Wesel. — I to gruntownie i przekonująco!

— Mamy dyskutować z Żydem?

— Macie tu do czynienia z przeciwnym biegunem tego, co stanowi naszą istotę — wyjaśnił Wesel. — Powinniście go zwalczyć. Wysłuchajcie jego argumentów, spróbujcie na nie odpowiedzieć, logicznie się im przeciwstawić, sprowadzić jego pogląd na świat do absurdu. Dopiero kiedy to się wam uda, będziecie w pełni wolni. Wolni i zdolni do wszystkiego!

4. Wielkie dni przed czarną robotą

Czego tylko zażądał Wesel od swoich ludzi, wykonywali. I wszystko, co im nakazał, miało swój sens. Nie znaczyło to jednak, by od czasu do czasu nie natrafiał na przeszkody. Wśród nich także na takie, które sam sobie stworzył. Należał do nich bez wątpienia ów „człowiek z piwnicy”.

Prowadzenie z nim nieustannych sporów nie było bynajmniej dla ludzi z Grupy Wesela takie proste. A już szczególnie dla Nordena. Wszystko w nim, zapewniał wielokrotnie, wprost się jeżyło przeciwko „temu człowiekowi”.

— Właśnie to — odpowiadał ze znużeniem Sturmbannführer — chciałem osiągnąć.

Ścierali się z nim często w następnych tygodniach i miesiącach, ale z zaplanowaną przez Wesela nieregularnością. Czasem trzy do pięciu razy w tygodniu, potem przez cały tydzień nie spotykali go wcale. Odbываły się owe spotkania o przeróżnych porach dnia; czasem rano, najczęściej późnym popołudniem, niekiedy nawet w środku nocy. Dyskusje te, oznaczone w planie jako „wykłady S”, przy czym owo S oznaczało semityzm, odbywały się zazwyczaj w sali kominkowej, czyli w holu na parterze. Breslauer stał wtedy, oparty o ścianę, podczas gdy cała grupa, zachowując wyraźnie podkreślaną odległość od niego, rozsiadała się w fotelach. Prócz nich prawie zawsze przy tych zajęciach obecny był Müller, który, jak się zdawało, nieustannie czuwał nad tym Żydem. Znacznie rzadziej pojawiał się Wesel. Zarówno szef, jak i Hipopotam wstrzymywali się od wszelkich komentarzy. Tylko się przysłuchiwali i wszystko rejestrowali, uważnie się każdemu przypatrując.

„Człowiekowi z piwnicy" dano najwyraźniej wolną rękę co do sposobu, w jaki prowadził swoje zajęcia. Tak czy inaczej, Wesel osiągał zamierzony cel. Chciał świadomie prowokować swoich ludzi, powodować ich duchowe reakcje, utrwałać w nich szybko rosnące poczucie wyższości. I w pełni mu się to udawało.

„Człowiek z piwnicy": Panowie mówią o rasie. Proszę powiedzieć, co panowie rozumieją pod tym pojęciem.

Siegfried: Każdy człowiek należy do jakiejś rasy. Jest mu ona przyrodzona. Jest sprawą jego losu.

„Człowiek z piwnicy": Ale istnieją przecież ludzie, będący mieszańcami, należącymi do dwóch ras, a do tego mamy jeszcze całą masę mieszańców wielorasowych, u niektórych występują niekiedy jedynie dalekie wpływy przymieszki rasowej. Jak się panowie chcą w tym zorientować?

Hermann: A po co w ogóle mamy się w tym orientować? Jedno jest dla nas pewne, a mianowicie to: mieszańcy nie są czyści. I my nie chcemy mieć z nimi nic do czynienia. Dla nas decydującą sprawą jest nie zafalszowana czystość rasowa.

Hagen: A także przy wyraźnie rozpoznawalnej rasie należy też rozróżnić, czy jest to rasa wyższa, czy poślednia, jak na przykład rasa aryjska i semicka.

„Człowiek z piwnicy": Czy pan jest całkiem pewien, że się pan nie myli? Czyż nie może tak być, że w ramach jednej rasy istnieją obok siebie, mniej więcej w równych proporcjach, jednostki mniej i bardziej wartościowe?

Norden: Jednak rasa aryjsko-germańska, rasa, do której należy nasz Führer...

„Człowiek z piwnicy": Pozwoli pan, że zapytam, po czym właściwie u tego pana można rozpoznać, że należy do rasy aryjskiej czy zgoła germańskiej?

Takie nierzadko zdarzające się momenty wymagały od uczestników tych rozmów nie lada opanowania, co zresztą starannie obserwował zarówno Müller, jak i Wesel. Ludzie szybko, jak się wkrótce mieli o tym przekonać, przerastali duchowo samych siebie. Wreszcie wydało im się, że przejrżeli, o co tu chodzi. Ulegli pokusie uznania „tego Żyda" za opłacanego prowokatora, który ma ich systematycznie podjudzać, za rodzaj gadatliwego pięknoducha, którego

dni, czego byli niemal pewni, są policzone. I zaczęli sami siebie pytać, któremu z nich ma przypaść w udziale ostateczne rozprawienie się z tym człowiekiem.

Na ochotnika w tej sprawie zgłosił się Hagen. Przede wszystkim, by nie dać się ubiec Nordenowi. Niespodziewanie jednak Wesel sprzeciwił się temu pomysłowi. Nie bez znaczenia przy tym było, że działo się to w obecności Müllera.

— Tego rodzaju decyzje — wyjaśnił Wesel — należą jedynie do mnie. Jeżeli uznam coś takiego za słuszne, to oczywiście was o tym powiadomię. Tymczasem jednak wiele brakuje, żeby wam pozwolić pozbyć się tego podczłowieka. Musicie się jeszcze wiele nauczyć. Prawda, panie Müller?

A ten dodał:

— Naszych chłopców wciąż pociąga zabawa w Indian. Jak im się kto nie podoba, zaraz by go skalpowali. Po prostu jeszcze nie zrozumieli, że tutaj chodzi o zupełnie inne rzeczy.

Wholu na parterze, popijając wodę mineralną z kostkami lodu doprawioną lekko brytyjskim dżinem, siedzieli Wesel i Müller. Wokół panowała cisza.

Służba już przed paru godzinami opuściła willę. Panowie już spali, przynajmniej czterech z nich. Dwóch jeszcze brakowało: Bernera i Bergmanna. Znowu pani Franke zaprosiła ich na kolację.

I właśnie na nich czekali cierpliwie Wesel z Müllerem.

Nie musieli czekać jednak zbyt długo. Berner i Bergmann wkrótce się pojawili, w swoich wizytowych garniturach, lekko zawiani i bardzo zadowoleni. Zatrzymali się przed Weselem i Müllerem. Müller spojrział na zegarek. Było jedenaście minut po północy.

— No i co? — zapytał Wesel.

— Szeffie — zameldował Bergmann, nie mrugnąwszy nawet okiem — wydarzył się straszny wypadek! Nic nie mogliśmy zrobić. Po prostu tak się stało!

. — Ale chyba nic się nie przytrafiło szanownej pani Franke?

— Właśnie jej! — wyjaśnił pospiesznie Berner. — Utonęła na naszych oczach podczas kąpeli. Chcieliśmy ją ratować, ale poszła na dno jak kamień. Nic już się nie dało zrobić!

— To straszne! — zawołał Wesel, niemal wstrząśnięty. I na tym samym oddechu dodał: — Ale wy dwaj nie mieliście z tym nic wspólnego? Prawda?

— Tak jest, szefie! — zapewnił Bergmann, patrząc na Bernera. Tamten potwierdził skinieniem głowy. — Zupełnie przypadkiem znaleźliśmy się w pobliżu. Tylko my, na pewno nie było nikogo innego. Ale my jesteśmy absolutnie niewinni.

— Jestem o tym zupełnie przekonany! — Wesel popatrzył z zaufaniem na swoich ludzi. — Nie mogę jednak pozwolić, aby najmniejszy cień podejrzenia padł na naszą organizację. Zadbam sam o to. Jak by się to dało jednoznacznie wyjaśnić, panie Müller?

— To się zobaczy — powiedział Müller ciężko sapiąc i pociągnął duży łyk brytyjskiego dżinu, by następnie sypnąć gradem pytań, żądając szybkich, spójnych odpowiedzi. Najbliższy kwadrans należał wyłącznie do niego.

Müller: Czy da się określić dokładnie godzinę śmierci pani Franke?

Berner: Prawie co do minuty: pół godziny przed północą.

Müller: Czy są możliwe na zwłokach jakieś ślady obrażeń czy skaleczenia? Może od zbyt mocnego uchwytu albo też od uderzenia jakimś ostrym przedmiotem?

Bergmann: Nie, nic takiego. Myśmy tylko przed zanurzeniem się jej nogi...

Müller, przerywając mu błyskawicznie: No, dobra! Gdzie są teraz zwłoki?

Berner: Dokładnie tam, gdzie utonęła. Co, mieliśmy ją może ciągnąć na brzeg?

Müller posapując kiwnął głową.

— Tegoście się przynajmniej ode mnie nauczyli. Znalazienie zwłok w innym miejscu niż miejsce zgonu wzbudza automatycznie podejrzenie! Ale dalej! Kiedy skończyliście kolację, a właściwie deser i kawę? A dlaczego o to pytam?

Bergmann: Bo przy sekcji zwłok można dokładnie co do minuty określić, kiedy zmarły przyjął ostatni posiłek. Ale nie dotyczy to alkoholu.

— W porządku — stwierdził Müller. — A więc kiedy?

— Zaraz po dziesiątej.

— Dobrze — powiedział Müller i spojrzał pytająco na Wesela.
— I co z tego wynika?

A Waldemar Wesel odpowiedział:

— Tego wieczoru siedziałem tutaj i czytałem książkę Führera. Kiedy wrócili Berner i Bergmann, spojrzałem na zegarek. Było dwadzieścia po dziesiątej. Tak było, Berner i Bergmann?

— Właśnie tak, szefie! Co do minuty!

— To mogę potwierdzić — powiedział Wesel. — A także człowiek, który Bernerowi i Bergmannowi otwierał bramę, a także Raffael. To chyba musi wystarczyć, prawda?

— Tak, wystarczy — stwierdził Müller. — Tak więc nikt z nas nie miał nic wspólnego z nieszczęśliwym wypadkiem szanownej pani Franke, który wydarzył się godzinę później. Gdyby zaś któryś nadgorliwy policjant twierdził coś innego, na pewno mu się nie poszczęści.

Wesel zaakceptował tę wersję. Byłoby absurdem wyobrazić sobie, że ktokolwiek by się odważył twierdzić, że małżonka Reichsleiters z najbliższego otoczenia Führera miałyby się kąpać nago w obecności dwóch młodych mężczyzn!

— Kto by śmiał to podejrzewać?

I nikt nie podejrzewał. Oficjalnie stwierdzono: Śmierć na skutek utonięcia. Pożalowania godny nieszczęśliwy wypadek.

Urządzono pani Franke piękny, uroczysty pogrzeb. Zaraz za trumną szli w głębokiej żałobie Martin Franke i Waldemar Wesel. Cała ceremonia miała charakter nader odświętny. Przy bramie cmentarza trumnę ze zwłokami pani Franke powitały grom-

kie werble reprezentacyjnej orkiestry SA. Dalej niesiono ją między szpalerem utworzonym z oddziałów SS. Przed trumną niezliczone wieńce. Między nimi wieniec od samego Führera.

Berner i Bergmann poprosili o zaszczyt niesienia trumny ze zwłokami zmarłej i dostąpili go. Niebo zasnuły chmury.

Reichsleiter Franke wyglądał nader godnie, a przynajmniej można powiedzieć, że był po męsku opanowany. Przedstawiał obraz dumnej żałoby. Skinął głową swojemu przyjacielowi Weselowi.

— Wszystko w porządku. Jesteś pewny?

— Całkowicie — potwierdził Wesel pogrążony w żałobnej zadumie. Patrzył, jak trumna znika w grobie. Jego spojrzenie złagodniało. Na twarzach Bemera i Bergmanna załśniły nawet łzy. A zaczęło właśnie siąpić z nieba, co przyczyniło się jeszcze do spotęgowania żałobnej atmosfery.

Wesel mówił dalej do świeżego wdowca:

— Robimy niezaprzeczalne postępy. Co chyba sam możesz stwierdzić. Zawsze szybka obsługa! Czego więcej chcemy? My z najbliższego kręgu wtajemniczonych? Bo mnie to jeszcze nie wystarcza.

Ze zbioru sentencji Waldemara Wesela:

O rozkazie i jego świadomym wykonywaniu

Wykonywać rozkazy potrafi niewielu. Ci, którzy są posłuszni, oddani, pełni wiary. A to jest już dużo. Ale wykonywać rozkazy z przekonaniem umieją jeszcze mniej liczni. Przekonanie ma tylko ten, kto czuje się powołany, w kim płonie święty wewnętrzny ogień. Tacy ludzie stanowią przyboczny hufiec ludzi wielkich.

Jednak umieć wykonywać rozkazy w pełni świadomie, a zarazem bezbłędnie to dar dany zaledwie garstce. Tym, którzy potrafią połączyć wiarę z wewnętrznym przekonaniem i wiedzą. Oni są strażnikami Graala i rycerzami Graala

w swojej lodowatozimnej jak lawa, stanowczości. I do takiego celu należy dążyć.

Akcja pierwsza: sadzenie drzew. Któregoś dnia Wesel zaprowadził swoją grupę do ogrodu na tyłach domu. Tam Sobottke przygotował do posadzenia sześć różanych drzewek. Miały około metra wysokości, zdrowe, rozrośnięte korzenie, a także już ulistnione korony, na nich widniały już nabrzmiałe jedwabiste białe pączki kwiatów. Obok stało sześć łopat, wbitych w ziemię.

— A więc, ludzie, do roboty! — zarządził Wesel.

Cała szóstka z zapalem wzięła się do kopania dołów o głębokości i szerokości osiemdziesięciu centymetrów, aby posadzić w nich drzewka. Wyglądało to jak zawody sportowe w kopaniu dołów. Hagen wykonał swoje zadanie w piętnaście minut, o kilka sekund przed Nordenem.

Po dwudziestu minutach Wesel zarządził:

— A teraz sadzicie drzewka. Przy czym posadzicie je kopną do dołu, a korzeniami do góry. Jasne?

Baczenie, czujnie obserwował reakcję swoich ludzi. Z satysfakcją stwierdził: zaskoczenie trwało trzy, cztery sekundy. A potem wykonali nakazaną pracę. Nikt się nie zawahał. Po następnych dziesięciu minutach sterczały korzenie drzewek różanych metr nad ziemią.

Kolejna akcja: palenie książek.

Na podwórzu za domem, to jest willą w Feldafig, koło śmietnika Sobottke rozpałił duże ognisko z gałęzi drzew, pniaków i resztek niepotrzebnych mebli.

Był pogodny, choć nieco mglisty, chłodny dzień późnej jesieni. Ziemia była już nieco zmarznięta, więc widok we-

soło trzaskającego ognia ucieszył młodych ludzi. Szef Wesel przerwał im lekcję angielskiego i wyciągnął na dwór. Tam siedzieli sobie — w zgodzie z hasłem mistrza: „Wygoda ułatwia życie i naukę” — lekko i luźno ubrani, tu zaś stali na podwórzu w temperaturze około zera i w północnych podmuchach wiatru. Przysuwali się więc do ognia i wyciągali ręce do płomieni.

Tuż obok ustawiono stół cały załadowany stosami książek. Przy nim stał Wesel, ciepło ubrany w gruby tyrolski płaszcz. Z przyjacielskim uśmiechem zawołał:

— Dzisiejsze nasze zajęcia będą się odbywały pod hasłem: palenie książek. Pierwszy raz odbyło się to 10 maja 1933 roku w Berlinie pod osobistym nadzorem doktora Goebbelsa. Stało się to świętem ludowym. Tam jednak palono książki spontanicznie, bez szczególnego wyboru. My jednak będziemy to robić bardziej metodycznie.

To, co teraz nastąpiło, wyglądało niewinnie w porównaniu z tamtą imprezą.

Wesel rzucił swoim ludziom książki jedną po drugiej, a oni bez ociągania rzucali je w ogień, który wkrótce pięknie się rozpałił, dając miłe ciepło. Nikomu nie przeszkadzał wydzielający się przy tym swąd i smród.

Tak więc płomienie ogarnęły książki Ericha Marii Remar-que'a, „zdrajcy towarzyszy frontowych”, oraz Ludwiga Renna i Arnolda Zweiga, dwóch „pozbawionych charakteru bolszewickich pacyfistów”. Za nimi poszli Kurt Tucholsky i Erich Kastner, „zwyrodniałe świntuchy”. Dalej rzędem Thomas i Heinrich Manno wie, „kontemplujący jedynie swoje burżuazyjne pępki”; Lion Feuchtwanger i Stefan Zweig: „dupy srające kulturą”; Jakob Wassermann, Franz Werfel i Alfred Döblin — „obrotni ekshibicjoniści”, prawie wszyscy Amerykanie, obojętne, czy w oczach Wesela wyglądali na plutokratów czy socjalistów: Dreiser, Lewis, Sinclair i Dos Passos, „dekadencka kupa gówna”.

Teraz Wesel rzucił Hermannowi książkę Alfreda Rosenberga, Reichsleitera, pod tytułem *Mythus des XX fahrhunderts — Mit XX wieku*. Dzieło to uchodziło za biblię narodowego socjalizmu, głoszącą nadejście „nowego człowieka”.

— Do ognia? — chcąc się upewnić, że to nie pomyłka, zapytał Hermann. — To rozkaz?

Wesel tylko skinął, krótko, ale wyraźnie. Temu Rosenbergowi udało się jakoś, dzięki różnym nieporozumieniom, a także manipulacjom, przepchnąć do przodu. A przy tym ta jego książka, zdaniem Wesela, to tylko same banały i wypociny nędznego dziennikarstwa. Obok niej jego własne *Maksymy* dostarczały najczystsze poznanie.

Tak więc i *Mit* Rosenberga wylądował w płomieniach.

Waldemar Wesel nie rozpatrywał zbyt długo tego zdarzenia. Chwycił następną książkę i rzucił ją Hagenowi. Tym razem były to jego *Maksymy*, specjalne wydanie, oprawne w skórę, z tytułem tłoczonym złotem. Hagen zerknął na nią tylko i rzucił ją w ogień.

— Pali pan moją książkę? — zapytał Wesel nieco zdziwiony. — Tak bez wahania? Dlaczego?

— Ponieważ pan tak rozkazał! — Hagen był zupełnie pewien swojej słuszności, próbował jednak bliżej wyjaśnić Weselowi swoje rozumowanie: — Przecież to pana książka. I może pan z nią zrobić, albo nam kazać zrobić, co się tylko panu podoba.

Ale tego, co sobie zawsze czujny Hagen naprawdę pomyślał w tej chwili, oczywiście nie powiedział. Jeżeli można wrzucić do ognia Rosenberga, to czemu nie Wesela?

— Dobrze — potwierdził Wesel dość ostrym tonem. — Tak ma być! To, co ja rozkażę, ma być wykonane. Bezzwłocznie i bezwarunkowo!

Następnie, jakby umyślnie zwolnionym ruchem, podał następny tom Nordenowi. Ten go wziął, spojrzął i się przeraził. Była to książka Hitlera *Mein Kampf*. W ciągu paru sekund potem powiedział:

— Nie!

— A dlaczego nie? — zapytał Wesel.

— Po pierwsze, Sturmabführer, nie wydał mi pan żadnego wyraźnego rozkazu. Pan mi tylko podał tę książkę. A po drugie, nie wolno wydać rozkazu zniszczenia właśnie tej książki. Na pewno podlegamy panu pod każdym względem i nikomu innemu nie jesteśmy winni posłuszeństwa. Z jednym wszakże wyjątkiem, samego Führera.

— I co z tego wynika, Norden?

— Gdyby mi Führer osobiście rozkazał spalić tę książkę, zrobiłbym to. Ale tylko wtedy. W żadnym innym przypadku.

— Świetnie! — przytaknął mu Wesel. — Tak właśnie powinno być. Niech pan weźmie tę książkę, Norden, należy do pana. I może się zdarzyć, że któregoś pięknego dnia sam Führer napisze na niej swoją osobistą dedykację dla pana.

Znaleziono tę dedykację niemal czterdzieści lat później w spuściźnie po Heinzu-Hermannie Nordenie w Lugano. Brzmiała ona: „Mojemu wiernemu towarzyszowi walki i oddanemu współpracownikowi z serdecznym uściskiem dłoni we wspólnym oczekiwaniu naszej wielkiej niemieckiej przyszłości”.

Pod tym najpierw stromo się wznoszący, jakby pnący do nieba, a potem gwałtownie spadający jakby w absolutną nicość, podpis. Szczyt i dno zarazem. Podpis głoszący: Adolf Hitler.

Wkrótce potem odbyło się kolejne spotkanie szkoleniowe, w obecności Müllera, komisarza policji kryminalnej.

„Człowiek z piwnicy” stał w pobliżu drzwi, jak zawsze w pewnej odległości od swoich słuchaczy. Ręce splótł przed sobą, nie patrzył na nikogo i rozpoczął swoje zajęcia cichym, lecz dźwięcznym głosem:

— Użyliście, panowie, niedawno pojęcia, które nie wydaje mi się zbyt jasne. Chodzi o pełnowartościowość. Chciałbym wiedzieć, co panowie rozumieją, mówiąc, że ktoś jest pełnowartościowy.

Siegfried: Oznacza to dość dokładnie coś, czym pan jako Żyd nie jest i nigdy być nie może.

Tu wmieszał się do rozmowy Müller, który z zasady nigdy tego nie robił:

— Bardzo proszę, panowie. Bądźcie tak uprzejmi i trzy macie się zasad. Żadnych wycieczek osobistych. Tylko i wyłącznie rzeczowe argumenty!

Mogło się wydawać, że „człowiek z piwnicy” ćwiczy się w cierpliwości. Próbował posługiwać się argumentami, jakby miał przed sobą uważnych, żądnych wiedzy, może tylko trochę nieufnych słuchaczy. Do takich przywykł przez dziesiątki lat swojej pracy jako profesor uniwersytecki.

Zaliczał do swoich przyjaciół Alberta Einsteina. Żył w zażyłych stosunkach z Thomasem Mannem i odwiedzał go w Monachium. Korespondował z pierwszym prezydentem niemieckiej republiki Ebertem. A teraz stał przed nimi.

— Od niepamiętnych czasów zawsze uważano, że 0 podstawowych różnicach między ludźmi decyduje czynnik społeczny. Tak jak między panami a niewolnikami, chrześcijanami a poganami, Rzymianami a resztą świata. I nie tylko między ludźmi, także między systemami uzbrojenia, cechami rzemieślniczymi, a także poglądami. Mia rodajny był przy tym zawsze pogląd ówczesnych sił rządzących. ,

Tu wtrącił się Hermann: A czy nie grało tu roli rozstrzygające prawo natury, mianowicie prawo mocniejszego, lepszego, bardziej stanowczego?

„Człowiek z piwnicy”: Ktokolwiek uzyskuje przewagę na podstawie siły, uzyskuje ją tylko przejściowo. W historii nic nie trwa wiecznie.

Hagen: Ale będzie wiecznie trwała Rzesza naszego Führera! Tak czy nie?

„Człowiek z piwnicy”: Najdłuższy znany z historii czas trwania imperium wynosi w bardzo rzadkich przypadkach dwieście lat, w zupełnie wyjątkowych trzysta. Proklamowana przez Hitlera Tysiącletnia Rzesza jest całkowicie nie do pomyślenia! To nie tylko całkowicie wątpliwa utopia, to zupełny historyczny bezsens.

Hagen: Pan, panie Breslauer, wyraźnie me pojał, co oznacza Hitler dla ludzkości! Ile lat pan nam daje? Mam na myśli: naszemu Führerowi?

„Człowiek z piwnicy”: Może dziesięć, najwyżej dwanaście?

— A dlaczego?

— Ponieważ wszystko na to wskazuje, że następna wojna światowa jest nieunikniona. Z samymi Niemcami mógłby Hitler zabawiać się do upodobania jeszcze sto lat. Ale on nie jest sam na świecie ani jego naród. Samo jego istnienie stanowi wyzwanie dla świata. I świat to wyzwanie przyjmie. A to będzie oznaczało jego koniec.

W dniu oficjalnego przejęcia przez Wesela domu po pani Franke — a było to w pewną słoneczną niedzielę — pojawił się w Feldafig osobiście sam Reichsleiter.

— Nie mogłem sobie odmówić przyjemności, drogi przyjacielu Wesel, wyrażenia przy tej okazji tobie i twoim wspinałym ludziom mojej serdecznej sympatii. Chciałem osobiście być świadkiem przechodzenia tej posiadłości w twoje troskliwe ręce.

— Martin, drogi przyjacielu — odpowiedział Wesel otoczony szóstką swoich ludzi — dziękujemy ci! Za twoje serdeczne zrozumienie, za twoje wspinałomyślne poparcie, za tak wyraźnie przejawiany związek z nami, z wiernymi ludźmi naszego Führera.

Podali sobie ręce. Wiedzieli, co ich łączy. Przeszli razem, ramię w ramię, z willi Wesela wąską dróżką do byłej willi pani Franke. Tam nastąpiło oficjalne przekazanie domu nowemu urzędowemu właścicielowi połączone ze swego rodzaju poświęceniem.

Przyjacielskie uczucia Reichsleiter a były ze wszech miar usprawiedliwione. Po śmierci Hermine znów był wolny. Sprzedaż domu przyniosła mu niemały dochód. A w końcu mógł z całą pewnością liczyć na przyjaciół Wesela, który

— tak zresztą jak on sam — należał do najbliższego otoczenia Führera.

Dom pani Franke — przed niespełna rokiem otrzymany niemal za bezcen po pewnym zamordowanym wrogu Rzeszy — stanowił wręcz uzupełnienie willi Wesela. Mógł służyć przede wszystkim jako idylliczny przytulny hotelik dla doborowej kadry wykładowców i dla wyższych funkcjonariuszy partyjnych, przyjeżdżających tu czasem do Wesela, ale także jako wspaniałe pomieszczenie dla całego personelu pomocniczego; dla Sobottkego, kucharki, Klary i pozostałych.

— Sprawiłoby mi przyjemność — powiedział Reichsleiter — gdyby zachowała się tu jakaś pamięć o mojej żonie.

— Ależ oczywiście! — zapewnił gorąco Wesel. — Moglibyśmy ten cały zespół nazwać jej imieniem. A także wmurować odpowiednią tablicę. Czy to by ci odpowiadało, Martin?

— Dziękuję ci, Waldemarze — odpowiedział prawie wrzuszony. — Twoje zrozumienie pomaga mi ukoić ból po tej stracie. Jesteś niezrównanym przyjacielem. I dlatego pozwoliłem sobie zrobić prezent tobie i twoim ludziom. Znajduje się na brzegu jeziora, na przystani.

Stała tam łódź motorowa, wielka i lśniąca, błyszcząca w słońcu chromowym wystrojem i brązowym lakierem pokrywającym drewno. Ze specjalnym wyposażeniem i silnikiem z rolls-royce'a. Zapewne najpiękniejsza i najsprawniejsza łódź na całym jeziorze.

— Coś wspaniałego — wykrzyknął na jej widok Waldemar Wesel. Jego ludzie, stojący wokół nie mogli wyjść z podziwu.

— Właśnie czegoś takiego nam tu brakowało! Czy ta łódź ma już swoją nazwę?

— Pozwoliłem sobie nadać jej imię — powiedział Franke uroczyście. Kazałem je umieścić na dziobie, tam gdzie należy, wypisane złotymi literami. Mam nadzieję, Waldemarze, że się zgodzisz.

Imię to brzmiało: Hermine. Przyglądali się temu napisowi w milczeniu. Nawet Wesel zamilkł na chwilę.

Wyjaśnienia złożone w San Francisco w Kalifornii przez mister Bernda Breslauera, agenta handlu nieruchomościami:

Iak, zgadza się. Profesor Breslauer był moim stryjem. Do roku 1933 mieszkał w Monachium w skromnym dwupokojowym mieszkaniu, przepelnionym książkami.

Mieszkał sam. Jego żona zmarła na raka w 1930 roku. Był uznanym międzynarodowym autorytetem w dziedzinie freudyzmu, szczególnie freudowskiej metody nauczania. Było to zaszczytne, ale zbyt bogato z tego żyć się nie dawało.

W pierwszych dniach lutego 1933 roku został aresztowany. „Prawdopodobnie — zdążył mi przekazać w rozmowie telefonicznej — znalazłem się na jakiejś liście”. Przez ponad rok nie mieliśmy o nim żadnej wiadomości. Ale w 1934 roku otrzymał pozwolenie na wyjazd i zjawił się u nas. Miał przy sobie tylko małą zniszczoną walizeczkę, w której było trochę bielizny. Ani jednej książki.

Oczywiście przyjęliśmy znakomitego członka rodziny z otwartymi ramionami, zamieszkał u nas. Po kilku dniach przyszła depesza od Alberta Einsteina: „Przeżyłeś! Cieszę się razem z tobą. Kiedy przyjedziesz?”

Stryj Breslauer zaszył się w dwóch pokojach na poddaszu, któreśmy dla niego urządzili. Ale nie po to, by tam coś studiować czy pisać, po prostu siedział tam i rozmyślał. Prawie się nie odzywał. Robiło to na nas przygnębiające wrażenie. Potem się jednak okazało, że coś tam robił, pracował dla swego przyjaciela Alberta Einsteina.

Od czasu do czasu wychodził na spacer, ale zasadniczo unikał wtedy ludzi. Tylko bardzo rzadko pojawiał się u nas na dole. Uśmiechał się tylko wtedy, gdy patrzył na naszą córkę Ruth, która miała wtedy dziesięć lat. Uczył ją gry w szachy, dziś gra po mistrzowsku.

Pewnego razu zapytałem go: Stryju, co oni z tobą zrobili?

Odpowiedział wtedy, a pamiętam każde jego słowo: „Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, ale próbuję ją znaleźć. Nie umiem powiedzieć, czy mam się bać, czy żyć nadzieją. Tylko jedno wydaje się pewne: już bym nie żył, gdyby się

nie pojawił pewien człowiek, który się nazywa Müller. Ale jednocześnie często zadaję sobie pytanie, czy nie byłoby może lepiej, gdybym tego człowieka nigdy nie spotkał. Ale to także jest pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć". Jednak to, co dla nas najbardziej niepojęte, miało dopiero się zdarzyć. Otóż po mniej więcej rocznym pobycie u nas stryj zdecydował pewnego dnia, że wraca do Europy. Zaklinaliśmy go, by tego nie robił. A on spakował swoją walizeczkę, trochę bielizny. Żadnej książki. Nie wiem, co się z nim później stało.

Mój drogi! — powiedział Müller do Żyda Breslauera w piwnicy willi Wesela. W jego głosie brzmiała troska i ostrzeżenie. —Wiesz, jak cię lubię i cenię. Ale powiem ci, że czasem pozwalasz sobie na sformułowania bardzo niebezpieczne. Dla ciebie! Po co wywołujesz wilka z lasu?

— Czy moje zadanie nie na tym właśnie polega, aby tych ludzi nieustannie prowokować, a zarazem przyuczać do myślenia? Czyż tego nie robię?

— Robisz, robisz! Wbijasz im te swoje argumenty jak młotkiem w ich mózgownice, aż trzeszczą w szwach. Co mnie osobiście niezmiernie bawi, ale to jednak jest całkiem daremnym trudem. W te łby nic nie przesiąknie. Powstrzymaj się więc. Bądź ostrożny i spróbuj się pohamować w swoich zapędach.

Breslauer spojrział pobłażliwie na Müllera.

— To, że tu jestem, zawdzięczam wyłącznie tobie. Ty mnie tu sprowadziłeś. Dlaczego?

— Z trzech powodów. Po pierwsze, gdybyś nie był tutaj, posadziliby cię w jakimś obozie koncentracyjnym, i tam byś przy swoim stanie zdrowia szybko wyciągnął nogi. Po drugie, stanowisz jakby przeciwny biegun tego całego politycznego cyrku, jaki tu się wytworzył, bo ty wierzysz jeszcze w wyższość rozumu, i to nawet w tych czasach. A po trzecie, kto musi się w tym wszystkim ubabrać, tak jak ja, powinien

się jakoś ubezpieczyć. Musi się postarać o wiarygodnego świadka obrony, najlepiej o sławnego Żyda. I właśnie ściągnąłem sobie tutaj takiego Żyda pierwszej klasy.

— Wydaje się, że ci naprawdę zależy, abym przeżył.

Müller przytaknął energicznie.

— Zawarłem na twój temat układ z Weselem. Przez rok będziesz tu z nami rzetelnie i z oddaniem współpracował, a potem będziesz mógł odejść i robić, co ci się tylko będzie podobało. Ale przez rok masz wykonywać swoje obowiązki w stu procentach. Inaczej cię nie wypuszczę.

Spotkali się po raz pierwszy w 1931 roku, przy zwłokach pewnej studentki, która popełniła samobójstwo. Przy czym Müller podejrzewał, że chodzi tu o morderstwo, i próbował odnaleźć sprawcę. Tak jasnej i przekonującej argumentacji na rzecz koncepcji samobójstwa, jaką wówczas przedstawił Breslauer, Müller nigdy jeszcze nie słyszał. Trafiła mu ona do przekonania i wzbudziła głęboki podziw dla uczonego.

Od tego czasu spotykali się dość często. Niekiedy spędzali całe dni na żaźnych dyskusjach w czasie spacerów. Zaprzyjaźnili się ze sobą.

— Może uda mi się — zastanawiał się Breslauer — zmusić tę szóstkę do jakiejś refleksji, do czegoś ich przekonać. Przynajmniej jednego z nich, jednego lub dwóch. Czy nie warto to choćby największego wysiłku?

— Ach, Breslauer, przyjacielu, ty dobry Żydzie! Czy ty wciąż jeszcze nie rozumiesz, co się tu dzieje. Wielkie Niemcy się rozhułały. Jak dzikie psy spuszczone z łańcucha.

— A co ty robisz wśród nich?

— Nie dlatego, że nie mam innej drogi, przyjacielu. Miałbym, ale nie chcę. Mnie jest po prostu wszystko jedno. Nie mam nic i nikogo do stracenia. Moi dwaj bracia, jak to się mówi, padli na polu chwały, zginęli podczas wojny światowej. Moją siostrę podczas zajmowania Zagłębia Ruhry zgwałcili dwaj francuscy Murzyni. Umarła przy tym. Ojciec mój po upadku Niemiec strzelił sobie w łeb z rozpacz. Matka rzuciła się pod pociąg. Mam nadzieję, że zginęła na miejscu. W 1930 roku ożeniłem się. Moja żona zmarła przy porodzie naszego pierwszego dziecka. Podejrzewam, że

z powodu błędu lekarza. Usiłowałem za wszelką cenę pociągnąć go do odpowiedzialności, ale nie udało mi się. Ten cały świat jest jedną gigantyczną kloaką, a Niemcy sterczą w samym środku tego gówna.

Uświadomienie sobie, co naprawdę przeżywa ten człowiek, przeraziło Breslauera.

— Nie umiesz już kochać swoich Niemiec, Müller, umiesz ich tylko nienawidzić! Chcesz pomóc w ich zniszczeniu. Czy nie po to właśnie tu jesteś? Czy i tego jeszcze powinienem się bać?

Müller roześmiał się głośno niewesołym śmiechem. Potem powiedział jakby od niechcenia:

— Popelniasz wciąż ten sam błąd, Breslauer. Mówisz to, co myślisz. Przy mnie oczywiście możesz sobie na to pozwolić, ale tylko przy mnie. Nasi oświeceni nadludzie prawdy dla nich niewygodne i nie na czasie uznają natychmiast za kłamnie. Uważaj w przyszłości trochę więcej na siebie. Chciałbym zachować przy życiu mego sławnego Żyda. Tym bardziej, że sam mogę za to gardłem zapłacić!

Przechodzimy teraz — obwieścił Wesel swoim wiernym poddanym po wspólnym śniadaniu — do następnego ważnego etapu waszego szkolenia. Podczas następnych trzech tygodni będziecie przebywali w obozie koncentracyjnym w Dachau. Będziecie tam spędzali pięć dni każdego tygodnia. W soboty i niedziele będziemy się spotykali tutaj i wtedy będziemy mogli omówić wasze działania, przeanalizować je i ocenić.

Tak zwany plan stopniowy Wesela wyglądał, jak następuje:

Pierwszy tydzień: Zapoznanie się z organizacją obozów koncentracyjnych. Następnie udział w ogólnych służbach wartowniczych. Przyjmowanie nowych transportów i likwidacja trupów. Służba dwunastogodzinna!

Drugi tydzień: Bezpośrednie nadzorowanie i zajmowanie się więźniami osadzonymi w barakach specjalnych. Dokonywanie

selekcji i przemieszczeń, mobilizacji do pracy, rewizji i eliminacji.

Trzeci tydzień: Bezpośredni udział w przesłuchaniach, w tym zapoznanie się ze stosowaniem środków specjalnych, wypróbowanie ich w praktyce. Bezpośredni udział w stosowaniu zaostrożonego rygoru.

— Wszystko to — mówił dalej Wesel — zostało już dokładnie omówione z komendantem obozu, Sturmbann-Führerem Eicke. Oczekuje was, jak to się mówi, z otwartymi ramionami. A ja mogę tylko mieć nadzieję... Co ja mówię! Mogę być całkowicie pewny, że nie przyniesiecie mi wstydu.

Tego w istocie można się było nie obawiać, niemniej jednak Wesel uważał za stosowne pouczać dalej:

— I w tych okolicznościach pozostajecie, panowie, całkowicie podporządkowani mnie osobiście, organizacyjnie, finansowo i dyscyplinarnie. Macie nie odpowiadać na żadne pytania ani dotyczące mnie, ani naszej grupy. Gdyby kto próbował się o to wypytywać, należy to natychmiast zgłosić albo komendantowi obozu, albo przedstawicielowi Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, który oczywiście natychmiast skonfrontuje się ze mną. To samo należy zrobić, gdyby się miało wydarzyć coś nieprzewidzianego. Czego chyba jednak nie należy się obawiać.

Zajęcia przygotowawcze do czekających grupę zadań prowadził były pracownik policji kryminalnej Müller. Tematem wykładu było przesłuchanie. Z wykładu pana Müllera: „Przesłuchujący musi mieć stałą przewagę nad przesłuchiwanym. On decyduje wokół jakich spraw ma skupić pytania, a jakie sprawy można pominąć. Przesłuchujący jest jak myśliwy. Może działać z ukrycia albo z zamaskowanej platformy strzelniczej. Ale musi umieć czekać, uzbroić się w cierpliwość, dopiero wtedy mu się uda upolować zwierzynę, oddać śmiertelną strzałę.

Co oznacza w praktyce, moi panowie, że me można zdobyć żadnych informacji w z góry przygotowany sposób. Musicie wciąż i wciąż zadawać pytania, często w kółko te same. I dokładnie zważać na odpowiedzi. Wkrótce zauważycie, że nie zawsze i nie we wszystkich szczegółach się ze sobą pokrywają. Po wielu godzinach przesłuchiwania z całą pewnością będą się ujawniać różnice. Musicie je wychwycić i zanalizować oraz ocenić, a następnie systematycznie wykorzystać.

I tak postępujecie w dalszym ciągu.

Późniejszym, niemal nieuchronnie następującym po tym stadium jest załamanie psychiczne przesłuchiwanego. Stan takiego zamętu wewnętrznego, który mu już nie pozwala logicznie myśleć. Jeżeli naprawdę ma coś do ukrycia, zaniecha już wszelkich uników, ale skoncentruje się jedynie na forsowaniu swoich z góry przygotowanych kłamstw. A za nimi, czasem tuż za nimi, można odkryć prawdę.

Na ten sam temat, czyli przesłuchań, wyłożył swoje poglądy sześciu swoim współpracownikom Scharführer SS Alfons Lederhuber, kierownik wydziału śledczego w obozie koncentracyjnym w Dachau: — A więc, przyjaciele, przede wszystkim chciałbym was tu serdecznie powitać. Postaram się jak najlepiej wykorzystać waszą pomoc. Roboty tu jak w ulu. Trzeba pracować szybko i sprawnie, jeśli się chce wszystkiemu podołać. I jeszcze jedno, panowie: U nas nie ma podejrzanych, tylko zdecydowani przestępcy: zbrodniarze, zdrajcy swego kraju, polityczne rozpustne świnię, oszczercy ojczyzny, a także Żydzi! Wszystko to kłamcy i wyrzutki społeczne. Nasze metody są do nich dostosowane. Takim świniom, panowie, nie ma co przemawiać do sumienia, bo go nie mają. Więc po prostu walimy ich w mordę, dajemy kopa w dupę albo, co jest jeszcze skuteczniejsze, w przyrodzenie. A wtedy stają się rozmowni, przynajmniej większość z nich. Do tej pozostałej mniejszości należy zastosować lepsze metody, aż bę-

dą rzygać krwią. I zaraz potem wypluwają z siebie prawdę, na którą my tu jesteśmy piekielnie łasi.

Jak to się robi praktycznie, wkrótce wam pokażę. W najbliższym czasie. Jeżeli już jesteście dość przygotowani, w co nie wątpię.

Także te trzy tygodnie w Dachau można było uznać za pełny sukces, tak ze względu na świetne przygotowanie organizacyjne całej tej akcji przez Weselę, jak i ze względu na nadzwyczajną gorliwość jego ludzi. Na zakończenie odbyła się odświętna kolacja w stylu staroniemieckim, a więc obfita, tłusta i ciężkostrawna.

Między poszczególnymi potrawami — karpim w piwie i prosięciem z rusztu — Waldemar Wesel wziął do ręki leżące obok jego talerza wielokartkowe sprawozdanie z przebiegu zajęć. Kartkował je wciąż, chociaż chyba umiał je na pamięć.

— Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że komendant obozu w Dachau złożył na moje ręce gratulacje z powodu znakomitego poziomu wykszolenia moich ludzi. Chętnie się dzielę z wami, przyjaciele, tym komplementem.

Po czym Wesel wyciągnął kilka kartek ze sprawozdania ze szczególnie go cieszącymi relacjami:

Szczególnym osiągnięciem Siegfrieda było, że w niecałe dziesięć minut zmusił do mówienia przemyślnym równoczesnym ciosem w oboje uszu pewnego działacza związków zawodowych, socjaldemokratę. Po czym ten wyjąć przyznał się do sprzeniewierzenia pieniędzy i do wyrobienia sobie dodatkowych przydziałów chleba. Następnie Hermann: ten wytropił drażony przez więźniów długi już na dziesięć metrów tunel, którym chcieli uciekać. Kazał go zasypać, wraz z wykonawcami, którym kazał przedtem wejść do niego. Berner i Bergmann: Ich zdolność do rozpoznawania homoseksualistów okazała się tu bardzo pożyteczna. Trzech takich zwyrodnialców, którzy się niewłaściwie zachowywali,

musiało rozstać się z życiem. Następnie Hagen, który się wyspecjalizował w rozprawach z Żydami. Po przeprowadzonym przez niego intensywnym śledztwie pięciu z nich przyznało się do podstępnych oszczerstw. Siedmiu innych wyznało, że są członkami tajemnego sprzysiężenia, co pociągnęło za sobą nieuchronne skutki dla następnych dwunastu.

Na koniec Nor den. Temu, zgodnie z poleceniem Wesela, przydzielono do rozpracowania obiekt szczególnej wagi, biskupa. Z początku doprowadził go tylko do płaczu, a potem także do wyznania, że gardzi Hitlerem. Nie przeżył tego.

— Czy wycisnął pan z tego rzymskiego klechy spokojnie i cierpliwie całe powietrze? — zapytał ubawiony Wesel.

— Tylko do niego mówiłem — opowiadał Norden — używałem jego własnych argumentów, cytowałem nawet Biblię. Na co on chciał rzucić klątwę na Hitlera. Ale wtedy wysiadło mu serce. Nagle upadł martwy na podłogę. Runął jak kamień. A nasz Lederhuber powiedział tylko: „Dla nas człowiek zmarły to załatwiona sprawa. Musimy teraz tylko odłożyć jego teczkę ad acta”.

Pili z tej okazji później całą noc.

Następnego dnia, dokładnie w późnych godzinach popołudniowych — gdyż po poprzedniej nocy wydano zezwolenie: Wypaść się do woli — ciszę panującą w willi przerwał głośny łomot. Potem rozległ się głośny krzyk.

Raffael, sekretarz i nadzorca, popędził schodami na górę. Ujrzał Hagen i Nordena, jeszcze nie ubranych. Leżąc na sobie, tarzali się po podłodze, okładali się pięściami, parskali na siebie. Ich czterech kolegów przyglądało się temu z rozbawieniem i zainteresowaniem jak kibice meczu bokserskiego.

— Przestać! — krzyknął Raffael. — Natychmiast przestać!

Ale nikt go nie słuchał. Walczyli z coraz większą zaciętością. Rozprysło się wielkie ściennie lustro, spadły dwie lampy ze ściany między drzwiami. Raffael znikł błyskawicznie, by po paru minutach znów się pojawić. Tym razem z Weselem.

Waldemar Wesel miał na sobie długą do kostek lnianą ciemnobrązową koszulę. Poczzerwieniał na twarzy, zapewne z oburzenia. Klasnął w dłonie i zawołał, nie podnosząc jednak zbyt głośno:

— Dość tych głupot!

Wczepieni w siebie Norden i Hagen, zaciętrzewieni jak dwa koguty, mogli nawet nie dosłyszeć rozkazu. Zareagowała jednak pozostała czwórka. Rzucili się na walczących kolegów i odciągnęli ich od siebie. Zresztą nie bez trudu. Stali teraz ciężko dysząc, a Wesel przed nimi. Powiedział tylko bardzo krótko:

— Obaj zameldujecie się u mnie za dziesięć minut. W mundurach. W moim gabinecie. Pozostali też mają się ubrać i być w pogotowiu, aż do odwołania.

— Tak jest, Sturmbannführer! — zagrzmiało ze wszystkich ust.

Dziesięć minut później Wesel, ubrany w mundur z odznaczeniami wojskowymi i partyjnymi, siedział w swoim gabinecie. Także Hagen i Norden, stojący przed nim na baczność, mieli na sobie mundury, czarne, świetnie skrojone, ale bez dystynkcji.

Wesel milczał. Chciał usłyszeć ich wyjaśnienia.

— Proszę o wybaczenie, Sturmbannführer! — zaczął Hagen. — Ale to nie była moja wina. Norden wciąż się mnie czepia.

— To ja zostałem sprowokowany przez Hagen — rzekł Norden. — I to w wyjątkowo bezwstydnym sposób.

— Stulcie pyski — powiedział chłodno Wesel. — Nie ma żadnego usprawiedliwienia tego, co się tutaj wydarzyło. Ani żadnych wyjaśnień, które by mogły mnie zadowolić. Coś takiego nie ma prawa się zdarzyć! Nigdy! Nigdy w naszej organizacji! A teraz chciałbym wiedzieć, o co wam poszło.

— To przez Klarę, tę kurwę — próbował wytłumaczyć Hagen. To ona nas do tego doprowadziła.

— Nie Klara! — poprawił go ostro Nośden — ale twoje zachowanie, Hagen.

Wyjaśnienie Klary:

Chyba diabeł zamieszkał w tym domu owego ranka. Jak zwykle w takie dni, kiedy nie ma porannej pobudki, miałam panom podać śniadanie do ich pokoiów. Kiedy po kolei pukałam do drzwi, aby się dowiedzieć, czy już są gotowi, pierwszy odezwał się Hagen.

Wiedziałam, co lubi, więc przygotowałam dla niego potężne śniadanie: czarny salceson, kielbasę pasztetową, masło i świeży chleb, a do tego podwójna kawa.

Kiedy to wszystko postawiłam przed Hagenem, chwycił mnie i próbował wciągnąć do łóżka. Najpierw myślałam, że to tylko żart. Jestem dość silna i zręczna, by umieć się obronić: byłam zresztą na to przygotowana. Ale kiedy chwycił mnie za krocze, krzyknęłam.

A wtedy wpadł do pokoju, jakby tylko na to czekał, pan Norden. To bardzo sympatyczny człowiek. Przed nim bym się może nie broniła. Ale on ma jakieś swoje wzniosłe ideały, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety.

W każdym razie stanął, jak się to mówi, w obronie mojej czci. Rzucił się na Hagena, ściągnął go z łóżka, zaczął okładać pięściami. I jak właśnie powiedziałam, sam diabeł w nich wtedy wstąpił!

Waldemar Wesel w milczeniu wysłuchał opowiadania Klary. Z nieprzeniknioną twarzą podziękował jej uprzejmie, po czym wezwał do siebie swoich ludzi. Stanęli przed nim pełni wyczekiwania czarną jak smoła ścianą.

— Po pierwsze — zaczął — nie będę tu wśród członków naszej grupy tolerował żadnych bijatyk. Żadnej rywalizacji! To osłabia wolę i zdolność wspólnego działania. Nie ma tu miejsca na żadne bójkę! Zakładam, że to, co się zdarzyło, było sytuacją wyjątkową i nigdy się nie powtórzy. Po drugiej — ciągnął Wesel — czuję się zmuszony udzielić nagany obu winowajcom. Pierwszej, ale też i ostatniej. Jeszcze jedno podobne wykroczenie, a natychmiast usunę stąd każdego, który sobie na to pozwoli.

Brzmiało to, jakby groził wygnaniem z rajów. I tak właśnie rozumiał to Wesel. Jego niebieskie oczy lśniły groźnie.

— A prócz tego, po trzecie, mam za złe zachowanie się pozostałej czwórki. Powinni byli zaraz wkroczyć do akcji i oszczędzić mi tego widoku. Takie sprawy powinno się załatwiać w jak najściślejszym gronie.

To nie było jeszcze wszystko. Wesel ciągnął dalej:

— I jest jeszcze czwarta sprawa, szczególnie pozycja na szczytach Klary. Jest naszym pracownikiem, wykonuje swoją robotę, i to bardzo dobrze. Poza tym może robić, co zechce. Może się zadawać z każdym, na kogo ma ochotę. Ma za to otrzymywać dodatkowo pięćdziesiąt marek premii specjalnej. Ale stosować wobec niej przemoc nie wolno! Zrozumieliście? A w związku z tym, po piąte, doszliśmy do sprawy, której dotąd nie poświęciłem dostatecznej uwagi. Jesteście bardzo młodzi. Jesteście nie tylko żądni czynów, ale także pełni fizycznej energii, która was wprost rozsądza. Jest to pewien stan konieczności, na który trzeba zaradzić.

Wesel dostrzegł pokorne, pełne ulgi, zgodne uśmiešky. Czuli się znów jak żeglarze, którzy dzięki niemu uniknęli groźnych raf.

Wesel eleganckim ruchem ujął słuchawkę telefonu i kazał się połączyć z Monachium, odczytał numer ze swego notatnika i polecił, by wezwano Sturmbannführera Webermayera. Gdy ten się zgłosił, Wesel pozdrowił go krótko, ale serdecznie i zlecił mu zadanie:

— Przygotuj mi w którymś z twoich lokali specjalnych kilka wolnych pokojów. Najlepiej przy Leopoldstrasse. Na dziś wieczór. Dla sześciu osób. I żadnych wykrętów, ty stary byku, znasz mnie przecież. I proszę o najlepszą obsadę.

Jeżeli to tylko możliwe wraz z tą cudowną panną Schulze. W porządku?

Natychmiast zapewniono Wesela, że wszystko w porządku. On sam nie miał co do tego wątpliwości.

— No to załatwione. Będziecie się mogli dziś wyładować bez żadnych ograniczeń w burdelu pierwszej klasy. Oczywiście na koszt organizacji. Najważniejsze, abyście znów wrócili do normy.

Gdy szóstka mężczyzn, dowieziona mercedesem przez Sobottkego, dotarła na Leopoldstrasse, powitał ich osobiście z całą serdecznością okrzykiem „Heil Hitler!” szef przedsiębiorstwa, Sturmabannführer Webermayer.

Gdy popijali średniego gatunku szampana w dolnym salonie gospodarz wygłaszał kilka słów rzeczowego wprowadzenia. Szybko się zorientowali, że nawet tutaj obowiązują pewne zasady, których muszą przestrzegać. Pełni oczekiwania rozsiedli się w obowiązujących w takich przybytkach obitych czerwonym pluszem fotelach. Spodziewali się, że Webermayer zechce im tu najpierw wygłosić umoralniającą pogadankę, prawdopodobnie na zlecenie Wesela.

— Powinniście panowie popatrzeć na funkcję tego miejsca w świetle klasycznej tradycji grecko-rzymskiej. Jak na instytucję pozwalającą osiągnąć odprężenie po ciężkim wysiłku fizycznym lub psychicznym, co wyzwala energię potrzebną do dalszych działań. A więc jeszcze raz serdecznie witam!

Webermayer nacisnął guzik dzwonka. Na jego dźwięk weszło do salonu sześć kobiecych postaci, nader skąpo przyodzianych. Poruszały się tanecznym krokiem i wabiły uśmiechami.

Zanim Webermayer opuścił salon, wskazał ręką na jedną z tych kobiet.

— Czy mogą panom przedstawić naszą pannę Schulze? Ona zapozna panów z panującymi tu zasadami.

Panna Schulze, imieniem Erika, była w trudnym do określenia wieku. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć lat, jak i o dziesięć więcej. Była to nordycka piękność o powabnych kształtach. Przyglądała się uważnie, bez pośpiechu, sześciu mężczyznom. Potem usiadła między Nordenem a Hagenem i wskazała ręką pięć swoich towarzyszek, które ochoczo prezentowały swoje wdzięki.

— Najpierw musimy się poznać — powiedziała.

Nie wymagało to zbyt wiele czasu. Hagen zdecydował się pierwszy. Wybrał sobie pewną arabską piękność o obfitych kształtach. Wkrótce po nim znikł z salonu Siegfried z krowiastą tłustawą blondyną w północnoniemieckim typie, która podawała się za Skandynawkę. Hermann wybrał sobie drobną Francuzeczkę z niezwykle obfitym biustem i dał się wyprowadzić z salonu.

Berner i Bergmann, nierozłączni jak zawsze, wzięli to, co jeszcze zostało: pewną wiedeńkę imieniem Mizzi i panienkę z Bolonii o miękkim spojrzeniu Madonny ze świętego obrazka i o nieco nadmiernie bujnych kształtach. Obie panie, upewniwszy się przedtem, że oprócz umówionego honorarium otrzymają specjalny dodatek, miały uprawiać miłość między sobą, czemu się tylko mieli przyglądać „bracia syjamscy”, trzymając się za ręce.

W końcu w czerwonym salonie pozostały tylko dwie osoby: Norden i panna Erika Schulze. Popijali szampana i badali się wzajemnie wzrokiem. Długo trwało milczenie.

Wreszcie Erika Schulze odezwała się do Nordena:

— Ty pewno jesteś kimś wyjątkowym.

— Pani na pewno także — odpowiedział spontanicznie Norden.

— Bardzo bym chciała. Ale nie zawsze mi się to udaje. Mój zawód ma swoje wymagania. A czy z tobą jest inaczej?

— Prawie dokładnie tak samo — odparł Norden i przytulił do jej rąk swoje usta — bardzo czule i delikatnie.

Przyciągnęła go do siebie, podłożyła się pod niego i stało się, co miało się stać.

— Jesteś wspaniały — jęknęła pod nim. — Jak nikt inny!

Zabrzmiało to jak osobiste wyznanie, lecz było tylko częś-

cią obrządki. Panna Erika Schulze miała niezwykle uzdolnienia do swego zawodu. Była bezsporną mistrzynią.

— Jesteś niezwykła! — wyznał Norden. Gdy znalazł się pod nią.

Ani Heinz-Hermann Norden, ani owa panna Erika Schulze nie mogli nawet podejrzewać, że zmierzają w niezwykłym i niezupełnie bezpiecznym kierunku.

Gdy w chwilę później leżała pod nim wyczerpana, a jednak szczęśliwa, nieco oszołomiona, jakby taka sytuacja była dla niej czymś niezwykłym, unosił się wokół niej upajający zapach. Oboje jakby znaleźli się pod kwitnącym krzewem jaśminu.

Gładząc ją delikatnie Norden w rozmarzeniu wyznał:

— Jesteś wprost nadzwyczajna, Eriko.

— Ty także — zapewniła, tuląc się do niego.

— Odnaleźliśmy siebie — powiedział, pochylając się nad nią.

— Być może.

— Jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

Erika się podniosła, usiadła i spojrzała mu uważnie w twarz. Najpierw dostrzegła w niej wyraz czułości. Ale także rys opiekuńczości, pod którą się ukrywa — wiedziała to z doświadczenia — pewna władczość.

I dlatego szybko powiedziała:

— Wcale nieźle do siebie pasujemy.

— Bo się kochamy — stwierdził szybko.

— Tylko bez żadnych komplikacji, mój drogi! — powiedziała mu, nieco zaniepokojona. — Nie daj się w to wplątać.

Nie chciała już słuchać jego dalszych zapewnień. Tak często je słyszała. Ale nigdy od kogoś takiego jak Norden.

Ten pożyteczny pobyt w domu uciech został na bezpośrednie zarządzenie Sturmbannführera Wesela przedłużony do dwudziestu czterech godzin. Jednak Wesel, jako utalentowany pedagog i organizator, nie pozwolił swoim ludziom tak bez przerwy dusić

się we własnym sosie. Zaproponował im wiele głęboko przemyślanych rozmaitości.

Odwiedzili więc razem Starą Pinakotekę, ze szczególnym uwzględnieniem dłuższego postoju przed wielkim malowidłem batalistycznym Altdorfera, poświęconemu Aleksandrowi Wielkiemu, oraz przed cielesnym i zmysłowym malarstwem Rubensa, aby wymienić tylko ulubione dzieła Wesela.

Przelecieli następnie także przez Muzeum Narodu Niemieckiego, gdzie mieli możliwość pobrać poglądową lekcję na temat ducha wynalazczości i twórczych uzdolnień swego narodu w dziedzinach takich jak kolej żelazna, samochód, elektryczność, telefon oraz lotnictwo.

Ale najbardziej pożytecznym przeżyciem było obejrzenie w ogrodzie zamkowym wystawy zorganizowanej przez obdarzonych wysoką świadomością państwową funkcjonariuszy narodowego socjalizmu pod tytułem *Sztuka zdegenerowana*. Były tam oprócz innych podobnych monstrialnych straszdydeł pochłapane farbą płótna niejakiego Nolde-go, jakieś bazgroły Paula Klee, jakieś rozpryskane barwy na obrazach Kandinsky'ego, które przywodziły na myśl permanentną sraczkę. Wreszcie obłąkane infantylne wypociny Franza Marca, u którego konie były niebieskie, ziemia czerwona, niebo zaś zielone. I knoty niejakiego Lovisa Co-rintha po jego drugim ataku apopleksji. Dlaczego już po pierwszym nie zabrano mu pędzli?

— Rzygać się chce! — stwierdził Hagen. — Nawet nie to. Mnie się chce z tego tylko śmiać!

Ale Norden snuł na ten temat pewne refleksje:

— W gruncie rzeczy to jest ważna lekcja! Należy dobrze poznać tę zwyrodniałą sztukę, by móc w pełni docenić i poznać sztukę prawdziwą. Dopiero *wtedy* można *jej* zdecydowanie bronić.

— Ja tam nie jestem żadnym znawcą sztuki — oznajmił Hagen, pewny poklasku swoich kolegów — ale na tyle się na niej znam, aby powiedzieć: w naszym burdelu możemy zmalować coś naprawdę realistycznie! Tam się wie, co się robi!

A więc wrócili tam wszyscy razem. Na następną rundkę.

Po tych dwóch dniach pełnego odprężenia Waldemar Wesel natychmiast przystąpił do działania. Tym razem sam stanął przed swoimi ludźmi w pokoju bibliotecznym. Na ściennej czarnej tablicy napisane białą kredą widniały trzy hasła:

Związki zawodowe — Synagogi — Leonhard

— Teraz, przyjaciele — oznajmił ostrym, ale zachęcającym tonem — przechodzimy do zapewne ostatniej już waszej próby. Jeżeli przejdziecie przez nią pomyślnie, będzie można zgłosić waszą grupę jako całkowicie przygotowaną do pracy operacyjnej. Führer sobie życzy, by złożyć jemu osobiście meldunek o wynikach tych trzech akcji. Czy możecie sobie wyobrazić, co to znaczy?

Milczenie sześciu mężczyzn wskazywało, że doceniają powagę sytuacji.

— Stoją przed wami trzy zadania specjalne — ciągnął Wesel. — Do wykonania każdego z nich zostaną wyznaczone dwie osoby. Ja decyduję, co każdy z was będzie miał do roboty. Jest waszą sprawą, jak to przeprowadzicie. Nie będę wam udzielał żadnych wskazówek co do sposobu realizacji waszych zadań. Sami musicie wykazać inicjatywę. Ja wam tylko przekażę, co należy załatwić.

I przedstawił to w sposób niezmiernie rzeczowy:

— Sprawa pierwsza, oznaczona hasłem: „Związki zawodowe”. Chodziłoby tu o pewnego byłego przywódcę socjalistycznego związku zawodowego, który wciąż jeszcze nie zaniechał swojej działalności. Nazywa się Ester i ukrywa na Schwanthalerstrasse 3 na pierwszym piętrze. Macie go tam odwiedzić i pozostawić po sobie pamiętkę.

— Zróbcie z nim porządek! Wypolerujcie mu mordę i zdemolujcie mieszkanie!

Mieli to wykonać Berner i Bergmann.

Sprawa druga, oznaczona jako „Synagoga”. Chodzi tu o bożnicę w Monachium, na tyłach Lenbachplatz, za magazynami Oberpollingera i Maxburga.

— Sterczy tam taka paskudna murowana buda, bezwstydnie uznawana za zabytek romański, z wypalanej cegły. Macie ją odwiedzić i zostawić swoje wyrazy uszanowania. Wy myślcie coś.

Zadanie to zostało powierzone Siegfriedowi i Hermannowi.

I wreszcie zadanie trzecie: pisarz nazwiskiem Leonhard. Mieszka przy Tengstrasse. Taki pomyłony facet, któremu się ubzdurało, że ma do wypełnienia misję dziejową, i mąci tylko ludziom w głowach. Całkowicie nam obcy ideowo, a w dodatku ma jakieś powiązania z zagranicą. Trzeba go wyłączyć!

Przypadło to Nordenowi i Hagenowi.

— Ile mamy na to czasu?

— Tydzień — odparł Wesel — a więc wystarczająco, aby porządnie rozpracować przydzielone wam zadania i tak się przygotować, aby wykonać je szybko i skutecznie. Bez żadnej fuszkerki. Oczekuję absolutnej perfekcji.

I tak właśnie to przebiegło.

Każda para miała całkowicie wolną rękę. Zaopatrzeniem materiałowym zajął się Raffael. Fachowym doradztwem w sprawach kryminalistyki służył Müller. Sobottke miał zadanie dostarczenia odpowiednich środków transportu. Przygotowania wkrótce ukończono. Poszczególne akcje przebiegały zgodnie z planem, choć nie bez małych zakłóceń, które by można jednak uznać za „drobne usterki”. Ich przyczyną nie byli wykonawcy, ale raczej niepełna jeszcze dojrzałość pewnej części społeczeństwa, a także, niestety, władz. Duch owych czasów nie w pełni jeszcze do nich przeniknął. Trzeba na to czasu, jak można było się o tym przekonać.

Absolutnie zadowolająco, bez najmniejszego potknięcia, przebiegła akcja pod hasłem: „Związki zawodowe”, przeprowadzona przez Bernera i Bergmanna. Obaj, przebrani za rzemieślników, wcześniej rozpoznali teren i niezwykle drobiazgowo przygotowali całe działanie.

Wystarczyło, że kiedy otworzono im drzwi, pokazali broń. Bez trudu im się udało zamknąć tego „zdrajcę klasy robotniczej” wraz z żoną i dziećmi w ubikacji. A potem mogli już spokojnie grasować po mieszkaniu i siekierami, które przynieśli ze sobą w torbie, porąbać wszystko, co się dało. Potem wykrzyknęli „Heil Hitler” i opuścili mieszkanie.

— Całkowicie bez przeszkód! — chwalili się Berner i Bergmann. — Nikt nawet nie wyjrzał na klatkę schodową!

Podobnie bezbłędnie przebiegła akcja „Synagoga”. Siegfried i Hermann wykonali swoją pracę bez większych trudności. Sam budynek synagogi był jakby wymarły. Ulice puste. Zużyli wiadro czerwonej farby — był to pomysł Hermanna — i zamalowali mur wielkimi swastykami, a pomiędzy nimi umieścili napisy „Zdychaj, Żydzie!” Powstała w ten sposób rzucająca się w oczy i trudna do usunięcia dekoracja uliczna.

Nie istniała ona jednak niestety zbyt długo. Ledwie się wycofali, przechodnie odkryli te malowidła i — co śmiechu warte — sprowadzili straż pożarną, która po obejrzeniu dokonanego zniszczenia wycofała się na Blumenstrasse, odkładając do następnego dnia usunięcie tych malowideł.

Rzecz jednak rozeszła się po mieście. Zbiegły się tłumy gapiów, a wśród nich także korespondenci „Timesa” i „Manchester Guardian”. Wesel nie miał nic przeciwko temu. Niech się ta zażydzona Anglia dowie, jakie wiatry powiały w Niemczech. Któregoś dnia, kiedy się już wyda ży-dostwu walkę na śmierć i życie, będzie się wspominało ten wyczyn w stolicy naszego ruchu!

Nie bez wstrząsów, a nawet na granicy ryzyka wpadki, przebiegała realizacja planu „Leonhard”. Opracowali ją wspólnie Norden z Hagenem, a miała przebieg następujący:

Hagen mocnym kopnięciem wywalił drzwi. Pisarz, ów „obmierzły podstępny sprzedawczyk”, siedział przy swoim biurku i przerażony patrzył na wchodzących. Trwało to jednak tylko kilka sekund. Norden jednym strzałem roztrzaskał mu czaszkę.

— Ubiegłeś mnie! — ryknął wściekły Hagen. — Powinnoś to mnie pozostawić! Zależało mi na tym!

Wtedy wpadła do pokoju żona pisarza. Jakby chcąc go zasłonić, rzuciła się na ciało zmarłego. Hagen natychmiast i ją położył jednym strzałem, który trafił prosto w serce. Ale wtedy na domiar złego pojawiło się w pokoju dziecko, patrząca na nich z przerażeniem dziesięcioletnia może dziewczynka, w długiej nocnej koszulce, z lalką w ręku. I do niej także strzelił Hagen.

Gdy zdawali sprawę Weselowi z przebiegu akcji, Norden z całą powagą zauważył:

— To było absolutnie niepotrzebne.

— To było absolutnie niezbędne! — odparł Hagen — dla naszego bezpieczeństwa. Dzieci mogą w pewnych okolicznościach, jak uczył nas Müller, przejawiać wręcz niezwykłą pamięć osób i zdarzeń. Mieliśmy się na to narazić?

— Ale takie dziecko nic nie zawiniło — rozważał sprawę Norden. — A wartość takiego świadka jest praktycznie żadna.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że oskarżasz Hagenę?

— spytał Wesel.

— Oczywiście, nie, Sturmbannführer! — zapewnił ulegle Norden.

— No dobrze. Zresztą nie podejrzewałem cię o to — oświadczył Wesel. — W naszej służbie dla narodu i Führera ofiary są konieczne i nieuniknione!

Nikt na to nie odpowiedział. Wesel z zadowoleniem ciągnął dalej:

— Przyjaciele, przeszliście waszą ostatnią próbę! Bliski jest zatem dzień, kiedy nasza zaprzysiężona grupa otrzyma największe błogosławieństwo. Od naszego Führera, Adolfa Hitlera!

<

Ten zapowiadany wielki dzień nie dał na siebie długo czekać. Było to 20 kwietnia, w dniu urodzin ich ukochanego Führera. Już wczesnym rankiem zgromadził Wesel swoich ludzi wokół siebie. Każdemu po kolei patrzył w oczy. Trwało to dość długo. Wesel doceniał znaczenie twórczej paazy.

— W dniu dzisiejszym, przyjaciele — oznajmił następnie — nasza grupa zaczyna istnieć jako zamknięta samodzielna jednostka. Pod moim kierownictwem i bezpośrednio podporządkowana Führerowi.

Stali w radosnym zdumieniu. A ich zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy im Wesel odczytał treść kartki, którą trzymał w ręku.

Po pierwsze: Członkowie Grupy Wesela otrzymują natychmiastowe nominacje na Sturmführerów SS. Oczywiście z odpowiednim wynagrodzeniem. Sam Wesel w owym pamiętnym dniu został mianowany Brigadeführerem.

Po drugie: Otwarto odpowiednie konta w banku. Jako pierwszą premię na znak uznania każdemu wpłacono pewną pięciocyfrową sumę. Połowę z tego w banku niemieckim w Monachium, drugą zaś połowę w banku szwajcarskim w Zurychu. Książki czekowe czekają już u Raffaela.

Po trzecie: Wystawienie paszportów. Na początek każdemu po dwa, jeden paszport niemiecki, a drugi dowolnego kraju europejskiego, w zależności od znajomości języka.

Po czwarte: Powiększenie liczby samochodów. Zakupiono najnowsze modele mercedesa i horcha, a prócz tego dwa wozy amerykańskie, studebakera i packarda. Samochodów tych będzie się używać nie tylko do dalszych podróży. Będą stały do dyspozycji także w celach prywatnych.

Po piąte: Zapewnia się zakwaterowanie i pełne utrzymanie. Poza tym uzupełnienie garderoby: ubrania, bielizna, obuwie, wszystko na miarę, według osobistych życzeń.

— I to jeszcze nie wszystko, przyjaciele — obwieścił Wesel swoim sześciu ludziom, osłupiałym wręcz ze zdumienia. — To jeszcze nie wszystko w tym wielkim dniu. Muszę was zawiadomić, że spotkacie się z waszym Führerem! Adolf Hitler wyraził życzenie poznania was!

5. Rozkosze władzy

Owego 20 kwietnia powietrze nad Niemcami było czyste i jasne, niebo bezchmurne, a słońce promienne.

— Pogoda na cześć naszego Führera — powiedział Wesel zasiadając ze swoimi ludźmi do śniadania.

Zachęcał ich, by się posilili, nie tylko po to, by w południe — w pełni sił i radości — móc się spotkać w Brunatnym Domu w Monachium z Führerem. Ale jeszcze przedtem mają tu w Feldafing spotkać człowieka, który razem z nim, Weselem, jest — by tak rzec — ojcem duchowym całej organizacji.

— Jestem przekonany, że wam się spodoba! On wie wszystko o każdym z was.

Ale to nie był jeszcze koniec niespodzianek tego dnia. Nowo mianowany Brigadeführer kazał po kawie podać swoim Sturmführerom po kieliszku wyśmienitego winiaku, rocznik 1889, a więc z tego samego roku, kiedy w Braunau nad Innem urodził się Adolf Hitler. Ogrzewał obiema rękami swój pękaty kieliszek, pokazując swoim chłopcom, jak w pełni rozkoszować się tym trunkiem.

Po czym powstał, uroczyście powiódł wokół wzrokiem i oświadczył:

— Wraz z nominacją na Sturmführerów, przyjaciele, staliście się członkami doborowego oddziału SS przy Führerze. Oznacza to nie tylko szczególne zobowiązania, ale także nadzwyczajne uprawnienia. Należy do nich przywilej zwracania się po imieniu nawet do przełożonych. I to właśnie chciałem wam dziś zaproponować. Możecie więc od tej chwili zwracać się do mnie: „Słuchaj, Brigadeführer”.

A ja na to po prostu: „Czy nie masz nic przeciwko temu, Hagen?”

— W porządku, Brigadeführer! Dziękujemy ci! — odpowiedział Hagen.

Potem stojąc trącali się kieliszkami; sześć par oczu, nim podnieśli do ust kieliszek, wpatrywało się z oddaniem w potężnego przyjaciela.

Po śniadaniu czekała na nich jeszcze jedna radosna niespodzianka. Po małej przerwie zostali znów wezwani do Brigadeführera, jak sądzili na ostatni przegląd. Stanęli przed nim w postawie zasadniczej, a on szerokim gestem wskazał im wielkie kartonowe pudła z wypisanymi na nich ich nazwiskami.

Wesel wręczał je po kolei, bez słowa, z krótkim, mocnym uściskiem dłoni. Ich zawartość stanowił nowiutki czarny mundur, czapka, symboliczny sztylecik i lakierki. Trzy lśniąco srebrne gwiazdki na kołnierzyku wskazywały na ich nowy stopień Sturmführera!

— Nie dziękujcie mi, przyjaciele. To ja wam dziękuję! Raffael w bardzo przemyślny sposób zadbał o to, aby wszystko było, jak ułał. Nie będziecie musieli się zamieniać. Po starajcie się zawsze przy wszystkich waszych wystąpieniach robić jak najlepsze wrażenie. A już szczególnie dzisiaj!

Krótko przed jedenastą cała szóstka znów się zebrała w holu, tym razem w nowych paradnych uniformach. Wspaniały widok, jak ocenił Wesel powiódłszy wzrokiem po swoich ludziach. Napełniało go to dumą.

— No, wspaniale! — ocenił. — Teraz jednak proszę was o pełną koncentrację! Nasz gość jest wprost fanatykiem żołnierskiej dobrej prezencji i dyscypliny. I właśnie to może my mu zaferować. Bo jeśli nie my, to kto?

Gość zjawił się w willi dokładnie co do minuty o zapowiedzianej godzinie. Słynął z punktualności. Inne jego cechy mieli dopiero poznać. Przy bramie oczekiwał go Raffael, który towarzyszył mu aż do holu, a potem bezszelest-

nie się wycofał. O Raffaelu wiadomo było, że się niczego, ani nikogo nie boi. Tym razem jednak...

Wydawało się, że wszedłszy do holu gość dojrzał jedynie Wesela. Podszedł do niego, objęli się ramionami i poklepywali po plecach. Potem Wesel wskazał gestem stojących na baczność swoich ludzi. Gość oglądał ich z najwyższym zainteresowaniem. Potem powiedział:

— A więc to jest ta twoja wspaniała grupa!

Wesel przytaknął. Gość przystąpił teraz ku szóstce. Był to wysmukły mężczyzna, o długiej i wąskiej końskiej twarzy, wydatnym nosie, małych świdrujących oczkach i mocno zarysowanych, wywiniętych wargach. Podniósł ramię do niemieckiego pozdrowienia i powiedział:

— Heil Hitler, koledzy! Nazywam się Heydrich.

Miał szczególnie głos, wysoki, jasny i ostry. Głos człowieka przywykłego do wydawania rozkazów.

— Przygotowujecie się na spotkanie z Führerem. Czy ma cie w związku z tym jakieś pytania? Słucham.

Żadnych pytań nie było.

— A więc dobrze! — chyba niczego innego się nie spodziewał.

— Nie ma pytań, więc w porządku. Zatem mogę, Waldi, spokojnie zameldować twoich ludzi Führerowi.

— Czy nie chciał tego zrobić osobiście Himmler? — zapytał nieco zdziwiony Wesel.

— Reichsführer — wyjaśnił Heydrich z kpiącym uśmiechem — jest bardzo zajęty. Z niektórymi Gruppenführerami uprawia hinduskie ćwiczenia w koncentracji, które widocznie uważa za bardzo aryjskie.

Teraz uśmiechnął się również Wesel.

Adolf Hitler przyjął Grupę Wesela w swoim gabinecie na pierwszym piętrze w Brunatnym Domu. Gabinet, urządzony przez niejakiego profesora Troosta, był pomieszczeniem o historycznym wystroju, którego główny akcent stanowił olbrzymi współcześnie malowany portret Fryderyka Wielkiego, króla Prus.

Punktualnie o godzinie dwunastej trzydzieści Hitler wkroczył do gabinetu. Przeznaczył, za radą Heydricha i w uzgodnieniu z Reichsleiterem Franke, na to spotkanie pół godziny. O godzinie trzynastej miał się rozpocząć we wspianej sali senatorskiej wielki bankiet urodzinowy z udziałem najwyższych przedstawicieli partii, państwa i armii.

Führer podszedł do swego biurka i mierzył kolejno wzrokiem swoich gości jednego po drugim.

— Pozdrawiam was, przyjaciele! Sądzę, że wiecie, dla czego na wasze powitanie nie podejmuję was żadnym trunkiem. Jesteście przedstawicielami nowej generacji młodzieży, która jest gwarantem naszej przyszłości. Macie ją przeżywać jako ludzie radośni i wolni, ale nie bez żadnych hamulców i bezmyślnie! A dotyczy to także alkoholu i nikotyny! Na pewno wiecie, że nienawidzę alkoholu i również nie palę od młodych lat.

Waldemar Wesel wyprężył się i podniósł rękę do pozdrowienia.

— Melduję, Führerze, że żaden z moich ludzi nie pali ani papierosów, ani cygar, ani nawet fajki.

— To bardzo dobrze, Wesel — stwierdził Hitler. — Mógłbym naszym przyjaciom dokładnie udowodnić, dlaczego to dobrze, że nie palą. Może kiedyś później to zrobię, kiedy będziemy mieli więcej czasu. Trzeba to będzie kiedyś zorganizować, prawda Heydrich?

— Tak, Führerze — odpowiedział Heydrich.

Hitler skinął mu głową, a następnie zwrócił się do Wesela:

— Właśnie gruntownie przestudiowałem twoje nowe dzieło o znaczeniu posłuszeństwa; leży na moim biurku, mam je wciąż pod ręką. Po prostu jakbyś czytał w moich myślach!

— Dziękuję, Führerze — powiedział Wesel uszczęśliwiony.

I teraz Hitler przemówił do swoich gości, jakby miał przed sobą wioletysięczny tłum. Jego głos brzmiał ostro, z gardłowo wyrzucanymi wysokimi i niskimi głoskami. Nie patrzył przy tym na nikogo. Czasem jakby spoglądał w nie-

zmierzoną dal, czasem jakby tylko przed siebie, a później na swoje dłonie, które wykonywały takie ruchy, jakby formowały poszczególne słowa.

— Zaliczam mojego przyjaciela Wesela do wybitnych heroldów naszego ruchu. Jest on, jak nikt inny, głosicielem tak wiele dla nas znaczącej praktyki polityki siły. Tę praktykę tworzą oddani towarzysze naszej drogi, a więc tacy jak twoi ludzie, Wesel! Czy mogę na was polegać?

— Tak, Führerze — odpowiedział Wesel i zerknął rozkazująco na swoich ludzi.

— Tak, Führerze — potwierdzili także oni, wszyscy sześciu jak jeden mąż.

Hitler przyjął te oznaki oddania jako zupełnie oczywiste. Jeszcze raz spojrzął wszystkim w oczy. A potem oznajmił:

— Dawno już nie czułem się tak bezpiecznie jak wśród was. I mam nadzieję, że jeszcze często będziemy mieli okazję, by rozwijać i pogłębiać tak płodną wymianę poglądów. Wkrótce znów was do siebie zaproszę.

Późnym popołudniem owego pamiętnego dnia 20 kwietnia zaczął się w willi w Feldafing wielki bankiet, który przeciągnął się aż do późna w noc. Pito przy tym duże ilości znakomitego szampana. I to całkowicie dobrowolnie.

Ale Waldemara Wesela przy tym nie było. Pozostał razem z Heydrichem w otoczeniu jubilata, Adolfa Hitlera. Tam też pozostał w pogotowiu Sobottke. Müller z poleceniem: — Proszę mi nie przeszkadzać — poszedł do piwnicy do Breslauera. Cały personel miał wychodne.

Tak więc ludzie Wesela pozostali sami. Pojawił się wprawdzie Raffael, któremu Wesel przekazał telefonicznie, żeby postarał się spełnić wszystkie życzenia szóstki. — Co tylko tam mamy w naszych zapasach!

Tyle, że Raffaelowi nie za bardzo się chciało. On jako jedyny z wielkiego ciepłego deszczu łask tego dnia nic nie

otrzymał. Gderliwie demonstrował więc swój brak.aapału do pełnienia roli barmana. Wreszcie oświadczył:

— Jak chcecie chlać, to obsługujcie się sami! Na te słowa wkroczył do akcji Hagen:

— Poczekaj no, człowieku! Kim ty tu właściwie jesteś?

— W każdym razie nie jestem twoim chłopcem na posyłki — odpowiedział zadziornie Raffael.

Wzbudziło to ogólną wesołość, ale nie u Hagen.

— Jesteś tu tylko po to, aby nas szpiegować, Raffael! W stu procentach! A gdyby nawet tak nie było, to będę kopał twój piękny tyłek tak długo, aż będzie zupełnie nie do użytku!

— Co to, Hagen, próbujesz mi grozić? — zapytał z niedowierzaniem Raffael.

— No a jak? — odpowiedział.

— Raffael — wtrącił się teraz Nor den — jest pod moją opieką.

— Co ty powiesz? — Hagen sprężył się do skoku. Był już pijany, ale jego głos brzmiał jeszcze wyraźnie. — Co, czyżbyś też kombinował z Raffaelem?

— Wypraszam sobie takie uwagi, Hagen!

— Jasne! Nawet gdybyś chciał, nie mógłbyś sobie na to pozwolić, bo by ci Wesel nogi z dupy powyrywał!

— Nikt z nas, rozumiesz — ostrzegawczo wycodził Nor-den — nie ma prawa wydawać Raffaelowi żadnych poleceń!

— Lubię i cenię naszego Raffaela — zapewnił Hagen, próbując obrócić wszystko w żart. — I mam nadzieję, Raffael, że i ty mnie lubisz i szanujesz. A może ja jestem ci solą w oku?

— Nie, Hagen.

— No to zachowuj się po koleżeńsku, człowieku! I rób swoje!

Wobec tego Raffael istotnie próbował robić swoje. Przynosił wciąż nowe trunki, aby już ich całkiem spoić, by wreszcie poszli spać. Ale nie poszło to tak szybko.

Podczas nieskończonych rozmów tej nocy w pewnym momencie Berner nachylił się do Bergmanna i zapytał:

— Czy przyjrzałeś się dobrze temu Heydrichowi? Zauważyłeś coś szczególnego?

— Dałoby się co nieco powiedzieć o jego dupce.

— Muszę was w tym miejscu rozczarować — wtrącił się kpiąco Raffael. — Heydrich nie jest taki jak Röhm. Jest żonaty i ma kilkoro dzieci. Mówi się nawet, że ma w Berlinie luksusowy burdelik dla dyplomatów i wyższych sfer, zwany Salonem Kitty. I sam ten salon także często odwiedza. Rozumie się, przy wyłączonym podsłuchu.

— To jest jego całkowicie prywatna sprawa — skarcił Raffaela Norden. — I nic nam do tego. Jasne?

— Jasne, Norden — zapewnił natychmiast Raffael. — Proszę, nie zrozum mnie źle. — Spojrzał przy tym wymownie w kierunku Hagena, który jakby wciąż czaił się na niego. — Poza tym trzeba pamiętać, że Heydrich to prawdziwy artysta.

— Jak to artysta? — dopytywał się Hermann. — Czy tak jak nasz Wesel jest pisarzem?

— On gra na skrzypcach — poinformował Raffael. — I to namiętnie. Ale tylko w najściślejszym gronie.

Hermannowi z czymś się to skojarzyło.

— Na skrzypcach gra także Einstein. Ten facet od owej podejrzanej teorii względności. Taki popisowy numer żydowskiej świni!

— Co to ma znaczyć, Raffael? — ostrym tonem zapytał Hagen. — Co miałeś na myśli porównując Heydricha z takim Einsteinem?

— Ależ, proszę — bronił się Raffael. — Jak możesz mnie o coś takiego podejrzewać?

Hagen nie spuszczał go z oczu. Sięgnął po dużą szklankę, napełnił ją po brzegi i wręczył Raffaelowi.

— Masz, wypij! Ale do dna. I to jednym haustem. Za zdro wie Heydricha!

Raffael ujął podaną mu szklankę w obie dłonie. Rozejrzał się wokół błagalnym wzrokiem, ale wszyscy, nawet Norden, patrzyli na niego z oczekiwaniem.

Więc wypił. Z zamkniętymi oczami. Pusta szklanka wyślizgnęła mu się z rąk i rozprysła na podłozę. Chwilę potem i on sam osunął się na ziemię.

— Pić to on nie umie — skomentował ktoś pogardliwie.

Na to Hagen podniósł się ciężko i podszedł do leżącego Raffaela. Uchwycił go oburącz, dźwignął i postawił pod ścianą. Raffael, blady jak kreda, z przerażonymi oczami, stał, jakby się do niej przylepił.

— Nigdy więcej, ty ślicznotko — zagroził mu Hagen — niech ci nie przyjdzie do głowy, by kogokolwiek oczerniać!

— Zostaw go! — zażądał Norden, nieco podrażniony, ale zupełnie dobrodusznym tonem. — Przecież on jest kompletnie zalany. On nawet nie wie, czy jest dziewczynką, czy chłopczykiem.

— Stul pysk! — ryknął na niego Hagen. — Jeszcze się nie zorientowałeś, o co tu chodzi? Ta pluskwa próbuje zrobić z nas durni! Poróżnić nas ze sobą! Jeżeli to się jeszcze raz powtórzy, Raffael, załatwię cię na amen!

Podszedł do Raffaela i popchnął go. Ten się zachwiał i upadł na podłogę. Po chwili zebrał siły i wyczołgał się z pokoju.

— Trzeba mu było dać tę nauczkę — powiedział Hagen wycierając sobie ręce serwetką. — Będzie się już pilnował, żeby nam nie włożyć na głowę. Jak to mówi Wesel? Zło trzeba zgnieść w zarodku! Wypijmy za to!

Wczesnym rankiem, który nastąpił po tej nocy, 21 kwietnia, Waldemar Wesel kazał wezwać całą swoją grupę. Wszyscy zebrali się w holu willi. Wesel przyglądał się im nieco ubawiony. Stali przed nim zmęczeni, niewyspani, cuchnący jeszcze od nadmiernej ilości wypitego alkoholu! Prawdopodobnie nadzy pod narzuconymi naprędce szlafrokami. Także Raffael był trupio blady i ledwie trzymał się na nogach. W nocy zarzygał Weselowi całą łazienkę.

Wesel patrzył na nich krzepiącym spojrzeniem.

— Widzę, że nie czujecie się szczególnie dobrze po tej nocy. A może są jakieś sprzeciwy?

Nie było sprzeciwów.

— Dobrze! — stwierdził Wesel. Wobec tego spotykamy się za kwadrans na przystani, w dresach. Radujmy się nowym dniem, jak to my potrafimy!

Dzień zapowiadał się słoneczny, choć nieco chłodny, niemal bezwietrzny. Woda w jeziorze nie zdążyła się jeszcze ogrzać po zimie. Miała zaledwie dziewiętnaście stopni. Od Alp, które rysowały się tak wyraźnie, jakby były w zasięgu ręki, ciągnął świeży powiew.

Wesel w zamyśleniu zasiadł za sterem. Raffael trzymał się u jego boku, ale jego mistrz nie zwracał na niego uwagi. Szóstka zajęła miejsca na wyściełanych ławkach wzdłuż łodzi.

Kiedy znaleźli się prawie dokładnie na środku jeziora, między górami a Feldafig, Wesel wyłączył silnik i powiedział ze śmiechem:

— A teraz, przyjaciele, wyobraźcie sobie, że łódź tonie. Już jej nie ma. I co teraz?

— Rozumiem! — powiedział Norden. — Wobec tego małe ćwiczonko! — I tak jak stał, w ubraniu, skoczył do wody i zaczął płynąć w kierunku brzegu.

— Norden pojął, o co chodzi — stwierdził z zadowoleniem Wesel. — Kto następny?

Berner i Bergmann skoczyli w ślad za Nordenem. Po nich Siegfried i Hermann.

Tylko Hagen ociągał się przez kilka sekund. Zapytał:

— A co z Raffaelem? Czy mam mu pomóc?

— A co mnie do tego? — zapytał Raffael.

— Czyżbyś do nas nie należał? — spytał Hagen.

Wesel skinął z przyzwoleniem głową. Także Rafaelowi należała się nauczka za to zapaskudzenie łazienki.

— A więc, stary, chlup! — wykrzyknął Hagen, chwycił Raffaela, uniósł go nieco i wrzucił do wody. Sam skoczył tuż za nim.

Płynął tuż obok coraz bledszego, krztuszącego się Raffaela. Uderzył go mocno w plecy, tak że ten się zachłysnął i zaczął tonąć. Hagen przytrzymał go na powierzchni i powiedział:

— Przeżyjesz, jeśli ja zechcę. A tymczasem jeszcze chcę. Rozumiesz, Raffael?

— Rozumiem — wykrztusił.

— Jestem twoim przyjacielem — zapewnił Hagen, holując Raffaela do brzegu. — Ale liczę na twoją wzajemność. Jasne?

— Jasne — wycharczał Raffael. — Jeżeli tylko...

Na wpół przytomnego wyciągnął go Hagen na brzeg. Teraz był jego wybawcą. A to zobowiązuje.

Wynikły jednak z tego zupełnie nieprzewidziane komplikacje.

Pozostawionego na brzegu Raffaela dociągnął wreszcie do jego pokoju Norden. Położył go do łóżka i zaczął energicznie masować. Dopiero po jakimś czasie szczupłe ciało Raffaela zaczęło znowu nabierać koloru. Otworzył oczy, rozpoznał Nordena i uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Potem powiedział:

— Ty jesteś prawdziwym przyjacielem, ale ten Hagen to świnia!

— No dobrze już, dobrze, Raffael! — próbował go uspokoić Norden. — Przy mnie możesz o nim mówić, co ci się podoba. Ale potem zapomnij jak najszybciej o tym wszystkim. Ja nic nie słyszałem.

— Nie powinieneś tak mówić, Norden. Właśnie ty! — Raffael usiadł na łóżku. Jego głos znów brzmiał jasno. — Przecież on jest tak samo twoim wrogiem, jak i moim. To nasz wspólny wróg!

— Nie chcę tego słuchać, Raffael. Przede wszystkim to nieprawda. Hagen nie jest ani moim, ani twoim wrogiem. Możesz zawsze liczyć na moją koleżeńską pomoc, ale nie przeciw któremuś z nas!

Raffael znów opadł na łóżko, jakby go ktoś zdzielił w głowę. Chwycił go dreszcze. Odwrócił się do Nordena i wy-jęczał w poduszkę:

— Tu jest wszystko takie straszne! Ponure, nieludzkie, przegniłe. Tu nie ma czym oddychać! Już dłużej nie mogę. Jestem u kresu sił!

Wizyty szóstki Wesela w zaprzyjaźnionym domu w Monachium przy Leopoldstrasse stały się dość regularne. Wystarczył telefon, a kiedy się zjawiali, wszystko było już przygotowane. Te same pokoje, te same panienki. Nordenowi jako atrakcja numer jeden przypadała oczywiście wielce doświadczona panna Erika Schulze. Bezwzględnie warta była swoich pieniędzy, nawet jeśli — tak jak teraz — tylko przysłuchiwała się słowom Nordena.

— Tak wiele dla mnie znaczysz, Eriko!

— Bardzo mnie to cieszy — odpowiedziała i spojrzała na niego z oczekiwaniem.

W pokoju oświetlonym przyćmionym różowawym światłem unosiła się ciężka, słodka woń rozpylonych obficie perfum.

— Widzisz — powiedział do niej — ty jesteś w podobnej sytuacji jak ja.

— Co masz na myśli? — zapytała.

— Jesteśmy w zasadzie wyjątkowi, tylko każde z nas na swój sposób! I dlatego należymy do siebie!

— Ile razy zechcesz! Ale o czym ty myślisz? Masz jakieś specjalne życzenia?

— My możemy — oświadczył niemal uroczyście Norden — wzajem się wyzwolić! Musimy to sobie wzajemnie przyrzec!

Erika Schulze nie umiała ukryć swego zaniepokojenia tokiem tej rozmowy.

— No pięknie! — Rzuciła na niego niepewne spojrzenie i roześmiała się głośno. — Przecież chyba nie znaczy to, że chcesz mnie poślubić?

Ale zanim Norden zdążył przytaknąć czy złożyć odpowiednie oświadczenie, zastukano do drzwi. Norden nawet nie zdążył odpowiedzieć, gdy Hagen już stał w pokoju.

Norden patrzył na niego wściekły.

— Na co ty sobie pozwalasz? Wynoś się stąd! Nie masz tu czego szukać!

Hagen przyglądał się dwom nagim, leżącym przed nim postaciom z drwiącym uśmiechem.

— Opanuj się, człowieku! Nie miałem zamiaru wam przeszkadzać, ale dzwonił Wesel. Jakaś pilna sprawa. Mamy natychmiast wracać!

— Dlaczego?

— Sam go o to zapytaj! — powiedział rozzłoszczony Ha-gen.
— Wydaje się w każdym razie, że w Feldafig jakiś diabeł zamieszał. Cóż, moi drodzy, zrobicie sobie teraz po prostu dłuższą przerwę!

Waldemar Wesel kazał pilnie sprowadzić Müllera do swego gabinetu. Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie bez słowa. Wesel był wyraźnie czymś zdenerwowany. Mina Müllera mówiła o jego zdziwieniu i ciekawości.

— Na szczególnie szczęśliwego, mimo tak świetnych sukcesów, pan nie wygląda, Brigadeführer. Kto panu nadepnął na odcisk?

— Raffael — odpowiedział Wesel po chwili wahania. — Mój Raffael. Ten mnie martwi, i to bardzo.

— Właśnie on? — zapytał ostrożnie zdumiony Müller. — Przecież nigdy z nim nie było najmniejszych kłopotów. A może się mylę?

— Zniknął — wyznał przygnębiony Wesel.

— Zniknął, powiada pan? — Müller odniósł się do tego z niedowierzaniem. — Może wybrał się tylko na jakiś dłuższy spacer, czego mu można tylko pozazdrościć. Być może bardzo potrzebuje świeżego powietrza.

— On po prostu zwiął — wyznał z trudem Wesel. — I to już przed paru godzinami.

— Dlaczego pan tak myśli? — zapytał Müller z wciąż wzrastającym zaciekawieniem.

— Zabrał ze sobą część rzeczy, bieliznę, przybory toaletowe, to wszystko, czego się potrzebuje, gdy się nagle wyjeżdża. — I głęboko poruszony Wesel dorzucił jeszcze: — On mnie po prostu porzucił!

Müller na to oświadczenie z trudem powstrzymał uśmiech. Udało mu się jednak, choć z pewnym wysiłkiem, utrzymać śmiertelną powagę i przystąpił do rzeczy już jedynie jako doświadczony pracownik policji kryminalnej.

— Czy Raffael dysponuje jakąś większą sumą pieniędzy? Czy ma ważny paszport? Czy należy się domyślać jakichś jego kontaktów z zagranicą?

— Chyba nic z tych rzeczy — odpowiedział Wesel. — Jeżeli chodzi o sprawy finansowe, zawsze go krótko trzymałem. A jego paszport leży w mojej kasie pancерnej.

— Skoro tak — zauważył fachowo Müller — nie powinien nam daleko uciec.

— Czy będzie pan mógł go odnaleźć? — zapytał Wesel.

— A bardzo panu na tym zależy?

— Tak! Proszę pana, panie Müller, niech go pan tu sprowadzi z powrotem! Za wszelką cenę!

— Obojętnie, żywego czy martwego? — zapytał Müller cicho.

— Żywego! — wykrzyknął Wesel. — On musi się przede mną wytłumaczyć! Przede mną osobiście! Odnajdzie go pan?

— Sądzę, że tak — potwierdził Müller, ale bez zachowania pewnej ostrożności. — Pod warunkiem, że otrzymam wszelkie pełnomocnictwa. To znaczy, będę miał wolną rękę.

— Co pan przez to rozumie?

— Wgląd w akta personalne Raffaela, wraz ze wszystkimi tajnymi załącznikami. A także wyciągi z akt policji obyczajowej. Chciałbym także przeszukać jego pokój, przejrzeć jego rzeczy osobiste. Muszę o nim wiedzieć wszystko, co się tylko da.

— Zgoda — zapewnił Wesel. Widać było, że jest skłonny do większych niż zazwyczaj ustępstw. — I co dalej?

— Jak tylko przeprowadzę wszystkie prace wstępne, być może dla sprowadzenia Raffaela z powrotem, będę musiał wejść w kontakt z policją.

— On nie może jednak wpaść w ich ręce — krzyknął przestraszony Wesel. — A dlaczego, zrozumie pan, gdy pan przejrzy jego akta. Trzeba mu zapewnić bezpieczeństwo i dostarczyć go tu do mnie!

— Zdaje się, że zaczynam rozumieć! — Müller delektował się sytuacją. — A więc policja ma tylko pomóc wytropić Raffaela? A zdejmiemy go sami. My, to znaczy nasza grupa.

— Chce pan użyć naszych ludzi? Dla prywatnej sprawy?

— Dla pana, Brigadeführer, to może i prywatna sprawa. A gdybyśmy tak potraktowali to jako rodzaj ćwiczenia? Rodzaj sprawdzianu naszych umiejętności i możliwości? Czy zgodziłby się pan?

Weselowi pomysł wydał się niezły, zgodnie z polityczną zasadą: Cel uświęca środki. Zgodził się zatem.

— A poza tym, Brigadeführer, czy nie byłaby to dla pana dobra okazja, by wywiązać się z danego mi kiedyś przyrzeczenia?

— Do czego pan teraz znowu zmierza, panie Müller? Dla ujęcia Raffaela gotów jestem ponieść pewne koszty. Czego więc pan żąda?

— Uwolnienia Breslauera! To znaczy zapewnienia mu dojazdu do jakiegoś statku linii oceanicznych, pokrycia mu kosztów przejazdu i innych wydatków, dostarczenia mu ważnego paszportu. Byłaby to przysługa za przysługę. Ja panu oddam Raffaela, pan mi odda Breslauera. Zgoda?

Wesel zbyt się nie ościagał z wyrażeniem zgody.

— Tylko, panie Müller, z zachowaniem pełnej dyskrecji. Sam pan rozumie, jakie to ważne.

Jeszcze tego samego popołudnia po rozmowie z Weselem zebrał Müller całą szóstkę w holu. Wyglądało na to, że chce poprowadzić jakiś wykład. — Chodzi tu o coś w rodzaju śledztwa — poinformował spokojnym głosem. — O odnalezienie pewnej zaginionej osoby. Zadanie rutynowe. Jako pierwszy zareagował Hermann:

— Takie poszukiwanie jest tylko wtedy możliwe, jeżeli się wie, kogo szukać. O kogo więc tu chodzi?

— O Raffaela — odpowiedział obojętnie Müller. Obserwował przy tym bacznie swoich ludzi.

Kolejne pytanie zadał Hagen. Wysiłił się na dowcip:

— A może nasza ślicznotka ma już zimne nóżki?

— Być może — odpowiedział spokojnie Müller. — Tylko

niech mi pan zechce wyjaśnić, skąd panu zimne nóżki przyszły do głowy. Czy może pan coś wie w tej sprawie? Hagen jakby się przestraszył i pospieszenie zapewnił:

— Raffael należy do naszej grupy, zawsze to biorę pod uwagę. A poza tym dopiero co uratowałem mu życie. To chyba o czymś świadczy?

Norden poruszył się na te słowa. Müller rzucił mu szybkie spojrzenie.

— No co, Norden? — zapytał. — Nie wystarcza panu to wyjaśnienie?

— Nie — odparł zimno zapytany. — Już od dłuższego czasu mam wrażenie, że Raffael czuł się osobiście przez Hage-na zagrożony.

— Wrażenie — wszedł mu Müller w słowo — to jeszcze nie dowód. A my powinniśmy trzymać się wyłącznie faktów. Czy pan tak nie sądzi?

Norden tylko kiwnął głową.

— Dobrze — kontynuował Müller. — A pierwszym faktem jest, że Raffaela tutaj nie ma. Gdzież więc jest?

— Czy nasze zadanie polega na tym, by go odnaleźć?

— Istotnie — potwierdził Müller.

— A więc polowanie z nagonką — stwierdził Siegfried. — Czy mamy zwierzynę wygnąć na otwartą przestrzeń?

— W żadnym przypadku! — odpowiedział Müller. — To ważne! Macie uważać, żeby Raffaelowi włos nie spadł z głowy! Proszę to mieć na uwadze! A zatem szczęśliwych łowów!

Plan Müllera odnalezienia Raffaela wyglądał następująco: Środowisko, w którym obracał się Raffael, prawdopodobnie jest dość wąskie: nieliczni przyjaciele, wiadome lokale, jakieś skąpe kontakty. Berner i Bergmann, wytrawni znawcy tych kręgów, zrobili przegląd wybranych lokali i sporządzili listę dziewięciu z nich. Hagen i Hermann otrzymali zadania zainteresowania się

niektórymi półprywatnymi kontaktami tych ludzi. Ich wykaz jest już sporządzony.

Norden i Siegfried mieli się zająć zbadaniem przeszłości Raffaela, w tym jego rodzicami, mieszkającymi w Norymberdze, a także jego byłą narzeczoną oraz najbliższym przyjacielem z jego młodości, niejakim Rosenbergiem. Ustalono ich adresy.

Wszystko to należy zbadać bardzo starannie, ale zarazem z zachowaniem ostrożności.

— Gdyby panowie napotkali jakieś trudności, proszę niezwłocznie zwrócić się do mnie. Na wszelki wypadek proszę zapamiętać sobie następujący adres: inspektor Winter, Prezydium Policji w Monachium, gabinet prezydenta policji. Jest on zobowiązany do udzielenia panom każdej niezbędnej pomocy. Hasło: Müller.

Zeznania byłego pracownika policji kryminalnej w Monachium Wintera, obecnie na emeryturze:

Gdy proklamowano Trzecią Rzeszę, byłem młodym pracownikiem policji, z odpowiednim życiorysem i, że tak powiem tradycjami rodzinnymi. Mój dziadek był szanowanym sędzią w królestwie bawarskim, ojciec był także prawnikiem i profesorem uniwersytetu. Ja chciałem przed 1933 rokiem dostać się do Ministerstwa Sprawiedliwości, przedtem jednak miałem odbyć praktykę w Prezydium Policji w Monachium. Zajmowałem się tam koordynacją prac tegoż Prezydium.

Nie była to żadna nadzwyczajna funkcja, choć do jej zadań należały także sprawy nader delikatnej natury. Koordynacja bowiem oznaczała, i oznacza nadal, poszukiwanie kompromisu w sporach między różnymi wydziałami prezydium, organizację współpracy resortów, eliminację przypadków dublowania czynności przez dwa różne organy.

Prawo i sprawiedliwość znaczyło dla nas wówczas to samo. Jeżeli jakakolwiek inna instytucja zwracała się do nas

o pomoc urzędową w jakiejś określonej sprawie, nie było powodu, żeby jej odmawiać rzetelnej współpracy.

Chce pan wiedzieć, kim był ten Wesel. Nie mam pojęcia. Czy znałem niejakiego Müllera? Znałem wielu ludzi o tym nazwisku. Owszem, jednego z nich dobrze zapamiętałem. Był z policji kryminalnej, uznany ekspert, i to o międzynarodowej sławie, w dziedzinie zabójstw. Mówiono wówczas, że zajmuje się jakimiś zadaniami specjalnymi, jeżeli dobrze sobie przypominam, zleconymi mu przez Kancelarię Rzeszy; był więc w mniejszym lub większym stopniu podporządkowany samemu Führerowi.

Rozumiało się samo przez się, że trzeba było się z nim liczyć. Oznaczało to w praktyce, że cały aparat Prezydium stał do jego dyspozycji. A Müller potrafił po mistrzowsku z tego korzystać.

Informacje uzyskane od niejakiego Alfredo, zwanego też Alfredem, często z dodatkowym określeniem Piękny albo Dobry, albo Niezawodny; był właścicielem lokalu „Oaza” w Monachium w 1934 roku, „Fata Morgana” w Zurychu w 1940, a w 1953 lokalu „Shadows” w Los Angeles. Wszystkie te lokale były często miejscem spotkań homoseksualistów:

B yli to na ogół bardzo mili ludzie. Niemal bez wyjątku. Nie dlatego tak mówię, że dało się przy nich robić dobre interesy. Szczególnie mi na tym nie zależało. Większość z nich szukała u mnie pomocy. Prześladowano ich nieraz w barbarzyński sposób, a szczególnie wtedy, w 1934 roku. Chociaż spotykali się w moim lokalu także najwyżsi przywódcy SA!

Przez jakiś czas, przypominam sobie, wszystko było w jak najlepszym porządku. Aż kiedyś, pod koniec kwietnia 1934 roku, zjawili się u nas dwaj faceci, którzy zachowywali się jak świnie w zbożu. Właśnie tak. Żadne inne porównanie nie przychodzi mi do głowy.

Ci dwaj — wołali do siebie Hagen i Hermann — rzucili się na naszych gości, kazali im stanąć pod ścianą i sprawdzili czy nie mają broni! Broń u nas! To już zupełne nieporozumienie!

Następnie w parę chwil zdemolowali nasz śliczny, przytulny lokalik. A potem nas oskarżyli o ukrywanie jakiegoś Raffaela. Oskarżali tak mocno, że trzeba było wezwać kilka karetok pogotowia.

Jeden z naszych gości wylegitymował się przed nimi jako Gruppenführer SA. Ale i tego pobili wykrzykując: „Świnia jest swinią, choćby miała nie wiadomo jaki stopień służbowy!”

Udało mi się wreszcie wezwać policję. Owszem, przyjechali, ale z ogromnym opóźnieniem, i nawet próbowali obezwładnić tych dwóch bandytów. Ale wtedy jeden z tych opryszków zawołał: „Zatrzymajcie się, koledzy! Dowiedźcie się najpierw w Prezydium, czy macie tu w ogóle coś do roboty. Sprawę zna Winter z gabinetu prezydenta. Hasło brzmi: Grupa Wesel-Müller”.

Po niecałych pięciu minutach wszystko się wyjaśniło. Prezydium dało zielone światło na wszystko, co ta dwójka u nas wyprawiała, a policja szybkoitko się wycofała. Tak więc ci dwaj młodzi ludzie, którzy na nas napadli, mieli już wolną rękę. Rzucili się ponownie na naszych gości.

„Szukamy niejakiego Raffaela, który sam się tak nazwał i myśmy go tak nazywali. Taki ładny chłopak, między dwudziestką a trzydziestką. Twarz blada, kręcone jasne włosy, niewinne spojrzenie! Kto coś wie o nim? Z kim się zadawał? Kiedy go ostatnio widziano? Gdzie się ukrywa? Gdzie mógł się schować?”

Pobili przy tym pięciu ludzi tak, że trzeba było ich odwieźć do szpitala. Sądzę, że chcieli wydobyć od nich jakieś adresy. I otrzymali ich sporo. Między innymi także adres pewnego amerykańskiego korespondenta prasowego w Monachium, który był znany z tego, że ułatwiał ucieczkę chcącym emigrować.

Robił to zresztą całkowicie legalnie, ułatwiając jedynie tym, którzy mieli paszporty, otrzymanie wizy w konsulacie amerykańskim. Wielu ludziom w ten sposób uratował życie. Do tego dnia.

Wyniki akcji natychmiast przekazano Müllerowi, który nie ukrywał swego zadowolenia. Jednak po wysłuchaniu szczegółowego sprawozdania Hageny i Hermanna, zgłosił pewne wątpliwości co do ich zachowania.

— Wasza praca, choć dała pewne owoce, nie podoba mi się, panowie. Należy unikać tak gwałtownych wystąpień.

— Ale trochę przyjemności — wyznał szczerze Hermann — przecież nam się należy!

Müller przemilczał tę uwagę. Wyglądało, jakby postanowił dalsze upomnienia pozostawić na później. Teraz przesłuchiwał pozostałe dwie jednostki bojowe.

Berner i Bergmann przynieśli ze sobą kilka nazwisk dawnych przyjaciół Raffaela.

— Szukamy ich adresów, dwa już mamy, a resztę zdobędziemy jeszcze tej nocy.

Norden i Siegfried także złożyli swój meldunek:

— Odszukaliśmy przybranych rodziców Raffaela. Od dawna nic o nim nie słyszeli. Jego była narzeczona nie żyje już od dwóch lat. Prawdopodobnie popełniła samobójstwo.

— Dlaczego mówicie o przybranych rodzicach? — zainteresował się Müller.

— Raffael był przybranym dzieckiem. Chyba bardzo trudnym osobnikiem. Jego rodzona matka zrzekła się praw do niego. To jakaś niewątpliwie podejrzana osoba. Raffael pięć czy sześć lat swego życia spędził w sierocińcu. Nie odnaleźliśmy jeszcze adresu jego rodzonej matki.

— To byłoby bardzo ważne! Pomogę wam w tej sprawie. Działajcie więc dalej i informujcie mnie na bieżąco o wynikach. Jestem do waszej dyspozycji w dzień i w nocy.

Müller u Wesela w jego prywatnym gabinecie. Wesel: Odnalazł pan coś? Zwróci mi pan Raffaela? Czy zadbał pan o to, aby mu nie spadł włos z głowy? Müller: Pomału posuwamy się naprzód. A pan?

Wesel: Jak to, czy ja też?

Müller: Mam na myśli wyjazd Breslauera! Jak tu panu dostarczę pańskiego Raffaela, zgodnie z umową, a potem wysyłamy na emigrację naszego profesora. Umowa nadal stoi?

Wesel: Jeśli chodzi o mnie, w stu procentach. Paszport, dewizy, pozwolenie na wyjazd, wszystko przygotowane. Brak tylko wizey. Kierownictwo SS nie ma żadnych stosunków z konsulem Stanów Zjednoczonych.

Müller: Jeśli chodzi tylko o to, to sprawę da się załatwić.

Wesel: Czyżby pan miał takie kontakty?

Müller: Owszem, zdaje się że tak, w wyniku działań naszych ludzi. I mam tu jeszcze coś, co mogłoby pana zainteresować. Przy penetracji różnych melin przyłapano także dwóch przywódców SA. Oto ich personalia. Mogłyby one zainteresować Reichsführera SS, a może nawet samego Führera.

Wesel wziął z jego rąk kartkę. Popatrzył na nią najpierw obojętnie, a potem z wzrastającym zainteresowaniem.

— Czy to aby pewne? — zapytał.

— Całkowicie, Brigadeführer! Coś z tego da się zrobić. Prawda?

Natychmiast po tej rozmowie Müller zszedł do piwnicy, do swego przyjaciela Breslauera. Zastał go pochylonego nad książką. Była to jedna z prac Wesela pod tytułem *Nie poległ na darmo*.

— Cóż to za groteskowe łajno! — powiedział Breslauer niemal z ubolewaniem — Wesel próbuje z każdego rozkładającego się wojennego nieboszczyka zrobić pomnik chwały. A przecież ci, co musieli zginąć, niekoniecznie musieli pochwalać to, za co ginęli! Czy ja też mam do nich należeć?

— Nie, Breslauer, już nie — zapewnił go Müller. — Godziny twego pobytu tutaj są już policzone. Będziesz musiał to znosić jeszcze tylko przez parę dni.

— A jeżeli ja tego wcale nie chcę?

— Dajże spokój z tymi twoimi żydowskimi rojeniami! Nie obchodzi mnie, czego chcesz czy też czego nie chcesz, Breslauer! Ja chcę tylko jednego: chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczny! Że jest bezpieczny przynajmniej jeden taki człowiek jak ty!

— A inni? Tacy jak ja?

— Niektórych udało się już wyprawić. To najlepsze, co dało się zrobić. Inni w miarę możliwości podążą za nimi. A dla ciebie buduję złoty most!

— A co z innymi? — wypytywał Breslauer. — Z tymi, co nie mają swojego Müllera? Czego może należy im powinszować. Z tymi, którzy nie mają pieniędzy, orędowników, kont bankowych i żadnych organizacji, które by się za nimi wstawiły? Czy tych będzie się ściagać, szczuć ich, zabijać? Czy oni zostaną wymordowani, spaleni, zlikwidowani?

— Ach Breslauer, nie próbuj wciąż wmawiać we mnie tej twojej żydowskiej katastroficznej filozofii. Cóż znaczy tych kilka pogromów na przestrzeni wieków! A tutaj chodzi o to, że kilku bydłaków zżarło więcej, niż może przetrwać. Prędzej czy później się udławiają!

— Chętnie bym tego dożył. Ale tutaj, na tym miejscu.

— Ani myślę pozwolić ci, Breslauer, na takie ryzyko. Ja także muszę mieć spokój. Chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczny. Stanowisz rodzaj mojej polisy ubezpieczeniowej na życie! A nie jesteś nią, póki nie znajdziesz się w Ameryce.

— Co ja mam tam robić w Ameryce?

— Będziesz pełnił misję. Głosił, że zdarzają się czasem porządni naziści, tacy jak ja i jeszcze paru innych. I mógłbyś jeszcze pomóc przekonać Amerykę, że należy się uwolnić od tego złego snu. Snu o tym, że Hitler jest niezwyciężony i nieśmiertelny.

— Ale to muszą już załatwić sami Niemcy.

— Ale bez pomocy twojej i tobie podobnych. Zostaw to już nam. To nasza jedyna i ostatnia szansa, by do końca nie stracić twarzy. Na razie chcę cię jednak bezpiecznie przeprowadzić przez to pole minowe. Musisz się z tym pogodzić.

Dwa dni później Norden i Siegfried, idąc za wskazaniem Müllera, znaleźli się w Ulm. Udali się w jakąś boczną uliczką zaraz za katedrą i dom po domu sprawdzali listy lokatorów, aż wreszcie znaleźli nazwisko, które ich interesowało. Brzmiało ono: Bluhm.

Mieszkała tu matka Raffaela. Zarabiała na życie jako kelnerka w dobrze prosperującej restauracji. Pracowała tam od ponad dwudziestu lat. Była to skromna, miła kobieta.

Uchyliła teraz nieco drzwi do swego małego mieszkania, ale Siegfried natychmiast wstawił w szparę nogę. Norden jej wyjaśnił:

— Przyszliśmy tylko, aby się czegoś dowiedzieć o pani synu.

— Ja nie mam syna.

— Taki jest stan oficjalny. Wiemy o tym i nie zamierzamy go kwestionować — oznajmił Norden. — Pozwoliła go pani adoptować innej rodzinie, ale nigdy nie straciła pani z nim osobistego kontaktu. Może się u pani zatrzymał?

— Proszę, panowie, odejdźcie! — błagalnym głosem prosiła Maria Bluhm.

— A więc jest u pani! — wykrzyknął Siegfried.

Popchnął drzwi i usiłował się wedrzeć do mieszkania, odsuwając na bok panią Bluhm, ale powstrzymał go mocnym uchwytem Norden. Zapytał uprzejmie:

— Zapewne nie będzie pani miała nic przeciwko temu, pani Bluhm, że się tu rozejrzemy?

— A czy potrafiłabym panów zatrzymać? Nie zgodzić się na to?

— Bardzo słusznie, pani Bluhm — powiedział wesoło Siegfried — tym bardziej, że jesteśmy bardzo spokojnymi ludźmi, dopóki nas się nie rozniewa. A więc?

Norden wszedł więc do mieszkania pierwszy, za nim Siegfried. Ściany obite jedwabną tapetą, meble pluszem, drewno na wysoki połysk i niemieckie dywany. Wszystko to z drugiej, jeśli nie trzeciej już ręki.

A wewnątrz siedział Raffael, w kolorowym szlafroku, przy stole nakrytym bielutką serwetą, przy kawie z ciastem. Z niedowierzaniem patrzył na Siegfrieda i Nordena nienawistnym wzrokiem.

— Mamy cię wreszcie! — roześmiał się głośno Siegfried.
— Miło cię znów widzieć! Dobrze ci się widać powodzi.
Tylko u własnej mamy można dostać taką kawę i domowe ciasto!

— Czego ode mnie chcecie?

Siegfrieda nie opuszczał dobry humor.

— Nie domyślasz się, dlaczego tu jesteśmy? Aby sprawdzić, jak ci się wiedzie i przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia, wiesz, od kogo.

— W każdym razie, mój drogi — zapewnił poważnie Norden — nie przyjechalibyśmy tutaj, by żądać od ciebie czegoś czego ty byś nie chciał zrobić.

Brzmiało to wiarogodnie i uspokoiło nieco panią Bluhm. Jej zagna twarz rozjaśniła się nadzieją.

— Czy mogę panów zaprosić?

— Chętnie przyjmujemy pani zaproszenie — odpowiedział Norden. — Tym bardziej że widzę na stole makowiec. Od dzieciństwa za nim przepadałem. Czy mogę się poczęstować?

Pani Bluhm pospiesznie ukroiła wielki kawałek ciasta dla Nordena. Siegfriedowi przypadł w udziale znacznie mniejszy. Obaj zasiedli przy stole, jeden z prawej, drugi z lewej strony Raffaela.

— Skąd dostaliście adres mojej matki? — zapytał Raffael, spoglądając niespokojnie na Siegfrieda.

— To Müller go skądś zdobył — wyjaśnił Norden, zjadając z widocznym apetytem. — Wspaniałe to ciasto! Umiemy to docenić!

— Czego panowie chcą od mojego syna? — zapytała zaniepokojona Maria Bluhm. — Chcecie mi go zabrać?

— My nikogo nie zabieramy — oświadczył Siegfried. — My tylko dbamy o uregulowanie stosunków.

— Mam więc pójść z wami dobrowolnie! — wykrzyknął przestraszony Raffael. — Z wami? A jeżeli nie zechcę, to co wtedy?

— Pójdiesz z nami — powiedział Siegfried z naciskiem.

— I to nawet chętnie — dorzucił Norden — bo cię o to bardzo prosimy, drogi przyjacielu.

— Chcecie mnie zabrać siłą? — zapytał przerażony.

-Bardzo serdecznie cię wszyscy powitają w Feldafig. Po pierwsze my, twoi koledzy, ale także Wesel. W końcu wzięłeś sobie tylko kilka dni urlopu, aby odwiedzić matkę. Co ci się słusznie należało. I to wszystko!

— Przecież to chyba nie jest twój pomysł, Norden?

— Nie tak łatwo było rozproszyć nieufność Raffaela.

— Kto cię nauczył tych syrenich tonów? Chyba Müller. Ale po co?

— Bo to widocznie dość dokładnie pasuje do jego koncepcji — odpowiedział Norden poufnym tonem. — Stanowisz jakąś tam pozycję w jego rachubach. A Wesel je akceptuje. I to jest właśnie bardzo dla ciebie korzystne. Nie trać tej szansy. Jedź z nami!

Z listu Marii Bluhm do siostry:

Przez całe życie dręczyło mnie, że musiałam moje dziecko, mego kochanego chłopczyka, zaraz po urodzeniu oddać w obce ręce. Ale co ja mogłam zrobić? Byłam biedna, chora i opuszczona. A jego ojciec nie chciał się przyznać do swego dziecka. A potem już nawet nie mógł, poległ pod Verdun. Bardzo z tego powodu cierpiałam i co dzień modliłam się za mojego Raffaela. Jak wiesz, było mi bardzo ciężko. Zarabiałam na życie jako posługaczka, pomoc kuchenna, pokojówka w hotelu. Aż wreszcie zgłosił się do mnie mój syn, mój Raffael. Prawie dwadzieścia lat potem, jak go urodziłam. Przesyłał mi najpierw pocztówki z pozdrowieniami, potem także paczki, niekiedy nawet pieniądze.

Od czasu do czasu wpadał do mnie- Oczywiście po kryjomu. Byłam z niego dumna. Był wzorowym chłopcem. I bardzo czułym dla mnie, swojej matki. Ja chyba na to nie zasłużyłam.

Ale wtedy, w końcu kwietnia 1934 roku, nie wpadł do mnie jak zwykle na godzinę, tylko pozostał ze mną. Mój Boże, jaka ja byłam szczęśliwa!

A potem przyjechali jego koledzy i zabrali go ze sobą.

Następnego dnia w godzinach przedpołudniowych pod kierownictwem Müllera przygotowano już następne „ćwiczenia”.

Müller: Chodzi o transport pewnego obiektu do Le Havre'u. I to w dwóch etapach. Pierwszy, już jutro, prowadzi do Strasburga, tam nocleg. Następny etap, pojutrze, ze Strasburga do Le Havre'u. Tam nastąpi przekazanie obiektu na transatlantyk „Bretagne”. Aż do wyjazdu konieczny jest ścisły nadzór. Straż przednią obejmą Ha-gen i Hermann. Dodatkowe ubezpieczenie Berner i Berg-mann. Wszyscy jako turyści, w samochodach z prywatnymi numerami, z niemieckimi paszportami. Sam obiekt, o który tu chodzi, zostanie przewieziony w towarzystwie Nordena i Siegfrieda, pod bezpośrednim nadzorem pana Wesela, następnym prywatnym samochodem. Czy wszystko jasne?

— A o kogo tu właściwie chodzi? — zapytał Hagen.

— O tym — odpowiedział krótko Müller — dowiedcie się w swoim czasie.

Bezpośrednio potem Müller wezwał Nordena na rozmowę w cztery oczy. — Powierzam panu, właśnie panu, panie Norden, zadanie zaopiekowania się naszym Breslauerem. Pan jest osobiście odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo. Należy go cało i na czas dowieźć do Le Havre'u i dostarczyć na pokład określonego statku. Co prawdopodobnie wcale nie będzie takie łatwe, ponieważ Breslauer tego nie chce. Ale nie będziemy go o to pytać. Ma stąd wyjechać i basta! Niech pan do tego doprowadzi. Norden: Nawet z użyciem siły?

Müller: Do rozwiązań siłowych Breslauer nie jest zdolny. Ale niewątpliwie będzie się próbował opierać na wszelkie sposoby. Musi być pan na to przygotowany. Na pewno jednak pan sobie z nim poradzi.

Norden: Oczywiście, panie Müller!

Dwa dni później, zgodnie z planem, zorganizowany przez Müllera transport dotarł do Le Havre'u. Czekał tam już w porcie francuski transatlantyk kursujący do Nowego Jorku. Przez londyńskiego Cooka zakupiono na nim kabinę pierwszej klasy na nazwisko Breslauera.

Ale Breslauer wzbraniał się przed wejściem na pokład. Siedział teraz w małej portowej restauracyjce „La Marinę”, gdzie zamówił sobie gotowane krewetki w jakimś ostrym sosie. Do tego kazał sobie podać Chablis, i to całą butelkę.

Ale Norden, który nie opuszczał go ani na chwilę, pozwolił mu wypić tylko połowę, drugą połowę sam się zajął. Siegfried, który pełnił rolę obstawy, siedział przy drzwiach i popijał tylko wodę mineralną.

— Mamy jeszcze sporo czasu — zauważył przychylnie Norden. — Może się pan spokojnie delektować tymi krewetkami. Najważniejsze, że panu smakują.

— Choć tak naprawdę, panie Norden, najchętniej by mi pan skreślił kark.

— Nie ma najmniejszego znaczenia, czego bym ja chciał lub nie chciał. Ja tu tylko wypełniam rozkaz. Jak przyjdzie czas, odstawię pana osobiście na pokład.

— I myśli pan, że to pójdzie tak łatwo? — tonem lekkiej prowokacji zapytał Breslauer. — Jesteśmy za granicą. Mogę się bronić.

— I tu także mamy nasze kontakty, pan zaś nie ma tu nikogo. My mamy legalne dokumenty, pan nie ma żadnych. Pan je otrzyma dopiero po wejściu na statek. A poza tym nie będzie się pan bronił. Wie pan, panie Breslauer, że nie

poradzi sobie pan z Siegfriedem i ze mną, a w dodatku na dworze pilnują pana także Hagen i Hermann. A jeżeli to się okaże konieczne, odurzimy pana i jako pijanego załadujemy na statek.

Breslauer, zrezygnowany, pokiwał głową.

— Czy mógłbym dostać szklaneczkę szampana? Norden skinął na kelnera i zamówił:

— Lampkę Pommery dla tego pana.

— Pardon — tłumaczył się kelner — ale musi być cała butelka.

— Tylko jedna lampka! Ale może pan policzyć za całą, butelkę.

Gdy Breslauer otrzymał już swoją lampkę szampana, najpierw powąchał ją w zamyśleniu i patrzył na złocisty trunek, jakby się ociągał z jego spróbowaniem. Potem spojrzął na Nordena.

— Czy pan przynajmniej wie, w co się pan dał wciągnąć?

— To mnie nie obchodzi. Ja mam pana tylko doprowadzić na określone miejsce. A to prawie już osiągnąłem.

Breslauer z wyraźną przyjemnością upił łyk swojego szampana. Potem oparł się o krzesło, odprężony, jakby nagle uszczęśliwiony.

— Tu szampan smakuje jak szampan, nie tak jak w Feldafig.

— Rzecz gustu — stwierdził Norden.

Breslauer uśmiechnął się, jakby do siebie.

— Jak pan myśli, co by się stało, gdybym tak rzeczywiście, z pańską pomocą, wylądował w Ameryce?

— Wcale nie muszę się tym interesować.

— Ale powinien pan, mój drogi! — Breslauer znów pociągnął łyczek. — Jak tylko przyjadę do Ameryki, natychmiast opowiem wszystko, co wiem, każdemu, kto zechce mnie słuchać. A więc powiem prawdę, co się tu dzieje w tych nazistowskich Niemczech. O takich ludziach jak Wesel. I chce pan wziąć na siebie odpowiedzialność za to?

— Pan powinien nas lepiej znać! — Norden wyprostował się na krześle. Trzeba było przybrać zdecydowaną postawę, godzina odjazdu już się zbliżała. — Oczywiście zabezpieczyliśmy się przed tym — powiedział. — Nasza

organizacja ma bardzo długie ręce, sięgają aż do Stanów Zjednoczonych. Niech pan o tym pamięta.

— Kiedy już tam się znajdę, opublikuję nawet tę pańską uwagę. Czy pan się tego nie obawia?

— Nie — odparł obojętnie Norden.

— Tak jest pan pewien swojej sprawy. A właściwie dlaczego?

— Bo mam panu przekazać jeszcze ostatnie pozdrowienia od pana Wesela. Wśród dokumentów, które panu wręcę na pokładzie, znajdują się także — oczywiście kopie — materiały pewnej sprawy karnej, wyniki dochodzeń policyjnych i wniosek prokuratora o zatrzymanie. Przeciwno panu! Nędzemu przestępcy kryminalnemu. Co pan na to?

Breslauer natychmiast pojął, co to może znaczyć.

— Ale przecież te dokumenty są sfałszowane!

— Ale trudno będzie panu to udowodnić. Tak sądzi pan Wesel. Kazał panu powtórzyć: Jak pan będzie milczał, my też będziemy cicho. Jeżeli jednak będzie pan mówił, wtedy ogłosimy pana zdecydowanym kryminalistą i zażądamy ekstradycji.

— To do niego podobne! — stwierdził Breslauer pogardliwie. I zwrócił się do Nordena: — Ale pan w to przecież nie wierzy? Prawda? Jestem pewien, że pan nie uważa mnie za kryminalistę. Pan jest człowiekiem z sumieniem. Niech pan mnie nie zawiedzie!

Ale Norden odpowiedział na to tylko:

— Już czas, panie profesorze! Niech się pan przygotowuje.

— Potem krzyknął na Siegfrieda warującego u drzwi: — Dokumenty! Są w samochodzie w skrytce na lewo. W brązowej teczce.

Siegfried wybiegł. Breslauer wypił do końca swego szampana. Powoli się podniósł.

Siegfried znów się pojawił. Zmieszany podszedł do Nordena i szepnął mu:

— Człowieku, brązowa teczka jest pusta!

Uradowany Breslauer, nie wierząc własnym uszom, znów opadł na krzesło. Złożył ręce jak do modlitwy. Jego oczy koloru morskiej wody zaświeciły nadzieją.

Z przesłuchania Jeana-Pierre'a Brasseuera, właściciela restauracji „La Marine” w Le Havre:

Moja pamięć, niech mi pan wierzy, jest dziurawa jak sito. A może się panu zdaje, że zapisywałem wszystkich gagatków, alfonsów i frajerów, którzy odwiedzali mój lokal, a także policjantów, szpicli policyjnych, szpiegów i zdrajców, i Bóg wie kogo jeszcze, którzy się chcieli u mnie zatrzymać lub nawet ukryć?

Ale wtedy, przy końcu kwietnia 1934 roku, nagromadziło się w mojej gospodzie szczególnie dużo tego gówna. A co wyrabiało wtedy takich dwóch facetów, nie da się zapomnieć! Jeden pił tylko wodę mineralną. Już to wydało mi się podejrzane. A drugi zamówił w biały dzień szampana! Kazał sobie podać tylko szklaneczkę, ale zapłacił za całą butelkę.

Potem wprowadzili z ulicy jeszcze jednego. I poprowadzili go do toalety. I nagle rozległ się strzał. Chciałem wezwać policję, ale powstrzymał mnie jakiś jeszcze jeden facet.

Przyłożył mi lufę między łopatki i powiedział: „Nie mieszaj się, monsieur! Tam tylko krótko przemówiono komuś do rozumu. Nic nie wiesz, co się tam stało. I wcale nie musisz wiedzieć. Najlepiej nalej sobie podwójnego Hennessy i wystaw nam potrójny rachunek. Wypij to za nasze zdrowie! Zapłacimy za wszystko!”

Czyś ty całkiem zwariował? — wykrzyknął Hagen, przyparty do ściany w toalecie. Patrzył przerażony na Nordena. Ten stał przy drzwiach z rewolwerem w ręku. — Odważyłeś się do mnie strzelać!

— Nie strzeliłem do ciebie, Hagen, jeszcze nie! — Norden patrzył mu prosto w oczy. — Gdybym chciał, to bym cię trafił. Dobrze o tym wiesz. Tylko cię ostrzegłem. Pierwszy i ostatni raz!

— Tobie się chyba już całkiem pomyliło w głowie! Człowieku, odważyłeś się skierować broń na przyjaciela w obronie jakiegoś parszywego Żyda? Norden uśmiechnął się blado.

— Muszę ci chyba przypomnieć co nieco o naszych zasadach, Hagen. Nie chodzi tutaj ani o ciebie, ani o mnie, ani o żadnego parszywego Żyda, ale o rozkaz, który mam wykonać. I nikt mi w jego wykonaniu nie przeszkodzi! I ty także.

— O Boże! — wykrzyknął Hagen. — Nie wyjeżdżaj do mnie z tymi twoimi logicznymi wnioskami! Pomyśl praktycznie! Miałeś zadanie odstawić Breslauera do Le Havre'u. I odstawiłeś. A resztę załatwimy teraz wspólnie, zgodnie z intencją Wesela.

— A skąd ty wiesz, jakie są intencje Wesela? — nie ustępował Norden. — Moje zadanie brzmiało: Dostawić Breslauera na pokład i tam wręczyć mu papiery.

— Mój Boże, czy ty nie rozumiesz, co ten śmierdzący żydowski szakal może narozrabiać w Ameryce? Przecież ob smaruje nas niemożliwie!

— Zaufaj Weselowi. On to wszystko sobie przemyślał. Jego rozkaz był jednoznaczny — odstawić Breslauera na pokład!

Hagen jednak nie ustępował.

— A więc zrobimy tak! Odstawimy tego Żyda na pokład i doprowadzimy do jego kabiny. A tam go załatwimy. Ostatecznie Müller nauczył nas, jak pozorować samobójstwo.

— Nie ma mowy! — wrzasnął Norden. — Gdyby Wesel tego chciał, powiedziałby mi to wyraźnie. Masz mi natychmiast zwrócić papiery Breslauera!

— A jeżeli nie zwrócę, to co?

— To cię, Hagen, zabiję. Całkiem po prostu. Wątpisz w to? Dawaj!

Hagen sięgnął do wewnętrznej kieszeni w marynarce i wyciągnął z niej dokumenty podróży. Były w grubej brązowej okładce. Rzucił je Nordenowi pod nogi na wyłożoną kafelkami podłogę toalety.

— Natychmiast podnieś! — zażądał twardo Norden, trzy-

mając rewolwer w pogotowiu. — Jeden fałszywy ruch, Hagen, a nasza grupa będzie już liczyła tylko pięciu członków!

— No dobrze, już dobrze — powiedział Hagen przez zęby. Musiał się nisko pochylić, by podnieść kopertę z dokumentami. Potem uśmiechnął się kpiąco do Nordena.

— Tym razem ty trzymasz palec na spuście, ale następnym razem to może być moja kolej. A wtedy musisz uważać, żebyś się nie poślizgnął!

— To się jeszcze zobaczy! Hagen roześmiał się z przymusem.

— Ale mogę w dalszym ciągu liczyć na twoją przyjaźń?

— Oczywiście!

— I nie będziesz mnie obgadywał przed Müllerem ani przed Weselem?

— Dla mnie ważne jest jedynie wykonanie mojego zadania — zapewnił Norden. — Mam nadzieję, z twoją pomocą. Mogę na to liczyć?

— Możesz!

— Wobec tego wspólnie zaprowadzimy Breslauera na pokład?

Sprawozdanie Nordena złożone Brigadeführerowi Weselowi i komisarzowi kryminalnemu Müllerowi po powrocie z Le Havre'u:

Norden: Powierzone nam zadanie zostało wykonane bez szczególnych trudności. Breslauer wprawdzie wzbraniał się przed wejściem na pokład, ale został przez nas siłą zmuszony do własnego uwolnienia się. Müller: Breslauer zatem cało dotarł na pokład? Norden: Zgodnie z rozkazem!

Hagen: Jeżeli o mnie chodzi, to mógłby spokojnie zdechnąć. Nadarzała się po temu świetna okazja.

Müller, z niedowierzaniem: Czy ktoś to wam podsuwał? Hagen, ostrożnie: Myślałem tylko, żeby tak wykazać trochę własnej inicjatywy.

Müller: Wbrew wyraźnemu rozkazowi?

Hagen: Biorąc rzecz na zdrowy rozum, Breslauer mógłby odpłynąć do Ameryki, ale po co od razu w pierwszej klasie? Skromna trumienka by wystarczyła.

Müller: Czy to pańska sugestia, Brigadeführer?

Wesel: W żadnym przypadku. Możecie to potwierdzić, koledzy?

Hagen: Tak jest, Brigadeführer, mogę to potwierdzić.

Müller: A czy pan, Norden, odniósł może inne wrażenie?

Norden: Nie, panie Müller, nie odniosłem takiego wrażenia.

Waldemar Wesel, podsumowując te wydarzenia: Akcja Le Havre, przyjaciele, była kolejnym sukcesem naszej grupy. Jestem gotów dać wam możliwość wytchnienia, ale tym razem nie przy Leo-poldstrasse, ale u mojego serdecznego przyjaciela, hrabiego von Tannen. Jego wspaniały zamek leży w pobliżu Passawy. Musicie wiedzieć, że wstęp tam mają tylko bardzo nieliczni, najbardziej zaufani ludzie. A więc ja, a ze mną także wy.

Mam nadzieję, że spotkacie tam również jedyną córkę mego przyjaciela, hrabiankę Elisabeth. Zgodzicie się chyba, że zawsze umiem powiedzieć, co myślę. Ale gdybym chciał wam opisać tę niezwykłą postać, zabrakłoby mi słów. Sami zobaczycie, dlaczego.

Z zapisków Heinza-Hermann Nordena:

Moje pierwsze spotkanie z hrabianką odbyło się w wiele znaczącym dla mnie dniu, 1 maja 1934 roku. Nie była to data wybrana przypadkowo. Jestem pewien, że Wesel wybrał ją zupełnie świadomie. Przecież 1 maja to dzień moich urodzin.

Co mnie uderzyło na pierwszy rzut oka przy spotkaniu z hrabianką, to jej nieopisana piękność. Była idealnym wcieleniem kobiecości. Przyznaję, że na jej widok ogarnęło mnie pragnienie, by przyklęknąć przed nią. Ale nie zrobiłem tego.

Wtedy Hagen, który się brutalnie wepchnął między nas, zniszczył ten wzniosły nastrój. Nie mogłem mu tego darować i nie darowałem.

6. *Noc długich noży*

Zamek koło Passawy, siedziba rodowa hrabiego von Tannen, łączący w sobie baśniową roman-tyczość z klasycystyczną elegancją osiemnastego wieku, przedstawiał naprawdę wspaniały widok.

Obydwa skrzydła kutej w żelazie bramy były szeroko otwarte. Do zamku prowadziła szeroka droga wysypana żwirem z jasnoszarego marmuru, po obu jej stronach rozciągały się bujne zielone gazony, a na nich rozsiane tu i ówdzie grupy starych drzew. Pomędzy nimi wodne kaskady, ozdobnie obudowane źródełka, cicho szemrzące fontanny. Sam zamek, wzniesiony z lśniącej ciemnoczerwonej cegły, wyglądał bardzo wytwornie, ale sprawiał zarazem wrażenie godnej szacunku solidności. Tylko zdumiewająco małe okna przywodziły na myśl półprzymknięte smutne oczy.

Tuż za bramą stał hrabia von Tannen w sportowym ubraniu z brązowej jeleniej skóry, wysoki, szczupły, o srebrnych włosach i orlim nosie. Jego uśmiech był ojcowsko serdeczny, budzący zaufanie i szacunek zarazem.

U stóp hrabiego siedziały dwa olbrzymie psiska, czujne nowofunlandczyki, o irytująco gnuśnym spojrzeniu, ziewające co chwilę. Ukazywały przy tym swoje wielkie, lśniące, ostre zębiska. Były to Ajaks i Achill, straż przyboczna hrabiego.

Oczekujący na swoich gości hrabia prezentował się wspaniale, wręcz imponująco, jak uważała stojąca obok niego kobieta. Była to, ubrana w śnieżną biel, o długich gęstych włosach, lśniących w świetle słońca jak złocisty welon

otaczający owalną twarzączkę o rysach starofrankońskiej Madonny, Elisabeth, hrabianka von Tannen.

Pełen godności solenny obrządek powitalny, który wkrótce nastąpił, miał jednak pewne akcenty zażyłości i widocznej serdeczności. Przyjaciel zbliżał się do przyjaciela. Do ojca podchodzili synowie.

Faza pierwsza: Waldemar Wesel oderwał się od swojej grupy i z nieco uniesionymi ramionami podążył w kierunku hrabiego. Hrabia również wyruszył ku Weselowi, zrobił może dwa, może trzy kroki. On też wyciągnął nieco ramiona.

— Waldemarze, mój drogi! — zawołał hrabia. — Nareszcie znów cię widzę!

Wesel zaś:

— Jak to dobrze, Konstantinie, móc cię znowu zobaczyć!

Wymienienie z naciskiem imienia hrabiego miało oznaczać, że są ze sobą na ty i jak bardzo są zaprzyjaźnieni. Poklepywali się wzajem po ramionach, jak gdyby obmacywali troskliwie jeden drugiego.

Faza druga: Waldemar Wesel posunął rycersko eleganckim krokiem ku Elisabeth, która wprawdzie tkwiła na swoim miejscu, ale z uśmiechem podała mu swoją prawą dłoń. Wesel ją ujął, pochylił się nisko i ucałował z należnym szacunkiem.

Potem powiedział serdecznie:

— Jesteś coraz piękniejsza, moje dziecko. Helena i Małgorzata w jednej osobie. A także przypominasz mi Beatrice z Florencji.

Elisabeth roześmiała się srebrzyście; tak twierdził później nie tylko Norden. Odpowiedziała cicho:

— Może byś chciał zostać moim Dantem, wujku Walde marze?

Teraz roześmiał się również Wesel. Śmiał się również hrabia, nie mniej serdecznie, lecz bardziej powściągliwie, śmiechem myśliwego w mrocznych leśnych rewirach.

Faza trzecia: Brigadeführer Wesel przedstawił swoich, ubranych na tę okazję w świetnie skrojone sportowe garnitury i świeżo obkutyh w zasadach odpowiedniego zacho-

wania się w dobrym towarzystwie. A więc męski uprzejmy uścisk dłoni dla hrabiego, ucałowanie ręki dla hrabianki.

Natychmiast potem wywiązała się konwersacja.

— Fantastyczna posiadłość, panie hrabio! — stwierdził spontanicznie Hagen. Dostał w zamian pełne uznania spojrze-
nienie.

Po czym odezwał się Siegfried:

— Co za wspaniałe psy! Czy można się z nimi pobawić? Mam wrodzoną sympatię do tych szlachetnych zwierząt!

Berner i Bergmann wystąpili jak zwykle razem:

— Cudowne otoczenie, panie hrabio! Ten ogród, te fontanny! Czy będzie wolno potem obejrzeć to wszystko z bliska?

Nor den ujął dłoń Elisabeth dokładnie zgodnie z regułami dobrego wychowania świeżo wyuczonymi w Feldafig: powitanie powinno być w duchu staroniemieckim, bardziej rycerskie niż dworskie, uczucia możliwie tylko lekko zaznaczone, podkreślone zaś męskie opanowanie. Tym razem jednak niezupełnie się to udało Nordenowi. Spojrzał na Elisabeth i jękając się wykrztusił:

— Jestem uszczęśliwiony...

— Uszczęśliwiony, łaskawa pani — zagrzmiał Hagen — to nie jest właściwe słowo do wyrażenia tego, co czuję. Pani jest po prostu potęgą, czcigodna hrabianko, jeżeli wolno mi się tak wyrazić.

Wszyscy — prócz Nordena — uznali tę uwagę za wesołą i przyjacielską. Całe towarzystwo od pierwszej chwili uważało początek tej wizyty za nader udany. Głos hrabiego, który teraz przemówił, brzmiał raźnie i dźwięcznie:

— Sprawia mi wielką radość, że mogę tu przywitać i ugościć kolegów mojego przyjaciela Wesela. Mam nadzieję, że nie doznacie rozczarowania, przynajmniej co do kuchni i piwniczki. Tu, w moim małym, ale spokojnym świecie, będziecie mogli, zgodnie z życzeniem mojego przyjaciela Wesela, spędzić na powietrzu kilka godzin, wypocząć i odprężyć się, aby zebrać siły do nowych zadań.

Zeznania złożone przez hrabiego Konstantina von Tannen, kilkadziesiąt lat później, na temat jego stosunków z Waldemarem Weselem:

Wesel był moim kolegą z wojska z czasów pierwszej wojny światowej. I tak się to zaczęło. Przez dłuższy czas walczyliśmy w tej samej kompanii piechoty jako porucznicy, i to na pierwszej linii frontu, pod Ypres. Jeżeli nawet nie można było mówić wówczas o jakiejś szczególnie zażyłej przyjaźni, to jednak zbliżyły nas przeżycia frontowe, tak że trudno było po wojnie nie kontynuować tych kontaktów.

W gruncie rzeczy bardzo się od siebie różniliśmy. Ja, jako człowiek pochodzący ze szlachty, wyznawałem pewne określone zasady, on z kolei był nastawiony bardziej rewolucyjnie, lecz z wyraźnymi skłonnościami poetycko-filozoficznymi. Wkrótce zaczął coraz bardziej ciążyć w kierunku Hitlera, a ja na tej jego drodze nie mogłem mu, oczywiście, towarzyszyć. Nie doprowadziło to jednak do zerwania naszego frontowego koleżeństwa. Muszę przy tym przyznać, że Wesel w tych nieznośnych czasach zadawał sobie wiele trudu, aby mi jakoś pomóc. Przy jego niezwykle rozległych stosunkach, a nawet bezpośrednich związkach z samym Hitlerem, nie sprawiało mu to szczególnych trudności.

Trzeba na to spojrzeć w ten sposób: Człowiek w mojej sytuacji musiał zabiegać o to, by jakoś przetrzymać ten czas. Nie bez znaczenia też była konieczność zachowania dóbr rodzinnych gromadzonych przez całe pokolenia. Nie chciałem i nie mogłem wchodzić w układy z nazistami, ale, zmuszony koniecznością, musiałem przyjąć pomoc starego kolegi frontowego. Przy czym jeszcze raz muszę podkreślić: wszystko to działo się bez mojego najmniejszego zaangażowania się w ich politykę.

Oczywiście nie odmawiałem ani Weselowi, ani jego przyjaciółom gościny w moim domu. Ale zdarzyło się to tylko parę razy, gdzieś w 1934 roku, kiedy odwiedził mnie wraz z sześcioma młodymi ludźmi, którzy, jeżeli go dobrze wtedy zrozumiałem, byli przygotowywani do wykonywania jakichś zadań specjalnych.

Było mi w gruncie rzeczy zupełnie obojętne, o co tam chodzi. Ale tylko do momentu, kiedy w końcu zaczęli wciągać do tej gry moją córkę. Wtedy zareagowałem kategorycznie. Zerwałem z nimi.

Hrabia z Weselem udali się do pokoju na wieży, do którego prowadziły wąskie, kręte schody. Pomieszczenie to miało dwie wielkie zalety: po pierwsze, można było tu porozmawiać bez przeszkód, a po drugie, z czterech jego okien wychodzących na cztery strony świata można było podziwiać piękne tereny ciągnące się wokół zamku: ogród, fontanny, podwórze zamkowe, bramę wjazdową czy szklarnie.

— Całkiem mili są ci chłopcy, których przywiozłeś ze sobą — powiedział hrabia w zadumie. — Ale oni są bardzo młodzi. Jakie głupstwa im mogą przyjść do głowy? A raczej trzeba zapytać, jakie nie mogą?

— Nie ma mowy o żadnych głupstwach — odpowiedział Wesel. — Oni działają tylko na rozkaz. W porównaniu z nimi gwardia napoleońska to tylko bohaterskie przedszkolaki.

— A czy Elisabeth przy nich nic nie grozi? — zapytał hrabia.

— Z całą pewnością, Konstantynie. Jeżeli się przyjmie założenie, że sama sobie nie zagrozi. Jak uważasz?

Hrabia roześmiał się pobłaźliwie.

— Ona jest w końcu bardzo pociągającą kobietą.

— Ależ, proszę cię, Konstantynie! Tu wcale nie chodzi o to, kim ona jest, ale o to, jaką może odegrać rolę. O co musimy obaj zadbać. Elisabeth powinna dla tych idealistycznie nastawionych marzycieli stać się olbrzymim magnesem. I właśnie przywiozłem sześciu takich.

— A więc, praktycznie rzecz biorąc, czterech albo pięciu za dużo!

— Nie zrozum mnie źle, Konstantynie! Twoja córka powinna na nich promieniować, oddziaływać całą siłą swego

przyciągania. Jeżeli to możliwe, na wszystkich razem. Muszą się nauczyć patrzeć na nią jak na samotny wyniosły szczyt. To dodaje bodźca! Hrabia popatrzył nieufnie na Wesela.

— A co się stanie, jeżeli któryś z twoich ludzi zechce uwieść moją córkę? Może potajemnie? Może z użyciem siły? Są to przecież zwyczajni młodzi chłopcy!

— Ale wzorowo wychowani!

— Dobrze, dobrze, Waldemarze. A co będzie, jeżeli, że tak powiem, Elisabeth sama przejmie inicjatywę? Jeżeli zainteresuje się jednym czy drugim twoim chłopcem?

— Do tego właśnie, Konstantynie, nie wolno dopuścić pod żadnym pozorem! — Wesel wyjaśniał rzecz przekonywająco i uroczyście. — Wtedy cała reszta poczułaby się skrzywdzona, jeśli nie wręcz wzgardzona. To spowodowałoby wśród nich niesnaski. Ja muszę utrzymać moich ludzi nastrojonych na najwyższy ton. Zgodnie z zasadą: Uwielbiane kobiety stanowią natchnienie do bohaterskich czynów!

— Chciałbym mieć twoją fantazję, Waldemarze — przyznał hrabia z lekkim uśmiechem. — Ty jesteś twórczym człowiekiem, przynajmniej w zakresie swoich koncepcji. Nie da się niestety tego powiedzieć o naszym Ortleiterze. Mam z nim same kłopoty.

— Wystarczy, że podasz mi jego nazwisko — zapewnił Wesel — a już go nie ma. Jeżeli masz jakiegoś kandydata na jego stanowisko, to tylko daj mi znać. To przecież drobne płatki! Jeszcze coś?

Pokój w wieży, w którym siedzieli, był niezwykle przyjemnym miejscem. Bładoniebieskie ściany między szerokimi oknami były całe zawieszane trofeami myśliwskimi. W środku pokoju stał ciężki stół z sękatą dębiny, a na nim kilka butelek czerwonego wina, starego, wieloletniego burgunda. Obok stołu dwa wielkie szerokie i głębokie fotele obite skórą tłoczoną we wzory.

Wypiwszy nieco wina, hrabia zapytał:

— Jak myślisz, Waldemarze, da radę ten twój Führer? Ile czasu mu jeszcze dajesz?

— Znam te wszystkie kalkulacje, mój drogi — odparł Wesel. — Niektórzy mówili, dwa miesiące, nie więcej. Inni,

mniej lekkomyślni, dawali mu najwyżej dwa lata. Byli to w gruncie rzeczy głównie rozbitkowie weimarscy. A ja ci powiadam, że Führer przeżyje ich wszystkich.

— Bo chyba ich wykończy, co?

— Pamiętaj, mój drogi, że mamy do czynienia z geniuszem.

— No dobrze, ale nawet jeżeli tak jest, jak mówisz, to czy nie otaczają go hieny? Czyż całe ich stado nie wyczekuje tylko najmniejszej okazji, aby go obalić? Na przykład SA pod kierunkiem tego byłego kapitana Röhma? Ten podobno od dawna coś knuje, a nawet mówi się o tym, że zamierza stworzyć coś w rodzaju armii ludowej, opartej na szeregach SA. Jest to poza tym zdeklarowany monarchista, nawet wcale sympatyczny, ale całkiem pomyłony.

— Planować, mój drogi, można wiele.

— Ale czyż SA pod kierownictwem Röhma nie stanowi jednak w Trzeciej Rzeszy siły bardzo potężnej? A sam Hitler w swoim „Völkischen Beobachter” czyż nie napisał: „SA jest i pozostanie przeznaczeniem Niemiec”?

— Z pewnością — odpowiedział spokojnie Wesel. — SA mogłaby być przeznaczeniem Niemiec, ale jedynie wtedy, gdyby okazała się tego godna. W innym przypadku jej przyszłość może się okazać poważnie zagrożona.

— Ale jak ty to sobie praktycznie wyobrażasz, Waldemarze? W końcu to są prawie dwa miliony ludzi! Kto pokona taką siłę? Hitler? SS? Ty ze swoimi ludźmi? Na czyją pomoc można by tu jeszcze liczyć?

— Na tych wszystkich, którzy się już nauczyli myśleć nowoczesnymi kategoriami. Wszystko jedno, czy z przekonania, czy z wyrachowania. I zaliczam do nich również ciebie, Konstantinie! Ciebie wraz z twoimi szerokimi powiązaniem z Wehrmachtem. Między innymi dlatego przyjechałem do ciebie.

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Kilku informacji. Może także kilku adresów. W końcu znasz, jak mało kto, ambitne plany twoich przyjaciół z Wehrmachtu. Ci na pewno nie będą chcieli dać się podkupić przez Röhma i jego SA.

— Z całą pewnością!

— A zatem powinni temu przeciwdziałać. Na przykład dostarczyć nam jakichś informacji o swoich przeciwnikach, ich słabych stronach, może nawet coś bardziej konkretnego. Niech przy tym nie będą małostkowi. Ich przyszłość zależy od ścisłej współpracy z nami.

— A więc sądzisz, że Hitler zdecydowałby się na radykalne kroki. Przeciw własnemu szefowi sztabu Röhmowi?

— Tak — odpowiedział stanowczo Wesel. — Nie ma innego wyjścia. Ale to musi pozostać między nami.

Hrabia wcisnął się nieco głębiej w fotel i przymknął oczy. Wyglądało na to, że rozmyśla nad tą sprawą. Po chwili powiedział:

— Mógłbym ci od razu dać dwa, a może nawet trzy adresy. A za kilka dni jeszcze parę: w Berlinie, Szczecinie, Królewcu, Kolonii i Monachium. A po paru dalszych dniach może coś więcej. Odpowiada ci takie rozwiązanie? Powiedz mi jeszcze, co mogę tym ludziom w razie czego obiecać?

— Najlepiej, Konstantynie, gdybyś mi sporządził imienną listę, a przy każdym nazwisku zaznaczył konkretne propozycje, wraz z ewentualnymi życzeniami finansowymi. My naprawdę umiemy być wdzięczni naszym sprzymierzeńcom!

— Dobrze jest być twoim przyjacielem, Waldemarze!

Pożegnanie z zamkiem w Passawie było naprawdę wzruszające, a także według zgodnej opinii całej szóstki zbyt wczesne.

Wesel przeznaczył na pobyt w zamku tym razem zaledwie trzy godziny, ale obiecał dalsze wizyty, na co usilnie nalegał hrabia przy aprobacie hrabianki, która żegnała wszystkich pięknym uśmiechem.

Spędzili tu naprawdę wspaniałe chwile i każdy z nich wykorzystał je na swój sposób.

Siegfriedowi udało się zaprzyjaźnić z nowofunlandczykami Ajaksem i Achillem. Hermann okazał się znawcą architektury i podziwiał eleganckie proporce bramy, drzwi i ot-

worów okiennych. Berner i Bergmann spędzili ten czas głównie w stajniach, rzeczowo i z uznaniem oglądając stadninę hrabiego.

Norden nie odstępował hrabianki, starając się wydać jak najbardziej rycerski. Szedł po jej lewej stronie, pół kroku za nią, w postawie pełnej uszanowania, i prowadzili rozmowę o pięknie natury i naturze piękna. Elisabeth uśmiechała się do niego życzliwie, ale również i do Hageny, który także nie odstępował jej na krok, idąc po jej prawej stronie i nie zachowując się bynajmniej szczególnie rycersko. Czasem nawet stawał przed nią i zatrzymywał, by coś do niej powiedzieć. Wydawało się, że nie widzi Nordena, który także całkowicie ignorował jego obecność.

Na pożegnanie Norden, pochyliwszy się nad dłonią Elisabeth, powiedział:

— To, że mogłem panią poznać, hrabianko, było spełnieniem moich największych marzeń!

— O, jak pięknie pan to powiedział — odpowiedziała, zachwycona.

A Hagen wykrzyknął rubasznie:

— Pani może powalić nawet najmocniejszego mężczyznę!
Elisabeth uśmiechnęła się równocześnie do obu. I ode
szła.

W kilka tygodni później pojawił się późnym wieczorem w willi w Feldafing Heydrich. „Waldi” i „Reini” uścisnęli się serdecznie bez zwykłych formalności. Szef służby bezpieczeństwa Rzeszy zażądał natychmiastowego spotkania z „naszymi ludźmi”. I Wesel wiedział, dlaczego.

Mimo że zarządzone już dla szóstki „nocną ciszę”, pojawili się niezwłocznie, w mundurach SS z odznakami Sturmführerów.

Heydrich na przywitanie podał każdemu z nich po kolei rękę. Przez chwilę patrzył im głęboko w oczy. Potem stanął przed nimi w rozkroku i oświadczył:

— Moj czas, koledzy, jest ściśle wymierzony i jak się wydaje, jest go coraz mniej. Przyjechałem tu, aby z waszym Brigadeführerem omówić pewne sprawy. Przedtem chciałbym jednak przekazać wam, przyjaciele, osobiste posłanie naszego Führera. Otóż Führer był bardzo zadowolony ze spotkania z wami. Kazał mi przekazać wyrazy najwyższego uznania z powodu wyników waszego szkolenia, waszego morale, waszego oddania naszej sprawie. Führer, przyjaciele, ufa wam! Bliska jest już godzina wielkiej próby! Zamelduję Führerowi, że jesteście do niej w pełni gotowi!

Heydrich znów każdemu podał rękę, po czym mogli się już rozejść, bez słowa.

A potem Heydrich przez kilka godzin naradzał się w cztery oczy z Weselem.

Wymieniano przy tym nazwiska, ustalano adresy i stanowiska. Wszystko to odbywało się szybko, jasno i rzeczowo. Na zakończenie leżała przed nimi pierwsza lista zawierająca około sześćdziesięciu nazwisk. Były to wyroki śmierci.

W kilka dni po wizycie Heydricha pewnego popołudnia odbyła się w bibliotece odprawa Grupy Wesela. Prócz Wesela i jego szóstki obecny był również Müller. Wesel: Tym razem hasło brzmi: Röhm, imię Ernst. Znacie je? Oczywiście znano je. Potwierdził to wybuch śmiechu. Hermann, który miał pamięć kartoteki policyjnej, wyrecytował:

— Röhm, Ernst, były kapitan, lat czterdzieści sześć, znany z udziału w puczu listopadowym w Monachium w 1923 roku. Potem uciekł do Ameryki Południowej. Był ekspertem wojskowym w Boliwii. Po powrocie do Niemiec przywódca SA.

Wesel: Zgadza się! A teraz próbuje wyłączyć z gry Wehrmacht i ze swoją SA utworzyć coś w rodzaju armii ludowej.

— Ale chyba nie bez pozwolenia Führera? — zapytał Müller ziewając.

— Właśnie, że tak — odrzekł Wesel.

— A więc występuje przeciw Führerowi! — Myśl ta jakby uradowała Müllera. — Wobec tego wszystko jasne! Naszym następnym celem będzie Röhm i jego banda! Chyba się nie mylę, panie Wesel?

— Nie myli się pan, panie Müller! W związku z tym panu i naszym ludziom przypada w udziale następne ważne zadanie. Jest pan gotów?

— Z rozkoszą, Brigadeführer!

— Spodziewałem się, że tak pan to przyjmie — powiedział Wesel i mrugnął do Müllera. Znał przecież doskonale jego przeszłość. — Miał już pan z SA dość kłopotów. Szczęśliwie udało się panu wymknąć z ich rąk. Ochronę znalazł pan u nas, to znaczy w SS, u mnie, u Führera!

Müller uśmiechnął się szeroko.

— Ja tam nie jestem pamiętliwy w sprawach, które się kiedyś wydarzyły. Nie mówię także, że zawsze mi trochę źle pachniał ten facet z szeroką dupą i z poczuciem swojej misji dziejowej! Ja wiem jedno: Jeżeli ktoś spróbuje stanąć na drodze Führerowi, to stanowi przeszkodę, którą trzeba usunąć! A zatem kiedy, Brigadeführer? I gdzie?

— Już w najbliższych dniach, pensjonat Hanselbauera. Ma się tam odbyć spotkanie kierownictwa SA pod przewodnictwem Röhma. Może tam nastąpić bezpośrednie wystąpienie przeciw Führerowi, któremu musimy zapobiec. Należy się do tego przygotować.

— Będzie załatwione — oświadczył stanowczo Müller.

Po pierwszych szybkich i intensywnych działaniach rozpoznawczych Müller przedstawił Grupie Wesela plan działania:

— Mamy jeszcze tylko kilka dni do zjazdu kierownictwa SA w Bad Wiessee. Do tego czasu musimy poczynić bardzo dokładne przygotowania. Według hasła obowiązującego w kryminologii: Trzeba znać setki szczegółów, z których da się wykorzystać tylko jeden lub dwa. W tym przypadku chodzi o jak najdokładniejsze rozpracowanie tych panów z kierownictwa SA.

Zadanie pierwsze: Wziąć pod nadzór różne lokale i domy schadzek w Monachium i okolicy, o których wiadomo, że je odwiedzają wyżsi przywódcy SA. Oto jest lista pięciu takich adresów. Zajmą się tym Berner i Bergmann. Obserwować dokładnie, kto, gdzie i z kim. Tylko obserwować, nie wkraczać!

Zadanie drugie: Mam tu cztery adresy, trzy pewne, a czwarty wątpliwy. Również w Monachium i okolicach. Chodzi tu zapewne o chłopaczków do zabawy tego Röhma i jego najbliższych. Są to chyba prości szeregowcy, więc nie ma co się szczególnie nimi przejmować. Trzeba jednak uważać! I żadnych awantur! Tymi plugawcami zajmą się Hermann i Siegfried.

Zadanie trzecie: Chodzi o samego Röhma. Zajmą się tym Hagen i Norden. Obaj będą go uważnie śledzić. Znany jest jego prywatny adres w Monachium. Mieszka dokładnie naprzeciwko teatru „Prinzregent”. Mam tu też dokładny opis jego biura. Trzeba jeszcze zdobyć ostatnie szczegóły o pensjonacie Hansebauera w Tagernsee, w którym w sobotę 30 czerwca ma się odbyć to spotkanie. Musicie się zapoznać tak dokładnie z całym rozplanowaniem domu, abyście mogli nawet w nocy wszędzie trafić. Sam osobiście zajmę się zebraniem tych materiałów. A jak już będę miał wszystkie dane, wybierzemy się do Bad Wiessee na rozpoznanie terenu. Zgoda, Brigadeführer?

— Zgoda — potwierdził Wesel, dorzucając z całą powagą ostrzeżenie:

— Jedno wam mogę powiedzieć, panowie. Biada temu, który się wychyli! Tym razem, przyjaciele, idzie gra na całego!

Następnego dnia pod wieczór przybył do willi w Feldafing pewien człowiek nazwiskiem Grabert, Gottfried Grabert. Ciągnął ze sobą ciężką walizkę. Müller przedstawił go Weselowi. Najpierw zostali z nim w holu sami.

— To jest, zgodnie z zapowiedzią, pan Grabert, nasz wybitny znawca broni palnej. Pracuje dla fabryki w Solingen. Według pana życzenia, Brigadeführer, powierzono mu zadanie skonstruowania dla nas broni do szczególnego użytku: rewolweru made in Germany.

Grabert otworzył swoją walizkę, długo odwijał coś starannie otulonego kawałkiem czarnego miękkiego aksamitu, wreszcie wydobył ciężki, stalowobłękity przedmiot i uroczyście położył go przed Müllerem.

— Oto zamówiona przez pana broń specjalna, panie Müller! To broń, jakiej jeszcze nie było, pozwolę sobie stwierdzić. Absolutnie pewna i niezawodna. Przebija wszystko. Kaliber 10,5.

Müller podniósł ciężki leżący przed nim przedmiot i długo ważył w dłoni. Potem wręczył go Weselowi. Ten także, wyraźnie zainteresowany, obracał go przez chwilę w rękę z pewnym niedowierzaniem.

— A więc wypróbujmy tę broń! — powiedział.

— Niech ją wypróbują — zdecydował Müller — nasi najlepsi strzelcy.

— A więc Norden?

— Hagen — powiedział Müller. — On jest w strzelaniu znacznie bardziej uzdolniony niż Norden, niech pan ma to łaskawie na uwadze, Brigadeführer. Co także może oznaczać ostrzeżenie, jeżeli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Natychmiast wezwano Hagenę do holu. Po chwili na strzelnicy zapalono wszystkie reflektory.

Grabert znowu starannie rozłożył swoje czarne aksamitne chusty. Delikatnym ruchem ułożył na nich broń i amunicję, jakby czynił przygotowania do religijnego obrzędu.

Hagen miał na sobie tylko brązową pasiastą piżamę. Niemal łączywie pochwycił rewolwer, który podał mu Grabert, i zaczął go obracać jak zabawkę w dłoni.

— Dość ciężki — powiedział. I natychmiast rzeczowo do dał: — Ale jeśli się tą pukawką da to i owo załatwić, to niech sobie waży.

I nie zastanawiając się, stojąc w szerokim rozkroku, wypalił pierwszy strzał w tarczę przedstawiającą postać Żyda.

Mniej więcej na wysokości brzucha ukazała się dziura wielkości pięści. Hagen stał nieruchomo, zdumiony siłą tego strzału.

Jego drugi strzał został wymierzony w głowę. I ta rozpadła się, jakby rozsadzona dynamitem!

— To fantastyczne! Zupełnie nie spotykana siła! — stwierdził Hagen rzeczowo. — Również celność tego rewolweru jest bez zarzutu. Tylko mocno kopie. Trzeba mieć dużo siły w łapach, żeby go utrzymać. Ale w końcu trochę siły wszyscy mamy. To po prostu wymarzony rewolwer! Mając taką pukawkę, można nawet z dziesięciu metrów wysłać każdą duszyczkę do nieba.

Hagen wypełnił swoje zadanie. Wesel mu podziękował, a nawet Müller z uznaniem kiwnął głową. Było to bardzo rzadkie wyróżnienie.

Hagen poczuł się uhonorowany. To właśnie jego, a nie Nordena tutaj zaproszono. Był dumny z siebie.

— A więc kupujemy? — zapytał Müller, patrząc na Wesela.

Ten skinął bez wahania.

— Kupujemy, panie Grabert.

— Czy pokryjecie, panowie, wszystkie wydatki, jakie poniosłem pracując nad tym rewolwerem?

— Nie tylko te — odpowiedział Müller. — Otrzyma pan dodatkowo kilka tysięcy marek premii. Dwadzieścia?

— Dwadzieścia pięć — rozstrzygnął Wesel.

— Niech pan wykona dla nas w najbliższym czasie dwanaście takich egzemplarzy, panie Grabert — powiedział Müller — i powiedzmy trzysta sztuk amunicji do każdego rewolweru. Kiedy możemy liczyć na realizację tego zamówienia?

— Sześć egzemplarzy przywiozłem ze sobą — odpowiedział uszczęśliwiony Grabert. — Do tego sześćset sztuk nabojów. Resztę dostarczę mniej więcej za miesiąc. Czy to panom odpowiada?

— To — osądził Müller — powinno być akurat.

Spojrzał porozumiewawczo na Wesela. Ten wystawił czek na pięciocyfrową sumę. Lecz nim go wręczył Grabertowi, ostrzegł go, że zamówienie ma charakter ściśle tajny.

Nie może zostać żaden ślad, żadna dokumentacja. Jakiegokolwiek jej dodatkowe egzemplarze wolno wykonać jedynie na bezpośrednie zlecenie Himmlera, Heydricha albo jego, Wesela.

Grabert, który nigdy dotąd nie otrzymał tak wysokiego honorarium, nim się pożegnał, solennie obiecał dochować tajemnicy. Jego talent konstruktorski został doceniony. Zdobył uznanie!

Wesel i Müller pozostali znów sami. Obserwowali się spod oka. Wreszcie Wesel zapytał:

— Jak pan myśli, panie Müller, naprawdę przydadzą się nam te potężne pukawki?

— Jeszcze jak! — zapewnił go Müller. — Przy kalibrze 10,5 wystarczy jeden strzał, gdy przy tych zwykłych trzeba by użyć całego magazynka, by osiągnąć podobny wynik. Przecież ta ręczna armata działa jak dum-dum. Nie tylko przebija ciało na wylot, ale jeszcze zostawia cholerną dziurę!

Waldemar Wesel wykazał w tym momencie orientację w zakresie techniki kryminologicznej:

— Czy użycie takiej niezwyklej broni nie jest zbyt łatwe do rozszyfrowania. Nawet przez kogoś jako tako obeznanego z balistyką? Czy to nie jest tak, jakby się zostawiało swoją wizytówkę przy ciele zabitego?

— I właśnie to — powiedział Müller — można obrócić na naszą korzyść. Musimy tylko odpowiednio ustawić zwrotnice.

— Jakie zwrotnice?

— Widzi pan, w policji kryminalnej zazwyczaj prowadzi się rejestr pewnych trucizn, materiałów wybuchowych, nietypowej broni i wykorzystuje jako materiał porównawczy przy badaniu na przykład jakiegoś ciągu przestępstw.

— I sądzi pan — zareagował natychmiast Wesel — że dałoby się to wykorzystać do naszych celów?

— Chyba bez większych trudności! Jeżeli nawet Himmler nie rzędzi jeszcze całą policją, bo pruska pozostaje pod kierownictwem Göringa, to jednak obaj siedzą w tej samej łodzi, w naszej. A zatem Heydrich, a nawet sam Führer może ich zobowiązać do utworzenia jednej centralnej komisji dla

całej Rzeszy, która będzie ewentualnie badała przypadki użycia broni kalibru 10,5.

— I ta komisja byłaby podporządkowana panu? — Wesel uśmiechnął się z uznaniem. — A więc stawia pan swoją osobę do dyspozycji Heydricha?

Müller potwierdził skinieniem głowy.

— Ma pan coś przeciwko temu?

— Nie — zapewnił Wesel. — Pan należy całkowicie do nas i im wyżej pan się ulokuje, tym lepiej dla nas. Ma pan moje błogosławieństwo.

— Skoro tak, Brigadeführer, to gotów jestem do natychmiastowego objęcia tej komisji specjalnej do rejestrowania przypadków użycia naszej broni specjalnej. Pan to załatwi, a ja wykonam. Dlaczego miałoby się nam nie udać?

Hagen wszedł do pokoju Nordena bez pukania. Zatrzymał się w drzwiach i powiedział: — Mamy teraz co najmniej dwadzieścia cztery godziny wolnego czasu. Ten zasrany Röhm poleciał dziś do Berlina. Trochę potrwa, nim wróci. Moglibyśmy się trochę zabawić. Każdy na własną rękę. Ty na przykład na Leopoldstrasse.

Norden: A co ja mam tam do roboty?

Hagen: Masz tam przecież swoją Erikę, no, tę pannę Schulze. Czeka na ciebie. Tęskni. Prosiła, żebym ci to przekazał. No więc?

Norden: Muszę się przygotować do tego, co nas czeka. To wymaga koncentracji. Nie mam czasu na głupstwa.

Hagen: A więc Erika to dla ciebie głupstwo? Czy czasem jej czegoś nie obiecałeś? Jeżeli jestem dobrze poinformowany, to nawet małżeństwo, czy coś w tym rodzaju! Byłaby z was nawet dobrana para. A więc, bracie, fruwać! Ona już tam przebiera nogami!

Norden: Oszczędź mi, proszę, tych twoich płaskich żartów. Erika to rzeczywiście miła dziewczyna, ale nic poza tym. W porównaniu na przykład z hrabianką Elisabeth...

Hagen: Ależ ona jest dla nas tylko na pokaz. Jak eksponat w gablocie wystawowej, za grubym szkłem. I nikt z nas nie ma do niej dostępu. Wesel do tego nie dopuści.

— Ale ty będziesz próbował?

— Ja wiem, Norden, że mnie cenisz, ale czasem zbyt mi pochlebiasz! Chcę po prostu, żebyś miał jakąś rozrywkę, kiedy ja pójdę z hrabianką do opery. Dają dziś *Tannhausera*. A przedtem i potem mała randka. Masz coś przeciwko temu?

— Tego — wykrzyknął Norden — już naprawdę za wiele! Za daleko się posunałeś! Jeżeli ośmielisz się dotknąć hrabianki swymi brudnymi łapskami, będziesz miał ze mną do czynienia!

— Grozisz mi? — zapytał zaczepnie Hagen. — Wciąż próbujesz mnie zaczepiać! Uważaj, żebym któregoś dnia nie potraktował tego poważnie! Miej się wtedy na baczności! Jeden z nas tego nie przeżyje i z góry mogę ci powiedzieć, kto to będzie!

Owszystkich meldunkach, które wpływały na jego ręce, oraz o odebranych telefonach Raffael natychmiast informował Waldemara Wesela. Berner i Bergmann wykonali już właściwie swoją robotę. Po spenetrowaniu trzech wskazanych im lokali zdobyli pięć następnych adresów. Te same adresy, potwierdzające zboczenia obyczajowe szefa SA, zostały wskazane w materiałach dostarczonych przez Wehrmacht.

Siegfried i Hermann mają wciąż na oku tych chłopaczków z branży. Dwaj z nich już wyjechali na miejsce planowanego spotkania przywódców SA do Bad Wiessee. Jeden z nich wprowadził się do pokoju zarezerwowanego dla Röhma, a drugi do pokoju naprzeciwko, do pokoju przeznaczanego dla OberGruppenführera Heinesa.

Norden i Hagen będą teraz mieli całą dobę przerwy, ponieważ Röhm poleciał do Berlina, a tam nadzór nad nim przejęli ludzie Heydricha. Mogą się tutaj pojawić pewne kłopoty, oczywiście nie ze strony Heydricha czy jego ludzi. Chodzi o to, że Hagen próbował umówić się z hrabianką Elisabeth w Monachium, aby pójść z nią do opery. Zaraz

potem zaproponował jej to samo Norden. W każdym razie obaj ją napastują. Żeby z tego nie wynikło coś niepotrzebnego!

Wesel: Połącz mnie z hrabią Konstantinem!

Połączenie nastąpiło błyskawicznie. Hrabia wydawał się wyraźnie zatroskany.

— Bardzo ci dziękuję, mój drogi, że do mnie dzwonisz. Ale co ja mogę na to poradzić?

— Dokładnie to, co postanowiliśmy. Nikt z moich ludzi nie może zostać wyróżniony ani odtrącony. A więc nie ma mowy o żadnym *Tannhauserzel*

Hrabia: Najchętniej wysłałbym Elisabeth do krewnych za granicę albo wydał za męża, zanim jej jakie głupstwo strzeli do głowy. Nie mogę przecież wiecznie pełnić przy niej roli Anioła Stróża!

Wesel: I wcale nie musisz. Ale wyjazd to niezły pomysł. Może masz kogoś, kto mógłby cię zastąpić w tej roli?

Hrabia: Myślę, że najbardziej odpowiednia do tego byłaby moja siostra Augusta. Mieszka w swoich dobrach w Prusach Wschodnich, koło Olsztyna, i boryka się tam z pewnymi trudnościami finansowymi. Gdyby tak udało się uzyskać dla niej z Funduszu Wschodniego choćby połowę tego, co dostał Hindenburg, byłaby uratowana. To prawdziwa dama, do szpiku kości. W gruncie rzeczy jeszcze ostrzejsza niż moje nowofunlandczyki! Ona potrafi wszystko utrzymać w ryzach. Poradziłaby sobie także z twoimi ogierami. Jak myślisz, dałoby się coś dla niej załatwić? Coś z tym Funduszem Wschodnim?

Wesel: Drogi przyjacielu, koszty nie grają tu żadnej roli!

Ostatnie dni czerwca 1934 roku były dla Grupy Wesela okresem wzmoczonej aktywności. Brigadeführer przepędzał ich z miejsca na miejsce, jak pies pasterski swoje stado. Zawsze z Müllerem na zapleczu. Przemierzali wzdłuż i wszerz bliższe i dalsze okolice, w pełni zmotoryzowani, z aparatami nadawczymi, pozostając stale w łączności między sobą. Pędzili z Feldafig do Wiessee, stamtąd do Monachium, potem z powrotem do Feldafig.

Raffael, zgodnie z instrukcją, zbierał wszystkie napływające meldunki. Müller je przeglądał i segregował. Potem przekazywał je Weselowi. A ten godzinami rozmawiał przez telefon z Berlinem. Głównie z Heydrichem. Raz nawet z samym Führerem.

W tym okresie Müller nie przepuszczał żadnej okazji, by ćwiczyć Grupę Wesela w strzelaniu z nowej broni o kalibrze 10,5. Prowadził zajęcia czasem bardzo wcześnie rano, ale niekiedy także w środku nocy, nawet po najbardziej wyczerpującym wysiłku. Przeciętą, jaką osiągnęli w tych zróżnicowanych warunkach, wynosiła dziesięć punktów na dwanaście możliwych. Było to poważne osiągnięcie. Hagen uzyskiwał je bez trudu, ale Norden także. Müller mógł o tym z zadowoleniem zameldować Weselowi.

Ten z uznaniem pokiwał głową.

— Pozostało już tylko kilka godzin. Chyba, że Röhm zde cyduje się w ostatniej chwili odwołać spotkanie. Ale to mało prawdopodobne.

Tak więc zaledwie kilka godzin później, w nocy 30 czerwca 1934 roku, Wesel zebrał wokół siebie swoich ludzi. Wydało mu się, że jeszcze nigdy ich nie widział tak skupionych i gotowych do działania. Oni z kolei widzieli w nim skałę, której nawet trzęsienie ziemi nie zdoła skruszyć. Stał przed nimi jak opoka, a za nim, niby czarny cień, Müller w ciemnym garniturze.

— Przyjaciele! — oznajmił Wesel — oczekiwana chwila nadeszła! Jesteście gotowi?

Byli gotowi.

— Proszę wobec tego, panie Müller, wydać ostateczne rozkazy.

Müller odczytał je równym, spokojnym głosem, niby komunikat meteorologiczny:

Grupa pojedzie dwoma samochodami. Zostały technicznie sprawdzone, zatankowane, wyposażone w radiostacje. Mercedes zabierze Brigadeführera i jeszcze trzy osoby. Horch zabiera mnie i pozostałych trzech. W obu wozach jeden z was usiądzie za kierownicą.

Będziemy utrzymywać stałą łączność ze sobą, a także z centralą w Feldafig, którą będzie obsługiwał Raffael. Pod-

czas całej akcji stacje nadawcze i odbiorcze będą pracować na innej niż dotychczas częstotliwości. Pracujemy na fali 150.

Każdy otrzymuje rewolwer 10,5. I do tego po trzydzieści sztuk amunicji. To powinno wystarczyć. Ja będę miał przy sobie dodatkowy zapas. Żadnej innej broni, żadnych granatów! Wszystko musi odbyć się dokładnie tak, jak zaplanowano. Czy to jasne?

Było jasne.

Wtedy włączył się Wesel:

— Czas naszej akcji jest bliżej nieokreślony. Może trwać dwadzieścia cztery godziny, ale możliwe, że będziemy potrzebni także później. A więc pełna gotowość! Przystępujemy do roboty o pierwszej w nocy! Czy to także jest jasne?

To też było jasne.

Po niecałej godzinie jazdy opustoszałymi nocą szosami Grupa Wesela dotarła do Oberwiesefeld pod Monachium. Zatrzymali się tam na skraju lotniska, tuż koło pasa startowego.

W takich samych samochodach, jakimi oni przyjechali, siedziało tam już około dwudziestu mężczyzn. Czekali w napięciu, bez słowa.

Lotnisko obstawiała mniej więcej setka umundurowanych policjantów. Z pewnością żaden z nich nie wiedział, kogo mieli obstawiać i w jakim celu się tu znaleźli. Wykonywali rozkaz i to wszystko.

Z jednego z mercedesów wysiadł szczupły, niewielkiego wzrostu mężczyzna, z obwisłymi ramionami, w okularach bez oprawy, dość niepewnie się poruszający. Był to Heinrich Himmler, Reichsführer SS, zwany czasem zdrobniale „Reichsheini”. Szedł w kierunku Wesela.

Wesel też wysiadł z samochodu i wyszedł mu kilka kroków naprzeciw. Miał to być gest uprzejmości, ale nic więcej. Podali sobie ręce. Dłoń Himmlera była zimna i wiotka. Wesel to wyczuł, ale uściśnął ją na pozór serdecznie. Popatrzyli sobie przy tym badawczo w oczy.

— Czekałem na ciebie, Wesel — odezwał się pierwszy Himmler. — Zawsze wiedziałem, że nasz Führer może na tobie polegać. Także w tej trudnej chwili.

— Tak jak i na tobie, Reichsführer. Idzie tu przecież o nasze SS.

Himmler milczał przez chwilę, a potem zapytał:

— Czy twoi ludzie sprostają temu wszystkiemu?

— Sprostają, Reichsführer! — zapewnił Wesel. Himmler, jakby nieco odprężony, skinął głową. Niemal ojcowskim wzrokiem zlustrował przez swoje grube okulary stojącą przed nim szóstkę, która na jego widok wyprężyła się na baczność. Uniósł ramię w pozdrowieniu, a młodzi ludzie wpatrywali się w niego z oddaniem, podobni do czarnych rycerzy przyjmujących błogosławieństwo przed udaniem się w bój.

— Rozumiem, że każdy z twojej grupy zna swoje zadania. Także, jeżeli chodzi o samego Röhma.

— Zajmiemy się nim zgodnie z wolą Führera. Posprzątam ten cały śmierdzący gnój! Dwóch moich ludzi zajmie się jego obstawą, dwaj inni jego najbliższymi współpracownikami, a pozostała dwójka nim osobiście.

— Czy go sprzątniecie? To znaczy, czy twoi ludzie, Wesel, nie zawahają się w ostatniej chwili? Czy są na to gotowi? To byłoby najlepsze rozwiązanie.

Wesel zerknął na swego Reichsführera jakby ze zdziwieniem. Po chwili powiedział bardzo wolno cedząc słowa:

— Führer wyraził życzenie, byśmy mu dostarczyli Röhma żywego.

Himmler jakby przestraszył się tych słów.

— Czy Führer powiedział ci to osobiście?

— Nie. Kazał mi to przekazać.

— Przez kogo? Kiedy?

— Dziś w nocy. Jakieś trzy godziny temu.

— Ale przez kogo? — dopytywał się Himmler.

— Przez Heydricha — odpowiedział Wesel, co zamknęło sprawę.

Reichsführer na te słowa cofnął się nieco. Jego pofałdowana twarz pobladła. Lekko zakaszłał, jakby był przeziębiony. Po długiej chwili znów się odezwał:

— No dobrze! Führer na pewno wie, o co mu chodzi. Co nie oznacza, że nie może powstać sytuacja, w której nie będzie innego wyjścia jak zastrzelić Röhma. Choćby w obronie własnej.

— Taka sytuacja, oczywiście — powtórzył wolno Wesel — zawsze może się zdarzyć. Można ją nawet odpowiednio zaaranżować, dając Röhmowi możliwość sięgnięcia po broń. Wtedy byłoby już po nim. Czy ci na tym zależy, Reichs-Führer?

— No, nie można tego całkowicie wykluczyć.

— Nie — potwierdził Wesel. — Ale tylko w takim przypadku, jeżeli otrzymam odpowiedni rozkaz. Uzgodniony z Führerem. Czy mam rozumieć, że jest tak?

— Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby szybkie załatwienie się z Röhmem.

— Twoim zdaniem. Ale czy taka jest opinia Führer a?

— Oczywiście Führer sam zdecydował — odpowiedział pospiesznie Himmler. — Ja nie chcę i nie mogę go wyręczać. To była tylko rada.

— Rady są zawsze dobre. Ale rozkazy są lepsze — zauważył ironicznie Wesel. — Czekajmy więc na Führera!

Na niebie krążył samolot typu Ju 52 i zaczął się zniżać ku lotnisku Oberwiesefeld z wyłączonymi już silnikami. Sapiąc, prychając i bulgocąc, usiadł wreszcie na ziemi. Potoczył się po pasie startowym, zatoczył łuk i stanął. Dochodziła czwarta nad ranem. Niebo było jeszcze ciemne, ale niebawem po krótkiej letniej nocy miał nastać brzask. Wielka, ciemna metalowa skrzynia stała na płycie lotniska. Błyskawicznie podwieszono ruchome schody, drzwi otworzyły się. Na znak dany przez Himmlera około czterdziestu zgromadzonych mężczyzn ruszyło niemal jednocześnie w stronę samolotu.

Z samolotu wysiadł najpierw tęgi, niemal olbrzymi, ale elegancko poruszający się mężczyzna, osobisty adiutant Führera. Wyglądało, jakby stojąc na schodkach rozkoszo-

wał się świeżym porannym powietrzem w Oberwiesefeld. W rzeczywistości jednak sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Po chwili, uspokojony, powrócił do samolotu. Po kilku sekundach ukazał się Adolf Hitler. Był w skórzanym ciemnobrązowym płaszczu, który po chwili zdjął. Natychmiast pochwytyły go cztery ręce stojących tuż za nim osób towarzyszących. Wyglądał w tej chwili niepozornie, wręcz skromnie, ale jego gardłowy głos zabrzmiał donośnie.

— Jest pan, Himmler! — zawołał, wyciągając do niego rękę.

— Wszystko gotowe?

— Tak, Führerze!

— Dobrze! — Hitler spojrział na niego badawczo. Był błydy i wyglądał na zmęczonego. Ręce oparł na klamrze pasa. Skinął na swego adiutanta, ale zrobił to chyba odruchowo, żeby coś zrobić w tym momencie.

Adiutant szepnął Himmlerowi kilka słów, po czym ten krzyknął dźwięcznym głosem na całe lotnisko:

— Zbieramy się, przyjaciele, wokół Führera!

Blisko czterdziestu mężczyzn błyskawicznie otoczyło Adolfa Hitlera. Ten wciąż zaciskał jedną w drugiej swoje trzęsące się dłonie, starał się jednak rozpoznać każdego z zebranych. Skinieniem głowy odpowiadał na ich pozdrowienia, uśmiechając się do nich z wdzięcznością, ale był to odruch raczej mechaniczny, starannie wyreżyserowany.

Nagle dostrzegł Wesela, który wraz ze swoją szóstką oczekiwał w napięciu. Podszedł do nich.

I do nich właśnie skierował Hitler słowa, które miały przejść do historii, a wyrzekł je nieco drżącym głosem:

— Jest to najczarniejszy dzień mojego życia! Ale pojedę do Bad Wiessee i wydam surowy wyrok!

Gdy Hitler wchodził do bawarskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, urzędu, na którego współdziałanie mógł liczyć w każdej sytuacji, nad Oberwiesefeld właśnie wzeszło słońce i oświeciło swymi różowymi promieniami Ju 52. Było kwadrans po

czwartej. Hitler rozkazał, aby jako pierwszego wprowadzono do niego dowódcą SA w Monachium, Gruppenführera Wilhelma Schmida. Ten czekał już w pokoju obok.

Gdy wszedł do gabinetu, Hitler, ciężko dysząc, rzucił się na niego, zerwał mu dystynkcje z munduru, rzucił je na podłogę i kilka razy przydeptał obcasem, krzycząc:

— Jest pan aresztowany i zostanie rozstrzelany!

Schmid wtulił głowę w ramiona i próbował coś powiedzieć, ale nie zdążył. Dwaj ludzie z Grupy Wesela, Berner i Bergmann, złapali go za ręce, szarpiąc, wyciągnęli z gabinetu i przekazali w ręce czekającej już na korytarzu straży SS. Ci chwycili go i ściągnęli po schodach jak worek ziemniaków.

Stacją końcową dla Schmida i siedmiu czy ośmiu innych wyższych dowódców SA był Stradelheim, słynne więzienie monachijskie. Był to dopiero skromny początek.

— A co teraz, Führerze? — zapytał Waldemar Wesel, który z upodobaniem przyglądał się tej scenie. — Możemy już jechać do Tegernsee?

Hitler skinął głową.

Chwilę potem spod budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ruszyła kawalkada czarnych samochodów zmierzających w kierunku Tegernsee — Bad Wiessee, miejscowości odległej o około godzinę jazdy od Monachium.

Samochód z Führerem jechał niemal na czele kolumny. Wyprzedzał go tylko samochód z trójką ludzi Wesela pod komendą Müllera. Pozostała trójka, z Nordenem i Hagenem, jechała bezpośrednio za mercedesem Führera.

Obok Hitlera siedział Wesel. Przeglądał akta leżące na jego kolanach: szkice miejscowości, plany rozmieszczenia posterunków, zadania grupy specjalnej, spisy osób biorących udział w zgromadzeniu SA, szczegółowy plan ich zakwaterowania w pensjonacie Hanselbauera.

Kolumna samochodów wyruszyła z Monachium dokładnie o godzinie 5.50, do celu zaś dotarła o godzinie 6.25, a więc po wręcz brawurowej jeździe.

Doktor Joseph Goebbels, minister Rzeszy do spraw propagandy i oświecenia publicznego, nazwał to, co się wydarzyło wczesnym rankiem tego dnia, „nocą długich noży”.

Celem numer jeden akcji w Bad Wiessee był „ten zdrajca Röhm”, a tym samym dom, w którym tego ranka przebywał, pensjonat czy też hotel Hansel-bauera, różnie go bowiem nazywano. Na tablicy na bramie widniał napis „Sanatorium Hanselbauera”.

Budynek, który można by określić jako typowo bawarski, wyglądał przytulnie ze swym malowniczym, krytym dachówką, spadzistym wysokim dachem, osłaniającym ciągnące się pod nim liczne balkoniki. Dom był niezbyt wielki: piwnica, parter, dwa piętra, bezpośrednio pod dachem małe pokoiki mansardowe.

W tym właśnie domu spotkał się „ten Röhm” ze swoimi najbliższymi współpracownikami. Zebrali się, by w konspiracji omówić swoje „wywrotowe plany”, jak to niebawem oficjalnie określono. Zjechali się tu — cała góra SA — już poprzedniego wieczora, razem ze swoimi „prostytutkami” — jak napisała o tym prasa.

Początkiem ich „odprawy sztabowej” był wielki bankiet. Przy stołach pełnych pieczonych kielbasek, piwa, ciasta, wina, koniaków i wódek przedwcześnie, jak się później okazało, świętowali zwycięstwo.

Teraz jednak, nad ranem, spali wszyscy, jeszcze odurzeni nocnym alkoholem, niczego nie przeczuwając. Spali, jak donosiła potem prasa, „spłeceni ze sobą”. Porozkładali się po fotelach i dywanach, chrapali, stękali. Leżeli, jak później mówiono, jeszcze przed śmiercią jak zabici.

Pewnymi przygotowaniem organizacyjnymi, jak otoczeniem Bad Wiessee przez oddziały policyjne, wzmocnieniem stacjonującej w pobliżu kompanii SS, tak żeby mysz się nie przemknęła, jak również zorganizowaniem przylotu Hitlera i części jego gwardii przybocznej pod opieką Seppa Dietricha, kierował, wydając polecenia i rozkazy telefoniczne z Berlina, Heydrich.

— Gdyby cokolwiek miało się nie udać — powiedział do Wesela — to już nie będzie moja wina. Wiem, że w pozostałych sprawach mogę się całkowicie zdać na ciebie i twoich ludzi. W końcu Hitler będzie wszystkiego doglądał osobiście.

Adolf Hitler, im był bliżej celu, tym bardziej wydawał się zdecydowany. Przez dłuższy czas milczał, obmyślając widocznie plan działania. Zaciśnął wargi. Jego podbródek dygotał. Gdy wysiadł z samochodu przed hotelem, potknął się i omal nie upadł. Natychmiast jednak odzyskał równowagę. Towarzyszyli mu Hagen i Norden, ubezpieczając z prawej i lewej strony. Wesel pozostał parę kroków za nimi.

Hitler pędził teraz jak szalony do przodu. Norden i Hagen starali się biec o dwa kroki przed nim. Tuż przed wejściem dołączyli do nich Berner i Bergmann, z prawej zaś Siegfried i Hermann, wszyscy z wyciągniętymi rewolwerami, i tak wpadli do holu, który był pusty o tej porze. Norden walił teraz kolbą swego rewolweru w drzwi pokoju, w którym zatrzymał się Röhm. Drzwi się otworzyły. Röhm stał przed nimi w długiej białej nocnej koszuli i patrzył ze zdumieniem na swego Führera.

— Ty tutaj?

— Aby się z panem policzyć!

— Ty ze mną? — Röhm patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami. — Ja przecież jestem twoim przyjacielem! Mało masz takich!

I chyba tak naprawdę musiało być. Hitler bowiem z niewieloma ludźmi był na ty, a Röhm do nich należał.

— Pan mnie zdradził! — krzyczał Hitler. — Nadużył pan mojego zaufania! Tym samym przekreślił pan swoje życie, Röhm!

Röhm gorączkowo szukał właściwych słów odpowiedzi.

— I ty, Adolf, to mówisz? — wykrztusił wreszcie. — Po tym wszystkim, cośmy razem przeżyli?

— Zbędne gadanie! — zawołał Wesel z korytarza. — Wyprowadzić go!

Ernst Röhm spojrział w kierunku Waldemara Wesela. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Hagen i Norden wepchnęli go do jego pokoju. Oświadczyli mu, że jest aresztowany. I teraz milczał, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Teraz numer dwa — rozkazał Wesel. — Naprzeciwno!

Siegfried i Hermann wyważyli drzwi. Zapalili światło. Z łóżka wyskoczyli niemal równocześnie Obergruppen-Führer Heines i jakiś „aksamitny młodzieniaszek”, obaj nadzy.

— To hańba — wrzasnął na ich widok Hitler. — Ja nie mogę na to patrzeć, Heines!

OberGruppenführer wskoczył z powrotem do łóżka, usiadł i okrywając się do połowy, niemal butnie powiedział:

— To przecież nie było dla pana żadną tajemnicą. Już od lat pana o tym informowano. Skąd teraz to nagłe obu rzenie?

Tymczasem „aksamitny młodzieniaszek”, widząc u świty Führera, wyciągnięte rewolwery, padł na kolana i próbując doczołgać się do drzwi jękliwie zapewniał:

— W naszym przypadku to miłość, czysta miłość! Proszę mi wierzyć!

Jeden strzał z rewolweru Hermanna roztrzaskał mu głowę. Führer wycofał się z pokoju, a tymczasem Siegfried chwycił w pół OberGruppenführera, wyciągnął go z łóżka i powłókł na korytarz, gdzie przejęli go w swoje ręce ludzie z SS. Rzucali nim jak paczką, która co chwila spada z przeładowanego wózka.

Strzał, który położył „aksamitnego młodzieniaszka”, zaalarmował wszystkich mieszkańców pensjonatu. Z pokoi zaczęli wybiegać na wół ubrani mężczyźni. Wszystkich ich położyły trupem następne strzały.

Liczba zabitych w tej rzezi o porannej godzinie wyniosła ponad dwadzieścia osób. Chwilę później leżeli na podwórku za domem jak wyrzucone śmiecie.

Dopiero w dwa tygodnie później Hitler poinformował o tych wydarzeniach Reichstag, który obradował w gmachu opery. Berlińczycy, pokpiwając z Reichstagu, nadali mu potem przydomek „wielkoniemieckiego chóru”, gdyż jedyną jego reakcją na przemówienie Führera było odśpiewanie hymnu narodowego.

Przedtem jednak Hitler oświadczył:

— Niech każdy wie, że jeżeli odważy się podnieść rękę do państwo, czeka go śmierć!

*Wyjaśnienie Herberta Hubmanna, ówczmatego dyrektora
hotelu w Bad Wiessee:*

Wszystko odbyło się zupełnie nieoczekiwanie. Nie chcę przez to powiedzieć, że zostaliśmy napadnięci. Prawdopodobnie chodziło tu o konieczną państwową akcję w obronie Rzeszy. Oczywiście, że nie było to dla mnie obojętne. Pragnę nawet podkreślić, że byłem tym wszystkim najgłębiej wstrząśnięty. Złożyłem nawet wówczas coś w rodzaju zażalenia do władz, ponosząc ryzyko, że znajdę się w obozie koncentracyjnym. Bardzo możliwe, że owego 30 czerwca 1934 roku trupy leżały całymi dziesiątkami. Najpierw leżały w pokojach i na korytarzach, potem w holu i w ogrodzie, aż wreszcie zniesiono je wszystkie na podwórze za domem. Bardzo szybko zabrano je stamtąd ciężarówkami. Naszemu hotelowi przyznano wspaniałomyślnie ogromne odszkodowanie finansowe za straty moralne i materialne. Dodatkowo przydzielono nam potrzebną liczbę rzemieślników i materiały budowlane, z czym wcale nie było tak łatwo.

W każdym razie po kilku tygodniach nasz piękny renomowany pensjonat znów lśnił pełnym blaskiem. Następny sezon letni 1935 roku był już dla nas pełnym sukcesem. Mieliśmy mnóstwo gości, głównie z zagranicy. Również wielu dziennikarzy, także amerykańskich, pochlebnie pisało o swoim pobycie u nas. Chciałbym na jeszcze jedno zwrócić uwagę: otóż ten Ernst Röhm wcale nie został u nas zabity. Wywieźli go żywego. Przywiązuję dużą wagę do tego stwierdzenia.

Ernsta Röhma, byłego szefa sztabu SA, osadzono w więzieniu śledczym Stadelheim pod Monachium. Ubrany w pasiastą brązowo-białą piżamę leżał zdrętwiały na twardej pryczy. Jego nabrzmiała, pokryta bliznami twarz, spływała potem.

Nawet się nie poruszył, gdy do jego celi wkroczył Waldemar Wesel, a za nim Norden i Hagen, którzy jednak zatrzymali się w drzwiach.

— Röhml! — wykrzyknął Waldemar Wesel. — Proszę wstać! — Stał przed nim w rozkroku, w mundurze SS, w czapce z trupa główką nasuniętej głęboko na czoło. — Muszę z panem porozmawiać.

Szef sztabu uniósł się nieco, by móc spojrzeć, kto go zaszczycił swymi odwiedzinami. Na jego twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

— Co masz mi do powiedzenia, Waldemarze? Nie jestem najlepszym słuchaczem twoich filozoficznych wynurzeń.

Wesel jakby na chwilę oniemiał, po czym ostro wrzasnął.

— Zabraniam panu zwracać się do mnie po imieniu! Führer odebrał panu ten przywilej, a ja przyłączam się do jego decyzji. Jestem tutaj z polecenia Führera i muszę pana prosić o właściwe zachowywanie się!

Röhml oburącz objął swoją spoconą głowę, jakby chciał sobie pomasować skronie. Spojrzał spod czoła na swoich gości, usiłując odgadnąć cel ich wizyty.

Wyjaśnił mu to bez żadnych ceregieli Hagen cichym, niemal przymilnym głosem:

— Wstawaj no, Röhml, bo jak nie, to tak cię kopnę w twoją tłustą dupę, że ci się rozleci na dwoje!

— Czy ja muszę pozwalać na takie traktowanie?

Były szef sztabu spojrział pytająco na Wesela i od razu pojął, że nie doczeka się odpowiedzi.

Zgiął się w pół, spuścił nogi z pryczy, wreszcie stanął chwiejąc się nieco.

— Przyszliście tu, żeby mnie wykończyć?

— O to już postarają się inni, jeżeli to okaże się konieczne. Albo jeżeli pan nas do tego zmusi. — Wesel mierzył wzrokiem Röhmla z widoczną pogardą. — Tak od razu pana wykończyć to byłoby za łatwe.

— No pięknie! — roześmiał się Röhml. — Czego jeszcze ode mnie chcesz? Żeby przed swoją egzekucją, jeśli się oczywiście na to odważycie, jeszcze krzyknął: „Niech żyje Führer!?”

Wesel zachował niemal kamienny spokój. Przemówił do niego niemal uprzejmym, koleżeńskim tonem:

— Mam tu pewne oświadczenie napisane w pana imieniu, Röhml. Przyznaje się pan w nim do pewnych błędów i żałuje za nie. Popełnił pan pewne czyny, które obecnie uważa pan za naganne. Podpisze pan?

Röhm spojrział na niego z ukosa.

— A jeżeli podpiszę, to co? Uwolnicie mnie? Będę mógł robić, co zechcę. Na przykład wrócić do Ameryki Południowej, gdzie mnie jeszcze cenią i gdzie mam przyjaciół? Pozwolicie mi?

— Już nie — odpowiedział Wesel z surowym wyrazem twarzy. — Ma pan tylko złożyć swój podpis pod tym oświadczeniem, jako ostateczny akt na rzecz Führera. Jest pan gotów?

— A jeżeli nie? — Röhm, wyprostowany, sapał ciężko. — Hitler nie odważy się ot tak po prostu zamordować mnie. Jednego z niewielu swoich przyjaciół, z którymi był na ty! Swego najbardziej oddanego współpracownika! Walczyliśmy przecież ramię w ramię! Takich rzeczy on nie może zapomnieć!

— Pan także nie może — powiedział Wesel. — I na to Führer liczy. Powinien pan być mu za to wdzięczny, Röhm!

— On się nie odważy, nie, nigdy się nie odważy nas zlikwidować, a szczególnie mnie!

— Wszyscy pana współpracownicy, Röhm, zostali już skazani, a wyroki będą wykonane dziś albo jutro. Egzekucja odbędzie się tu, na dziedzińcu więzienia. Może pan przyglądać się, jeżeli pan zechce. Potem zostanie już tylko pan.

Röhm zachwiał się na nogach.

— A więc wyznaczono już mojego mordercę?

— Załatwi to ktoś obecny teraz w tym pomieszczeniu!

Późniejsza relacja Alfonsa Sonnenhubera, byłego naczelnika wydziału śledczego w Stadelheim pod Monachium:

Nie można winą za to, co się stało, obarczać naszego wydziału więziennictwa. Chodziło tu o swego rodzaju urzędową pomoc, przed której udzieleniem nie można było się wybronić. Naszą oficjalną władzą zwierzchnią były wówczas organa

sądownicze Bawarii, a więc osobiście pan minister. Działał on wyraźnie w myśl zaleceń pełnomocnika Rzeszy, Rittera von Eppa. Tak więc na jego polecenie musiałem w trybie pilnym opróżnić jedno skrzydło naszego gmachu. Jednocześnie przysłano oddział specjalny policji do nadzoru tego skrzydła i pewną liczbę śledczych.

Do nas należało jedynie zaopatrzenie przywiezionych osób w kible większych wymiarów, koce i to podwójne, i wodę do picia, którą uzupełniało się co sześć godzin. A poza tym więźniowie dostawali wspaniałe jedzenie a nawet trunki. Wszystko to na specjalny rozkaz i poza budżetem. Tacy byliśmy humanitarni.

Oczywiście, że odbywały się egzekucje, czyli wykonywanie wyroków specjalnych. Rozstrzelano u nas sześciu czy ośmiu, a może nawet więcej wyższych funkcjonariuszy SA. Na podwórzu więziennym. Ale odbywało się to bez udziału naszej służby więziennej.

Otrzymałiśmy wówczas jednoznaczne i obowiązujące pod względem prawnym instrukcje, że egzekucją wyroków zajmie się straż przyboczna Adolfa Hitlera pod dowództwem Gruppenführera Dietricha. I ten kazał ich rozstrzelać.

A więc my, jako zarząd więzienia, nie mieliśmy z tym naprawdę nic wspólnego. Mogę do tego dodać, że tak powiem, pewien szczegół, już dziś historyczny. Otóż zanim wszyscy członkowie byłego kierownictwa SA zostali rozstrzelani, Gruppenführer Dietrich opuścił miejsce egzekucji, rzucając znaczącą uwagę: „Udało mi się!”

Mogę o jednym zapewnić: Pan Röhm, były szef sztabu SA, nie został wówczas rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. Przeżył jeszcze po tej egzekucji dwa dni.

Znaleziono go martwego w celi. Widocznie popełnił samobójstwo. Tak przynajmniej głosił oficjalny komunikat, który był dla mnie miarodajny. Jakaś agencja informacyjna rozpowszechniała inną wersję, ale jest to zupełnie inna sprawa, dla nas właściwie bez znaczenia.

Ostatnia faza tak zwanej afery Röhma miała przebieg błyskawiczny. Hitler o tym przesądził, a jego polecenia natychmiast przekazał Heydrich Weselo-wi, dodając w wielkim zaufaniu, że bardzo na to nalegają Himmler i Göring, a ponadto Wehrmacht.

— Oni chcą sobie przede wszystkim oczyścić stół. A więc koniec z tym Röhmem. A nam to chyba też jest na rękę, co?

— Oczywiście — zapewnił Wesel. — Wobec tego biorę załatwienie tej sprawy na siebie.

— Ale nie rób tego osobiście, choć początkowo Führer sobie tego życzył. W końcu przekonałem go jednak i to argumentacją, którą chyba i ty zaakceptujesz. Prędzej czy później wyjdzie na jaw, kto go załatwił. Ty zaś, a tak samo myśli nasz Führer, powinieneś konsekwentnie pozostawać na zapleczu, abyś stamtąd niejako anonimowo jeszcze długo mógł pracować dla Führera i Rzeszy.

— W porządku! A kogo oficjalnie obarczyć tym zadaniem?

— Jednego z naszych fachowców w tej dziedzinie, Brigadeführera Eickego, komendanta obozu koncentracyjnego w Dachau. Oddany człowiek, niezawodny towarzysz. Znasz go przecież? Zgadzasz się?

— Dobrze. Wobec tego ustępuję mu pola działania.

— O nie, to nie tak, mój drogi! — Heydrich roześmiał się wesoło. — Wiem, jak bardzo ci zależało na tej sprawie. Więc życzę tobie i twoim ludziom dobrej zabawy. Co w praktyce będzie wyglądać tak: Ty wszystkim dowodzisz od początku do końca. Ty przekazesz polecenie naszemu przyjacielowi Eickemu i ty czuwasz nad przebiegiem całej akcji. Ale, jeżeli ci to bardziej odpowiada, możesz przekazać sprawę do załatwienia któremuś z twoich ludzi, byle anonimowo. Czy to by ci odpowiadało?

3eszcze tego samego dnia do więzienia śledczego Stadelheim przybył Brigadeführer Theodor Eicke, komendant obozu koncentracyjnego w Dachau, człowiek o ponurej twarzy, krzaczastych brwiach, i wydatnym nosie. Od jego nozdrzy do kącików ust rysowały się głębokie bruzdy.

W holu przy wejściu głównym czekał na niego Wesel w towarzystwie Hageny i Nordena. Przywitanie było krótkie, ale serdeczne: uniesienie ramion, potem uścisk dłoni i głębokie spojrzenie sobie w oczy.

— Coś szczególnego? — zapytał rzeczowo Eicke.

— W zasadzie nie — odrzekł Wesel.

— To dobrze. Wobec tego załatwię go, choć szczerze mówiąc szczególnej przyjemności mi to nie sprawi. Przepiliśmy wspólnie z Röhmem niejedną noc. Ale, po prawdzie, kiepski z niego pijak. Nie umiał mi dotrzymać kroku. Oczywiście nie znaczy to, że go za to nie lubię.

Wesel ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Jeden z moich ludzi będzie ci towarzyszył. On wykona właściwą robotę.

— Nie musi — zapewnił go Eicke. — Ale nie powiem, aby mi to nie było na rękę. Wobec tego chodźmy!

— Chwileczkę, mój drogi! — powiedział Wesel z pewnym namaszczeniem. — Mam dla ciebie jeszcze kilka instrukcji i proszę, abyś się do nich zastosował: Po pierwsze, wręczysz Röhnowi sformułowane przeze mnie oświadczenie, przyznanie się do winy. Spróbuj go przekonać, żeby to podpisał. Daj mu na to trzy minuty. Jeśli chodzi o dalsze postępowanie, to nie ma znaczenia, czy podpisze, czy nie. Po drugie, oznajmisz Röhnowi krótko i jednoznacznie, że wyrok na niego zapadł. Może jednak wykonać go sam, jak przystało żołnierzowi. Ma się zastrzelić. Daj mu więc swój pistolet. Połóż go przed nim. Daj mu na to dziesięć minut. Zostaw go samego. Jestem pewien, że tego nie zrobi, w gruncie rzeczy to tchórz. Wobec tego niezbędny będzie punkt trzeci: ostateczna likwidacja! Czy są pytania?

Eicke nie musiał się zbyt długo zastanawiać, aby wynaleźć słaby punkt tego planu.

— Mam mu dać mój pistolet? A jak on do mnie strzeli? To byłoby zupełnie możliwe! Zawsze miał lekkiego kręcka.

— To jest praktycznie niemożliwe — zapewnił go Wesel. — Nie będziesz z nim sam. Jeden z moich ludzi będzie ci towarzyszył. Obaj — tu wskazał na Hageny i Nordena

— trafiają z odległości dziesięciu metrów w najmniejszą muszkę, zanim zdąży poruszyć skrzydełkami.

Brigadeführer Eicke przyjrzał się uważnie stojącym obok Wesela młodym ludziom.

— A więc który idzie ze mną?

Wesel przmrużył oczy, rozkoszując się tą sytuacją. Miał jeszcze czas na podjęcie decyzji.

— Obaj, jak powiedziałem, są równie dobrzy. Mój wybór nie oznacza, że jeden jest lepszy, a drugi gorszy.

— A więc kto? — wykrzyknął Norden, nie mogąc już dłużej znieść napięcia.

— Hagen.

— Nie ja?

— Powiedziałem: Hagen!

— Wobec tego idziemy, Brigadeführer!

Eicke ruszył pierwszy, Hagen za nim.

Wesel i Norden pozostali sami. Przez małe okienka z trudem przenikało światło słoneczne.

— Dlaczego nie ja? — zapytał raz jeszcze Norden.

Wesel popatrzył na niego przeciągle. Pobłażliwie i suro wo zarazem.

— Zapamiętaj jedno, Norden. Ja tu rządzę, ja sam! Rozu miesz? I wiedz, że czekają nas jeszcze znacznie większe, znacznie ważniejsze zadania. I wtedy wyznaczą do nich cie bie, Norden. Jasne?

Domniemania, domysły i opinie przypadkowych świadków:

1. *Eckstein, Wilhelm, dozorca więzienny:*

Zobaczyłem dwóch ludzi wchodzących do celi, w której przebywał Röhm. Po jakimś czasie wyszli, a po kilku minutach znów tam wrócili. Potem usłyszałem dwa strzały. Tak, dwa! Na pewno się nie myłę.

2. *Sinhuber, Josef, śledczy:*

I ja widziałem tych dwóch mężczyzn. Ale nie wiem, kim byli. Choć jeden z nich wydał mi się znajomy. Gdy potem pokazano mi kilka fotografii, abym go zidentyfikował, z łatwością go rozpoznałem. To był na pewno Eicke, komendant obozu koncentracyjnego w Dachau.

Tego drugiego ani przedtem, ani potem nigdy nie widziałem.

3. *Sonnehuber, Alfons, naczelnik więzienia w Stadelheim:*

Przyjazd Eickego został nam zapowiedziany przez bawarskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a więc naszą nadrzędną jednostkę. Wszystko się odbyło zgodnie z przepisami. Tym bardziej, że Hitler w swoim historycznym przemówieniu w Reichstagu, jako najwyższy sędzia narodu, wziął na siebie całą odpowiedzialność za te wydarzenia.

4. *Schlaguweit, Gemot-Giselher, reporter „Völkischen Beobachter”, obecnie redaktor naczelny „München am Morgen”:*

Bylem tego dnia przypadkowo w Stadelheim i spotkałem tam Brigadeführera Eickego, który właśnie wychodził z jednej z cel w bocznym skrzydle. Jak wiadomo, to poważny, odpowiedzialny człowiek. Na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że jest głęboko wstrząśnięty. „Ernst Röhm zastrzelił się w swojej celi — powiedział do mnie. — Zmarł z okrzykiem: Mój Führer! Mój Führer!”. Bardzo mnie to poruszyło!

5. *Doktor Königsberg, lekarz więzienny:*

Ernst Röhm, którego zwłoki oglądałem po śmierci, zginął od strzału w głowę, który tak zmasakrował jego twarz, że trudno było go rozpoznać. Jedna krwawa masa! Obecny przy tym technik kryminalistyczny stwierdził, że użyta broń była jakiegoś niezwykłego kalibru, chyba 10 milimetrów, a może nawet więcej.

Ponadto oddano jeszcze drugi strzał, ale nie do ciała. Trafił w ścianę celi. Jej kaliber odpowiadał zwykłemu służbowemu pistoletowi typu Walter 7,65, takiemu, jaki miał Eicke.

Czy można z tego wyciągać jakieś wnioski? Co ja o tym sądzę? Ja jestem tylko lekarzem, nikim innym.

Waldemar Wesel, Brigadeführer, wkrótce już Gruppenführer, zebrał po tym wszystkim swoich ludzi w willi w Feldafing i oświadczył im: — Moi drodzy, to był wspaniały wyczyn! Zasłużyliście na nagrodę i odpoczynek. Ale to dopiero od jutra. Jeszcze tego wieczoru Führer chce was i mnie zobaczyć u siebie!

7. Spokój przed burzą

Adolf Hitler, w asyście Himmlera i Heydricha, przyjął Wesela i jego grupę najpierw bardzo oficjalnie w swoim gabinecie w Brunatnym Domu. Podobnie jak podczas pierwszego spotkania z Führerem cała szóstka stała półkołem za Weselem. I tym razem wpatrywali się w swego Führera, dumni z tego, że dowiedli swojej wierności i oddania.

Hitler, ubrany w mundur partyjny, który przyozdabiała jedynie złota odznaka partyjna i Krzyż Żelazny I klasy, podszedł do nich tak uroczystym krokiem, jakby byli symbolami, które sam stworzył i na których teraz jego wzrok spoczywał z upodobaniem.

Podał każdemu po kolei rękę, która w pierwszej chwili wydała im się wiotka, ale odwzajemniała silny uścisk silnym uściskiem. Oczy jego błyszczały zadowoleniem.

Z zapisków Heinza-Hermannna Nordena:

Miałem zaszczyt spotykać się wielokrotnie z Adolfem Hitlerem w przeróżnych okolicznościach. Nie tylko podczas jego bohaterskiego końca, w którym musiałem uczestniczyć, ale także często przedtem. Z okazji szumnie obchodzonych zwycięstw, w godzinach ciężkich doświadczeń, a także w szczęśliwych chwilach odpoczynku.

Widziałem, jak w ostatnich chwilach życia tego największego z wszystkich Niemców drżały mu ręce, a ciało kulilo

się jakby z bólu. Ale i wtedy jego oczy, te zwierciadła duszy, lśniły blaskiem, choć nieco przyćmionym przeogromnym bolesnym żalem.

Wtedy jednak, po udaremnieniu puczu Röhma, Führer promieniał niby gwiazda na niebie, której udało się najciemniejszy mrok napęłnić światłem. Gdy jego wzrok padał na mnie, a spoglądał często w moim kierunku, zdawało mi się, że przenika mnie na wskroś!

Winiem wam, moi przyjaciele, złożyć podziękowanie — powiedział uroczyście Adolf Hitler. — Jak się spodziewałem, nie zawiodłem się na was! Zasłużyliście na wyrazy najwyższego uznania! Również Reichsführer podziela tę opinię. Prawda?

— Tak jest, Führerze! — potwierdził Himmler. Nie mógł zauważyć dyskretnego uśmiešku, jaki pojawił się w tej chwili na twarzy Heydricha, gdyż ten stał o dobre pół kroku przed nim. Głos Himmlera był wysoki jak u kastrata i nieco przyduszony, jakby musiał mówić pod silny wiatr. Odchrząknął, wyciągnął kartkę i zaczął czytać:

— Z osobistego polecenia Führera jako Reichsführer SS mianuję Sturmführerów SS: Bergmanna, Bernera, Hagen, Hermanna, Nordena i Siegfrieda, z dniem 1 lipca bieżącego roku Obersturmführerami SS.

— Dziękujemy naszemu Führerowi! — zawołała cała szóstka zgodnym chórem.

Hitler skinął z uśmiechem głową i zwrócił się do Wesela:

— Moje szczególne podziękowanie kieruję również do ciebie, mój drogi, i to nie tylko jako do zasłużonego dla naszego ruchu teoretyka i propagandzisty, jak też filozofa, ale jako do współbojownika, który swoje przemyślenia teoretyczne po trafi także osobiście i bezpośrednio realizować w praktyce.

Wesel z pokorą pochylił głowę. Po małej chwili podniósł oczy i spojrzał na Führera głęboko wzruszony, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. On, któremu mówienie przychodziło z taką łatwością.

Führer podszedł do niego i, widocznie także wzruszony, oznajmił:

— Brigadeführer Wesel, na wniosek naszego wspólnego przyjaciela Heydricha i w uzgodnieniu z Reichsführerem SS, mianuję cię Gruppenführerem SS.

Popatrzyli sobie w oczy. Uścisk dłoni. Pochylenie głowy.

— Gratuluję! — powiedział Heydrich niemal serdecznie.

Na tym zakończyła się oficjalna część przyjęcia. Himmler i Heydrich opuścili gabinet. Wesel wyszedł razem z nimi. Führer wyraził bowiem chęć na osobistą pogawędkę ze swoimi sześcioma oddanymi współpracownikami.

Do rozmowy takiej doszło w przyległym pokoju. Nakryto tam okrągły stół dla siedmiu osób: śnieżnobiały obrus i serwetki, serwis z nymphenburskiej porcelany, a na środku stołu kryształowe patery ze stosami różnego rodzaju ciastek.

Chłopcy pałaszowali wszystko, czym częstował ich Führer. Wesel przezornie przygotował ich i na taką okoliczność. Nie spuszczał przy tym oka z Hitlera, który rozsiadł-szy się wygodnie, podniósł raz i drugi do ust swoją filiżankę, wreszcie ją odstawił i rozpoczął swój wielki monolog:

— W waszym towarzystwie, moi drodzy przyjaciele, czuję się naprawdę szczęśliwy. Wiem, że mnie rozumiecie i że mi ufacie. Czuję waszą życzliwość i przywiązanie. Ale, drodzy przyjaciele, nie wszędzie jest tak. Obok dobra jest wiele zła. Obok ludzi porządnych jest także wielu niegodziwców. I tak właśnie było, co muszę wam szczerze i otwarcie powiedzieć, z tym Röhmem. Ja mu zaufałem! Zawsze starałem się być dla niego wspaniałomyślny. Mało tego, popierałem go. Nigdy nie oczekiwałem od niego szczególnej wdzięczności, ale spodziewałem się, że będzie lojalny, że tak powiem, przyzwoity. I czego się doczekałem w końcu za to wszystko z jego strony? Próby dokonania zamachu stanu i potajemnego przejęcia władzy. Chodziło mu przy tym

w szczególności o mnie. Chciał tego dokonać po moim trupie! Wyznaczyli już nawet mojego zabójcę, niejakiego Standardenführera Uhla, który na szczęście także już nie żyje.

Zmusiło to mnie, moi drodzy przyjaciele, w końcu do działania, do przeciwstawienia się temu wszystkiemu. Tylko taką drakońską metodą, przykładowym ukaraniem przestępców, można było zapobiec nieobliczalnym następstwom tego spisku. I tak zdecydowałem się na zastosowanie środków, w których realizacji macie tak znaczący udział. Nie mogło być inaczej, skoro nasza egzystencja i uznawane przez nas widzenie świata znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ta godzina prawdy musiała nastąpić!

Pragnę wam powiedzieć coś jeszcze: My jesteśmy Rzeszą! I naszym podstawowym obowiązkiem jest strzec jej jak oka w głowie! Musimy być w każdej chwili gotowi na odparcie wszelkiego rodzaju ataków. Kto wątpi w naszą sprawę, nie jest godny żyć! I będziemy takich pozbawiać życia na mój rozkaz, który wy wykonacie. Wiem teraz i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy, że mogę w każdej sytuacji na was liczyć. Że jesteście gotowi do tej służby. Dziękuję wam, przyjaciele!

Na zakończenie tego uroczystego dnia, późno w nocy, odbyła się w willi w Feldafing starogermańska pijatyka na cześć Grupy Wesela. Wziął w niej udział nie tylko Wesel, ale także Müller, główny instruktor grupy, której sukcesy były niewątpliwie także jego sukcesami. Raffael, jak zwykle, musiał ich obsługiwać. Tym razem nie było to zbyt skomplikowane, gdyż tego wieczoru obowiązywało hasło: mocne trunki według życzenia. Wesel przyglądał się swoim ludziom, którzy oczywiście pili na umór, z ciekawością i pobłażaniem. On sam sączył tylko lekkiego szampana. Mógł go wypić sporo bez żadnych widocznych skutków. Także Müller zachowywał wstrzemięźliwość.

— Tak, chłopcy — powiedział Wesel, rozsiadłszy się wygodnie w fotelu — zasłużyliście na mały odpoczynek. Cze-

go byście chcieli, przyjaciele? Chętnie wysłucham waszych propozycji.

— Przydałoby się odwiedzić hrabiankę — zareagował natychmiast Hagen. Pił tego wieczoru niemiecki winiak. — Moglibyśmy tam pobyć kilka dni. Trochę pojeździć konno, zapolować i co się tam jeszcze przydarzy.

Norden poparł ochoczo ten pomysł. On pił dzisiaj tylko szkocką whisky.

— Sądzę, że hrabianka ucieszyłaby się z naszej wizyty. Dała mi to wyraźnie do zrozumienia.

— Mnie też — wtrącił Hagen.

Rozbawiony tym Wesel spojrział teraz w kierunku Hermanna. Ten zaproponował:

— Mała wizytka na Leopoldstrasse też byłaby niezła. Hermann popijał Steinhagera i to prosto z dzbana,

— Wesel popatrzył teraz na Siegfrieda z pytaniem:

— A co ty o tym sądzisz?

— Dla mnie wszystko dobre — zapewnił Siegfried, nie lubiący stwarzać sobie i innym problemów. On tego wieczoru pił koniak, i to taki, który miał tyle lat co on sam, dwadzieścia dwa.

— W zasadzie to wszystko jedno, gdzie się bawimy — wtrącił się Berner, mrugając do Bergmanna. Obaj pociągali zdrowo dżin z lodem ze wspólnego litrowego kufla. — Najważniejsze, żeby nam się podobało, i naturalnie tobie, Gruppenfuhr er.

Waldemar Wesel śmiejąc się potrząsnął głową i nagle spoważniał.

— Co z was za ludzie! A ja zabiegałem dla was o możliwie najlepszą edukację. Starałem się systematycznie rozszerzać wasze horyzonty, kazałem wam uczyć się języków obcych, dbałem o podniesienie waszego poziomu kulturalnego! A wy co? Otwierają się przed wami takie możliwości jak podróże do Rzymu, Paryża, Londynu! Przyjrzenia się na miejscu ruchom faszystowskim, dekadencji francuskiej, kramarstwu brytyjskiemu! Ale wyście do tego jeszcze nie dorośli! Widzę, że musicie się jeszcze sporo nauczyć. Chciałem zrobić z was panów świata, a nie pospolitych pijaków, którzy chłają jak świnie! A więc koniec na dziś!

Raffael, wynieś butelki. Resztki wylać do zlewu! Od jutra zaczynacie znów żyć na serio. Poznawać, co znaczy prawdziwa radość istnienia! Zobaczymy, jak to będzie. Zrozumiano?

Cała szóstka wstała bez słowa i lekko chwiejąc się na nogach znikła z jadalni. Müller, ubawiony, odprowadzał ich wzrokiem. Raffael krzątał się jeszcze chwilę, a potem i on odszedł.

Wesel i Müller pozostali w holu sami. Choć za oknami wstawał już nowy dzień, tu wciąż jeszcze paliły się światła.

Gruppenführer przysunął się ze swoim fotelem bliżej do swego współpracownika. Razem z fotelem przesunął także kubetek z lodem, w którym tkwiła butelka szampana. Widać pragnął stworzyć nastrój koleżeńskiego zaufania.

— Drogą panie Müller — zaczął, kładąc swoją prawą rękę na lewej dłoni Müllera — jeszcze nie miałem okazji serdecznie panu pogratulować.

— Z jakiejż to okazji?

— Na wniosek Heydricha, z mojej oczywiście inicjatywy, Himmler mianował pana radcą kryminalnym.

— No pięknie! — Müller odniósł się dość sceptycznie do tej wiadomości. — Ale co ja z tego będę miał? Czy to znaczy, że wracam do czynnej służby w policji?

— Tak znakomitego specjalistę jak pana, Heydrich przyjąłby w każdej chwili z otwartymi ramionami. Ale tymczasem jest pan tu niezbędny. A moje potrzeby, zgodnie z poleceniem Führera, mają w tym przypadku pierwszeństwo. Postarałem się jednak również o to, aby podwojono pańskie pobory; z funduszu specjalnego, którym zarządza Heydrich.

— To już brzmi niemal groźnie — zauważył Müller. — A co w zamian?

— Nic — odparł Wesel, jakby chodziło o coś najbardziej oczywistego. — Powodem, dla którego jest pan dla mnie

tak cenny, jest fakt, że nikt inny, prócz mnie oczywiście, nie zna naszej szóstki tak dobrze jak pan. Czy nie zauważył pan u nich czegoś nowego. Proszę o szczerą odpowiedź.

— No, powiedzmy, jakieś ich podniecenie, swego rodzaju rozgorączkowanie. Wydają się jacyś oszołomieni, jakby odurzeni. Tylko co ich tak odurzyło?

— Na pewno spotkanie z Führerem — powiedział z namysłem Wesel. — Zdaje się, że tak gorąco wychwalał naszych ludzi, że uważają się teraz za kogoś zupełnie wyjątkowego. Na pewno są w pewien sposób wyjątkowi, ale nie muszą o tym wiedzieć. Trzeba będzie ich jak najprędzej znów sprowadzić na ziemię.

— Zastosować terapię szokową? — zapytał sceptycznie Müller. — Wątpię, czy w tej sytuacji byłoby to właściwe rozwiązanie.

— Także w to wątpię — przyznał szczerze Wesel. — Żeby sprowadzić naszych ludzi na właściwe tory, będziemy musieli wymyślić coś zupełnie nowego. Powinno się nam to udać, Müller, nam obu wspólnie. Prawda?

Müller wciągnął głęboko powietrze, jakby przygniótł go naraz jakiś ciężar, spod którego jednak próbował się wydostać.

— Czy pan, Gruppenführer, uważa, że nie zostałem jeszcze dostatecznie wyeksploatowany? Mój akumulator jest już na wyczerpaniu. Dlatego może się mnie pan w każdej chwili pozbyć, gdybym miał się uchylać od dalszej współpracy. Ale czemu nie?

— Ależ, panie Müller! Ja nie chcę na pana wywierać żadnych nacisków. Wręcz przeciwnie, zależy mi na przyjaźni z panem. Na przyjaźni z przyszłym szefem Gestapo. Niech pan więc nie odtrąca mojej wyciągniętej ręki!

— Ani nie mogę tego zrobić, ani nie chcę. — Inspektor Müller, teraz już radca kryminalny ze specjalnym uposażeniem, wcisnął się głęboko w swój fotel. Jego powieki opadały już ze znużenia. — Widzę, że dotychczasowe sukcesy nie zadowolają pana, chce pan jeszcze większych! No dobrze, dobrze! Jakoś usunę ewentualne przeszkody.

— Musi pan, panie radco kryminalny, wspólnie ze mną wzmocnić nasz zespól! Tak żeby sprostali wszelkim wyma-

ganiom! Ale wspomniał pan o jakichś przeszkodach. Co pan ma na myśli?

Müller sięgnął po kieliszek. Wypił. Zwlekał z odpowiedzią. Z zachowaniem całego ceremoniału zapalał cygaro; był jedynym, któremu wolno było w Feldafig palić, i to bez każdorazowego pytania o pozwolenie. Doceniał to.

— No dobrze, Gruppenführer, powiem panu naturalnie, co jest mi wiadome. Chodzi tu, szczerze mówiąc, o hrabiankę Elisabeth. Niektórzy z naszych chłopców wyraźnie okazują szczególne zainteresowanie jej osobą. Mogłoby to spowodować pewne komplikacje.

— Czy zebrał pan jakieś materiały dotyczące hrabiego i jego córki?

— Oczywiście. Tak jak o każdym, kto wchodzi w jakikolwiek kontakt z naszą grupą.

Wesel z lekkim niepokojem spojrzał na Müllera.

— Ma pan jakiś materiał obciążający?

— To zależy, jak na to spojrzeć — odpowiedział Müller uspokajająco. Raczej takie ogólnoludzkie słabostki. Dla nas, którzy dobrze znamy życie, zasługuje to tylko na pobłażliwy uśmiezek, ale nie dla takich systematycznie hodowanych przez nas idealistów, jak nasi chłopcy. Oni mogą w pełni funkcjonować tylko wtedy, jeżeli ich świat wydaje im się czysty i nieskalany.

— A coś nie tak?

— No, niekoniecznie, zwłaszcza w otoczeniu hrabianki Elisabeth.

— Ależ, za przeproszeniem, panie Müller, na jakiej podstawie pan tak myśli? — Wydawało się, że Wesel nie wie, czy się oburzać, czy śmiać. — Ostatecznie znam Elisabeth od dziecka.

— Czy pod każdym względem?

— Co ma pan na myśli? Oczywiście, ma swoje słabe strony, jest piekielnie witalna, ale kiedy się o tym wie, można to nawet wykorzystać. Możliwe też, że jest łasa na pieniądze i zaszczyty, ale to rodzinne, i też dałoby się obrócić na naszą korzyść.

— Gdyby to było wszystko, Gruppenführer, to z tym sobie jeszcze można poradzić. Ale tu chodzi o coś zupełnie

innego. Hrabianka Elisabeth jest, określając to delikatnie, ogromnie zmysłowa.

— Czyżby? — zastanowił się Wesel z miną światowca. — Wcale na to nie wygląda. Czy to są pańskie podejrzenia?

— Więcej. Mam na to dowody. I to dość drastyczne. Są pewne szczegóły wskazujące, że można by tu mówić o nim-fomanii.

Wesel przestraszył się teraz nie na żarty. W lot się zorientował, co to może oznaczać: niespodziewane nagłe zburzenie tak starannie przez niego budowanego idealnego obrazu.

— Cholerna sprawa, Müller! Jeżeli tak się rzeczy mają...

— ...to ta osóbką mogłaby szybko rozwalić naszą grupę — dokończył Müller z lubością zaciągając się cygarem.

Z materiałów kapitana Scotta: Dossier hrabianki Elisabeth von Tannen, sporządzone w czerwcu 1934 roku, odnalezione w aktach Gestapo. Niektóre wyjątki:

Pierwsze badania wskazują, że jest to osoba niezwykle popędliwa, co zapewne jest wynikiem jej wygórowanej pewności siebie i poczucia własnej wyższości. Uderzyła kilkakrotnie w twarz pokojówkę, tylko dlatego, że ta rozlała herbatę, wprawdzie na obrus z adamaszku, ale niechący. Następnie zajeździła podobno na śmierć konia, chcąc go ukarać za narowistość. Powiada się także, że zamkowa kucharka, Austriaczka, popełniła z jej winy samobójstwo, nie mogąc znieść sposobu, w jaki ją traktowała, wymyślając od leni, brudasów i idiotek.

...mówi się o jej bardzo wczesnym rozpoczętym życiu seksualnym. Mając piętnaście lat wprost zmusiła do stosunku płciowego głównego stajennego w posiadłości jej ojca, pewnego Włocha z Modeny, co spowodowało usunięcie go z pracy. Dalszymi jej partnerami seksualnymi byli zapewne: francuski guwerner, goście zjeżdżający do hrabiego na

polowanie. Co najmniej dwóch z nich chełpiło się, że odbyli z nią stosunek, i to na tej samej platformie strzelniczej; dalej, miejscowy żandarm, którego potem pospiesznie przeniesiono do innej miejscowości; ogrodnik, którego hrabia wysmagał pejczem; także paru ziemian z sąsiedztwa oraz ich synowie, czterech czy pięciu.

...istnieją także podejrzenia, czego jednak nie udało się udowodnić, że także sam hrabia ze swoją córką...

Włochy! — oznajmił następnego popołudnia Waldemar Wesel swoim ludziom. — Jedziemy do Włoch. Naszym celem będzie Rzym, podobno wieczny! — Z wyraźną przyjemnością przyglądał się wybuchowi radości, jaki wywołała ta wiadomość. — Ale nie ma być to taka sobie wyprawa w siną dal! Chociaż przy okazji życzę wam jak najlepszego wypoczynku. Spróbujcie sobie tę podróż zaplanować. Macie na to jeszcze kilka dni. Ludzie tacy jak wy na pewno nie zechcą zmarnować okazji, by coś poznać i czegoś się nauczyć, zamiast włóczyć się bezmyślnie po mieście.

— A co — zapytał Hagen — będziemy robić do tego czasu?

— Może — zaproponował Norden — powinniśmy się pożegnać? Uznał, że dobrze zrozumiał pytające spojrzenie Wesela. — Z naszymi bliskimi przyjaciółmi.

— Na przykład z panem hrabią — dodał Hagen, mając na myśli hrabiankę.

Waldemar Wesel pokiwał głową. Zaakceptował projekt bez chwili wahania.

— A więc dobrze — powiedział. — W przyszłym tygodniu pojedziemy pożegnać się z hrabią i hrabianką. Ale już jutro chciałbym usłyszeć wasze propozycje pro gramu wyprawy do Rzymu. Od każdego po kolei. Oczywiście ze szczególnym uwzględnieniem tematu naczel nego, faszyzmu. Zobaczymy, czy mamy czego uczyć się od nich!

Na godzinę przed zapowiedzianą wizytą szóstki, w zamku w Passawie, gdzie miała się odbyć wspólna pożegnalna kolacja, pojawił się w posiadłości hrabiego Waldemar Wesel. Przyjechał sam. Zapowiedział wcześniej telefonicznie swój przyjazd, prosząc o możliwość rozmowy w cztery oczy z hrabianką Elisabeth. Czekwała na niego przy bramie i powitała go promiennym uśmiechem.

— Ojciec nie miał nic przeciwko temu, żebyś ze mną porozmawiał, wujku Waldemarze — powiedziała. — Chcę cię tylko zapewnić, że wszystko zostało przygotowane zgodnie z twoim życzeniem. A teraz, jak sądzę, chcesz przygotować także mnie. Ale na co?

— Bardzo by mi to ułatwiło naszą rozmowę — rzekł Wesel — gdybyś się sama domyśliła, o co chodzi. Czy ojciec nie wspomniał ci, czego się od ciebie oczekuje. Nie udzielił ci żadnych pouczeń?

— Żadnych — zapewniła go Elisabeth, śmiejąc się beztrósco. Wzięła go pod rękę i tuląc się do niego, pociągnęła go w stronę rosarium. — Jestem przecież, wujku, nieodrodną córką swojego ojca, a on nie przypadkiem jest twoim przyjacielem. Jak się domyślam, mam tu grać rolę wcielenia wszystkich cnót, i to w starym szlacheckim stylu.

— Jesteś mądrą dziewczyną, Elisabeth — przemówił Wesel ojcowskim tonem. Nie okazał, że niepohamowana bezpośredniość dziewczyny nieco go zaszokowała. — Dostatecznie mądrą, żeby nie chcieć sprawiać żadnych kłopotów. Także sobie. I twojemu ojcu.

— Wiem, wiem — wesoło odpowiedziała Elisabeth. — Ojciec i ty jesteście partnerami, wzajem się wspieracie. A ja, naturalnym biegiem rzeczy, jestem w to wmieszana, czy chcę, czy nie. Dlaczego zresztą miałabym nie chcieć? Dopóki mogę jednak żyć moim własnym życiem.

— Możesz, Elisabeth — zapewnił wspaniałomyślnie Wesel. Jednak dorzucił ostrzeżenie: — Ale w przyszłości, proszę, postępuj bardziej dyskretnie, ostrożniej. Życzę tobie, dziewczyno, wszystkiego, co najlepsze. Jeżeli o mnie chodzi, możesz sobie spać z całym męskim personelem zamku

i połową sąsiadów. Ale pamiętaj: moi ludzie są dla ciebie tabu. Jasne?

Hrabianka nadal uśmiechała się do niego, nie biorąc mu bynajmniej za złe jego słów.

— Ależ wujku, co najmniej dwóch z twoich ludzi nie interesuje mnie wcale, Berner i Bergmann. Oni są chyba w ogóle nie do tego. Siegfrieda bardziej interesują zwierzęta niż kobiety. Hermannowi jest najwidoczniej obojętne, kogo dopadnie, pokojówki czy hrabianki.

— Świetnie to podpatrzyłaś, Elisabeth — potwierdził Wesel. — Ale jak to jest z Hagenem i Nordenem?

Hrabianka spojrzała na rozkwitłe w pełni krzaki róż.

— Byłoby mi bardzo trudno, gdybym się musiała zdecydować na kogoś z nich. Hagen jest ogromnie męski, a Norden jest typem bardziej bohaterskim. — I, jakby w rozmarzeniu, dodała: — Ach, gdyby tak można było z oboma...

— Nie — wykrzyknął Wesel. — Tylko nie to, dziewczyno! Ani równocześnie, ani po kolei! Powinnaś wiedzieć, że dla mężczyzny zdobycie kobiety to wygranie bitwy. I każdy, komu udało się bitwę wygrać, będzie się tym chełpił. I tego właśnie trzeba za wszelką cenę uniknąć! Czy nie rozumiesz?

— A czy muszę?

— Musisz, Elisabeth! Koniecznie! Nalegam na to! Także w interesie twojego ojca! Uczestniczysz w pewnej grze, której reguły ja ustanawiam. Czy możesz to uznać?

Zgodziła się. Przynajmniej tak głośno stwierdziła. Ale po chwili pozwoliła sobie na uwagę, która zaniepokoiła Wesela:

— Jesteś takim cudownym człowiekiem! Ty wszystko rozumiesz! Można cię tylko podziwiać! Ty jesteś prawie jak Goethe!

— Jak kto, proszę? — zapytał skonsternowany Wesel.

— Jak Goethe! Nawet jesteś do niego podobny. Twoje maksymy i on także mógłby napisać, gdyby żył w naszych czasach. A czyż mając osiemdziesiąt lat nie żył z osiemnastolatką? Co o tym sądzisz, wujku Waldemarze? Ojciec nie miałby nic przeciwko temu, gdyby do czegoś doszło między nami...

Wesel odniósł wrażenie, że grunt usuwa mu się spod stóp, że musi się ratować, natychmiast wyrwać z tej sytuacji.

— Bardzo mi pochlebiasz, moja droga. Wręcz niezwykle. Marzenia mogą być niezwykle kuszące. Ale musimy się trzymać rzeczywistości! Ty, twój ojciec i ja!

Przy głównej bramie hrabia oczekiwał już na przyjazd swoich gości. Wesel i Elisabeth dołączyli do niego. Wkrótce dał się słyszeć szum opon czarnego mercedesa na żwirze alei wjazdowej.

— Witajcie, moi panowie! — pozdrowił hrabia młodych ludzi!

— Witamy bardzo serdecznie! — powiedziała z wdzięcznym uśmiechem Elisabeth.

W towarzystwie obu nowofunlandczyków hrabia wraz z Weselem prowadzili gości do wielkiej sali biesiadnej.

Odbyło się wspaniałe, długo przeciągające się przyjęcie, rodzaj staroniemieckiej uczyty. U szczytu stołu zasiadł sam hrabia, z Weselem po swojej prawej ręce. Drugi koniec stołu zajęła Elisabeth, mając obok siebie Nordena i Hagenę.

Na przystawkę podano mocno uwędzoną szynkę ze świń tuczonych żołądkami z lasów hrabiego. Potem wniesiono piezonego indyka, również z własnej hodowli, do tego rozmaite jarzyny i sałaty. Wreszcie na deser postawiono na stole jeszcze ciepły strudel jabłkowy, polany sosem waniliowym, przyrządzony według przepisu górnobawarskiego. Do drobiu podano czerwone wytrawne wino, również rodzimej produkcji.

— A więc nic włoskiego — zażartował hrabia. — Żadnych tuczących smakołyków, żadnych słodczy spreparowanych z miodu, masła i masy cukru. Chciałem was na pożegnanie ugościć niemieckimi specjałami. Życzę wam przy tym jak najszczęśliwszej podróży, drodzy przyjaciele, a potem jeszcze szczęśliwszego powrotu! Wypijmy za waszą pomyślność!

Po kawie hrabia, nie omieszkawszy zapytać przedtem o zgodę Wesela, podniósł się od stołu. Goście również wstali i rozproszyli się wokół. Hrabia i Wesel pozostali teraz w sali jadalnej sami. Znow zasiedli naprzeciwko siebie przy frankońskim winie. Najpierw obaj milczeli przez dłuższą chwilę. Po czym hrabia pochylił się ku swemu przyjacielowi Weselowi i powiedział:

— Jak ten Hitler potrafił się rozprawić ze swoimi przeciwnikami z SA! Poradził sobie! Moje uznanie, mój drogi! Jak tak dalej pójdzie...

— Przecież zawsze ci to mówiłem — powiedział jakby rozmarzony Wesel. — Tylko nie chciałeś mi wierzyć.

— Tak, tegośmy się nie spodziewali — przyznał hrabia. — Ale to mnie przekonało. Twój Führer zasługuje na szacunek. Co moglibyśmy dla niego zrobić?

Wesel, zadowolony, uśmiechnął się do swego przyjaciela.

— Nie zamierzasz przecież założyć ogólnonarodowego Towarzystwa Przyjaciół Hitlera? A może byś chciał wstąpić do partii?

— No, niekoniecznie. Jeśli o to chodzi, jest już chyba za późno.

Waldemar Wesel przybrał wyraz twarzy myśliciela, jakby właśnie wykuwał swoją nową maksymę.

— Istnieje wszakże jeszcze całkiem inna możliwość.

— Jaka na przykład? — żywo zainteresował się hrabia.

Gruppenführer spojrział na niego przenikliwie, jakby rozważał, czy może przed nim wyłożyć na stół swoje karty, prawie wszystkie karty. Przedtem musiał się nieco wzmocnić, wychylił więc do dna swój kieliszek. Dopiero potem, z głębokim namysłem chirurga, który przystępuje do pierwszego cięcia, przemówił:

— Widzisz, mój drogi, według starej pruskiej doktryny wojskowej, maszerujemy oddzielnie, aby się połączyć dla wygrania ostatecznej bitwy. Wygra jeden lub drugi, z zapewnieniem wspólnych korzyści dla obu.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — przeraził się hrabia. — Czy nie ufasz, że twój Führer potrafi zachować władzę w Niemczech? Przynajmniej na najbliższą przeszłość?

— Ależ nie, wierzą w niego — stwierdził Wesel. — Tylko że nikt nie może wiedzieć, jak długo potrwa owa najbliższa przyszłość. I to musimy mieć na uwadze.

— Czyż on wciąż nie mówi o tysiącletniej Rzeszy?

— Zapewne, zapewne! I to nawet dosyć przekonująco. Ale gdzie to się dotąd wydarzyło w historii? Przecież nie można także wykluczyć, że z tego jego tysiąclecia już za dziesięć lat pozostanie tylko wspomnienie.

— I sądzisz, że należy się z czymś takim liczyć?

— Ja nic takiego nie powiedziałem, w każdym razie oficjalnie nie powiedziałem — rzekł z naciskiem Wesel. — Takie zapewnienia między nami byłyby zresztą zbędne.

Hrabia przytaknął w zamyśleniu głową.

— Można by było wobec tego przypuszczać, że uda mi się zachować moją pozycję. Czy możesz mi to zagwarantować?

— Całkowicie — zapewnił Wesel. — Ponieważ wiem, że mogę na tobie polegać.

W tym czasie hrabianka Elisabeth oprowadzała swoich gości po rosarium zamkowym. Hagen i Nor-den nie odstępowali jej na krok. Chciała im się przedstawić jako istota niezwykle romantyczna. Szli mniej więcej pół kroku za nią po jej prawej i lewej ręce: strażnicy cnoty i piękności. Oczywiście bacznie się wzajem obserwowali, czujni na każde skinienie damy, czego ona zdawała się nie dostrzegać.

— Czyż te róże nie są wspaniałe? — powiedziała Elisabeth. — Uwielbiam je właśnie teraz, kiedy są w pełnym rozkwicie. I kiedy mogę je oglądać w miłym towarzystwie. Myślę o was obu. Nie odważyła się przy tym spojrzeć na żadnego z nich. Obaj, Hagen i Norden, uznali, że ta młodzianka, uwodzicielsko ponętna kobieta stara się, prawdopodobnie o tym przez kogoś pouczona, żadnego z nich nie wyróżniać, ale też żadnego nie odtrącać.

... Złociste róże odmiany Tudor, do których teraz podeszli, pachniały odurzająco.

— Naprawdę nie jest mi łatwo — powiedział wzruszony Norden — rozstawać się z panią, nawet na dwa, trzy tygodnie.

— Ale wrócimy — zapewnił Hagen. — I jeśli pani pozwoli, to tylko dla pani.

Elisabeth na to schyliła się nad krzewami, aby po starannym doborze zerwać dwie róże. Były tej samej wielkości, tak samo piękne, tak samo rozkwitłe.

Wyprostowała się z wdziękiem i z miłym uśmiechem wyczuła jedną z róż Hagenowi, drugą Nordenowi, lekko pochylając przed nimi głowę.

Każdy z nich, głęboko przejęty, chwycił za swoją.

Jeszcze tego samego wieczoru odbyły się w willi Feldafig trwające do późna w noc ożywione rozmowy. Dotyczyły podróży do Włoch, której celem miał być Rzym.

Raffael, teraz wciąż czymś zaaferowany, rozdawał przygotowane uprzednio paszporty. Były to autentyczne dokumenty z prawdziwymi nazwiskami i imionami oraz danymi dotyczącymi daty i miejsca urodzenia oraz znaków szczególnych. Paszportowe zdjęcia ukazywały osoby cywilne.

Osobliwością tych dokumentów było, że każdy z szóstki mógł sobie wybrać zawód, który został oficjalnie wpisany w odpowiedniej rubryce. Oczywiście sam wybór został starannie przemyślany, a jakie takie umiejętności z nim związane odpowiednio przećwiczono korzystając z pomocy fachowców i lektury.

Urzędowo odnotowane zawody przedstawiały się następująco: inżynier mechanik, specjalista od broni — to Hagen, dziennikarza prasy niezależnej reprezentował Norden. Hermann został dyplomowanym handlowcem, Siegfried weterynarzem, Berner i Bergmann wybrali sobie zawód filmowców, zatrudnionych w wytwórni Ufa. — A więc możemy ruszać!

— Na wszelki wypadek — odezwał się Müller — gdyby miały się przydarzyć jakiegokolwiek komplikacje, nawiązałem kontakt z policją włoską. Poinformowałem też o naszej wizycie ambasadę w Rzymie. Gruppenführer zapewni nam łączność z faszystowskimi placówkami. Zostanie on zresztą osobiście przyjęty przez samego Duce.

Po twarzy Wesela przemknął wyraz zadowolenia. Zapowiedź Müllera jego spotkania z Duce skomentował skromną uwagą:

— Mam misję specjalną od Führera!

Podróż trwała pełne trzy dni i była próbą sprawności zarówno ludzi, jak samochodów. Jej organizacją zajmował się Raffael, Wesel zaś czuwał nad wszystkim. Müller zapobiegliwie powiadomił o wyprawie niemiecką i włoską służbę drogową.

Celem pierwszego etapu wyprawy wyruszającej z Monachium był Mediolan, następnego Florencja, wreszcie po trzech dniach mieli przybyć do Rzymu. Wkrótce uczestnicy tej bądź co bądź męczącej wyprawy urządzili sobie niezwykle emocjonujące zawody trzech znakomicie wyposażonych pod względem technicznym i fachowo przygotowanych do takiej jazdy samochodów. Gnali więc z maksymalną szybkością przez górskie serpenty, boczne drogi i wąziutkie często uliczki starych miasteczek.

Raffael zameldował o tym Weselowi:

— Te chłopaki pędzą, jakby ich szatan opętał! A co szkód po drodze! Dotychczas zanotowano co najmniej tuzin przejechanych kur, cztery potrącone psy, chyba z osiem zabitych kotów; tych się jednak oficjalnie nie liczy. Ale niestety także dwa rozbite samochody i jeden wypadek śmiertelny. Koło Padwy został zabity mężczyzna, jakiś robotnik z plantacji oliwek.

— Za wszystko zapłacić! — zarządził Gruppenführer. — Unikać wszelkich komplikacji. Dla nas liczą się tylko sukcesy! Ale chciałbym jednak wiedzieć, który z naszych ludzi wie o tej dziedzinie prym.

Zdarzyło się jeszcze coś, co nie uszło uwagi Raffaela i o czym niezwłocznie poinformował Wesela: Norden i Hagen napisali jakieś pocztówki i wrzucili je razem do skrzynki pocztowej we Florencji.

Było to wydarzenie, którym natychmiast Gruppenführer, występujący w paszporcie jako profesor filozofii, zajął się osobiście. Spotkał Hagen i Nordena w restauracji „Mario”, w cieniu katedry florenckiej. Właśnie podano im wonną pieczeń z jagnięcia.

Zamówił sobie to samo i racząc się pieczenia, jeszcze z ustami pełnymi jedzenia, rzucił uwagę:

— Wiecie chyba, że mam do was zaufanie. Byłoby mi jednak miło, gdybyście mnie o wszystkim informowali. Może tylko po to, bym mógł wam w razie potrzeby coś doradzić. Zgodza?

— Oczywiście, Gruppenführer!

— No, dobrze! — Wesel popił teraz łyk czerwonego wina. — Wysłaście pocztówki. Tak? Do kogo?

— Do hrabianki Elisabeth. A do kogóż mielibyśmy pisać?

— A coście do niej napisali?

Hagen do Elisabeth:

Ten kraj wygląda tak, jakby go oślepiło jaskrawe i I słońce. Upał się wprost wwierca w czaszki mieszkańców. Wyraźnie szukają od niego ucieczki w winie, drzemce albo w gadaniu. Nie można się wiele spodziewać po tych rozespianych ludziach. A już pod względem politycznym...

Norden do Elisabeth:

Tyle tu godnych obejrzenia zabytków kultury, większość z nich pod wyraźnym wpływem germańskim. Ale zarazem trzeba najgłębiej ubolewać nad ich zaniedbaniem, upadkiem, niemal całkowitym zapuszczeniem...

Wesel: Mam do was, panowie, trzy uwagi, i to zasadnicze. Po pierwsze, o wszelkich kontaktach z ludźmi spoza naszego kręgu decyduję wyłącznie ja i możecie je nawiązywać tylko w porozumieniu ze mną. Po drugie, przyjechaliśmy tutaj w celach szkoleniowych, jesteście zatem gośćmi naszych faszystowskich przyjaciół. Wolno wam ich obserwować, ale nie możecie sobie wobec nich pozwalać na żadne uwagi, zwłaszcza na piśmie, i w dodatku jeszcze krytyczne! Po trzecie, wszelkie spostrzeżenia negatywne możemy sobie omawiać tylko w najściślejszym kręgu. Na zewnątrz, proszę was, obowiązują najlepsze maniery. Macie być uprzejmi, eleganccy i zawsze dawać wyraz waszej przyjaźni do wszystkiego, co włoskie! A nawet gdyby kto przy was powiedział, że Duce jest większy od naszego Führera, nie należy mu od razu dawać w mordę, a przynajmniej nie przy świadkach.

Wyniki owych trzydniowych zmagania między ludźmi i samochodami były dla Wesela niespodzianką. Nie dawał w tych zawodach szczególnych szans Hagenowi i Nordenowi. Do takich szaleństw ta para nie była skłonna. Jako zdecydowanych zwycięzców ze znaczną pewnością wytypował Siegfrieda i Hermanna. Wyścigi jednak wygrali, i to z ogromną przewagą, Berner i Bergmann. Ich tempo było nie tylko szybkie, ale i wyrównane, mistrzowsko dawali sobie radę ze wszystkimi przeszkodami, ponieważ słuchali swojego nieomylnego instynktu.

Całe te wyścigi zakończyły się, zgodnie z planem, przed hotelem Hasslera, „Villa Medici”, jednym z najbardziej luksusowych hoteli Rzymu, wznoszącym się bezpośrednio nad słynnymi Hiszpańskimi Schodami. Oglądane z ich wysokości całe miasto zdaje się leniwie rozciągać u stóp zwiedzającego to miejsce.

Już w holu hotelowym wschodnie dywany, renesansowe gobeliny, tokańskie marmury, meble i wazy z najlepszych rzymskich warsztatów rzemieślniczych. A do tego świetna kopia słynnej rzymskiej wilczycy, której wymiona radośnie ssą dwaj chłopcy, mali Romulus i Remus.

W recepcji powitał ich wówczas jeszcze bardzo młody, ale cieszący się dużym uznaniem gorliwy pracownik hotelowy z nienaganną znajomością języka niemieckiego. Nie było to zresztą, jak należało się spodziewać, dziełem przypadku. Młody człowiek nazywał się Huber, a na imię miał Francesco, czyli po niemiecku Franz.

— Witamy, panie profesorze — powiedział do Wesela. — Czeka już na pana kilka telegramów. Odebraliśmy też kilka telefonów. Notatki o nich są już w pana pokoju, który zgodnie z pańskim życzeniem został zarezerwowany między pokojem pana Raffaela a pana Müllera. Dla pozostałych panów są przygotowane pokoje na najwyższym piętrze, z łazienkami. A teraz pozwalam sobie życzyć panom przyjemnego pobytu w naszym hotelu i wielu przyjemności w naszym mieście.

Zeznania Francesca Hubera, byłego pracownika hotelu Hassiera, obecnie właściciela luksusowego lokalu „Chez Francesco” przy Via Veneto:

Na początku muszę wyjaśnić, że chociaż nazywam się Huber, a więc noszę nazwisko bardzo popularne w Bawarii, jestem autentycznym rodowitym rzymianinem. Już mój dziadek, urodzony w Fürstenfeldbruch w Górnej Bawarii, z zawodu również hotelarz, przeniósł się w młodym wieku do Rzymu. Poślubił Włoszkę z Emilia Romagna. On był portierem hotelowym, a ona pokojówką. Mój ojciec Alfredo przyjął obywatelstwo włoskie; wobec tego zawsze czułem się Włochem, aby nie rzec więcej, Rzymianinem. To tyle, co do pierwszego punktu.

Teraz, zgodnie z pańskim życzeniem, przechodzą do omówienia tamtego towarzystwa, które wówczas zjechało do „Villa Medici”. Przypominam ich sobie równie dokładnie, jak niechętnie. Ale nim o nich opowiem, proszę mi pozwolić na pewną drobną, ale chyba istotną uwagę, otóż hotel Hasslera, do którego zarządu miałem zaszczyt należeć przez kilka lat, był wówczas, tak jak i obecnie, jednym z cieszących się najwyższym uznaniem przedsiębiorstw naszej branży na świecie.

Tylko że żaden hotel nie może dobierać sobie gości ani też wcześniej sprawdzać, z kim będzie miał do czynienia. Muszą tu niestety wystarczyć pewne ściśle określone warunki: przedstawienie nie budzących wątpliwości dokumentów, posiadanie odpowiednich środków finansowych, a poza tym, także w tym hotelu obowiązujące, odpowiednio zachowanie. I wszystkie te trzy warunki owa grupa turystów spełniała.

Nie uszło jednak mojej uwagi, że owi goście mają bardzo interesujące kontakty w Rzymie. Uświadomiłem to sobie jasno, kiedy już na drugi dzień zjawiał się w hotelu niejaki Emilio Nero, wówczas szara eminencja w Rzymie. Colonello Nero był szefem tajnej policji, podlegającej bezpośrednio Duce.

Nero przedstawił tych niemieckich gości swoim współpracownikom. Zorganizowali jakiś wspólny uroczysty obiad, odbywały się spotkania i narady. Urządzali też wspólnie całonocne wycieczki, chyba do Ostii nad morze albo też do Frascati, słynnej z pięknych winnic. Pamiętam, że zorganizowano też wyjazd w Góry Albańskie, tam gdzie papież zazwyczaj spędza letnie wakacje.

Niestety, niewiele więcej mam do powiedzenia. Muszę podkreślić, że to towarzystwo, choć rzucające się w oczy, stanowiło jedynie część naszych gości. Poza nimi, jak zwykle zresztą, przebywało u nas w tym czasie wielu znakomitych zagranicznych turystów, prawdziwa międzynarodowa elita. Pamiętam, gościł wtedy u nas jakiś francuski potentat finansowy, jakiś Holender, właściciel kopalni diamentów, jacyś businessmani z Chicago, pewien podróżnik, lord angielski, a nawet jakiś król arabski. I wielu, wielu innych.

Był wśród nich również pewien profesor ze Stanów Zjednoczonych. Bardzo godny starszy pan. I bardzo skromny. Był chyba Żydem. Muszę stwierdzić, że zdobył moją szczególną sympatię.

Zaniepokoiło mnie jedno, choć sam nie wiem dlaczego. Otóż wydawało się, że on szukał kontaktu z tą grupą niemieckich turystów. Nazywał się Breslauer.

Nie, nie! — zawołał błagalnie Müller, ujrawszy Breslauera. — To przecież niemożliwe! I do tego tutaj?
— To jednak ja, panie Müller!

— Więc znikaj mi łaskawie, człowieku!
Ulotnij się, rozpułn w powietrzu, zjedź mi z oczu! Przepadnij!

Breslauer patrzył na niego łagodnie i uparcie.

— Kiedy ja muszę z tobą porozmawiać, Müller. A ty wy słuchasz tego, co ci mam do powiedzenia.

Pokornie uśmiechnięty, przysiadł się do niego, jakby na sali nie było już innego miejsca.

Müller natknął się na Breslauera w restauracji hotelowej na najwyższym piętrze, z której rozciągał się wspaniały widok na Rzym. Restauracja ta słynęła ze znakomitej kuchni, choć niestety musiała się dostosować do gustów międzynarodowej klienteli. Uprawiano zatem sztukę kulinarną fran-cusko-międzynarodową. Niemniej szef kuchni dbał o to, by w karcie widniały także potrawy włoskie. Nimi to zajadał się Müller tak wytrwale i z takim zapałem, że już po paru dniach rezerwowano dla niego najlepszy stolik w głównej sali, nieco na lewo, pod lustrzaną szybą, tuż koło okna.

— Mój Boże, Breslauer! Skąd się tu wzięłeś?

— To bardzo proste, Müller — powiedział Breslauer, wciąż z łagodnym uśmiechem. — Dzięki jednej z twoich kartek pocztowych, które mi wciąż przysyłałeś. Bardzo ci jestem za to wdzięczny. Napisałeś w niej, że planujecie podróż do Rzymu. I oto jestem.

— Chyba nie sądzisz, że się cieszę, widząc tutaj akurat ciebie? Co to ma w ogóle znaczyć?

— Znasz mnie przecież, a zatem wiesz. Po co więc pytasz?

— Wciąż mi się zdaje, że ty mnie jeszcze nie znasz, Bres-lauer, inaczej byś się tu nie zjawił. Zawsze cieszyłem się na myśl, że się jeszcze spotkamy, ale dopiero za tysiąc lat, albo u ciebie w Ameryce, albo u mnie w Berlinie. Ale nie tak, nie tutaj. — Müller odsunął swój talerz. Stracił chyba nagle apetyt. — Jak nas tu odnalazłeś?

— To było całkiem proste. Miałem w końcu możliwość uzyskania pewnego pojęcia o waszym elitarnym przekonaniu o własnej wyższości. Ja wiem: najlepsze nie jest dla was jeszcze dość dobre! A więc w Rzymie to hotel Hasslera. I właśnie tu ja także się znalazłem.

— Czyś ty, człowieku, całkiem zwariował, Breslauer? — zapytał zdesperowany Müller. — Przecież w Ameryce byłeś bezpieczny! Ale tu, we Włoszech, niczego ci nie mogę zagwarantować. Wyjeżdżaj stąd jak najszybciej! Jeszcze raz ci pomogę, ale to już po raz ostatni!

— A co, drogi przyjacielu, jeżeli ja wcale tego nie chcę?

— Mój Boże, Breslauer! Chcesz odgrywać męczennika? Tu, w tym kotle czarownic? Tak zwariowany może być tylko Żyd! Ale ani myślę się z tym pogodzić. Naprawdę nie zasłużyłem na coś takiego!

Müller był wściekły. Właśnie sobie myślał, że wszystko przebiega tak gładko. Podróż do Rzymu okazała się najprostszą sprawą pod słońcem. Jego przezornie nawiązane kontakty z policją włoską działały nienagannie. Wesel udał się na audiencję do Duce. Chłopcy wybrali się na jakąś rozrywkę do miasta. A tu właśnie pojawia się ten Breslauer!

— Lepiej by było, gdybym cię nigdy nie spotkał! — stwierdził Müller sapiąc ciężko. — Że też musiał mi się przytrafić ktoś taki jak ty! I czy ty nie mógłbyś pozostać w swoim świecie, skoro nie należysz do naszego?

— Ale nasz świat także należy do Niemiec! Nie wolno ich tak po prostu oddać w ręce Hitlera!

Müller wyraźnie już nie panował nad nerwami. Na cały głos zawołał kelnera i zażądał rachunku, chociaż nie podano mu jeszcze głównego dania. Powiedział do Breslauera:

— Przyjmij do wiadomości, że ja nie dopuszczę do tego, żeby mój jedyny świadek obrony miał złożyć sam siebie na

oltarzu jakichś duchowo-religijnych rojeń! Jestem aż tak wielkim egoistą! Jestem taki, bo dobrze wiem, co się tu w tym ostatecznym obłędzie w Niemczech szykuje i co z pewnością zostanie zrealizowane! Mianowicie oczyszczenie tego kraju z tak zwanych obcych elementów, co w praktyce oznacza zagładę Żydów. I ty o tym dobrze wiesz, Breslauer. Zawsze o tym wiedziałeś! Czyżby coś ci zmałoło twój brylantowy mózg? Nie mogę sobie tego inaczej wyjaśnić. Nie mogę i nie chcę! Nie ścierpię tego, aby ktoś taki jak ty znów znalazł się w Niemczech!

Müller zamówił sobie podwójną grappę, mocno pachnący północnowłoski trunek. Breslauer zamówił to samo i ku zaskoczeniu Müllera wypił go duszkiem. Jednak wyraźnie bez większej przyjemności, zakrzuszył się nawet kilka razy.

— Müller, drogi przyjacielu — powiedział po namyśle — czy przypominasz sobie nasze nocne rozmowy w Fel-dafig, kiedy próbowaliśmy komentować *Stary Testament*? Nasze rozważania krążyły przede wszystkim wokół pojęcia sprawiedliwości. A raczej nawet tego, co *Biblia* nazywa: mąż sprawiedliwy. Gdyby się znalazł ktoś taki, nie zginęłyby Sodoma i Gomora! I to jest właśnie moja sytuacja!

— Znaleźć tego jedynego sprawiedliwego pośród milionów innych, których ten system nieodwołalnie skazał na zagładę? I dla takiej sprawy nadstawiasz głowę? — Müller jakby się ożywił. — I nawet wiem, kogo masz na myśli! Tego Nordena! I właśnie dla tego Fausta z prowincjonalnego teatru, dla tego potomka Nibelungów masz nadstawiać karku?

Breslauer nie patrzył na Müllera.

— Powiedzmy tak: Ten Norden wyraźnie się stara rozwijać dobre strony swojej osobowości. Może nie umie jeszcze metodycznie myśleć, ale próbuje. I trzeba mu w tym pomóc. Także Siegfried ma dobre skłonności, co widać po jego stosunku do zwierząt. Sądzę, że tymi dwoma warto by było się zająć, podjąć jakąś ostatnią próbę. Nie sądzisz?

— Masz stąd zniknąć — rozstrzygnął Müller z właściwą mu energią. — Jak najszybciej i ostatecznie!

Müller zaprowadził Breslauera do jego pokoju hotelowego. Czuł się, jakby otrzymał zadanie natychmiastowego wyekspediowania więźnia do możliwie najdalszego kraju. Jednak dyskretnie, jak tylko policjanci to potrafią. Müller to rzeczywiście potrafił.

Lecz nim zdążyli dojść na miejsce, został pilnie poproszony do telefonu. Dzwonił Siegfried.

— Jesteśmy właśnie w kawiarni — meldował. — Nazywa się „Dante”, koło Hiszpańskich Schodów, a więc dosłownie parę kroków. Może byłoby dobrze, gdyby pan zszedł tu do nas.

— A to po co? — zapytał niechętnie Müller. — Chyba nie potrzebujecie niańki? A może nie możecie uregulować rachunku? Zwróćcie się z tym do Wesela albo do Raffaela. Ja jestem teraz zajęty.

— Tutaj — informował nieco nerwowo Siegfried — zanosì się na potężną rozróbę z włoskimi cywilami. To się może zdarzyć lada chwila... A może...

— Jesteście tam sami, czy razem z tymi młodzikami od Mussoliniego? — dopytywał Müller. Odpowiedź go zadowoliła. Właśnie wrócili ze wspólnej wycieczki ze swymi faszystowskimi przyjaciółmi i wstąpili jeszcze do kawiarni.

— No to przecież mnie nie potrzebujecie. Wasi towarzysze powinni raz pokazać, co potrafią. Ja w każdym razie mam tu coś ważniejszego do roboty.

Müller postanowił całkowicie się teraz skupić na sprawie Breslauera.

— Nie spuszczę cię już teraz z oczu! Niech mnie diabeł porwie, jeżeli ci pozwolę usmażyć się w tym niemieckim piekle!

Jego wyjątkowy talent organizacyjny znów się objawił. Szybko odkrył, że za trzy godziny startuje z Rzymu samolot do Paryża, stamtąd było niemal natychmiastowe połączenie z Londynem, a z Londynu statek do Nowego Jorku. To wszystko zostało załatwione od ręki, zarezerwowane i zapłacone z wszelkimi dodatkami za pośpiech, jak

i środki transportu na lotnisko, ubezpieczenie i tym podobne.

— Wszystko to na mój osobisty rachunek z mojego prywatnego konta — oświadczył Müller z zapraszającym gestem. — I funduję ci to wszystko z najwyższą rozkoszą. Zmiażdżaj stąd, człowieku, i to już! Dopiero wtedy będę mógł znów spokojnie odetchnąć. Chyba mi tego życzysz? A może nie?

Breslauer w milczeniu pakował swoją walizkę. Ale zdawało się, że odwleka każdy ruch. Wreszcie wyprostował się i błagalnym wzrokiem popatrzył na Müllera. Ten jednak pozostał niewzruszony.

Wtedy jednak znów pilnie wezwano go do telefonu. Tym razem był to Wesel.

— Dosłownie przed chwilą wróciłem od Duce, z którym odbyłem bardzo szczerą i interesującą rozmowę, po której wiele można by się spodziewać, a tu dochodzi do mnie niezwykle nieprzyjemna wiadomość, że nasi ludzie wdali się w bijatykę w kawiarni „Dante”, i to z cywilami! A zawsze ich przestrzegałem: na wszystko możecie sobie pozwolić, ale żadnych skandali!

— O ile wiem, panie Wesel, nasi chłopcy są tam w towarzystwie swoich włoskich przyjaciół, w końcu są to ludzie Colonella Nera!

— To nic nie znaczy, mój drogi! Oni, chociaż znacznie wcześniej zaczęli, nie zaszli jeszcze tak daleko jak my. W każdym razie do kawiarni wkroczyła już policja, i to zwyczajna policja porządkowa. Musi się pan, panie Müller, jak najszybciej w to włączyć. Żeby czasem kogoś z naszych ludzi nie zabrano do aresztu! Nie chcę nawet myśleć o tym, jakie to mogłoby mieć konsekwencje! A więc działaj pan. Niech pan teraz pokaże, czy pańskie powiązania z tutejszą policją okażą się skuteczne!

Müller trzasnął ze złości słuchawką. Sapał jak długodystansowiec, którego doganiają tuż przy samej mecie.

— Muszę na chwilę wyjść — powiedział do Breslauera. — Ty zostaniesz tutaj, pakujesz swoją walizkę i nie opuszczasz tego pokoju! Masz tu czekać na mój powrót! Jasne?

Wszystko do tego momentu przebiegało bez zakłóceń. Dzień zaczął się przyjemnie. Grupa Wesela, pilotowana przez swoich faszystowskich towarzyszy, z Emilio Nero na czele, udała się na wspólną wycieczkę w Góry Albańskie, skąd razem powrócili do Rzymu. Przed rozstaniem postanowili wstąpić jeszcze na małą, słodką, czarną kawę i małego włoskiego drinka, do kawiarni „Dante”.

— Chcieliśmy wam pokazać, szanowni koledzy, ten lokal — wyjaśniał Nero. — Trzeba sobie obejrzyć ten intelektualny chlew, póki jeszcze istnieje. Ale nie jest u nas wcale łatwo wykorzenić coś takiego. Jesteśmy przecież w Rzymie, a nie w Berlinie czy Monachium.

Kawiarnia „Dante”, do której weszli, nosiła wyraźnie stylowy, antyczny charakter. Ściany były wyłożone zmatowiałymi i splekanymi nieco lustrami, wśród nich pociemniałe obrazy, głównie pejzaże. Na podłodze gruby, lekko wytarty czerwony dywan. Wokół stały okrągłe stoliki z marmurowymi blatami, a obok nich nęcąco kruche krzeselka.

— A co tu, w tym luksusowym chlewie — zapytał Hermann — ma być takiego ciekawego?

— Klientela — wyjaśnił mu Colonello Nero.

Więc zaczęli się przyglądać jej bliżej. Były tam jędrne dziewczyny o wydatnych biustach i zapraszającym spojrzeniu, a także wystrojone i wymalowane babska, jak sępy wypatrujące zdobyczy. Spora grupa jakichś zaniedbanych mężczyzn w różnym wieku oraz banda młodych obdartu-sów, włóczęgów, patrzących z góry na wszystkich i zachowujących się prowokacyjnie głośno.

— Ci tutaj — rzekł Hagen — to chyba jakieś niebieskie ptaszki?

Emilio Nero rozłożył tylko bezradnie ręce.

— To są tak zwani artyści. Tu spędzają czas i gadają na całe gardło o Bogu, świecie i Duce. I wszystkie te trzy sprawy mają w pogardzie.

— A dlaczego ich nie posadzicie? — zapytał Hermann.

Sprawę próbował mu wyjaśnić Mario, druga osoba po Nerze, a w tym momencie pierwszy w tym gronie, gdyż Nero dyskretnie, jakby obawiając się czegoś, ulotnił się z lokalu.

— Rzecz w tym, że do tych parszywców, mających się za literatów, trudno się dobrać. Gadają, gadają, produkują jakieś filozoficzne wycpiny, ale udowodnić nic im nie można, choć wiele razy próbowaliśmy.

— Tego to już zupełnie nie mogę zrozumieć — ostro oznajmił Hagen. — U nas w Niemczech takie typy nie mogłyby istnieć! My byśmy dawno ich załatwili, metodycznie i systemowo!

— Ale nie jesteśmy u siebie — rzucił Berner, starając się złagodzić atmosferę. Mrugnął przy tym do Bergmanna.

Siegfried poszeptał chwilę z Nordenem, po czym wstał, poszedł do telefonu i zadzwonił do Müllera, przedstawiając mu sytuację. Ale ten go odprawił.

Hagen zaś ciągnął dalej z tonem groźby w głosie:

— Że też musimy na to beczynnie patrzeć!

— Ale za to te baby tutaj są wcale nie najgorsze — zauważył niemal rozmarzony Hermann. — Aż się proszą! Czy dałoby się coś tu nawiązać?

— U nas w Rzymie, panowie — objaśnił Mario — mówi się, że z młodą dziewczyną można tylko niekiedy, z narzeczoną nigdy, z mężatką zawsze! — Wzbudziło to ogólną wesołość, więc jeszcze dodał: — Ale te piękne zasady nie znajdują chyba zastosowania w tych kawiarniano--intelektualnych kręgach. Oni tu się rządzą własnymi prawami.

— Wobec tego musimy ich rozpedzić na cztery wiatry — powiedział Hagen i podniósł się z krzesła, zachęcając spojrzeniem Hermanna, by do niego dołączył.

— Warto by było — dorzucił dobrodusznie Hermann. — Ci gówniarze do pięć nam nie dorosli!

— O mój Boże! — wykrzyknął przerażony Mario. — Panowie, nie róbcie tego! Tego nam nie wolno!

— Wam nie wolno, ale nam wolno! — oznajmił zdecydowanie Hagen.

Za jego przykładem podniósł się i Hermann, również gotów do boju.

W przeciągu kilku minut doszło w kawiarni „Dante” do ogólnej kotłowaniny. Zaczęło się od tego, że Hagen i Hermann potracili kilku mężczyzn i oznajmili im po niemiecku:

— Odsuń się, wszarzu! — albo: — Wynoś się stąd, twoja gęba mi się nie podoba! — albo też: — Nie mogę wprost ścierpieć takiego gówniarza jak ty! Jak stąd nie znikniesz, zrobię z ciebie siekany kotlet!

Początkowo Włosi nie reagowali na zaczepki. Może dlatego, że nie rozumieli ani słowa z tego, co się do nich mówi po niemiecku. Szybko się jednak zorientowali w groźbie sytuacji. Niektórzy wyszli, inni próbowali ustąpić miejsca obcym przybyszom. Wreszcie znalazł się ktoś, kto gwałtownie odsunął rękę, która go chwyciła za ramię. I wtedy ta ręka uderzyła go w twarz.

I wtedy się zaczęło! Kobiety głośno piszczały, mężczyźni zaczęli wzajem na siebie napierać i potrać się. Poszły w ruch krzesła, za chwilę z hukiem roztrzaskało się lustro, ktoś zaczął wiec jak skopany pies. Wołano o pomoc. Popłynęła krew. Ludzie i meble wypadali na ulicę. Słychać było trzask tłuczonego szkła, charczenie ludzi, odgłosy walki!

Wtedy na salę wkroczyła policja.

Zaraz potem pojawił się Müller.

Waldemar Wesel siedział w tym czasie — wciąż jeszcze w czarnym garniturze, który włożył na spotkanie z Duce — w holu hotelowym. Był całkiem spokojny. Wiedział, że na Müllerze można polegać.

Od czasu do czasu brał do rąk stojącą przed nim szklanę podwójnej whisky z lodem. Myślał o swojej rozmowie z Mussolinim. Doszedł do wniosku, że Duce do pięt nie dorasta Hitlerowi. Führer góruje nad nim pod każdym względem. Ale nagle na szklanę Wesela padł pewien cień. Podniósł wzrok. Przed nim stał Breslauer, blady, starający się zachować panowanie nad sobą. Stał tak bez słowa przez dłuższą chwilę. Patrzył na Wesela.

Wesel nie okazał najmniejszego zdziwienia. Podniósł się uprzejmie, nawet się uklonił i z zapraszającym gestem powiedział:

— Proszę, panie profesorze, niech pan siada. Jestem pewien, że nie chce pan tu wywołać żadnego skandalu. Ja zresztą także.

U Breslauera widoczne było zdenerwowanie, twarz miał zlaną potem. Głos jego zabrzmiał jednak niespodziewanie dźwięcznie, tak jak wtedy, kiedy prowadził wykłady w Feldafing:

— Nie zdziwił się pan zbyt, widząc mnie tutaj?

Wesel roześmiał się.

— Wiedziałem, że pan jest w Rzymie. Czekałem na pana, wcześniej lub później. Gdyby się pan sam u mnie nie zjawił, odszukałbym pana.

— Skąd pan wiedział, że tu jestem? Od kogo?

— Nie od pana Müllera, jeżeli chce pan wiedzieć. Sądzę zresztą, że powiedziałyby mi o tym. Co by zresztą znacznie uprościło sprawę. Widzi pan, nasza grupa, do której wspaniałego wykształcenia i pan także znacznie się przyczynił, panie profesorze, została podporządkowana bezpośrednio Führerowi. Staliśmy się zatem wszyscy przedmiotem szczególnego nadzoru i ochrony. Pan także. Tak więc nawet w Stanach Zjednoczonych był kontrolowany każdy pański krok, co zresztą nie przedstawiało specjalnych trudności. Otrzymałem więc meldunek o pańskiej podróży do Europy i pańskim pobycie w Rzymie. A więc kiedy pan wyładował, gdzie się pan zatrzymał, z kim poszukiwał kontaktów i tak dalej. Ale to tylko tak, przy okazji.

— A dlaczego, sądzi pan, jestem tutaj?

— Chyba nie po to, żeby mi sprawiać jakieś kłopoty. Tego pan na szczęście dotąd nie próbował. Jest pan na to za mądry. A już tutaj, we Włoszech, na pewno by się to panu nie udało. Może raczej w Anglii, Szwajcarii albo Holandii, ale nie tutaj. — Wesel był tego najzupełniej pewien. — W każdym razie jest pan teraz tutaj, panie profesorze. I mogę sobie nawet wyobrazić, dlaczego.

Breslauer popatrzył swymi jasnymi oczami w twarz Wesela.

— Naprawdę się pan domyśla?

— A dlaczegoż by nie? Chce pan wrócić z powrotem do Niemiec. Tylko z jakiego powodu? Może chce pan skończyć

jakieś swoje badania albo też ma pan jakieś inne zobowiązania czy plany. A może chce pan jakoś zabezpieczyć swoich bliższych krewnych. Mogą też tu wchodzić w grę jakieś względy finansowe, dla czego zresztą miałbym pełne zrozumienie. Ale także jest całkiem możliwe, że nie mógł pan znieść bezczynności. Może być wiele powodów, dla których pan się tu znalazł.

— Czy mam rozumieć, że umożliwiłby mi pan powrót do Niemiec?

Wesel skinął głową.

— Tak, ale pod pewnymi warunkami.

— A jakie mianowicie miałyby być te warunki?

— Dostaje się pan znowu pod nasz nadzór — zażądał stanowczo Gruppenführer. Przewidział tę rozmowę i był do niej całkowicie przygotowany. — Będzie to nadzór sprawowany przeze mnie i przez Müllera. Tym razem będzie pan otrzymywał honorarium w wysokości trzech tysięcy marek miesięcznie. Do tego bezpłatne mieszkanie i utrzymanie. Wróci pan do Feldafig, ale już nie do piwnicy. Zapewnimy panu również, panie profesorze, pewną swobodę poruszania się.

— A co by należało do moich obowiązków?

— Dalsze wykłady dla naszych ludzi. O żydostwie, o życiu, obyczajach, filozofii. Oprócz tego sporządzanie pewnych analiz i opracowań na tematy możliwie blisko związane z praktyką. Zgodnie z moimi potrzebami i wyłącznie na mój użytek. Zgodziłby się pan na to?

— Tak — powiedział Breslauer.

Müller bardzo szybko zorientował się w sytuacji w kawiarni „Dante”. Wchodząc do wnętrza kawiarni musiał minąć wóz policyjny. Stwierdził od razu, że kilku policjantów pod groźbą użycia broni zapędziło szóstkę w róg pomieszczenia. Stali tam, lekko pokiereszowani, ale wciąż gotowi do bójki.

Müller przedstawił się porucznikowi dowodzącemu tą akcją policyjną. Pokazał mu dwie legitymacje, jedną niemiec-

ką i drugą włoską. Do tego jeszcze pismo uwierzytelniające wystawione przez kancelarię Duce.

Z koleżeńską uprzejmością zwrócił się po włosku, który brzmiał dość twardo w jego ustach, do porucznika:

— Pan pozwoli, kolego, że teraz przejmę tych ludzi pod moją komendę.

— Chętnie bym ich panu przekazał — zapewnił z całą życzliwością porucznik — ale nie wiem, czy jestem do tego upoważniony.

— Może się pan o tym natychmiast przekonać — powiedział Müller. — Wystarczy, że pan zadzwoni do Prezydium Policji i poprosi do telefonu signora Sergia Boniego. Proszę podać tylko moje nazwisko.

— Zadzwonię — powiedział porucznik. Wiedział dokładnie, kim jest ów Boni. Dał znak swoim policjantom i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, by stamtąd przeprowadzić rozmowę.

Müller przyglądał się tymczasem szóstce Wesela. Czuli się wciąż jeszcze panami sytuacji. Znowu odwalili kawał dobrej roboty. Czego tu więc się od nich chce? A przy okazji mieli także trochę przyjemności.

— Jeszcze wam tego mało? — zapytał ostro Müller. — Brakuje wam czegoś w rodzaju finału, co? Ale doczeka cie się go na pewno, u waszego Gruppenführera!

Ale nawet ta zapowiedź nie ostudziła szóstki.

— Ostatecznie my tu tylko posprzątałyśmy trochę w tej intelektualnej gnojówce — powiedział Hermann. — Ta zbieranina pasożytów aż się o to prosiła!

— A gdzie się podziali wasi drodzy faszystowscy przyjaciele? — próbował dowiedzieć się Müller.

— Po prostu zwiali, jak tu się zrobiło gorąco — pogardliwie informował Hermann. — Ale czego innego można się było po tych mięczakach spodziewać?

Poprzez szczątki rozbitych luster, połamanych krzeseł i potrzaskanych stołów torował sobie drogę pracownik włoskiej policji ku swemu niemieckiemu koledze. Uśmiechał się do niego przyjaźnie. Odciągnął go na bok i półgłosem oświadczył:

— Serdeczne pozdrowienia od signora Boniego. Ciesz się, że mógł się panu do czegoś przydać, signor Müller.

Pańscy ludzie są zatem wolni i może ich pan w zasadzie zabrać, zgodnie z życzeniem.

— Czy są jakieś warunki, kolego?

— Takie, jakie obowiązują w międzynarodowej współpracy policyjnej. Myślę o pokryciu szkód. Pan rozumie?

Müller w lot zrozumiał. Mrugnął z wdzięcznością do swego rzymskiego kolegi. — Załatwione!

Müller poprosił do siebie właściciela lokalu. Ten przybiegł spiesźnie, rozżalony i jęczący. Dialog, który się między nimi wywiązał, jeszcze raz ukazał w całej pełni wielką klasę Müllera. Jego ludzie potrafili to docenić.

Müller: Szanowny panie, nie zechce pan zapewne mnie zmuszać do przeprowadzenia dokładnego dochodzenia, co tu właściwie się stało i kto konkretnie spowodował te wydarzenia. Nim ewentualnie zaczniemy dyskusję na ten temat, chciałbym panu coś zaproponować.

Właściciel kawiarni: Tutaj w pożalowania godny sposób absolutnie jednostronnie sprowokowano te wypadki! To da się udowodnić! Ja mam na to świadków!

Müller: Czy pan nie zrozumiał, że chciałbym zaproponować panu wyrównanie strat? Jestem gotów pokryć wszystkie koszty. Co bynajmniej nie oznacza przyznania się do winy, lecz jest tylko przyjacielskim gestem wobec włoskich przyjaciół. Co pan na to?

Właściciel kawiarni: To oczywiście zmienia postać rzeczy. Jeżeli tak jest w istocie, jak pan mówi, to ja oczywiście... Ale widzi pan te zniszczenia...

Müller: Koszty zostaną w pełni pokryte! Ale tylko pod pewnym warunkiem: Pan i pańscy ludzie zaświadczyście, że nie wydarzyła się tu żadna polityczna prowokacja. Doszło jedynie do jakiejś kłótni, w której nikt nie został ranny ani też nie ucierpiał w żaden inny sposób. Ot, taka męska wymiana zdań, zbyt hałaśliwa zabawa, można to tak określić. Czy pan i pańscy pracownicy jesteście gotowi do złożenia takiego oświadczenia?

Właściciel kawiarni: Oczywiście, i to natychmiast, szanowny panie! Jeśli jest pan gotów wspaniałomyślnie wypłacić nam odpowiednie odszkodowanie...

Müller jeszcze raz, w obecności włoskiego policjanta, potwierdził, że pokryje straty. Po czym wręczył właścicielowi

lokalu swój rzymski adres oraz, jako pierwszą zaliczkę, tysiąc dolarów, które wyciągnął z przyniesionej ze sobą teczki. Uzgodniono też, że ogólna kwota odszkodowania nie wyniesie więcej niż dwa tysiące dolarów.

Na zakończenie właściciel lokalu zwrócił się jeszcze do porucznika policji:

— Pozwoli pan, że złożę na pańskie ręce podziękowanie za szybką i skuteczną pomoc w przywracaniu porządku. Zresztą, jak pan widzi, wszystko się szczęśliwie zakończyło. Nie będzie więc żadnego doniesienia. Zaszło tu po prostu zwykłe nieporozumienie między gośćmi, które przecież zawsze się może zdarzyć w każdym lokalu. Nawet takim jak nasz.

— Akcja skończona! — zawołał porucznik do swoich policjantów. — Wychodzimy! — I zwrócił się do Müllera: — Jeśli mi wolno zauważyć, wspaniale pan to załatwił, panie kolego! Współpraca z panem była dla mnie prawdziwą przyjemnością!

— Dla mnie także — zapewnił Müller. — Przekażę moją opinię o panu signorowi Boniemu. A gdyby pan kiedyś przyjechał do Niemiec, to w razie potrzeby chętnie się panu w podobny sposób zrewanżuję.

Uścisnęli sobie mocno dłonie. Po czym Müller zwrócił się do swoich sześciu ludzi:

— Moi panowie, teraz proszę za mną! Bez zbaczania z drogi. Najpierw na dwór, potem Hiszpańskimi Schodami w górę, a potem do hotelu. Do naszego Gruppenführera!

Waldemar Wesel przyjął swoją elitę w hotelu w małej sali konferencyjnej o ścianach wyłożonych boazerią. W kącie sali stały róże w ogromnym wazonie, a na środku długi stół z ciemnego marmuru, prawdziwe dzieło sztuki rzymskiego rzemiosła, obstawiony po obu stronach czarnymi skózanymi fotelami. Na razie Wesel nie zaprosił jeszcze nikogo do siadania.

Gruppenführer stał swobodnie oparty o szeroki parapet okienny i wyglądał zdumiewająco pogodnie. Najpierw ski-

nieniem ręki przywołał do siebie Müllera, nachylił ku niemu swoje prawe ucho i wysłuchał jego szeptem złożonej relacji. Jego dobry nastrój chyba jeszcze się poprawił. Wreszcie zwrócił się do szóstki:

— To, czego się tu przed chwilą dowiedziałem, wskazuje, że się, moi panowie, świetnie bawicie! Cieszę się z całego serca. Dobra zabawa warta jest każdej ceny. Suma dwóch, a nawet trzech tysięcy dolarów jest dla nas drobnostką. Po prostu nie ma o czym mówić. To wlicza się w koszty.

Wszyscy obecni, razem z Müllerem, stali ogarnięci zdumieniem. Szef wciąż ich zaskakiwał. Patrzyli na niego pełni wdzięczności i oddania. Spodziewali się straszliwej awantury, zresztą dobrze zasłużonej. Ale co się stało, że ich mistrz wykazał wobec nich tyle zrozumienia i tolerancji?

— Tak — powiedział po chwili Wesel — chętnie bym wam pozwolił na jeszcze inne przyjemności. Ale nic z tego. Musimy natychmiast wracać, i to z dwóch ważkich powodów: mam coś ważnego do przekazania Führerowi po rozmowie z Duce, a po wtóre, otrzymałem właśnie wiadomość od mojego przyjaciela Heydricha, że jesteśmy pilnie potrzebni do pewnej państwowej akcji.

Wszyscy patrzyli na Wesela zdumionym i pytającym wzrokiem. Ten jednak wykorzystywał swoją sytuację zwierzchnika w najbardziej skuteczny sposób. Wydawał zarządzenia, które były rozkazami. I to był język porozumiewania się w tym kręgu.

— Po pierwsze — kontynuował Wesel — pan Müller do pilnuje, by zlikwidować tu po nas wszelkie ślady, przede wszystkim sprawy ostatecznego rozliczenia się z kawiarnią „Dante”. Po drugie, wyjeżdżamy do Niemiec za dwie godziny. Tym razem obowiązuje jazda w kolumnie. Szczegółowe polecenia w tej sprawie przekaże wam Raffael. Przez widziany na to czas: dwa dni i dwie noce. Tylko jeden postój: w Bolonii. Berner i Bergmann pojedą przodem i przygotowują tam dla nas nocleg. Po trzecie, w samochodzie ze mną pojedzie dodatkowy pasażer. Aż do naszego odjazdu mają go pilnować i nie spuszczać z oka Hermann i Siegfried. Ów dodatkowy pasażer znajduje się w tym hotelu. Znać go wszyscy.

W tym momencie Wesel ostro, niemal wyzywająco spojrzął na Müllera. Ten, po raz pierwszy w życiu, a chyba też i po raz ostatni, poczuł się niepewny, niemal zmieszany. Był to widok, którego nikt z obecnych nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, może we śnie.

— Chyba nie chodzi o Breslauera? — zapytał Müller bezbarwnym głosem.

— Właśnie o niego — oznajmił Gruppenführer Waldemar Wesel tryumfalnie. — Co pan na to?

Müller milczał chwilę. Nie powiedział tego, co myślał w tej chwili: Jak pan sądzi, Wesel, kim naprawdę są ci Żydzi? A szczególnie ten? Ściągnął pan sobie człowieka, dla którego śmierć nie ma znaczenia. Nawet jego własna.

— Jak pan, Gruppenführer, wpadł na jego ślad?

— To raczej on, panie Müller, wpadł na mój ślad. To on mnie tu odszukał i wyraził życzenie powrotu do Niemiec. Dlaczegoż nie miałbym spełnić tego życzenia?

Müller odezwał się raz jeszcze głosem, w którym brzmiało zrezygnowanie:

— Tutaj, Gruppenführer, pan decyduje, ale również od powiada za wszystko. Jeżeli chodzi o mnie, najchętniej wyśłałbym tego Breslauera do diabła, niestety nie znam adresu. Mogę tylko zgadywać.

8. Jeszcze kilka lekcji

W niecałe dwadzieścia cztery godziny po powrocie z Włoch do Feldafing Grupa Wesela, po krótkim, ale gruntownym przygotowaniu, przystąpiła do nowej akcji.

Rano, jeszcze przed wschodem słońca, nim zaczęły pisać koguty, wyruszyli w drogę i po trzech godzinach dojechali do Berchtesgaden, uzbrojeni w swoje specjalne rewolwery kalibru 10,5.

Celem ich podróży był ośrodek szkoleniowy Niemieckiego Frontu Pracy, położony nieco nad Berchtesgaden, w surowym górskim krajobrazie. Nieco dalej w górę znajdował się ów dom, w którym Führer, jak to się zwykle mówić, wypoczywał po trudach swego urzędowania, rozkoszując się pięknem natury i snując swoje twórcze rozmyślenia.

W ośrodku czekał już na nich Heydrich. Powitał każdego po kolei podniesieniem ramienia w partyjnym pozdrowieniu, mówiąc do nich per ty i „przyjacielu”. Po czym poprosił na bok Wesela na krótką rozmowę. Następnie wszyscy razem udali się do pustej jeszcze sali wykładowej.

Na podeście w głębi sali stał duży dębowy stół z ciężkim blatem. Przed nim, ale już pod podestem, jedno obok drugiego dziesięć krzeseł. Przy przeciwnej ścianie ustawiona była długa wypolerowana ława ze świerkowego drewna, na której łatwo mogło się pomieścić sześć osób. Ściany były puste, okna lśniły czystością, podłoga też była porządnie wyszorowana.

— Przyjaciele — wyjaśnił im Heydrich — otrzymaliście ten przywilej i zaszczyt, że będziecie stanowić osobistą ochronę Führera, jako jego najbardziej zaufana straż przyboczna. Jako

ludzie bezwarunkowo oddani Führerowi załatwicie tu również to, co jest do załatwienia. Chodzi o danie sygnału ostrzegawczego. Przy czym rzecz dotyczy zaplanowanego przez Führera programu eutanazji, czyli o niezbędne z punktu widzenia interesów państwa oczyszczenie społeczeństwa z ludzi obciążonych dziedzicznie różnymi chorobami, a więc z epileptyków, umysłowo chorych, zwyrodnialców, wałkoni, pacyfistów i z wszelkiego rodzaju zbędnych elementów. Okazało się niestety, że Führer w tych swoich zamierzeniach napotyka znaczny opór. Nie tylko ze strony Kościoła katolickiego, który musi zachować twarz, aby utrzymać w ryzach swoich wiernych; nie tylko ze strony lekarzy, dla których tego rodzaju chorzy stanowią pierwszorzędną źródło dochodów. Opór taki zrodził się także w szeregach partyjnych, i to wśród ludzi na wysokich stanowiskach. Dziesięciu takich tutaj zaproszono. Wśród nich jest jeden Gauleiter, dwaj Gauamtleiterzy, czterech szefów propagandy oraz trzech dziennikarzy. Są to redaktorzy naczelni różnych popieranym zresztą przez nas dzienników.

— Ich nazwiska?

— To nieważne. Wkrótce zobaczycie tych facetów siedzących tu przed wami. Będą musieli wypowiadać się przed Führerem ze swoich poglądów. Wy macie tylko zapamiętać liczbę porządkową tych wywrotowców, od lewej do prawej, od pierwszego do dziesiątego. A ja w odpowiednim momencie dam wam znać, o który numer chodzi.

Wydarzenie tu opisane rozegrało się w niecałe pół godziny. Nie ukazały się po nim żadne oficjalne komunikaty. Ale wieść o tej demonstracji woli Führera rozeszła się błyskawicznie i to nie tylko wśród kręgów partyjnych.

Owych wspomnianych dziesięć osób przyjechało do ośrodka niemal piętnaście minut przed wyznaczoną godziną. Wprowadzili ich na salę ludzie z SS i tam przekazali Weselowi. Ten porozsadzał ich według trzymanej w rękę listy w określonym porządku na stojących przed podium krzes-

łach. Odbywało się to w absolutnej ciszy — wszyscy chyba nosili buty na gumowych podszewkach.

Heydrich, również z jakąś listą w ręku, stał z tyłu. Na ławie pod ścianą siedziała szóstka mężczyzn z Feldafig, wszyscy sprzężeni, gotowi w każdej chwili chwycić za broń.

— Na razie nie wtrącać się — polecił im szeptem Heydrich. — Cierpliwie czekać! Gdyby któryś z tych facetów próbował zrobić choćby jeden fałszywy krok, ma być po nim!

Chwilę potem ukazał się Führer. Wkroczył na salę energicznym, elastycznym krokiem. Towarzyszyli mu dwaj adiutanci. Wszyscy obecni na sali podnieśli się ze swoich miejsc.

Adolf Hitler podał rękę Weselowi i mocno nią potrząsnął. Potem obrzucił znaczącym spojrzeniem Heydricha i swoją elitę i udał się za długi, szeroki, panujący nad salą stół na podium. Stał za nim niby za murem obronnym i mierzył wzrokiem jednego po drugim przybyłych funkcjonariuszy partyjnych.

Następnie rzucił szczekliwym głosem:

— Towarzysze! Słyszałem, ale nie mogłem dać temu wiary, że odmawiacie mi posłuszeństwa w pewnej ważnej dla narodu i ojczyzny sprawie. Na jakiej zasadzie?

Milczeli, wszyscy dziesięciu. Mniej lub więcej przestraszeni. Skuliwszy się i pochyliwszy głowy siedzieli tak, jakby zaczęli pojmować, co ich tu czeka.

Führer tymczasem porzucił swoją pozę inkwizytora i przybrał postać proroka. Przeświadczony o swoim historycznym posłannictwie, obwieścił:

— Życie jest nieustanną walką o byt! Prawo, które nas obowiązuje, brzmi: wartości wyższe mają górować nad niższymi, rasa ma przewyciężyć szumowiny, chorzy mają ustąpić miejsca zdrowym. Kto nie chce tego przyjąć do wiadomości, ten nie pojął ducha naszych czasów, ten zatem do nas nie należy! A jak widać, brak wam woli, by trwać przy nas aż do ostatecznych konsekwencji. Dlaczego?

Dziesięciu oskarżonych wciąż milczało w wyraźnym przynębieniu. Skulili się jeszcze bardziej, gdy Wesel do nich zasyczał:

— Czyście nie słyszeli, towarzysze! Führer chce wysłuchać waszych argumentów. On czeka!

Na to trzech oskarżonych zaczęło się usprawiedliwiać:

Po pierwsze, niedokładnie zrozumiano intencje Führera, więc uprasza się o przebaczenie i danie możliwości naprawy tego błędu. Dalej: wypowiedzi na ten temat zostały fałszywie zinterpretowane lub nawet źle zrozumiane. Dwaj dalsi stwierdzili uroczyście, że padli ofiarą podstępnych pomówień i oszczerstwa, prawdopodobnie w grę tu wchodzi wewnątrzpartyjne rozgrywki o władzę.

Tylko trzech spośród dziesięciu, wprawdzie ostrożnie i pokornym głosem, przedstawili jednak wyraźne argumenty:

Pierwszy: Nie orientuję się zbyt dobrze w tym wszystkim, więc nie czuję się upoważniony do decydowania o ludzkim życiu.

Drugi: Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że powinniśmy się w pewnej mierze liczyć z Kościołem, szczególnie z Kościołem katolickim.

Trzeci, całkiem po prostu: Jest to sprzeczne z moim sumieniem.

Ci trzej mężczyźni, bacznie obserwowani przez ludzi Wesela, byli oznaczeni numerami dwa, pięć i siedem. Heydrich szepnął do szóstki Wesela:

— Uważajcie na trójkę, czwórkę i dziewiątkę. Dobierze my się do nich. Już od dawna figurują na mojej liście.

Hitler, który teraz znów stał się Führerem, oznajmił na zakończenie:

— Jedyne, co nam pozwoli przetrwać w tych czasach za groźenia wewnętrznego i zewnętrznego, to tylko dyscyplina i wierność. Ja tak żyję dla waszego dobra i od was wymagam tego samego. Wspólnota jest wszystkim, jednostka niczym!

Führer podniósł ramię do niemieckiego pozdrowienia. Trzymał je tak kilka sekund. Po czym, jakby w pośpiechu, opuścił salę.

Pozostała po nim groźna pustka. Ale wtedy wkroczył do akcji Heydrich.

Wskazał palcem kolejno siedmiu z dziesięciu oskarżonych.

— Znikajcie! I jeśli można prosić, to natychmiast! Podziękuje za to Bogu albo Führerowi.

Znikali jeden po drugim, tłoczyli się, jeszcze skuleni przy wyjściu, nawet się nie obejrzawszy.

Pozostało teraz wskazanych przez Heydricha trzech. Siedzieli kredowobladzi, pokorni, patrzący błagalnym wzrokiem.

Heydrich skinął na Wesela: — Teraz twoja kolej.

Ten natychmiast zarządził:

— Berner i Bergmann, robota dla was! Pozostała czwórka ubezpiecza!

Berner i Bergmann kazali im natychmiast wstać i odwrócić się twarzą do ściany.

— Ręce do góry! Stańć w rozkroku! Nie ruszać się!

Berner trzymał rewolwer gotowy do strzału, podczas gdy Bergmann obmacywał ich w poszukiwaniu broni.

Heydrich i Wesel stali w oczekiwaniu przy oknie. Reszta ludzi z grupy pozostała na swojej ławce, stamtąd jak z łoży podziwiając rozgrywające się przed ich oczami widowisko.

— Nie mają nic — oznajmił Bergmann, wyraźnie rozczarowany.

— A co z ich teczkami? — zapytał Heydrich.

Berner podskoczył do stołu. Po chwili wykladał na stół ich zawartość. Pośród stosów zadrukowanego papieru ukazały się następujące przedmioty: duży sprężynowy nóż w teczce numeru trzeciego, pistolet typu Mauser 7,65 z pełnym magazynkiem w teczce czwórki oraz granat ręczny, który się wytoczył z teczki dziewiątki.

— No właśnie — rzucił niedbale Heydrich. — Właśnie o to chodziło!

Na to jeden z oskarżonych wykrzyknął zrozpaczonym głosem:

— Przysięgam, że nic takiego nie miałem w teczce. Ktoś mi to musiał podłożyć! To niemożliwe!

Berner wymierzył mu kopniaka tak mocno, że ten uderzył się o ścianę, zaczął krwawić i rzeźić.

Wesel do groźnej uwagi Heydricha dorzucił jeszcze:

— Ci faceci przychodzą na spotkanie z Führerem z bronią. To może oznaczać tylko jedno: że chcieli zamordować Führera!

— Wobec tego — wrzasnął Berner — te świnię same wydały na siebie wyrok! Już my ich wykończymy! Czy mamy wolną rękę?

— Całkowicie — powiedział Wesel, ujrzawszy przyzwalający znak Heydricha. — Róbcie swoje!

Bernerowi i Bergmannowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Po krótkiej naradzie przystąpili do działania wzmagającego jeszcze bardziej przerażenie przyszłych ofiar.

Zadanie numer jeden: Berner i Bergmann przewrócili stół, za którym przed chwilą stał Hitler, do góry nogami. Zerwawszy sznury od zasłon okiennych, przywiązali nimi do nogi stołowej towarzysza partyjnego, przy którym znaleziono granat. Włożyli mu go teraz w spodnie między nogi.

Heydrich, który z rosnącym zainteresowaniem przyglądał się tym przygotowaniom, cofnął się nieco i szepnął do Wesela:

— Oni chyba nie wysadzą go w powietrze w tym pomieszczeniu? W naszej obecności?

— Nie ma się co martwić! To jest nasz numer pokazowy. Berner i Bergmann już go nieraz próbowali. Robią to świetnie!

Oni tymczasem ustawili stół tak, że jego masywny blat stanowił coś w rodzaju wału ochronnego dla wszystkich obecnych na sali. Berner zwrócił się do Heydricha, wyjaśniając mu uprzejmie:

— Mamy tu podwójne zabezpieczenie, po pierwsze, jego ciało, po drugie, niesłychanie masywny blat. Nawet nie trzeba będzie się kryć.

Bergmann odbezpieczył granat i cofnął się parę kroków. Po trzech sekundach i ogłuszającej detonacji po „zdrajcy” została jedynie kupa skrwawionego mięsa. Gęsty śmierzący dym zawisł nad salą.

Zadanie numer dwa: Berner podszedł do członka partii numer cztery, a więc do tego, u którego znaleziono w teczce nóż sprężynowy. Podrzucił ten nóż w rękę przez kilka chwil i powiedział niemal z politowaniem:

— Co? Chciałeś tym zarznąć Führera? — Wbił mu nóż z całej siły w brzuch, po czym go wyciągnął. — A może

chciałeś trafić Führera w serce? — I wbił nóż w lewą pierś ofiary.

Ten tylko zwinął się wpół, zaczął wyć jak zranione zwierzę i padł na podłogę.

— Mocna rzecz! — przyznał Reinhard Heydrich, którego sępiea twarz nieco się zarumieniła. Kiwnął głową Weselowi, gdyż napadł go atak ostrego kaszlu. Przysłonił sobie twarz chustką do nosa.

Wesel popatrzył na niego, całkowicie niewzruszony. — To tylko mała próbka naszego szerokiego repertuaru. — Zwrócił się znowu do dwóch oprawców: — Kończcie wreszcie!

Nastąpiło więc wykonanie zadania trzeciego.

Bergmann krzyknął do Bernera:

— Podaj temu facetowi, który przyszedł z bronią na roz mowę z naszym Führerem, jego pistolet. Naładowany i od bezpieczony.

Berner wręczył mu nabitą broń. Ten ujął swój pistolet drżącą ręką. Rozglądał się wokół jak bezlitośnie ścigane zwierzę.

— Daję ci, ty świnię — wrzasnął do niego Bergmann — ostatnią szansę, spróbuj mnie zabić! Albo ci wydmucham mózg z czaszki! No, broń się, świntuchu!

Skazaniec podjął próbę. Gorączkowo podniósł pistolet do oka. Ale na próżno. Bergmann, który czujnie śledził jego ruchy, uprzedził go strzałem w kolano. Nie chciał go zabić od razu. Ale następnym strzałem z rewolweru kalibru 10,5 roztrzaskał mu czaszkę. Mężczyzna z głuchym charkotem runął na ziemię, jak ścięty siekierą.

— No dobra — spokojnie podsumował sprawę Wesel.

Przez następne dni i tygodnie w willi Feldafig nie działo się nic szczególnego. Zaczęło to nawet niepokoić jej mieszkańców. Jedyne niez mordowany Müller prowadził regularnie swoje wykłady na temat metod kryminalistyki i reakcji

na nie kryminalistów. Tym razem głównym tematem była obserwacja podejrzanych, co obejmuje cały proces zbierania, utajniania i przekazywania informacji. Dalej cała wiedza o tropieniu śladów, o umiejętności ich zacierania, a także o metodach fałszowania śladów.

— Niech panowie wezmą pod uwagę, że cała ta wiedza może się wam wkrótce przydać w praktyce.

Z tej uwagi wynikało wyraźnie, że Müller zmierza do zupełnie określonego celu. Oczywiście zgodnie z zaleceniem Wesela. Ten już nie tylko pragnął być władcym przywódcą swego stada, on chciał to stado przekształcić w nadludzi.

Zabiegał więc troskliwie o duchowe wyposażenie swojej elity. Sięgał przy tym chętnie do swoich własnych dzieł, i to zarówno do tych już opublikowanych, jak i nowo powstających. Zależało mu szczególnie na tym, by wykształcić w swoich ludziach odruch bezwzględnego posłuszeństwa.

— Czy do tego służą — usłyszał pytanie — także wykłady Breslauera?

Wzrok Wesela wędrował wtedy gdzieś w dal, spoglądał władczo, jakby dobrze przestudiował wyraz oczu Fryderyka Wielkiego ze słynnego portretu Antona Raffi, którego barwna reprodukcja zdobiła wówczas każdy zasobniejszy pruski dom.

— Do tego służy po prostu wszystko, co ja uznałem za słuszne. Każde moje działanie jest oczywiście dokładnie przemyślane — brzmiała odpowiedź.

Niemal codziennie prowadzone wykłady profesora Breslauera dotyczyły istoty żydostwa, jego podstaw filozoficznych i rozwoju historycznego, założeń etycznych, religijnych i społecznych. A także praktycznych możliwości ich utrzymania w obecnych czasach i w obecnych warunkach.

— Czy koniecznie musimy tego wysłuchiwać? Ten Breslauer próbuje nam tu zasować jakieś żalosne bzdury. Twierdzi, że właśnie Żydzi, właśnie ci brudni śmierziele, są narodem wybranym! Gruppenführer, to nie do zniesienia!

— Słuchajcie go uważnie — przykazywał Wesel z naciskiem swojej szóstce. — Nie dajcie się mu jednak nigdy sprowokować i nie wyciągajcie zbyt pospiesznych wnio-

ków. Przemyslcie sobie dokładnie to, o czym on mówi. **Myślcie** o tym. I dyskutujcie między sobą albo ze mną.

— A nie z nim samym?

— To byłoby — zauważył Wesel — całkiem bezcelowe. On się nie da przekonać. On jest tu tylko po to, by prezentował wam swoją wiedzę. A w tej dziedzinie nie ma lepszego od niego specjalisty.

— Ileż razy bierze nas chęćka, by mu wypolerować gębę!

— Więcej samoopanowania, przyjaciele! Róbcie notatki z każdego wykładu. Potem niech każdy z was sporządzi z nich własne sprawozdanie, z uwagami krytycznymi. I proszę na bieżąco przedstawiać mi te opracowania.

— Czy nasza następna akcja będzie skierowana przeciw Żydom?

— Możliwe, panowie, możliwe! Tylko cierpliwości!

Dalsze zeznania kierowcy Sobottke przesłuchiwanego przez kapitana Scotta:

Tamto lato ciągnęło się jakoś leniwie, podobnie jesień. Nie było za wiele roboty. Ja chodziłem koło moich samochodów, dbałem, żeby zawsze były na chodzie. A poza tym miałem zadanie opiekowania się tym profesorem.

Kto to był? Niejaki Breslauer. Bardzo sympatyczny starszy pan. Lubił mnie i ja jego też. Pilnowałem go na każdym kroku, gdziekolwiek szedł: oddać bieliznę do prania, buty do szewca, czy po zakupy. To był jednak naprawdę sympatyczny człowiek, zresztą Żyd.

Co on tam robił? A skąd ja mogę wiedzieć? Mieszkał w bocznym skrzydle willi. I wciąż coś tam pisał, chyba jakąś książkę. W każdym razie to niezwykle miły człowiek. Naprawdę.

Czy mógł sam poruszać się po okolicy? No, w pewnym sensie tak, tak samo jak my wszyscy. To znaczy zgodnie z obowiązującym nas regulaminem. A ten ustanawiał Wesel.

Regulamin ten na przykład określał, że cała przychodząca poczta szła najpierw na biurko Wesela. Każda wychodząca poczta musiała także przejść przez jego ręce. Telefonować również można było tylko za jego zgodą, a opuszczać willę tylko po otrzymaniu swego rodzaju przepustki. Trzeba było przy tym podać dokładnie kto, kiedy, dokąd i kiedy się wróci.

Obowiązywała przy tym podstawowa zasada: nigdy w pojedynkę! Prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa. Chodziło, myślę, o to żeby jeden mógł strzec drugiego. Dlaczego? Przed kim? A skąd ja to mogę wiedzieć panie kapitanie? Ja byłem tam tylko pionkiem.

Oczywiście, przypominam sobie, że od czasu do czasu woziłem tego Breslauera do Monachium, przeważnie do różnych bibliotek, a także do Starej Pinakoteki, na uniwersytet, do muzeów. Zawsze jednak w którymś towarzystwie. Z reguły wyznaczano Nordena albo Hageny.

W czasie tych wypraw panowie zachowywali się zupełnie przyzwoicie. Szczególnie, jeśli chodzi o Nordena. Rozmawiali sobie przy tym godzinami o różnych różnościach. Na przykład o apostołach albo o poście. Albo o wykopaliskach, konserwacji, odkryciach dzieł sztuki. I takich tam sprawach.

W każdym razie mogę pana zapewnić, że było to dość nudne lato, i niestety, jesień. Czasem jednak odbywały się jakieś ćwiczenia. Na przykład nocne marsze na orientację według mapy i kompasu. Wywoziło się wtedy całe bractwo i wysadzało w jakimś bezludnym miejscu. Albo wyprawiało się ich na kilkudniowe wędrówki po górach, bez żadnej wałówki; zgodnie z rozkazem mieli sobie sami radzić, ale nie dać się przyłapać. Co poza tym jeszcze robili, kiedy byli w willi? Co mnie to mogło obchodzić?

Co się stało z profesorem? Tego także niestety nie wiem. Ale on na pewno by panu opowiedział, jak bardzo mu pomagałem. Żydowi! A, Bóg świadkiem, nie było to takie łatwe.

Tak więc nie działo się wtedy nic interesującego. Może tylko poza pewną drobnostką.

Wesel nakazał mi, bym wyszukał i sprowadził do willi najczystszej rasy niemieckiego owczarka. Udało mi się zna-

leżć takiego. Nazywał się Harras. Harras von Hohenheim. On nam potem trochę urozmaicił życie.

Pewnego dnia po solidnej bawarskiej kolacji Wesel poprosił wszystkich na dół do holu. Kazał każdemu podać po kieliszku aromatycznego frascati, lekkiego włoskiego wina o żółtozłotawej barwie. Chciał pewnie przypomnieć włoską wyprawę. Raffael przezornie zaopatrzył się w kilka butelek tego wina, osłoniętych plecionką z rafii.

Wesel, zamysłony, patrzył gdzieś przed siebie. Po chwili odezwał się:

— Macie za sobą, przyjaciele, kilka trudnych tygodni, pełnych zajęć teoretycznych, jak i wyczerpujących zajęć praktycznych. Tak musiało być. Ale teraz, świetnie to rozumiem, macie prawo do krótkiego wypoczynku. Co o tym sądzicie? Proszę o całkowicie szczerze propozycje.

— Jakaś przerwa by się nam przydała — pierwszy odezwał się Hermann. — W końcu jesteśmy chłopami i od czasu do czasu potrzebujemy jakichś bab.

— Naprawdę? — roześmiał się Wesel. — No i co z tym zrobimy?

— Gruppenführer — wystąpił Hagen z całą powagą — jeżeli mam być szczerzy, to sądzę, że te wyprawy na Leopoldstrasse to już nie dla nas.

— Zgadzam się z Hagenem — wtrącił natychmiast Norden. — Tamtejsze damy nie są nas godne.

— Proponuję wyjazd do hrabiego — rzucił hasło Hagen — to znaczy, do Elisabeth. Dawnośmy już tam nie byli.

— Jednym tchem wymieniać tamten lupanar i godną naj wyższej czci hrabiankę — wykrzyknął zadziornie Norden

— to zniewaga! Zdecydowanie protestuję!

— Dosyć tego — przerwał im energicznie Wesel. — Z różnych powodów ani jedno, ani drugie nie wchodzi w rachubę. Mam natomiast — tu się uśmiechnął — inną propozycję.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco.

— Czy słyszeliście już o organizacji, która się nazywa Lebensborn? — zapytał.

Nikt o czymś takim nie słyszał. Wesel musiał więc wyjaśnić swoim ludziom, co to jest.

— Organizacja Lebensborn stanowi szczególnego rodzaju wsparcie dla naszej formacji SS. Powołano ją z osobistej inicjatywy Reichsführera. Przede wszystkim ma dbać o ciągłość czystości rasy przez odpowiednio sterowany przez naukowców proces zapewnienia narodowi czystego rasowo potomstwa. I to bez względu na ewentualne małosłowne zastrzeżenia drobnomieszczactwa czy wręcz wypaczoną moralność sfer klerykalnych.

— Cóż to za płodna myśl! — zauważył Norden.

— Pewnie, że płodna — potwierdził Hagen. — Ale też ktoś tam się musi zająć zapładnianiem. A my się do tego nadajemy. No to kiedy, Gruppenführer?

— Jedziemy jutro po południu — zarządził Wesel.

Gdy nazajutrz o określonej przez Wesela godzinie zebrali się w dobrych nastrojach przed wejściem do willi, ujrzeni tam zwierzaka, niemieckiego owczarka o ciemnej, lśniącej sierści i jasno błyszczących oczach.

Przypatrywali się mu ze zdziwieniem i ciekawością. Tylko Siegfried zapytał:

— Co to za pies?

Sobottke, który właśnie zajechał czarnym mercedesem pod willę, udzielił mu informacji:

— To jest owczarek niemiecki najczystszej rasy i najlepszej hodowli. Nazywa się Harras von Hohenheim.

— A dlaczego ten pies jest tu u nas? — zapytał Siegfried.

— Jest, bo jest. I tyle — odpowiedział Raffael, który miał prowadzić wóz Wesela.

— Wspaniały zwierzak — rzeczowo ocenił Siegfried, próbując zbliżyć się do psa.

Tymczasem punktualnie co do sekundy ukazał się Gruppenführer, znów w swoim ulubionym stylizowanym stroju bawarskim.

— Nie rozpraszajcie się, panowie! — krzyknął rzeško do swoich ludzi. Nie spojrzal przy tym na nikogo; ani na Sieg-frieda, ani na psa. Jakby ich wcale nie było.

— Zechciejcie się skoncentrować na tym, co was czeka. A więc na akcji Lebensborn! Spodziewają się tam nas wkrótce.

Müller wykorzystał wyjazd całej grupy, by wreszcie bez przeszkód porozmawiać z Breslauerem.

Nie było to wcale łatwe, ponieważ profesor unikał dotąd spotkania z nim. Twierdził, że ma coś ważnego do roboty. A poza tym: — Co mamy sobie jeszcze do powiedzenia?

Müller jednak wdarł się do jego pokoju.

— Masz rację! — wykrzyknął. — Istotnie nie ma sensu z tobą gadać, bo już jest tak, jakby ciebie nie było! I ty też wiesz o tym!

Breslauer, jakby w obronie, uniósł obie ręce i z uśmiechem starał się odparować ten atak:

— W końcu kiedyś każdy musi umrzeć. Ale u mnie to się chyba jeszcze przeciągnie. Dopóki mam ciebie.

— Na twoim miejscu za wiele bym sobie nie obiecywał — odparł bezlitośnie Müller. — Nawet jeśli raz udało mi się wyrwać cię pewnej śmierci. Cuda zazwyczaj się nie powtarzają.

Niełatwo przyszło Müllerowi przełamać rezerwę Breslau-era, dopomógł sobie butelką szampana z prywatnych zasobów Wesela.

— Mogę ci ich przynieść, ile zechcesz. Jak cię znam, nie powiesz: nie.

Müller mógł sobie pozwolić na takie obietnice, miał bowiem zapasowe klucze do wszystkich pomieszczeń willi, a także do biurka Wesela i do jego kasy pancерnej, której

szyfr też był mu znany. Co, jeśli tylko dwóch ludzi o tym wiedziało, nie stanowiło zbytniego ryzyka. Gdyż Müller otrzymał w tym czasie zadanie specjalne, i to od Heyd-richa; w celu podwójnego zabezpieczenia tajemnic służbowych.

Dopiero po trzecim kieliszku małowówny dotąd Breslau-er nieco się ożywił.

— W gruncie rzeczy — powiedział — ta cała Grupa Wesela to zupełnie niezwykli ludzie.

— Co ty wygadujesz, człowieku? Przecież ci faceci to banda wytresowanych łajdaków. Dobrze o tym wiesz.

— Tresura, mój drogi, nierzadko oznacza tylko opóźnienie w ujawnieniu się prawdziwej ludzkiej istoty. Nie może skutkować na dłuższy czas. Można się z niej otrząsnąć, uwolnić, oczyścić.

— Ale nie u tych kryminalistów! — z brutalną szczerością odparł Müller. — Przypatrzmy się im jeszcze raz. Taki Ha-gen, który nie może żyć bez zabijania. Dalej Siegfried: to kompletny idiota powodowany wzniosłymi uczuciami. Jest jasne jak słońce, że Hermann to zdeklarowany kryminalista. A ta homoseksualna parka, Berner i Bergmann! Ci nie odmówią sobie żadnej przyjemności, nawet z trupami!

— A co z Nordenem?

— Tylko mi z nim nie wyjeżdżaj. Ja wiem, że ty masz do niego słabość, bo możesz rozmawiać z nim o kulturze, historii i sztuce. Inni nie mają o tym pojęcia.

— Ten Norden jest jakoś tam jednak kulturalnym człowiekiem.

— Co ty opowiadasz, Breslauer? To przecież w gruncie rzeczy lunatyk, przepojony mrzonkami Hölderlina i romantycznym opętaniem Schumanna. Być może właśnie Norden jest najbardziej niebezpieczny z nich wszystkich. Przecież chyba nie z jego powodu wróciłeś do Niemiec?

— Ciągle dopytujesz się, dlaczego wróciłem. Dobrze, spróbuję ci wytłumaczyć, choć i tak mi nie uwierzysz, bo to nie pasuje do twoich pojęć. Prawdziwą przyczyną mojego powrotu było wciąż rosnące poczucie winy.

Müller zaniósł się wymuszonym, chropawym, jakby szczekliwym śmiechem.

— Alem się uśmieiał! Czy jeszcze nie rozumiałaś, że Żydzi są dla nas zwierzyną na odstrzał? Że będą ograbieni, wy pędzeni, załatwieni, wyeliminowani, wymordowani? Zapewniaiam cię, że to, co się teraz dzieje, to tylko początek! Tylko skromny początek! A ty masz poczucie winy! Jesteś skończonym idiotą!

Breslauer jednak dalej się uśmiechał.

— To poczucie winy, Müller, nie naszło na mnie przypadkiem. Bardzo długo i wcale nie tak wprost dochodziłem do przekonania, że my wszyscy ponosimy odpowiedzialność za te zjawiska. My, to znaczy naukowcy, pisarze, publicyści! A także duchowieństwo, nauczyciele, ojcowie rodzin, nasze prawo, policja. Myśmy wszyscy zawiedli!

— Do diabła, Breslauer — wykrzyknął Müller szczerze oburzony — co wy pięknoduchy sobie właściwie wyobrażacie? Za kogo się macie? Czy wam się zdaje, że wy możecie zmienić świat? I to po ponad cztery tysiące lat liczących dziejach ludzkości, które nie były niczym innym jak tylko gigantyczną kloaką! Masą gówna, na którą złożyły się oszustwa, matactwa, gwałty, zdrady i masowe mordy? I nikt nie może tego zmienić.

— To ty tak uważasz, Müller. Ale jak się wydaje, zachodzi tu pewna zależność: jeżeli ludzie tacy jak my poddają się, rezygnują z walki, wówczas pęka jakaś tama zbudowana z moralności, wiary i sumienia. I wtedy, ale tylko wtedy, siły zniszczenia, zagłady i rozpadu mają już wolną drogę.

— I za to, Breslauer, chcesz zdechnąć?

— Jeżeli nie mam innego wyboru, to tak.

Oba samochody, którymi pojechała Grupa Wesela po mniej więcej pół godzinie dotarły do celu: byłego pensjonatu, teraz nazywanego się „Dom Wypoczynkowy Rzeszy”, w Herrsching koło Ammersee, położonego na skraju terenów Instytutu Lebensborn.

Było tu tak czysto i schludnie, że zapraszało do wejścia: stara, ale świeżo pomalowana brama z kutego żelaza, przy niej wyprężony strażnik w jakimś mundurze. Dalej rozciągał się starannie utrzymany ogród, gdzie wzdłuż wysypanej jasnym żwirem drogi rosły przystrzyżone w kształcie kul krzaki bukszpanu, a za nimi grządki gęsto porośłe krzewami ciemnoczerwonych róż. W głębi wzorcowy instytut, w którym właśnie na nich oczekiwano.

Przy otwartych teraz szeroko drzwiach stał Obersturmbannführer SS, doktor medycyny Hamberg w bładoniebieskim garniturze i szarym jedwabnym krawacie. Był to mężczyzna niezbyt wysokiego wzrostu o gruszkowatej głowie, w okularach bez oprawy. Nieco podobny do Himmlera.

— Witamy, Gruppenführer — zawołał do Wesela i pochwycił jego wyciągniętą rękę. — Czy pańscy koledzy chcą natychmiast przystąpić do akcji, czy też mam im opowiedzieć najpierw o założeniach i celach naszego instytutu?

— My — wyjaśnił Wesel, a oznaczało to „my” także jego ludzi — chcielibyśmy zawsze wszystko dokładnie wiedzieć, drogi doktorze. Prosimy więc o informacje.

Z informacji Obersturmbannführera SS doktora Hamberga, utrwalonej przez niego samego na piśmie:

Najpierw chciałbym zwrócić uwagę, że nasz instytut znajduje się w stadium rozwoju. To, cośmy tu zbudowali, nie jest jeszcze powszechnie znane. Udało się nam jednak opracować model wzorcowy takiej placówki, który można by uznać za obowiązujący w całej Rzeszy. Jesteśmy bardzo wdzięczni za każdą gotowość współpracy z nami.

Cały proces, który tu przebiega, zaczyna się od wystawienia legitymacji Lebensbornu. Legitymacja ta zawiera, oprócz dokładnych personaliów, naukowo potwierdzone cechy rasowe, jak również wyniki dokładnych badań lekarskich. W waszym przypadku, panowie, mamy te dane już

naniesione na podstawie przedstawionych nam uprzednio: przez pana Wesela materiałów.

Chciałbym jeszcze powiedzieć kilka słów o niemieckich kobietach i dziewczętach, które nam zawierzyły, i z którymi, po dokonaniu absolutnie wolnego wyboru, będziecie mogli się połączyć. Naturalnie przy organizowaniu takich, jak się należy spodziewać, owocnych spotkań, bierze się również pod uwagę czynnik estetyczny. Wasze partnerki przedstawiają wyłącznie najdokładniej wyselekcjonowany materiał ludzki. A więc: zdrowe ciała, odpowiednią urodę, właściwe pochodzenie oraz dokładnie zbadaną przynależność rasową.

Jeżeli chodzi o dobór kobiet, w praktyce wygląda to następująco: przyjmujemy ochotnicze zgłoszenia kobiet, które jeszcze nie miały dzieci. Występują one albo z własnej inicjatywy, albo z polecenia organizacji partyjnych, albo też z namowy krewnych, niekiedy nawet małżonków. Każde takie zgłoszenie zostaje skrupulatnie zbadane, to znaczy zbieramy opinie o danej osobie, o jej dotychczasowym życiu i postępowaniu, sprawdzamy też w kartotekach policyjnych, czy kandydatka nie była karana. Jeżeli badania te dają wynik pozytywny, poddajemy taką kobietę odpowiedniemu przeszkoleniu, ze zobowiązaniem do zachowania całkowitej dyskrecji. Ponadto kandydatki przechodzą gruntowne badania lekarskie, przeprowadzane przeze mnie osobiście.

Wybranim kobietom i dziewczętom my również gwarantujemy całkowitą dyskrecję, gratisowy pobyt w naszym ośrodku, a także ekwiwalent pieniężny za utracone ewentualne zarobki albo poświęcony tej sprawie czas. Każdy w widoczny sposób owocny stosunek jest uhonorowany odpowiednią premią. Zapewnia się też kobietom bezpłatny pobyt w najlepszych izbach porodowych. Ponadto urodzone w tym systemie dzieci będą otrzymywać przez osiemnaście lat miesięczne stypendia. Gdyby jednak taka kobieta nie chciała sama wychowywać swego dziecka, zostanie ono przyjęte do naszych ośrodków wychowawczych, które zapewnią mu troskliwą opiekę, najlepsze wychowanie, a także umożliwią później dobry start w służbie państwowej.

Muszę powiedzieć, że to wszystko jest imponujące — zauważył Gruppenführer Wesel po wysłuchaniu tej szczegółowej informacji, choć sam informator nie bardzo mu się podobał. Wydał mu się nudziarzem, a jego wykład teoretyczny przeładowany nieistotnymi szczegółami. Chociaż na pewno nie był pozbawiony talentów organizacyjnych.

— I ma pan rzeczywiście taki świetny wybór? — zapytał Norden.

— Dla nas wystarczająco dobre jest tylko to, co najlepsze — zapewnił lekko urażony doktor Harnberg. — W naszym instytucie znajdują się nawet damy z najwyższych kręgów partyjnych, którym dotąd odmawialiśmy przyjęcia.

— A więc całkiem możliwe — zauważył śmiało Hagen — że przysporzymy w ten sposób potomka jakiemuś Gaulei-terowi. Przysłużymy się więc ojczyźnie.

— A my? — zapytał Berner, stojący tuż obok Bergmanna.

— Gdyby się nam udało w jakiś sposób zwolnić z tego obo wiązku — zwrócił się poufale do Wesela — to nie powiemy, że nie bylibyśmy panu za to wdzięczni. Pan wie, dlaczego.

— Rozumiem, rozumiem—powiedział wesoło Wesel; ubawi ła go ta sytuacja. — Tylko tutaj, moi drodzy, nie chodzi o waszą przyjemność, ale o służbę narodowi. A z tego nikogo nie mogę zwolnić. Także Raffael będzie musiał wypełnić swój obowiązek.

Raffael skrzywił się, jakby go rozboleł ząb.

— Chciałbym jeszcze panom zwrócić uwagę — pouczył ich doktor Harnberg — że muszą panowie przejść przez tak zwane cztery fazy działań. Musicie jak najściślej prze strzegać tego porządku, aby zapewnić spodziewaną skute czność waszych poczynań. Jasne? Jeżeli tak, proszę za mną.

Faza pierwsza: Oględziny.

Doktor Harnberg w towarzystwie Wesela i jego mężczyzn przeszedł na pierwsze piętro do sali, której okna wychodziły na balkon. Przez przejrzyste tiulowe firanki można było dokładnie zobaczyć, co się dzieje w skąpanym w słońcu ogrodzie.

Ujrzeni tam osiem kobiet zabawiających się grą w piłkę, przechadzających się, czytających lub opalających się na słońcu. Większość z nich miała mile zaokrąglone kształty, tak odpowiadające współczesnym gustom zarówno w naturze, jak i w sztuce.

— Same piękności! — zachęcająco ocenił doktor Harnberg. — Proszę, abyście, panowie koledzy, zgłosili do mnie przedmiot waszego zainteresowania, abym mógł nadać właściwy bieg sprawie.

— Ja poproszę o tę panią siedzącą przy stole na prawo, tę, która czyta książkę — zgłosił się bez chwili wahania Ha-gen. — Chciałbym tę właśnie.

— Ja także tę — wtrącił Norden.

Wesel natychmiast się zorientował, dlaczego obaj się nią zainteresowali. Kobieta z książką w ręku była niezmiernie podobna do hrabianki Elisabeth.

— Żadnych kłótni! — zarządził — Ta dama przypadnie Raffaelowi.

Faza druga: Spotkanie.

Ciała szóstka udała się następnie do ogrodu. Przez chwilę zatrzymali się na tarasie, aby jeszcze raz przyjrzeć się dokładnie kobietom i podjąć ostateczną decyzję. Potem każdy z nich podszedł energicznie do wybranej kobiety. Dobrze już znały swoje powinności, były zdyscyplinowane, nawet się zbytnio nie przyglądały otrzymanym z przydziału mężczyznom, którzy mieli je uszczęśliwić.

Panowie tymczasem zachowywali się całkiem po rycersku. Każdy skłonił się przed wybraną damą, nie przedstawiając się jednak. Jak to było w zwyczaju między członkami partii, zwracali się do siebie na ty.

— Czy pozwolisz?

— Co za wspaniali ludzie! — wyraził swoje uznanie doktor Harnberg. Wciąż jeszcze stali z Weselem w sali balkonowej, obserwując zza przejrzystych firanek sceny w ogrodzie. — Najlepszy męski materiał! Już się z góry cieszę na rezultaty!

Waldemar Wesel spojrział na niego nieco sceptycznie.

— Widocznie sądzisz, że wszystko tak samo z siebie pójdzie gładko? Czy aby nie zapatrujesz się na to zbyt optymistycznie?

— Najpóźniej za godzinę wszyscy tu będziemy w najlepszej komitywie — zapewnił doktor Harnberg z najgłębszym przekonaniem. — Zaraz podadzą kawę, ciasta, soki. Przy miłej muzyce, od Mozarta do Kreudera, zaczną niewątpliwie ze sobą rozmawiać, ścisnąć sobie rączki, a to już wyraźnie działa podniecająco.

Poszło jednak znacznie szybciej. Już po dwudziestu pięciu minutach podniosła się pierwsza para i weszła do domu. Był to Hermann z kobietą ukrywającą swoją tożsamość pod imieniem Edeltraud. Ich przykład podzielał na innych. Po pięciu minutach ogród opustoszał.

— Moje gratulacje! — wykrzyknął zachwycony doktor Harnberg. — To się nazywa stanowczość! Sukces jest całkiem pewny!

Faza trzecia: Płodzenie elitarnego potomstwa.

Waldemar Wesel pozostawał nadal w sali balkonowej, rozsiadłszy się w fotelu. Przyglądał się wiszącym na ścianie, oprawionym w srebrną ramę i wypisanym dwukolorowym gotyckim pismem słowom Führera:

„Miliony kobiet
kochających nasze nowe państwo
modlą się i poświęcają dla niego.
Wyczuwają
swoim naturalnym instynktem
powołanie do podtrzymania naszego narodu,
któremu się w swoich dzieciach
oddają w żywy zastaw”.

Adolf Hitler
z przemówienia wygłoszonego
w Reichstagu 13 lipca 1934 roku.

— Bardzo to mądre — powiedział Wesel prostując nogi.

— Czy mógłbym dostać coś na wzmocnienie? Tylko nie sok owocowy, doktorze. Ja osobiście nie muszę brać udziału w tej akcji.

Przyniesiono mu natychmiast bukłaczek znakomicie wystudzonego wina, z późnych zbiorów 1933 roku, zwanego winem stulecia.

— Gdybyś jednak miał ochotę — zauważył poufnie doktor Harnberg — mógłbym dla ciebie postarać się o coś zupełnie wyjątkowego. Właśnie zgłosiła się do nas druga żona pewnego Gauleitera, młodziutka i bardzo atrakcyjna osóbką, która wyraziła pragnienie, by ofiarować Führerowi w darze dziecko. Czego, mówiąc w zaufaniu, nie potrafi sprawić Gauleiter.

— Moglibyśmy kiedyś przy okazji porozmawiać o tych adresach i zgromadzonych przez was dokumentach. Takie materiały mogłyby się okazać bardzo użyteczne. — Wesel patrzył w zamyśleniu gdzieś przed siebie. — Sądzisz, że moim ludziom się powiedzie?

— Ach, oczywiście — zapewnił z całym przekonaniem doktor Harnberg. — Pomyśleliśmy tu o wszystkim. Pokoje naszych podopiecznych są niezwykle przytulne, z bieżącą wodą, własną toaletą, z radiem. Okna można w każdej chwili zasłonić, łóżka są wygodne.

— I sądzisz, doktorze, że to wystarczy?

— Pewnie masz na myśli zdarzające się niekiedy zahamowania, które często przeżywają wrażliwi mężczyźni. — Doktor Harnberg uśmiechnął się z wyższością doświadczonego znawcy zagadnienia. I jako taki ciągnął swój wywód:

— Oczywiście wzięliśmy pod uwagę także możliwość takich komplikacji. Dokładnie omówiłem rzecz z tymi kobietami i zaleciłem w przypadku wystąpienia jakichś trudności manipulacje ręczne, a w razie konieczności także działania oralne.

— No dobrze — odpowiedział nieco uspokojony Wesel.

— Twoje damy, wiedzą zatem, co robić, żeby chłopom ze chciało stanąć.

— Mniej więcej. — Doktor Harnberg usiłował jakoś przełknąć to z punktu widzenia naukowego niezbyt dokładne

określenie. Próbował znaleźć jakiś kompromisowy termin, ale zostało mu to oszczędzone, gdyż dokładnie w tym momencie odezwał się dzwonek. Trzy krótkie, jeden długi. Sygnał ten przypominał początek piątej symfonii Beethovena, zwanej też Symfonią Losu.

— O, do diabła! — Szef Instytutu Lebensborn spojrzął na zegarek. — Ten sygnał oznacza, że pierwsza para załatwiła swoje. W niecałe pół godziny! To po prostu rekordowy czas! Mogę ci powinszować, Gruppenführer!

Faza czwarta: Dokumentacja stosunku.

Pierwszy wywiązał się ze swego zadania Hermann, być może dlatego, że on pierwszy przystąpił do akcji. Pracownik instytutu ubrany w biały kitel, milczący, sympatyczny grubas, zaprowadził go do pokoju ordynatora, doktora Harnberga.

Ordynator już tam czekał, siedząc za swoim biurkiem, z miną naukowca, który wszystko wie i nigdy się nie myli. Nad jego głową wisiał inny cytat z dzieł Führera:

„Cel wychowania kobiety jest niewzruszony: ma zostać matką”.

Adolf Hitler, *Mein Kampf*

Waldemar Wesel siedział nieco z tyłu, obok okna. Jego obecność miała dodawać wagi przesłuchaniu. Zapewniała pełną szczerłość, prawdziwość i wyrazistość wypowiedzi, chociaż i bez niego można było oczekiwać odpowiedniego zachowania od jego ludzi.

Doktor Harnberg zajął się teraz uzupełnieniem swojej kartoteki.

— Drogi przyjacielu Hermann, musimy teraz z twoją pomocą spisać pewne dane, celem dostarczenia ważnych przesłanek do badań medycznych i nad dziedzicznością.

Hermann zerknął na Wesela, który skinął przyzwalająco.

Doktor Harnberg: Twoja partnerka występuje u nas pod imieniem Edeltraud.

Hermann: Mogę ją tylko gorąco polecić. W porównaniu z nią wszystkie inne to ciepłe kluski. Mogę to potwierdzić na piśmie, jeżeli chcesz, przyjacielu!

Doktor Harnberg, niezmiernie rzeczowo: A więc doszło do stosunku płciowego?

Hermann: Jeszcze jak! Nawet dwukrotnie! Po niecałych pięciu minutach, a potem w jakiś kwadransik drugi raz.

Doktor Harnberg wyciągnął kartę: Nazwisko, data, godzina. A więc 16.10 i 16.25.

— Czy doszło przy tym do wytrysku nasienia?

Hermann, nie bez dumy: W obu przypadkach. Byłem do brze wypoczęty.

Doktor Harnberg notował dalej: Prawdopodobnie doszło do zapłodnienia.

— Teraz musimy odczekać miesiąc na potwierdzenie wyników.

Taka procedura rejestracyjna powtórzyła się z podobną dokładnością i z podobną dociekliwością sześć razy, obejmując Bernera i Bergmanna, a także Raffaela. Osiągnięte rezultaty w pełni zadowalały doktora Harnberga.

— Twój ludzie — zapewniał Wesela — są wręcz niezrównani!

Zapadał już wieczór, kiedy Grupa Wesela powróciła do Feldafing. Zapowiadała się pogodna, ale chłodna noc kończącego się lata. Nad trawnikami unosiła się gęsta, wilgotna mgła. Temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni. Na dole w holu trzaskał przyjaźnie ogień rozpalony na kominku.

Całe towarzystwo wysiadło z mercedesów. Nikt nie wyglądał na zmęczonego. Szli sprężystym krokiem, a głosy ich brzmiały donośnie, jakby chcieli wszem i wobec zademonstrować swoją stałą gotowość do czynu. Wesel przy-

glądał się im z zadowoleniem. Potem jego wzrok padł na taras.

Stał tam nieruchomo polyskujący ciemną sierścią owczarek — Harras von Hohenheim. Patrzył z wyczekiwaniem na zbliżających się ludzi.

— Ten kundel wciąż tutaj sterczy — stwierdził Hagen.

— Wygląda, jakby czegoś od nas chciał.

— Pewnie chce jeść — powiedział Siegfried podchodząc do psa. — Jak wszystkie zwierzęta.

Raffael, którego Wesel obrzucił krótkim spojrzeniem odparł:

— Kucharka miała go nakarmić. I na pewno to zrobiła. Wystarczy na niego spojrzeć, przecież ma brzuch jak Falstaff!

— No, na szczęśliwego to on raczej nie wygląda — orzekł Siegfried, przejęty duchem współczucia dla zwierzaka.

— Ktoś powinien o niego zadbać.

— Nie było takiego rozkazu — odparł natychmiast Raffael.

Grupa mężczyzn z Weselem na czele przeszła przez taras, nie rzuciwszy nawet okiem na psa. Na tarasie pozostali teraz tylko Raffael i Siegfried. Stali milcząc, pies warował u ich stóp. Siegfried wpatrywał się w Harrasa z rosnącym zainteresowaniem.

— Ten pies potrzebuje opiekuna — powiedział z głębokim przekonaniem.

— Być może — odrzekł Raffael. — Ale Wesel na ten temat nic nie mówił. Nie wydał żadnych poleceń ani rozkazów.

— Ale wyraźnie tego nie zabronił? — dopytywał się Siegfried.

— No nie — odparł Raffael ziewając.

— Ktoś przecież musi się tym psem zająć — stwierdził stanowczo Siegfried. — Jeśli nie ma chętnych, ja to zrobię.

Na co pies, jakby rozumiał każde słowo, podszedł do Siegfrieda. Ułożył się przy nim i polizał dłoń, która przez chwilę spoczęła na jego karku. Wreszcie skoczył na niego radośnie, jakby chcąc objąć Siegfrieda łapami.

Tak zaczęła się pewna przyjaźń i pewna tragedia.

Kilka dni później do akcji znów wkroczył Müller, tym razem z przygotowaniem do jakiegoś nowego nadzwyczajnego zadania. Gruppenführer Wesel poprowadził naradę osobiście, chcąc jej nadać odpowiednie znaczenie.

Müller rozłożył na stole, przy którym zasiedli, mapę. Przedstawiała ona, jak rozpoznali wprawnym okiem, fragment jakiegoś miasta w skali 1:10000. Na mapie widniał rząd jakichś rozległych budynków otoczonych szerokimi połaciami zieleni, pośród której rozsiane były większe kępy drzew.

Müller: Naszym następnym polem działania będzie Berlin, konkretnie, dzielnica Dahlem. Znajdujące się tam osiedle willowe. Chodzi tu o centralnie położony kompleks, który zaznaczyłem tu o czerwonym ołówkiem. Obiekt stosunkowo łatwo dostępny ze wszystkich stron.

— Berlin? — zapytał Hagen. — To przecież nie nasz rejon? Jedziemy tam na występ gościnny?

Wesel: Coś w tym rodzaju. I to taki występ, że aż pierze będzie fruwać! Ale jeżeli się nam zleca coś takiego, to na pewno nie bez powodu. A o co tu chodzi, wyjaśni wam pan Müller.

Müller: Jest tam do wykonania konkretna robota. Mówiąc otwarcie, robota brudna, może nawet popłynąć krew. Trzeba będzie dokonać napadu. Napadu rabunkowego, jak to się nazywa w języku policyjnym. W każdym razie akcja ma taki napad upozorować. A dlaczego właśnie my?

Hermann, ze swoim wrodzonym zmysłem do wszelkiego rodzaju występków kryminalnych, w mig się zorientował, o co tu chodzi.

— W takich przypadkach miejscowa policja z reguły ogranicza poszukiwanie sprawców do swojego rejonu. A my przełamiemy tę regułę. My przyjedziemy z zewnątrz, z Monachium do Berlina. A na to tak łatwo służby śledcze nie wpadną.

— Bardzo słusznie, Hermann. — Wesel skinął do niego przyjaźnie. W mgnieniu oka zagraniczne konto Hermanna miało się powiększyć o kilka tysięcy. — Tylko tak dalej!

— A na kogo, konkretnie, mamy zapolować?

— Chodzi tu — wyjaśnił Wesel — o willę pewnego amerykańskiego dyplomaty. Jest to tylko attache handlowy, ale ten gość szerzy zupełnie wyraźnie parszywe żydowskie poglądy. Krytykuje naszą Rzeszę, obrzuca ją jakimiś podejrzeniami i oszczerstwami. Nieustannie rzuca nam kłody pod nogi w naszych stosunkach międzynarodowych.

— A więc — Hagen uznał to za rzecz całkiem oczywistą — trzeba go sprzątnąć. Czy na tym ma polegać nasze zadanie?

— Trzeba będzie wziąć pod uwagę następujące sprawy — włączył się Müller. — W tej willi mieszka nie tylko attache, ale także jego żona, dwójka dzieci, chłopcy w wieku dziewięciu i jedenastu lat, oprócz nich niemiecka pokojówka, francuska kucharka i szofer Anglik, prowadzący ich rolls-royce'a. Razem siedem osób.

— Jedna osoba więcej, jedna mniej to już żadna różnica. No nie? — rzucił Hermann.

— Chodzi tu o to — powiedział Gruppenführer — żeby cudzoziemcom, którzy podstępnie nadużywają praw naszej gościnności, rzucić ostrzeżenie i wykazać, że nie wolno im przekraczać pewnych granic.

Müller pozostał przy swojej roli specjalisty od spraw kryminalnych.

— Najpierw — powiedział — musicie się dokładnie zapoznać z obiektem będącym celem naszej akcji. Będziemy tu mogli się posłużyć wynikami wstępnego rozpoznania naszych berlińskich kolegów. Będzie chyba można je wykorzystać, należy jednak przedtem dokładnie je sprawdzić. Dopiero wtedy opracujemy precyzyjny plan załatwienia tej sprawy.

— Przemyślcie więc to — zalecił im Wesel. — Na następnej naradzie oczekuję od was konkretnych konstruktywnych propozycji. Czy są jakieś pytania?

Zgłosił się Siegfried:

— Czy mógłbym przy planowaniu tej akcji wziąć pod uwagę udział Harrasa? Ten pies dużo umie, jest niezwykle czujny i potrafi świetnie tropić. Jestem gotów go jeszcze podtresować.

Wesel spojrział na wiszący na ścianie portret Führera i powiedział:

— O psie nie było mowy, a już zwłaszcza o jego udziale jako członka naszego zespołu. Nikt cię, Siegfried, nie upoważniał do puszczania mimo uszu moich zarządzeń. A jeżeli chcesz się zajmować tym psem, to już wyłącznie twoja prywatna sprawa. Zrozumiano?

— Tak jest, Gruppenführer! — zapewnił gorliwie Siegfried, nawet się nie domyślając, jakie znaczenie ma ta uwaga szefa.

Po dalszej serii ćwiczeń na strzelnicy, zawodów sportowych, zajęć teoretycznych, marszów terenowych i wyścigów samochodowych Gruppenführer Wesel oznajmił swoim ludziom:

— No, przyjaciele, chcemy wam znów dać dzień odpoczynku.

Dzień ten zaplanował Wesel w sposób następujący: Berner i Bergmann w uznaniu za dobre wyniki ostatniego szkolenia mieli otrzymać „wolną rękę”. Mogli sobie wybrać dowolny lokal w Monachium i zabawić się w nim do woli. Musieli jednak mieć baczenie na ewentualnie odwiedzających ten lokal wyższych funkcjonariuszy partyjnych, a gdyby im coś szczególnego wpadło w oko, mają się temu dobrze przyjrzeć i o wszystkim zameldować!

Siegfriedowi pozwolono, skoro już tak bardzo mu na tym zależy, zabrać psa do „stolicy ruchu narodowo-socjalistycz-nego”, na przykład do Ogrodu Dworskiego albo do Parku Angielskiego, żeby Harras mógł tam sobie pohasać.

— Tylko uważaj, Siegfried, żeby ten psiak nie obsikał budującego się tam, a założonego przez samego Führera Do mu Sztuki Niemieckiej — zażartował Wesel. — Mogłoby to doprowadzić do bardzo przykrych nieporozumień, których pod żadnym pozorem nie należy wywoływać.

Następnie Wesel zwrócił się do Hermanna:

— A ty, mój drogi, będziesz mi towarzyszył i w razie potrzeby chronił mnie przed ciekawskimi. Zamierzam zjeść obiad w gospodzie „Bavaria”, ulubionej restauracji

naszego Führera. I to w towarzystwie hrabiego von Tanner. Chcę, żeby nam nie przeszkadzano. Jasne?

— Tak jest, Gruppenführer!

— Dla Hagena i Nordena — kontynuował Wesel, zwracając się teraz do nich — przygotowałem pewne spotkanie. I to z hrabianką Elisabeth. Pójdziecie do Opery. Idzie tam teraz jakaś sentymentalna szmira, chyba *Cyganeria*. Macie tu cztery bilety. Do środkowej łoży.

— A dlaczego cztery, Gruppenführer? — dopytywał się podejrzliwie Hagen. — Przecież hrabianka, Norden i ja to tylko trzy osoby.

— Czwartą osobą — oznajmił Wesel z radosnym uśmiechem — jest ciotka hrabianki, niejaka baronowa Weitershausen. Była ongiś damą dworu ostatniej cesarzowej niemieckiej.

— A więc coś w rodzaju przyzwoitki? — domyślił się, szczerze ubawiony, Hagen. — A nie da się tego uniknąć?

— Baronowa będzie pilnowała, byście sobie za wiele nie pozwalali — śmiał się Wesel. — Co oczywiście jest całkowicie po naszej myśli. No nie?

— Tak jest, Gruppenführer!

Spektakl w Operze był najważniejszym wydarzeniem tego wieczoru. Pani baronowa, ciotka Elisabeth, wysoka, tęga, o donośnym głosie, królowała niepodzielnie w foyer. Niemal całkowicie przesłaniała hrabiankę swoją osobą.

Hagen próbował zademonstrować baronowej-ciotce z dalekich Prus Wschodnich dobre niemieckie maniery. Podszedł do niej zatem w postawie pełnej szacunku, ujął jej dłoń, podniósł do góry i przycisnął do swoich warg.

— Bardzo ładnie, młody człowieku — oceniła baronowa — ale niezbyt zgodnie z zasadami dobrego tonu. Ucałowanie ręki, mój drogi, nie ma oznaczać brania kobiety w posiadanie; winno być wyrazem uszanowania. Co w praktyce oznacza, że nie chwyta się damy za rękę, nie ciągnie się jej

do siebie i w żadnym wypadku nie dotyka wargami. A teraz proszę, powtórzmy to jeszcze raz.

Kto jak kto, ale baronowa miała i wiedzę, i doświadczenie w tej materii i dzieliła się nimi na cały głos. Ale następnie skupiła całą swoją uwagę na Nordenie, który wydał się jej zupełnie inny, zdyscyplinowany, dobrze ułożony, wrażliwy—w szczęśliwszych czasach mógłby zostać wychowawcą młodych książąt.

— Podaj mi ramię, mój drogi! — zagrzmiała do niego.

Dawna królewska łoża w Operze, centralnie usytuowana, była obecnie przeznaczona dla Führera, jego najbliższych współpracowników, gości zagranicznych oraz dla bawarskich władz państwowych. Do tych, którzy mieli przywilej korzystania z niej, należała także Grupa Wesela. Pomiędzy lśniącymi złotem i głęboką czerwienią kariatydami zasiedli w niej w miękkich fotelach: hrabianka i baronowa-ciotka z przodu przy balustradzie, a za nimi Hagen i Norden.

Nim zabrzmiały pierwsze takty muzyki, baronowa, bynajmniej nie ścisząc głosu, pozwoliła sobie na kilka uwag. A to oświetlenie łoży było dla niej za jasne, a to balustrada za wysoka, a to, że nie będzie stąd widać dyrygenta. Wołałaby zasadniczo siedzieć w pierwszym rzędzie.

Tymczasem dyrygent zajął swoje miejsce, już wzniosł w górę pałeczkę. Jak powiedziano, szła *Cyganeria*, zdaniem Hagen, sztuczdyło usypiające jak słodkie wino, taki wy ciskacz rzewnych łez w tonacji molowej.

Norden, który nad wszystkich innych kompozytorów przedkładał Richarda Wagnera, osądzał rzecz surowiej. W nim te podstępne próby nadwątlenia niemieckiego świata uczuć i myśli budziły głęboki sprzeciw. Owa romańska perwersyjna dekadencja napawała go wręcz fizyczną odrazą.

Ale hrabianka Elisabeth, jak się zdaje, siedziała cała zasłuchana. Odchyliła się przy tym lekko do tyłu, jakby chciała się przybliżyć do siedzących za nią mężczyzn.

Baronowa już przy pierwszych scenach zaczęła nieskrępowanie ziewać. Chyba sześć, a może nawet osiem razy w życiu musiała już wysłuchać tego Pucciniego, razem z tą całą śmiercią na suchoty w zakończeniu. Niebawem zasnęła na dobre. Elisabeth uśmiechnęła się na ten widok. Norden był pewien, że uśmiechnęła się do niego i poczuł

się szczęśliwy. Tymczasem hrabianka przesunęła się jeszcze bardziej do tyłu, Hagen zaś, siedzący bezpośrednio za nią, pochylił się nieco, jakby pragnąc jeszcze uważniej wsłuchać się w dźwięki muzyki. Po chwili, tkwiąc nieruchomo w fotelu, uniósł lewą rękę i nie dostrzeżony przez Nordena, położył ją na oparciu fotela Elisabeth. Potem przesunął dłoń na ramię dziewczyny i objął je mocnym uściskiem. Elisabeth drgnęła, ale się odsunęła, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Hagen ścisnął jej ramię jeszcze mocniej i przesunął dłoń wyżej, do pachy, ku nasadzie piersi.

— Twa rączka taka zimna — ciągnął tklwym falsetem tenor na scenie. — Pozwól, pani, ogrzać ją...

Gdy po pierwszym akcie zapłonęły znów światła na widowni i w łóżach, baronowa-ciotka natychmiast się ocknęła.

— Nic dziwnego, że przy tej całej czułości człowieka zasypia. To nie wina Pucciniego, bynajmniej. Ale to wykonanie to istna cukiernia. Przesłodzone nie do wytrzymania!

— Istotnie, zbyt to sentymentalne — potwierdził Norden. — Mam to samo wrażenie.

— A czy pani też jest rozczarowana, hrabianko? — spytał Hagen.

Elisabeth wyglądała na rozmarzoną.

— Raczej nie — odpowiedziała po chwili. — Nie mogę zaprzeczyć, że ciocia z jej punktu widzenia ma rację. Ale z drugiej strony sędzę, że człowiek w każdej sytuacji powinien się starać odkryć coś szczególnego. A przy tym trzeba być cierpliwym. To zawsze popłaca.

— Jestem dokładnie tego samego zdania co pani — zapewnił skwapliwie Norden, niczego zgoła nie przecuwając.

Kilka dni później profesor Breslauer wybrał się po kolacji na wieczorny spacer z Feldafig, poprzez torfowe łąki, w kierunku na Traubig. Towarzyszącemu mu Müllerowi zwierzył się z nurtujących go myśli: — Coś mi się zdaje, że pojawiło się jakieś światełko nadziei.

— Dla ciebie?

— Nie. Dla Wesela i jego ludzi.

— Ty chyba rzeczywiście jesteś kompletnie zbzikowany, Breslauer. Wszystko wokół tonie w ciemnościach, a ty widzisz światło!

— Wesel zapytał mnie ostatnio, czy nie mógłbym mu polecić kogoś, kto by zapoznał jego ludzi z wartościami współczesnego malarstwa. A także z niemieckim ekspresjonizmem. Jak wiesz, Wesel przed kilku dniami kazał zawiesić w bibliotece parę znakomitych ekspresjonistycznych obrazów. To daje do myślenia.

— Na pewno, Breslauer, na pewno. Tylko bynajmniej nie o tym, o czym ty sobie w związku z tym myślisz.

Wspięli się na mały pagórek na skraju wsi. Rozciągał się przed nimi widok niezwyklej piękności: soczyste torfowe łąki, zamknięte linią niebieszczejącego jodłowego lasu, od którego tła odbijały świetlistą zielenią stojące tu i ówdzie pojedyncze brzozy. Trzy rybne stawy przywodziły na myśl wielkie, łagodnie spoglądające oczy.

— Cóż za wspaniały kraj! — zauważył spokojnym głosem Breslauer. — A któż, pytam sam siebie, może się oprzeć przemożnej sile piękna, jego przyciągania? Na dłuższą metę chyba nikt. I właśnie na tym buduję moje nadzieje. Nawet nie na tych obrazach w bibliotece. Musi to wywierać swój wpływ na takiego człowieka jak Norden, który tak usilnie poszukuje sensu istnienia. A może także na Siegfrieda. Zauważyłem, z jakim oddaniem zajmuje się tym psiakiem.

— Ależ to tylko po to, by go wytresować. By zrobić z niego ostrą bestię, do własnych celów!

— Mylisz się — odpowiedział Breslauer z pełnym przekonaniem. — Siegfried kocha tego psa. I to napełnia mnie nadzieją.

— Na Boga! — wykrzyknął Müller, szczerze zirytowany. — Nie bierz za dobrą monetę twoich pobożnych życzeń! Jeszcze wciąż nie przejrzałeś zamysłów Wesela? Diabelskich, ale i genialnych! To cała kwintesencja nazizmu! Polega ona po prostu na tym, aby systematycznie i dokładnie

niszczyć wszelkie ludzkie uczucia! A potem tak pokierować ich szczątkami, by pozostało tylko ślepe oddanie Führerowi, narodowi i ojczyźnie, bo tak się teraz nazywają te tanie komunały. A ten gówniany naród dał się otumanić bez większego oporu! I nie zasługuje na nic innego jak na potężnego kopniaka w dupę! I robię to z całą rozkoszą. Może to ostatnia możliwość, by wlać trochę rozumu temu zasranemu pokoleniu!

— Ty jesteś cały przesiąknięty kryminalistyką, oczadziały od krwi i trupów. Zapomniałeś już, że może poza tym egzystować coś niezmiernie istotnego: człowiek, człowieczeństwo, ludzkość!

— I uważasz, że właśnie te wartości można tu znaleźć i pracować nad ich rozwojem? Oglądając obrazki? Zajmując się pieskiem? Słuchając twoich wykładów o żydostwie? Nie ma miejsca dla człowieczeństwa w świecie, dla którego ty jesteś tylko nawozem. Ty właściwie już nie żyjesz! I wciąż nie chcesz tego przyjąć do wiadomości!

Wyjaśnienia historyka sztuki doktora Penzberga, specjalisty w zakresie niemieckiego malarstwa ekspresjonisty-cznego:

Wszystko, co się wówczas działo, należy rozpatrywać z uwzględnieniem ówczesnych okoliczności. Sądzę, że przede wszystkim należy się wystrzegać wszelkich uprzedzeń. Prawdą jest, że zdarzały się wówczas takie sprawy, jak wielokrotnie wzmiankowana wystawa *Sztuka zdegenerowana* w Monachium. Przeznaczona była ona jednak dla pospółstwa, aby zadowolić ich prymitywne gusta. A także aby ściągnąć dewizy od zwiedzających ją cudzoziemców.

W rzeczywistości jednak w wyższych kręgach sztuka ta znajdowała wielkie uznanie. Byłem doradcą pewnego Gau-leitera, który szczególnie upodobał sobie malarstwo Paula Kleeego. Znałem pewnego wysokiego urzędnika ministerial-

nego, który przepadał za Franzem Markiem. Dla profesora Troosta, architekta pracującego dla Führera, musiałem zdobyć trzy dzieła Macke'a. Niecierpliwie na to nalegał.

Całkowicie niezapomniane pod tym względem jest dla mnie jedno popołudnie spędzone w pewnej willi w Felda-fig. Spotkałem się tam z najwyższym zainteresowaniem moją znajomością malarstwa ekspresjonistycznego. Miałem możliwość zgromadzonym tam słuchaczom wyjaśnić prawdziwy sens, istotne piękno i znakomitą wartość tej sztuki. W tym wykładzie mogłem się posłużyć trzema wiszącymi tam obrazami, które nawet w oczach takiego znawcy jak ja miały niebywałą wartość.

Jeden to olbrzymi, dziwnie połyskliwy krajobraz morski Noldego. Następnie płótno Paula Modersohna-Beckera przedstawiające postać dziecka malowanego ciemnobrązowymi barwami, opartego o świetlistą, szarobiałą brzozę. Obraz tchnący niezwykłym spokojem. Wreszcie arcydzieło Feiningera — dom rozsypujący się w fascynująco spękane płaszczyzny, jakby wlatujące do nieba!

I muszę jeszcze raz podkreślić, że nigdy dotąd nie miałem do czynienia z tak uważnymi, żądnymi wiedzy i zaangażowanymi słuchaczami. Oni chcieli wiedzieć po prostu wszystko! I powiedziałem im wszystko, co tylko wiedziałem. Zapewniam, że z całym zapałem.

Przy czym muszę zauważyć, że traktowano mnie niezwykle uprzejmie.

To chyba wam mówi wszystko — podsumował Wesel, gdy doktor Penzberg opuścił bibliotekę. — Mamy tu obrazy o niezwykłej wartości. Podobno za samego Noldego, za egzemplarz, jaki my tu mamy, można dostać za granicą ze sto tysięcy marek.

Wesel zmierzył wzrokiem swoją szóstkę, każdego po kolei, przy czym udał jakby nie zauważył owczarka rozciągniętego u stóp Siegfrieda. — Czy wam to nie imponuje: sto tysięcy marek?

— Nie jest to dla nas nic szczególnego — zauważył z przekonaniem Hermann.

— Słusznie — poparł go Wesel. — No, cóż jeszcze dałoby się tu powiedzieć?

— Co nas może obchodzić taki paskudny bohomasz? — wygłosił swoją opinię Hagen.

— Czy ktoś jest innego zdania? — zapytał Wesel.

— Może trzeba by zauważyć, że każdy obraz przedstawia wartość czegoś niepowtarzalnego — zgłosił się ostrożnie Nor den.

— Tak samo jak żadna dupa nie jest dokładnie taka sama jak inne. Z tego punktu widzenia każdy kawałek gówna też jest niepowtarzalny! — Hagen korzystał z każdej okazji, żeby przeciwstawić się Nordenowi. — Dla mnie w każdym razie te bohomy są jedynie wypichconymi wypocinami chorego gustu ześwinionego społeczeństwa!

— Znakomicie — potwierdził Wesel. — A co z tego, przyjaciele, wynika?

Berner zerknął na Bergmanna. A ten już był gotów do nadarżającej się właśnie zabawy.

— Jeżeli Siegfried już dostatecznie wytresował tego psa to może by on obsikał te dzieła sztuki?

Siegfried energicznie odparł tę propozycję.

— Ja sobie wypraszam. Harras nie załatwia się w zamkniętym pomieszczeniu. Gdybyśmy jednak te obrazy wynieśli do ogrodu i położyli pod jakimś wybranym przez niego drzewem, to owszem, może być...

— Za dużo z tym zachodu! — rozstrzygnął Wesel. — Oczekuję od was bezpośredniej i ostatecznej reakcji. Tutaj i natychmiast.

Hagen pierwszy pojął, o co chodzi Weselowi. Podniósł się bez wahania, podszedł do obrazu Noldego, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej nóż, otworzył go i pociął płótno na strzępy. Siekał je wzdłuż i w poprzek na drobne kawałki, które jęły osypywać się na podłogę.

Natychmiast Hermann podszedł do swego kolegi, wyjął mu nóż z ręki i wbił w obraz Paula Modersohna-Beckera, *Dziecko pod brzozą*, namalowany na kartonie w 1904 roku. Najpierw w oczy załóżnie patrzącego dziecka, a potem

w lekko wypięty brzuszek. Potem odciął ręce i nogi. Masakrował go dalej, aż wreszcie z obrazu została jedynie naga rama.

Było tego jeszcze mało. Hermann rozprawił się także z pozostałym. Chwycił obraz Feiningera, rzucił go na podłogę. Następnie stanął na nim obiema nogami i odtańczył tupanego. To, co pozostało z obrazu, potężnym kopniakiem wyekspediował w najodleglejszy kąt sali. Wesel skinął lekko głową. Jego komentarz brzmiał: — Co nie jest z naszego ducha, nie ma prawa istnieć. I właśnie tak jest, przyjaciele. Winno to być dla was wszystkich jasne. Tylko tak dalej!

A dalej był plan berliński, owa willa w dzielnicy Dahlem, „najbardziej ekskluzywnym osiedlu mieszkaniowym”. W niej amerykański attache handlowy — według oceny Wesela, „w najwyższym stopniu niepożądany element wywrotowy”. Nadto Wesel oświadczył jeszcze:

— Ten facet ostatnio znów nam się naraził. Udzielił pas kudnego wywiadu dla „New York Timesa”. To pismo aspi ruje do rangi gazety światowej, w istocie jest jednak prze żartą przez kapitalizm, goniącą za zyskiem gadzinówką, re dagowaną przez podstępnych Żydów. Co jednak nas obchodzi ta cała kloaka przy Wall Street! Nowy Jork jest daleko, ale berliński Dahlerft znacznie bliżej!

Istotnie, z Monachium można było dojechać do Berlina pociągiem albo dobrym samochodem w dwanaście godzin, a samolotem nie więcej niż w trzy godziny. I właśnie tam należało wymierzyć przykładną karę!

— A więc jak to mamy przeprowadzić, panie Müller?

Biegły kryminolog był, jak zawsze przy tego rodzaju naradach sztabowych, wprost uosobieniem rzeczowości. Przed wszystkim stwierdził:

— Ta cała akcja specjalna nie wydaje się szczególnie pil na. Możemy więc ją dokładnie przygotować.

— Słusznie — stwierdził Wesel. I ironicznie dorzucił: — Nasze młyny miały niekiedy wolno, ale zawsze bardzo drobniutko. Jak młyny Pana Boga.

— Ile zatem czasu daje nam pan na przygotowanie akcji, Gruppenführer?

— Bardzo dużo. Jakiś miesiąc do dwóch, tak sądzę, panie Müller. Powiedzmy do końca grudnia. Ma to wystrzelić najpóźniej wtedy.

— Przewidział to pan zatem jako drobny upominek pod choinkę?

— Nie byłoby to wcale takie złe, panie Müller. Akcja odstrasząca właśnie w takim momencie z pewnością zrobiłaby odpowiednie wrażenie. Zgadzam się z pana pomysłem!

A oto plan przygotowań, przedstawiony przez Müllera: Wycieczki grupy do Berlina, by zwiedzić miejscowe muzea, pójść do opery, wysłuchać kilku koncertów, postudiować w bibliotekach, zaznajomić się z najnowszymi koncepcjami architektonicznymi Führera.

— I z tym wszystkim, co się jeszcze nawinie. A wyprawy te zaliczymy do zajęć szkoleniowych.

Müller ciągnął dalej:

— Przy tym grupa nie powinna pojawiać się nigdzie razem. Radzę, by poruszali się osobno, niech więc używają różnych środków lokomocji. Ale cel ich działania jest jeden: zbieranie szczegółowych informacji dotyczących tej willi. Samego domostwa, mieszkańców, drzwi i okien, najbliższego otoczenia. W miarę możliwości w późnych godzinach wieczornych, a więc w przewidzianym czasie akcji. Tuż przed północą albo zaraz po niej.

— Czy wolno mi o coś zapytać? — zgłosił się Siegfried. Nagle musiał przytrzymać na miejscu zaniepokojonego czymś psa. Przyciągnął więc Harrasa do siebie aż zwierzak potulnie przyłgnał do jego stóp. Müller spojrzał lekko zdziwiony na tę idylliczną scenę, skinął przyzwalająco. Siegfried mógł zadać swoje pytanie:

— Komu przypadnie główna rola w tej berlińskiej akcji? To znaczy, kto otrzyma zadanie wykończenia tego sukinsyna?

— To — odpowiedział ostrożnie Müller — trzeba będzie jeszcze omówić na ostatniej odprawie. A może zdecyduje się o tym na miejscu. Może zresztą Gruppenführer sam to rozstrzygnie?

Wesel z całą uwagą zareagował na te słowa:

— Czy tobie zależy, Siegfried, na osobistym wykonaniu tego zadania?

— Tak jest, Gruppenführer — potwierdził.

— A dlaczego?

— Ponieważ dotychczas, jeśli wolno mi zauważyć, nie miałem żadnej szansy bezpośredniego uczestnictwa w żadnej akcji.

— A zależy ci na tym?

— Tak jest, Gruppenführer! Proszę mi nie odmawiać tej możliwości. Chciałbym się sprawdzić!

Wesel oparł się wygodnie na krześle. Patrzył niemal rozmarzonym wzrokiem na swego tak się rwącego do czynu przyjaciela. Zerknął również przy tym na psa, ale nie zatrzymał na nim dłużej oczu. Potem powiedział:

— Z pewnością zauważyłeś, Siegfried, że wszystko, co robię, zwykłem przygotowywać bardzo systematycznie. U nas nic nie może się zdarzyć przypadkiem. Z czego wynika, że przyglądam się każdemu i nie pomijam nikogo. Lu bię i cenię każdego z was. Każdy z was jednak ma swoje własne i nader różne cechy. I zależnie od sytuacji muszę je brać pod uwagę, aby osiągnąć jak najlepsze rezultaty. Co zaś dotyczy twego życzenia, by wziąć czynny udział w rozstrzygającym momencie akcji, to możemy je spełnić. Nawet chętnie. Oczywiście bez żadnych zastrzeżeń i warunków wstępnych z twojej strony, dotyczących czy to sytuacji, czy człowieka, czy rzeczy.

W tych ostatnich słowach kryło się pewne znaczenie, które w tym towarzystwie mógł zrozumieć właściwie jedynie Müller, nader biegły jurysta. Otóż według obowiązującego prawa, pochodzącego jeszcze z ubiegłego wieku, które jednak ze względu na wciąż panujące w tym kraju wyobrażenia przetrwało nie zmienione także za czasów narodowego socjalizmu, pojęcie „rzecz” obejmowało wszystko, co nie jest istotą ludzką, a zatem również zwierzę, psa.

Kilka dni później po wspólnej kolacji Müller zaprosił Nordena na rozmowę o raczej nieoficjalnym charakterze.

Wesel był w tym czasie razem z Raffaelem w Monachium, prawdopodobnie u Führera. Plan zajęć grupy brzmiał: czas wolny bez opuszczania terenu.

Berner i Bergmann udali się do jednego ze swoich pokoi, jak oświadczyli, by razem się pouczyć. Hagen z Hermannem postanowili wypróbować nową, spreparowaną przez siebie amunicję do swoich rewolwerów. Usiłowali wystrzelić zarys gwiazdy, ale wyniki mieli kiepskie. Ich celność tym razem pozostawiała wiele do życzenia.

Siegfried w tym czasie gorliwie pracował nad Harrasem, którego tresura czyniła szybkie postępy. Norden zaś zamierzał poświęcić się lekturze współczesnych prac polityczno--pedagogicznych.

Müller zaofiarował mu się z pomocą w doborze materiałów, ale najpierw zaproponował wspólną przechadzkę.

— Trzeba nieco odetchnąć świeżym powietrzem. Często mam wrażenie, że go coraz mniej!

Przechadzali się więc chwilę na tyłach ogrodu, wkrótce jednak Müller zaproponował, by wstąpić do Breslauera. Norden bynajmniej się nie wzbraniał. Jak gdyby właśnie na to czekał.

Zastali Breslauera siedzącego za swoim biurkiem założonym stosami książek. Ujrawszy przed sobą Müllera, nie wydawał się zachwycony, że musi przerwać swoje zajęcia, ale gdy ujrzał stojącego za Müllerem Nordena, natychmiast się rozjaśnił. Powitał swoich gości przyjaznym zapraszającym gestem i poprosił ich, by usiedli.

— Jesteśmy tu oczywiście zupełnie przypadkiem — objaśnił Müller rozsiadając się w fotelu. — Właśnie tędy przechodziliśmy, więc pomyślałem sobie, że to znakomita okazja, by odebrać od ciebie najnowszy numer „Völkischen Beobachter”, który ode mnie pożyczyłeś.

W ten sposób została podana oficjalna przyczyna wizyty, w razie gdyby trzeba ją było uzasadnić jako konieczną i usprawiedliwioną.

— Coś czuję — ciągnął dalej Müller — że będę musiał was za chwilę opuścić. To może trochę potrwać. Wyobra-

żarn sobie, że będzie wam ogromnie brakowało mojej obecności — uśmiechnął się ironicznie. — Możecie trochę popatrzeć na siebie, jeśli nie znajdziecie tematu do rozmowy.

W chwilę później pozostali sami i siedzieli swobodnie naprzeciw siebie, stary żydowski uczoney i młody niemiecki przedstawiciel narodu panów. Obaj czujni, uprzejmi, przez dłuższy czas ostrożnie milczeli.

Breslauer otulił się w swój gruby sweter. Znać było po nim znużenie. Jego siwe, mocno przerzedzone włosy nad wysokim czołem przydawały godności jego wyglądowi.

Norden był od niego prawie pół wieku młodszy. Siedział przed nim sprężony. W jego twarzy jaśniały czujne, jasne, jastrzębie oczy. Ręce miał ciasno splecione.

Przeciągające się milczenie przerwał wreszcie Breslauer. Wskazał na leżące przed nim stopy książek, gazet i czasopism.

— To są zgromadzone przez pana Wesela i udostępnione mi, a raczej nam, do wykorzystania materiały na temat żydostwa, o którym mam u was wykłady. Zna pan te publikacje, panie Norden?

Norden przytaknął.

— Zorientował się też pan, w jak absurdalnym kierunku musi oddziaływać tak bardzo jednostronnie zestawiony materiał?

— Gdyby pan, panie Breslauer, albo pańscy ludzie dobierali taki materiał, zapewne byłby także jednostronny.

— Ma pan rację — przyznał profesor. — I właśnie to od dawna nie daje mi spokoju. Zawsze ten, kto rządzi na tym świecie, nadużywa swojej siły i znajduje dowody, różnego rodzaju materiały, a nawet uzasadnienia historyczno-filozoficzne dla przeprowadzenia swoich roszczeń.

— Pana sposób widzenia, szczególnie w odniesieniu do nas, nie wydaje się całkiem słuszny, panie Breslauer — sprostował Norden z niezmienną uprzejmością. — Dla nas ważny jest nie tyle problem siły, ile w znacznie większym stopniu nowy niewzruszony pogląd na świat.

Na co Breslauer sięgnął na chybił trafił do stosu książek.

— Oto, panie Norden, pewna książka o żydowskich cechach charakteru. A więc o rzekomo właściwej nam

wrodzonej chciwości, przewrotnej uciechy z ludzkiego cierpienia, chorobliwej manii uprowadzania małych dzieci. Wierzy pan w to wszystko?

— Czy to ma być prowokacja pod moim adresem? — za pytał Norden, z trudem zachowując spokój.

Breslauer popatrzył ciężkim wzrokiem na swego rozmówcę. Uznał za zbędną odpowiedź na to pytanie. Wziął do ręki leżącą przed nim gazetę, otworzył ją i podał Nor-denowi.

— Na pewno pan zna ten elaborat. Tak, panie Norden, to jest „Stiirmer”. To naprawdę nie jest żaden przypadkowy produkt. Pismo to wydaje pewien Gauleiter. Pan go zna. I myślę, że określenie tego wszystkiego jako kloaki byłoby jeszcze zbyt pochlebne. Czy to nie raz i takiego człowieka jak pan?

— Nie sądzi pan chyba, panie Breslauer, że w ogóle przyjmuję do wiadomości tego rodzaju drugorzędne piś-midło.

— A właśnie powinien pan, panie Norden! Przecież te prymitywne, a jednak drażące świadomość społeczną płody ukazują się w sześciuset tysiącach egzemplarzy! Ostrożnie można ocenić, że czyta je około dwóch milionów ludzi! I myśli pan, panie Norden, że można tak po prostu nie przyjmować tego do wiadomości?

— Panie Breslauer — powiedział spokojnie Norden — najwyraźniej pan przeoczył zachodzące tu proporcje. Liczebność naszego narodu, łącznie z Niemcami mieszkającymi poza naszymi granicami, ale oczekującymi na przyłączenie do Rzeszy, szacuje się na ponad sto sześćdziesiąt milionów. Cóż wobec tego znaczą owe dwa miliony czytelników „Stiirmera”? Niespełna jedna osiemdziesiąta całości!

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że takie masowe ogłupianie ludzi powinno być dozwolone?

— Nie tylko dozwolone, panie Breslauer, ale nawet konieczne! Jako swego rodzaju materiał pomocniczy dla prostaczków. Oni potrzebują takich grubiańskich, dobitnych wyobrażeń. Nie jest to szczególnie piękna konieczność, przyznaję. Ale jest to praktyczna, skuteczna i niezbędna strawa dla ludu.

— A więc cel uświęca środki? Tak pan uważa, panie Norden?

— My obaj, pozwolę sobie zauważyć, nad tego rodzaju podrzędnymi sprawami powinniśmy przechodzić do porządku. To poniżej naszego poziomu, panie Breslauer, zajmować się czymś takim. Nie ma pan najmniejszego powodu, by się tym ekscytować. Dlaczego sobie pan tym w ogóle zaprzęta myśli?

— Dlatego że muszę być nieustannie przygotowany, nawet tu, w tym domu, na to, że spotkam człowieka, który będzie we mnie widział tylko owego przykładowego Żyda ze „Stiirmera”, osobnika drepczącego na platfusach, tępego chciwca, obłudnego i najgłębiej niemoralnego. Czy pan mnie tak właśnie widzi?

— Ależ, panie Breslauer, nic podobnego! Przecież pan wie o tym.

— Ale gdyby panu wydano rozkaz, by pan widział we mnie jedynie Żyda ze „Stiirmera”, to co wtedy? Co by się wtedy stało?

znowu rozpracowywanie planu pod kryptonimem Dahlem. Rozłożone na stole wyniki wywiadów, wraz z dokładnymi szkicami sytuacyjnymi, zestawieniami liczbowymi i harmonogramami mogły zadowolić nawet Müllera.

— Świetna robota — przyznał wytrawny kryminolog z uznaniem. — Teraz możemy, zgodnie z planem, przystąpić do realizacji naszego zadania.

— Nie ma co zwlekać — uzupełnił słowa Müllera Wesel. — Istotna tu będzie nie tylko nasza bojowość, ale także odpowiednio dobrany moment. A Boże Narodzenie już blisko! Będziemy je świętować! Na nasz sposób!

Wesel ze swoją szóstką oraz Müller zebrali się tym razem w holu willi, a nie jak zwykle przy tego rodzaju naradach w bibliotece. Przyczyną tego był kominek. Gruppenführer lubił patrzeć na płonący ogień; przygotowano już wielkie naręcze grubych bukowych polan.

Ogień palił się, trzaskał, migotał. Rzucił czerwone światło na rozłożone plany niszczycielskiej akcji berlińskiej i przyjacielskim ciepłem rozgrzał twarze obecnych. Nawet pies Harras, który z pełnym oddaniem rozłożył się u stóp Siegfrieda, połyskiwał różowym blaskiem.

I właśnie na tym zwierzaku zatrzymało się na dłuższą chwilę spojrzenie Waldemara Wesela. Zauważyli to wszyscy. Siegfried instynktownie poczuł niepokój. Podobnie zareagowali inni, nawet ci, których to zbytnio nie obchodziło. Poznali, że przygotowuje się tu jakieś szczególne wystąpienie ich Gruppenführera.

Ten po dłuższej chwili namysłu powiedział:

— Ten pies, Siegfried, którego pielęgnacji dobrowolnie, bez żadnego nacisku z mojej strony się podjąłeś, nie podoba mi się.

— Nie musi się każdemu podobać — odciął się pospiesznie Siegfried. — To rzecz gustu! Ale mój Harras to wspinał się zwierzak! Najlepsza rasa! Zapewniam!

— Spróbuj mnie właściwie zrozumieć, Siegfried — tłumaczył mu cierpliwie Wesel. — Bynajmniej nie wątpię, że ten pies, który tak wyraźnie zdobył twoją sympatię, jest szczególnym okazem swego gatunku. Tylko, Siegfried, twoja opinia w tej sprawie nie jest miarodajna. Musisz zaufać mojemu rozpoznaniu, które dotyczy nie tylko ludzi. W tym przypadku moje rozpoznanie jest takie: pies jest chory.

— Chory? — wykrzyknął z niedowierzaniem Siegfried, przyciągając do siebie psa, który patrzył na niego jakby zalękniony.

— Ten pies — stwierdził Wesel akcentując każde słowo — jest chory na wściekliznę. — Wyglądało na to, że jest najgłębiej przekonany, że wszystko, co było do powiedzenia, zostało powiedziane. — Jasne?

— Nie, nie! — krzyknął wstrząśnięty Siegfried. — To niemożliwe! — Rozejrzał się wokół, jakby szukał pomocy, ale na wszystkich twarzach ujrzał tylko niedbałe uśmieški. Objąwszy psa, krzyknął:

— Pan musiał się pomylić, Gruppenführer!

— Nasz Gruppenführer miałby się mylić? — spytał szybko Hagen. — Co ci przychodzi do głowy?

Hermann reagował w sytuacjach skrajnych równie szybko jak Hagen. Zorientował się natychmiast, jak się ma zachować.

— Ten pies jest chory nd wściekliwość! — wykrzyknął. — Nasz Gruppenführer tak powiedział, a więc tak jest. Z tego jeden tylko wniosek: psa nieuleczalnie chorego trzeba natychmiast zlikwidować! Trzeba go zastrzelić. Trzaśnij więc twego kundla, i to już.

— Nie! — krzyknął wzburzony Siegfried. — To niemożliwe!

— Co jest niemożliwe? — zapytał smutno Wesel.

Bergmann zerknął na Bemera. Ten powiedział z pełnym zrozumieniem:

— Gdyby ci było zbyt trudno, Siegfried, zlikwidować psa, to my się tego jako swego rodzaju przyjacielskiej przysługi podejmiemy.

— Harras nie jest wściekły! — znów krzyknął Siegfried.

— Jest, jest wściekły — skorygował go energicznie Hagen. — Jeżeli nasz Gruppenführer tak mówi, to tak ma być. Czy ty wciąż nie kapujesz?

Siegfried przytulił do siebie skowyczącego psa. Rozejrzał się błagalnie, szukając pomocy. I przerażony nagle uświadomił sobie, że wszelkie jego zabiegi są daremne. Oczy jego błysnęły jeszcze raz, jak dogasający ogień na kominku. Siegfried nie widział już nikogo — nawet swego psa.

— Czy nie rozumiesz, Siegfriedzie — przemówił do niego Norden z niemal braterską życzliwością — że chodzi o obowiązującą nas wszystkich zasadę bezwarunkowego posłuszeństwa. Oczekuje się tego także od ciebie; nie żąda, nie wymusza rozkazem, ale oczekuje. I trzeba się temu poddać. Całkowicie i bez zastrzeżeń. Czy to nie jest dla ciebie jasne?

— No tak, przyjacielu — powiedział Wesel, zamykając sprawę. — Wszyscy mamy jakieś słabe strony, co zresztą wcale nie jest takie złe. Ale trzeba umieć się z nich wyzwolić i je zdecydowanie przemóc. I dopiero wtedy, mój przyjacielu Siegfriedzie, można wykonać naszą tak ważną robotę. Także tę, która czeka ci(? w Berlinie.

— Tak jest, Gruppenführer! — powiedział Siegfred z rezygnacją, odejmując ręce od swego psa. Ten zaskowyczał żałośnie.

Wyjaśnienia kierowcy Sobottke:

Ależ było wtedy zamieszania! A wszystko z powodu tego głupiego psa! Ja go tam przyprowadziłem, a Siegfried się nim opiekował. I w końcu zastrzelił. Siegfried nikogo nie dopuszczał do tego psa i nikt inny tylko on sam musiał go rozwalić.

Kucharka Bertha, to grube krówsko, niemal szalała z rozpaczy. Miała słabość do tego skamlającego bydlaka. Dbała o niego bardziej niż o nas; jęczała i zawodziła jak syrena alarmowa.

Także ogrodnik Kaspar, ten potulny, cichy człowiek też próbował stanąć w obronie psa, i to wobec samego Wesela. Zdawało mi się, że mam do czynienia z członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Ale w gruncie rzeczy cała sprawa była załatwiona, jak należy. Zaświadczył to nawet urzędowo doktor Behrends, który był wtedy weterynarzem okręgu Starnberg. Wesel go sprowadził i ten stwierdził, że pies był chory na wściekliznę i że trzeba było go uśmiercić. I to chyba wszystko wyjaśnia. A może...?

Wprzeddzień przygotowanej już we wszystkich szczegółach akcji Dahlem, a więc 23 grudnia, odbyła się u Horchera przy Unter den Linden wspaniała kolacja. Gospodarzeni był Reinhard Heyd-rich, a jego gośćmi przyjaciel Wesel z jego ludźmi.

„Reini” i „Waldi” siedzieli blisko obok siebie i prowadzili szeptem rozmowę. Wysoko wykwalifikowani kelnerzy

z najwyższą uwagą obsługiwali doborowe towarzystwo. Przy stoliku opodal siedziało czterech generałów, trzech z piechoty i jeden z lotnictwa. Pozwolili sobie uprzejmie wznieść kielichy na zdrowie Heydricha, a przy tym także Wesela. Po kolacji gospodarz zwrócił się do swego przyjaciela:

— Co byś na to powiedział, mój drogi, gdybyśmy tak kawę, a do tego koniak albo lampką szampana, wypili u mnie w domu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Trzy czarne, lśniące mercedesy stały w pogotowiu. Po niespełna pół godzinie wszyscy dotarli do okazałej willi przy GroBen Wannsee', gdzie w rozległym salonie wszystko było przygotowane na przyjęcie gości: dzbany kawy, sześć gatunków koniaku i co najmniej tuzin butelek szampana w kubelkach z lodem.

Heydrich zwrócił się do gości z zapraszającym gestem:

— Wszystko, koledzy, stoi do waszej dyspozycji. Proszę, częstujcie się. — I dodał: — Chętnie bym wam, koledzy, przedstawił moją rodzinę, żonę i dzieci, ale to przy najbliższej okazji. Teraz powinniśmy bez przeszkód skupić się na najważniejszym, a więc na waszym specjalnym zadaniu, które za niecałe dwadzieścia cztery godziny będziecie mieli już za sobą. Uda się?

— Wszystko — zapewnił go Wesel, wskazując na Siegfrieda. — On to zrobi! Ze wsparciem kolegów.

Heydrich podszedł bliżej Siegfrieda, spojrzął mu badawczo w oczy, położył ręce na jego ramionach. — Zgadza się, kolego? — zapytał.

— Tak jest, OberGruppenführer — odrzekł Siegfried.

Heydrich wskazał im ręką rozstawione trunki, sam zaś odciągnął Wesela na stronę.

— Wydaje się, że twoi ludzie są w świetnej formie. Czy wiesz, że mamy wkrótce wystąpić na znacznie większej arenie?

— Oczywiście — zapewnił Wesel. — Może już wiesz, jakie ma Führer wobec nas następne wielkie plany? Napomknął mi, że mają one decydujące znaczenie dla narodu i Rzeszy.

— Nie znam jeszcze szczegółów. Ale nie będzie to nic, na co nie byłbyś przygotowany. Przecież chyba jesteś gotów? Nawet gdyby Żydzi mieli przy tym padać jak muchy?

— Nawet tysiącami. Co ma być, to będzie. Możesz zamel dować o tym Führerowi.

To zapewnienie Wesela wyraźnie nastroiło muzycznie Heydricha. Podszedł tanecznym krokiem do stojącego w rogu okazałego salonu fortepianu Bechsteina. Leżały na nim jego skrzypce.

Wziął je do ręki i przebiegł palcami po strunach, sprawdzając, czy są nastrojone. Wszystko było w porządku.

A potem zaczął Reinhard Heydrich grać — z pełnią polotu, żarliwie, kołysząc się tanecznym ruchem. Jego napięta twarz, przywodząca na myśl drapieżnego ptaka, z każdą chwilą łagodniała. Występ trwał około dziesięciu minut.

— Wspaniale! — zapewnił Wesel, ledwo przebrzmiały ostatnie tony. — Co za wirtuozeria!

— Menuet Mozarta — rzucił Norden; ze wszystkich ludzi grupy Wesela on jeden, jak to określił Hagen, „liznął nieco kultury”.

Heydrich szerokim gestem opuszczał w dół smyczek, odłożył skrzypce na miejsce. Stał potem jeszcze chwilę, jakby najgłębiej wzruszony własnym występem, jakby zasłuchany sam w siebie. Nie trwało to jednak zbyt długo.

Nagle otrzeźwiony, rozejrzał się wokół zimnym badawczym spojrzeniem. Głos jego zabrzmiał jednak wciąż jeszcze muzycznie — miękko, intymnie, spokojnie:

— I to także, przyjaciele, należy do naszego świata, jest częścią składową naszej wielkiej całości. Jest w tym nie omyłne przekonanie o naszej racji, a także poszukiwanie prawdziwego piękna i wciąż rosnąca tęsknota za ostatecznym zniszczeniem się wielkich niemieckich marzeń.

To, co zdarzyło się następnego dnia w późnych godzinach wieczornych, było ich stuprocentowym zniszczeniem.

Pogoda była zimna, deszczowa, chmury ciągnęły nisko nad miastem. Bardzo zła widoczność nie pozwalała obawiać się żadnych świadków. Ciemny świąteczny wie-

czór rozjaśniało tylko prześwitujące nieco przez szyby światło zapalonych na choince świeczek.

Poczawszy od sprzyjającej pogody, wszystko przebiegało według planu. Berner i Bergmann rozmieścili się na zapleczu. U głównego wejścia zaczęli się Norden i Hagen.

Do przeprowadzenia samej akcji wyznaczony został Siegfried. Na wszelki wypadek Wesel przydzielił mu Hermanna, ale jedynie jako ubezpieczenie. Hermann otrzymał wyraźny rozkaz, by wkroczył do działania tylko wtedy, gdyby się okazało, że Siegfried ma jakieś kłopoty. Ale tego raczej nie należało się obawiać.

Siegfried był zdecydowany rozprawić się ze wszystkim, co mu stanie na drodze. Był odpowiednio do tego uzbrojony. Miał dwa w pełni naładowane rewolwery specjalne kalibru 10,5. Zapasowa amunicja wypełniała ponadto jego kieszenie.

— On musiał — przypomniał Hagen — rozwalić swojego psa. A teraz gotuje się, by rozwalić wszystkie inne psy, każdego, który się nawinie!

— Coś ty! — wystąpił w obronie Siegfrieda Norden. — On jest po prostu jednym z nas i tylko wypełnia swoje zadanie.

Wypełnienie zadania przez Siegfrieda wyglądało tak: Kierowcę amerykańskiego dyplomaty, który na dźwięk dzwonka otworzył mu drzwi, położył jednym strzałem prosto w twarz. Następnie również jednym strzałem, ale tym razem w brzuch, załatwił pokojówkę, która w pół ubrana wynurzyła się z głębi domu. Natknęli się wreszcie na dwójkę dzieci, które wlepiły w nich przerażony wzrok. Siegfried pozostawił je obstawiającemu go Hermannowi, który zrozumiał ten gest jako koleżeńskie ustępstwo na jego rzecz. Wybrał wobec nich wypróbowaną wcześniej bezgłośną metodę. Chwytał dzieci w obie ręce i wielokrotnie z całej siły zderzał je głowami, jakby to były dwie piłki. Potem rzucił ich ciała pod ścianę.

Wykonanie tego szybko zwieńczonego sukcesem dzieła zajęło Hermannowi kilka sekund, pospieszył więc za swoim kolegą, by nie przegapić końcowej sceny tego makabrycznego przedstawienia.

Siegfried jakby czekał na swego towarzysza. Zostawił sobie jeszcze chwilę do przeprowadzenia ostatecznej akcji. Mógł sobie na to pozwolić, gdyż wszelkie możliwe czynniki, które mogłyby mu przeszkodzić, zostały już wyeliminowane. Pozostały jeszcze dwie osoby.

Pierwsza to była żona dyplomaty, ubrana w ciemnoniebieską jedwabną suknię wieczorową. Nic szczególnego — stwierdził Siegfried — koścista blondyna o słomianych włosach, z pomarszczoną chudą twarzą. Stała przed swoim mężem, tłuścawym facetem o okrągłej, teraz kredowo-białej twarzy. Ubrany był w czarny smoking i trząsł się cały, wyglądał, jakby miał narobić w spodnie.

Za obojgiem stała choinka przybrana na niemiecką modłę dużymi brzuchatymi bombkami, gęsto zwisającymi „anielskimi włosami” i pogaszonymi już świeczkami. Na czubku migotała, połyskująca w świetle lampy gwiazda, jakby wysyłała iskierki do nieba.

Właśnie na to drzewko upadli oboje, mężczyzna i kobieta, gdy Siegfried oddał dwa strzały. Tylko dwa.

Choinka przewróciła się, przykrywając ich ciała. Siegfried nie spuszczał ich jeszcze z oczu, po czym wystrzelił już zupełnie z bliska jeszcze dwa razy, prosto w ich twarze, tak że mózg się rozprysnął.

Zapadła cisza. Krew spływała bezgłośnie.

— No to tyle — stwierdził Siegfried. Był bardzo zadowolony. Hagen, który stał obok Nordena u drzwi wejściowych willi, spojrzął na zegarek.

— Załatwił to wszystko w niecałe siedem minut! Wyrazy szacunku!

Norden tylko skinął głową.

Dwa samochody, które postawił do dyspozycji Heydrich, czekały za następnym skrzyżowaniem. W jednym z nich siedział Wesel. Siegfried podbiegł do niego i tylko kiwnął głową — to było wszystko. Wesel ścisnął go krótko za ramię — co oznaczało wysokie uznanie.

— A teraz na lotnisko Tempelhof! — krzyknął swoim ludziom.

W Berlinie pozostał tylko Müller. Był wyznaczony do akcji specjalnej, szczegółowo przygotowanej.

Na pasie startowym stał samolot typu Ju 52 z zapuszczonymi silnikami — samolot Führera. Osobisty pilot Hitlera siedział już przy sterach, główny adiutant troszczył się o wygodę pasażerów. Führer, jak zawsze na przednim siedzeniu, przerzucał jakieś akta.

— Odlot po przybyciu kolegi Wesela — zarządził — z sześcioma ludźmi. Razem siedmiu mężczyzn.

Dotarli na miejsce bez spóźnienia, nawet kilka minut przed wyznaczonym czasem. Führer wyszedł na ich spotkanie aż do wejścia.

Najpierw pozdrowił przez uniesienie ramienia Gruppenführera, a ten z ledwo ukrywaną dumą zameldował:

— Rozkaz wykonany, Führer!

— To dobrze — powiedział z uznaniem Adolf Hitler. — Nie oczekiwałem niczego innego.

Teraz Hitler powitał, najpierw unosząc wyprostowane ramię, a następnie krótkim, mocnym uściskiem dłoni, swoich sześciu ludzi, tym razem, za wskazaniem Wesela, z Sieg-friedem jako pierwszym. Długo bez słowa patrzył mu w oczy.

Bez podszeptnięcia Wesela, Führer zwrócił się do Sieg-frieda po imieniu, a także do pozostałych pięciu. Znał ich wszystkich — słynął z doskonałej pamięci.

Gdy zajęli miejsca w samolocie, zwrócił się do nich:

— Jestem bardzo rad, że znajduję się pośród najbardziej mi oddanych ludzi. Łączy nas coś bardzo istotnego: stano wcze, bezlitosne mierzenie się oko w oko z prawdą. Mnie, jako kanclerza Rzeszy, i was, jako moich wiernych towarzyszy.

Patrzyli na niego z oddaniem, z rozpalonymi twarzami, Wesel zaś, który zajął miejsce obok Hitlera, powiedział:

— Już w germańskim średniowieczu się mówiło: „Kat również należy do świty króla”.

— Słusznie, Wesel! — potwierdził Führer. — Władza ma swoje ciemne strony. Prawdziwa wielkość nie może się

obyć bez wiernej, oddanej świty. To ona przede wszystkim zabezpiecza królewski tron. Katów zaś, którzy mu towarzyszą, a których chętniej nazwałbym wykonawcami, należy zaliczyć do bohaterów swojej epoki.

Samolot Führera wzniósł się w górę. Wziął kurs na Monachium, gdzie Hitler zamierzał spędzić święta — Boże Narodzenie, Sylwester i Nowy Rok, w tajemniczym kręgu rodzinnym, z Evą Braun. Był przecież mężczyzną, ponieważ wciąż musiał występować jako ojciec narodu, pozostawał nieżonaty, niedościgły ideał uwielbiających go kobiet, tak by żadna nie mogła go zazdrościć innej. Skazany więc był na to, by publicznie występować wciąż jako niewzruszony pierwszy asceta Rzeszy.

Siedział teraz, pogrążony w myślach, popijając wodę mineralną. Na ogół nie pozwalał pić swemu otoczeniu, dziś jednak zrobił wyjątek. Pozwolił im wypić lampkę szampana dostarczonego przez małżonkę ministra spraw zagranicznych.

Wydarzenia tego wieczoru wigilijnego po wylądowaniu samolotu Führera w Monachium i szaleńczej jeździe ze Starnberg See do willi w Feldafing ciągnęły się jeszcze dalej. Wesel zadysponował:

— Możecie pić do oporu, przyjaciele!

Raffael razem z Sobottke przygotowali całą wannę narą-banego lodu, w którym ustawili butelki szampana.

— Każdy obsługuje się sam, najpierw po butelce na głowę. A potem pozwalam wam nawet na dwudniowe świąteczne spanie!

Nie odnosiło się to do Sobottke, który miał pełnić nocną służbę, oraz do Raffaela, któremu Wesel zlecił czuwanie przy telefonach w jego gabinecie. Gruppenführer chciał wreszcie zostać sam ze swoimi.

Na kominku trzeszczał ogień. Szampana pito jak wodę, tak że wkrótce zapadł ciężki pijacki nastrój. Tak się przynajmniej wszystkim wydawało.

Waldemar Wesel opowiadał swoim podopiecznym barwne historyjki z czasów „czarnej Reichswehry”, kiedy zaczynało się przeczuwać, co naprawdę znaczy prawo, honor i ojczyzna.

— Nie obeszło się przy tym bez wymierzania słusznej kary najbardziej zdradzieckim elementom. Cholerne żydowskie szmatławce określały tę akcję jako sądy kapturowe, ale dla nas to było, i dziś jest także, świadome, odpowiedzialne wykonywanie żołnierskiego obowiązku. Prasa wylewała na nas kubły pomyj, aleśmy się tym nie przejmowali. Niektórzy tchórzliwi sędziowie odmawiali współdziałania z nami, więc musieliśmy sami wymierzać sprawiedliwość. Zmuszono nas do tego, byśmy wydawali wyroki i sami je wykonywali.

Przypominam sobie pewną letnią noc w Nadrenii, koło Kolonii, gdzie jeszcze długi czas po wojnie stacjonowały obce wojska. Trzeba tam było zlikwidować trzech zdradzieckich świntuchów. Tak jak przedtem czuli się mocno, tak teraz drżeli jak liść osiki, kiedy kopali sobie grób. Łopaty przywieźliśmy ze sobą.

Jednego z tych obesrańców, starego, chyba kogoś z dziennikarskiego bractwa, trafił szlag na miejscu, zanim posłaliśmy mu kulę w kark. Hauptmann Berthold, który razem ze mną prowadził tę akcję, skwitował krótko: „Przynajmniej zaoszczędziło się amunicji!”

Wszyscy słuchali wspomnień Wesela z żywym zainteresowaniem, nie szczędząc pełnych uznania komentarzy. Jedynie Siegfried w uznaniu jego zasług posadzony po prawicy Gruppenführera sprawiał wrażenie jakby nieobecnego. Już po niecałych piętnastu minutach jego pierwsza butelka szampana stała przed nim pusta. Wydawało się, że próbuje się upić, aby zapomnieć — chyba naprawdę mu o to chodziło, do tego jednak nie chciał albo nie mógł się przyznać.

A Wesel opowiadał dalej:

— Przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, a maczały w tym palce jakieś podejrżane elementy w policji, przyłapano jednego z naszych, tym razem koło Dusseldorfu, i wsadzono do więzienia. Chcieli mu zrobić proces. Nie mogliśmy jednak na to pozwolić.

Grupa uderzeniowa zaatakowała ten kryminał, w którym siedział nasz kolega. Uwolniliśmy przy tej okazji pięciu innych więźniów, ale nie jego. Jakiś urzędnik sądowy przypadkiem zarządził przeniesienie go do innego więzienia.

Wzięliśmy sobie tego mądralę na warsztat. Był jednak mało odporny i kipnął. Potem dobraliliśmy się do sędziego, który miał prowadzić sprawę, i pouczyliśmy go odpowiednio za pomocą pistoletu, który daliśmy mu do powąchania. Przebieg procesu odpowiadał już potem naszym oczekiwaniom. Nasz kolega został uwolniony.

Nagle Siegfried wstał, trzymając uroczyście w rękę napelnioną szklanę. Wybełkotał: — Muszę wyjść. — Szttywnym krokiem opuścił hol, ale nie skierował się do ukrytych w tyle drzwi toalety, lecz ku wyjściu na taras. Tam się zatrzymał przez chwilę, ale nie po to by zacerpnąć świeżego powietrza, napawać się pięknem pogodnej nocy lub odlać się w krzakach, jak to było w zwyczaju podczas męskich wieczornych pijatyk.

Powędrował dalej w chłodną noc w kierunku tylnego ogrodu, ku murowi, pod którym rosło kilka świerków. Pod nimi leżał Harras, pies, jego pies, którego sam tu pogrzebał.

Zatrzymał się w tym miejscu. Stał wyprostowany, niemal w postawie na baczność. Następnie podniósł swoją szklanę, przytknął ją do ust, upił łyk i wylał resztę szampana na grób psa.

Gdy znów powrócił do holu, wyglądał, jakby mu znacznie ulżyło. Wesel natychmiast to zauważył z zadowoleniem. Jego system zadziałał!

— No, Siegfried — powiedział — miło mi widzieć ciebie w dobrej formie! Wykonałeś trudne, skomplikowane zadanie, i właściwie w pojedynkę. Doceniam to, rzetelnie się sprawdziłeś.

— Dla służby — powiedział Siegfried z powagą i sięgnął po następną butelkę szampana. To już była trzecia. — W służbie dla naszego Führera.

— To jest właśnie w naszym duchu, Siegfried — zapewnił go serdecznie Wesel. — Ale skoro tak ofiarnie narazamy swoje życie, możemy też zawsze na to liczyć, że nasze

szczególne zasługi zostaną odpowiednio wynagrodzone. Za wasz wyczyn każdy z jego uczestników otrzyma dodatkową czterocyfrową sumę, która zostanie przelana na wasze konta specjalne.

Wiadomość ta spowodowała radosne ożywienie, któremu nikt nie dał jednak głośnego wyrazu. Nie byłoby to wskazane w obecności Wesela. W każdym razie spożycie szampana wciąż wzrastało. Hagen właśnie sięgnął po trzecią butelkę, co jednocześnie dało bodźca Nordenowi. Bergmann i Berner wsunęli ciężkie polana do ognia kominka, a Hermann próbował przejąć funkcję miecha kowalskiego. Wesel zaś zwrócił się do Siegfrieda:

— Taki wyczyn jak twój zasługuje na szczególną nagrodę. Na nagrodę, która przekracza nasze zwykłe honoraria. A więc? Masz jakieś specjalne życzenia?

Siegfried potrząsnął głową. — Nie mam żadnych.

— Może nie dla ciebie samego? Może jest ktoś spoza naszej grupy, komu byś chciał sprawić radość? Pomyśl.

— Może mojej drogiej matce.

— No więc! Jesteś zatem nie tylko oddanym przyjacielem, ale także dobrym synem. To ci się chwali! Co zatem, mógłbyś zrobić dla twojej matki?

— Ona — wyznał Siegfried z ociąganiem — najbardziej marzy o małym domku na wsi. Najlepiej nad jeziorem. Serdecznie bym się cieszył, gdyby...

— Załatwione! — oświadczył Wesel. Sześć trupów niewątpliwie wrogów Rzeszy warte było każdego finansowego wyrazu uznania.

Gruppenführer spojrział na swój zegarek. Dochodziła szósta.

— Hagen — rozkazał — włącz radio. Być może zainteresują nas wiadomości.

W radiu rozbrzmiewała jeszcze przez dwie minuty orkiestra smyczkowa braci Steiner. Grali fragmenty *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego; w ich interpretacji brzmiały jak muzyka Johanna Straussa.

Potem nastąpiły wiadomości. Najpierw spiker podniosłym tonem przekazał świąteczne życzenia Führera dla jego odradzającego się, przebudzonego, silnego, a jednak pokojowo nastawionego niemieckiego narodu.

Następnie przekazano zawiadomienia o wyrazach życzliwości z zagranicy: z Francji, od jakiegoś związku kombatantów, z Włoch, osobiście od Mussoliniego, w końcu nawet z Anglii telegram z wyrazami przyjaźni od właśnie powstającej tam organizacji faszystowskiej, podpisany przez niejakiego Sir Oscara Mosleya.

Następna informacja jednak głosiła:

„W nocy 24 grudnia w dzielnicy Dahlem w Berlinie został dokonany napad rabunkowy na willę pewnego amerykańskiego dyplomaty. Wstępne ustalenia pozwalają przypuszczać, że napadu dokonała grupa międzynarodowych kryminalistów, prawdopodobnie w celach rabunkowych”.

Informacja ta wywołała w willi głośny śmiech. Ale to nie było jeszcze to, co najważniejsze. Spiker ciągnął dalej:

„Führer, kanclerz Rzeszy, wyraził głębokie oburzenie z powodu tego zbrodniczego czynu i zalecił policji kryminalnej, by natychmiast przeprowadziła energiczne dochodzenie w sprawie tego przestępstwa, nad którym on osobiście najgłębiej ubolewa. Do tego celu powołano komisję specjalną, na której czele stanął wybitny specjalista”.

— A to właśnie nasz Müller! — podzielił się Wesel informacją ze swoimi ludźmi. — I co na to powiecie?

Nie mogli nic na to powiedzieć. Jako fachowcy, którymi chcieli zostać, mogli tylko podziwiać. Jednocześnie poczuli się dumni z uczestnictwa w tak precyzyjnie opracowanym planie. Współ z Weselem stanęli na wzniosłym, samotnym szczycie istnienia.

Jednak kilka minut później dobry nastrój Wesela wyraźnie przygasł, a to za sprawą Raffaela. Obaj udali się do prywatnego apartamentu Wesela, gdzie teraz, stojąc tuż obok siebie, sikali razem do jednej muszli.

Raffael miał poważną minę. W holu szóstka zaczęła właśnie śpiewać niezupełnie na bożonarodzeniową nutę „Gdy słońce już zaszło...” Raffael ociągając się oświadczył:

— Dzwonił hrabia von Tannen. Był bardzo zdenerwowany.

Wesel spokojnie siusiał dalej.

— Czego mógł chcieć? Ten umie dbać o własne interesy! Nie powinniśmy mu zazdrościć, póki się to nam opłaca.

— Tym razem jednak — ciągnął dalej zatroskany Raffael — chodzi chyba o coś więcej. Nie o jakąś korzyść dla hrabiego, ale o sytuację naszej grupy.

— Co? — zapytał Wesel, przerywając natychmiast fizjologiczną czynność.

— Hrabia — relacjonował Raffael — domagał się rozmowy z tobą. Ale ty chciałeś, by ci przy świętowaniu zwycięstwa nie przeszkadzać. A ponieważ on wie, że można za moim pośrednictwem przekazywać ci poufne wiadomości, wspomniał, że byłoby nieźle, żebym cię jakoś przygotował na możliwe nieprzyjemności.

— Na co mam się przygotować? Gadaj że człowieku!

— Hrabia podejrzewa, że jego córka spotkała się ostatnio z którymś z naszych ludzi. I to potajemnie, jak to się mówi, sam na sam, i to w jakimś nieznanym miejscu.

— Do cholery! — wrzasnął oburzony Wesel. — To niemożliwe!

— Praktycznie byłoby to zupełnie możliwe. Ostatnio dałeś chłopakom za dużo wolności. I do tego nie było wyraźnego zakazu spotykania się z Elisabeth.

— A jak myślisz, z kim ona się mogła spotkać? — próbował się domyślić Wesel. — Z Nordenem czy z Hagenem?

— Nie mam pojęcia. Hrabia też tego nie wie. Ma te same podejrzenia co ty: albo jeden, albo drugi. A hrabianka, powiedział, nie puszcza pary z ust. Milczy jak zaklęta. Ale takie już są te baby!

— To się może okazać — zagrzmiał Wesel — całkiem niebezpieczne!

9. Ostatnia próba

Wiosna była wspaniała. Powiadano, że takiej jeszcze w tym stuleciu nie było, Mówiło się: „To jest wiosna Führera”, tak jak się mówiło „pogoda Führera”, jeśli kiedykolwiek w jego obecności zaświeciło słońce.

Ta wiosna była istotnie hojna w swoich darach: deszcze i słoneczne dni przeplatały się wzajem, drzewa wypuszczały więcej pędów i obsypały się bujniejszym kwieciami niż w ubiegłych latach, koty darły się przez całe ciepłe noce, psy skamlały do suczek i składały im wyrazy swego zainteresowania nawet z dużej odległości; ptaki, jak mówiono na wsi, zniosły więcej jaj w swoich gniazdach niż kiedykolwiek przedtem.

Wszystkie te zjawiska natchnęły Waldemara Wesela do poetyckiej twórczości. Pisywał więc wiersze, które następnie przy kolacji odczytywał swojej szóstce. Jeden z jego utworów, pod tytułem *Niemiecka wiosna*, zaczynał się następująco:

„Ziemia omal nie pęknie
pod bezlitosnym ciosem słońca.
A przecież na flagach drzew gromadzą się ptaki,
śpiewając wśród niezniszczalnej piękności.
Coż one śpiewają,
co to za pieśń,
dla kogo?
Dla kogo śpiewają?

— Miałem tu na myśli siły przyrody — objaśniał swój poemat Waldemar Wesel. — Szanujemy je, poważamy, nie

powinniśmy się jednak im poddawać. Wiemy przecież o wiecznej niezniszczalności istnienia, póki śpiewają ptaki, rosną drzewa i kwitną kwiaty. Ale ponad tym wszystkim jest niemiecki człowiek!

Gruppenführerowi sprawiało najgłębszą radość, że jego uduchowione wykłady o naturze bytu znajdują oddźwięk u jego ludzi. Nie powstrzymywało go to jednak od systematycznego utrzymywania swojej grupy w stanie gotowości i w najlepszej formie. To był jego jasno określony cel. A realizował go za pomocą ćwiczeń wojskowych, prób odwagi oraz kształcenia specjalistycznego w zakresie języków obcych, kryminalistyki, samoobrony i wreszcie filozofii Führera. „Sam jestem zasadniczy i ani myślę wam popuścić” — brzmiała jego dewiza w owych rozkosznych tygodniach.

Hrabia von Tannen u Waldemara Wesela. Wesel: Bardzo cię lubię i cenię, Konstantynie. Okazało się, że nasza współpraca przynosi nam wspólne korzyści. Ale teraz bardziej mnie martwi zachowanie się twojej córki. Ona wyraźnie zmierza w niewłaściwym kierunku. I to, prawdę mówiąc, szczerze mnie niepokoi.

Hrabia: Mnie także, Waldemarze. Ale Elisabeth jest tylko kobietą i dlatego w gruncie rzeczy jest nieobliczalna. Ale przecież nie mamy żadnych poważnych dowodów na jej potajemne schadzki z którymś z twoich ludzi?

Wesel: Nie, nie ma. I to mimo ostrego nadzoru. A ja nie mogę sobie pozwolić na przepytywanie moich chłopców. Najprawdopodobniej jeden z nich by mi skłamał, co musiałoby przynieść katastrofalny, wprost przerażający skutek. W każdym razie instynktownie czuję, że twoja Elisabeth jest teraz właśnie w łóżku z jednym z moich ludzi.

Hrabia: Być może, Waldemarze. Ale nie wiemy nic pewnego. Staralem się coś wydobyć z Elisabeth, ale dowiedziałem się tylko tyle, że Hagen przedstawia się w jej oczach jako rodzaj Nibelunga, Norden zaś jako rycerz Graala. Sa-

ma po prostu nie umie się zorientować, którego z tych dwóch woli. A oni obaj są tak pięknie germańscy!

Wesel, lekko pochlebiony: Ona po prostu nie powinna wyróżniać żadnego! To jest reguła gry, którą sami wspólnie ustanowiliśmy. I należy jej dotrzymać.

Hrabia milczał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Wesel starannie obliczonym na efekt, podniesionym głosem dodał:

— Proszę cię, wyjaśnij to Elisabeth!

Gruppenführer Wesel w rozmowie z profesorem Breslauerem.

Wesel: Nie będę z panem dyskutował na temat sztuki, znaczenia i przyszłości pańskiego żydos-twa, zostawiam to moim ludziom, którzy zresztą to robią. Ale z notatek z pańskich wykładów, które wpadły mi w ręce, wynika, że usiłuje pan wmówić moim ludziom, że właśnie żydostwo może się stać problemem niemieckiego losu. Na waszego Jehowę! Cóż pana upoważnia do takiego poglądu?

Breslauer: Przede wszystkim to, że istniejemy, panie Wesel, i że jest nas bardzo dużo. W Europie Środkowej żyje około dwóch do trzech milionów Żydów, głównie w krajach zachodnich, nieco mniej w południowych. Mniej więcej taka sama liczba zamieszkuje kraje wschodnie, ze szczególnym zagęszczeniem w Polsce i w Rosji. Jest to łącznie około ośmiu milionów ludzi, nad którymi nie można ot tak sobie przejść do porządku dziennego, tak jak i nad przeszło tysiącletnim dziedzictwem narodu żydowskiego, przodującym w wielu dziedzinach kultury, w religii, filozofii, literaturze, muzyce, nauce...

Wesel: ...ale także w handlu i rzemiośle, wśród adwokatów i spekulantów giełdowych, wśród konowałów i wyznawców lekkiej muzy. Natomiast nie wydaliście żadnego męża stanu, żadnego człowieka czynu. Żadni z was żołnierze! Ani rolnicy, ani robotnicy! Jakże więc chce pan utrzymać te kramarskie elementy w czasach heroicznych?

Breslauer: — Żydzi, panie Wesel, są niezwykle cierpliwi i nieskończenie wytrzymali, a poza tym, jak poucza nas historia, dobrze zaprawieni w sztuce przetrwania. Tego narodu nie da się zniszczyć. Nawet gdyby się próbowało wywołać drugą wojnę światową, a odpowiedzialnością za nią obarczyć właśnie Żydów.

Wesel: Panie Breslauer, muszę panu z całą mocą zabronić podobnych pomówień! Chcemy być narodem przyjaznym wobec innych i miłującym pokój. A wy i wam podobni stale nam w tym przeszkadzacie. Między innymi pańską arogancką teorią o trwałej obecności żydowskiej w dziejach świata! Cóż to, czy pan sobie może wyobraża, że wziął pan w pacht całą wieczność?

Breslauer: No nie, niekoniecznie. A czy pan tak myśli o sobie?

Wesel: Ostrzegam pana raz jeszcze, panie Breslauer, i to już po raz ostatni. Może pan prowokować moich ludzi jakimi pan tylko chce teoriami, zabraniam jednak stanowczo, by pan próbował wmawiać im, że narodowy socjalizm może oznaczać totalny chaos, a także, że nasz Führer jest zwykłym niebezpiecznym szarlatanem. Gdyby się to wydarzyło, zapłaci pan głową, i to znacznie wcześniej, niż można by się spodziewać. Czy mam to wyrazić jaśniej?

— Nie — odrzekł po długiej chwili milczenia Breslauer.

Nie był to jednak wyraz rezygnacji, ale raczej podjętej już wcześniej decyzji.

— Feldafig.

Heydrich donosił o wynikach działalności Grupy Wesela w Dahlem:

„Wyniki akcji w Dahlem przeszły nasze oczekiwania. Te wężące po całych Niemczech, a szczególnie po Berlinie sfery różnych międzynarodowych pasożytów, jak dyplomaci, różni dziennikarze, handlowcy, szybko pojęli, co miała oznaczać ta akcja.

Wszyscy przycichli. Nagle przestali rozpowszechniać

oszczercze pogłoski na temat Trzeciej Rzeszy. Także wypowiedzi prasy zagranicznej stały się ostrożniejsze".

— Te pismaki stuliły wreszcie mordy — podsumował tę relację Wesel. — I to ze strachu, aby im także ich własnych nie zamalowano.

„Chodzi teraz tylko o to, aby Müller załatwił całą resztę".

Berlin.

Müller jako przewodniczący komisji specjalnej przy policji kryminalnej zdawał sprawę z podjętych przez siebie kroków.

— W wyniku intensywnego dochodzenia potwierdza się przypuszczenie, że napadu tego dokonała międzynarodowa szajka bandytów. Ujęliśmy dotąd czterech notorycznych przestępców, którzy, jak wszystko na to wskazuje, dokonali tej zbrodni.

— Tak właśnie, panie Müller, wyobrażaliśmy sobie pańską pracę — zapewnił z uznaniem Heydrich. — Tylko tak dalej, a zakwalifikuje się pan do objęcia najwyższych stanowisk. Czy ci faceci przyznali się do winy?

— To jeszcze nastąpi — powiedział krótko Müller. — To tylko sprawa czasu. Zdecydują o tym metody przesłuchania. Mam na myśli wypróbowanie kilku nowych sposobów, które mogą się okazać skuteczne również w przyszłości.

Monachium.

Heydrich i Wesel siedzieli przy kolacji w restauracji hotelu „Vierjahreszeiten" — „Cztery pory roku". Już przy zakąsce, soczystym, na złoto uwę-dzonym łosiosiu, doszli do ważnego tematu.

Heydrich: Zameldowałem Führerowi, że akcja Dahlem, zgodnie z zapewnieniem Müllera, przyniosła wszystkie spodziewane skutki. Führer uznał jej powodzenie, tak samo

zresztą jak ja, za otwierające się dobre widoki na przyszłość.

Wesel: Pod jakim względem? O co tu chodzi?

Heydrich: O tym powie ci szczegółowo sam Führer. Oczekuje nas obu jutro rano.

Wesel: Jeżeli będę miał wolną rękę i będę mógł rozporządzać wszelkimi środkami, jestem gotów na wszystko. Mam przecież znakomity zespół ludzki. Do którego zaliczam także Müllera.

Heydrich: Podziwiam twoją przenikliwość. Zauważyłeś moje żywe zainteresowanie Müllerem. Jest tak, jak przypuszczasz. Zamierzam go sprowadzić do Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i uczynić szefem Gestapo. Co tobie, jako jego odkrywcy i protektorowi, przynosi tylko zaszczyt.

— Może później — powiedział nieugięcie Wesel. — Kiedy już będę mógł się bez niego obejść. Tymczasem zostanie u mnie. Czy jesteśmy zgodni?

— Zawsze jesteśmy zgodni — przytaknął bez entuzjazmu Heydrich.

Berchtesgaden. Górski zamek Hitlera, skrzyżowanie twierdzy z domem letniskowym. Od frontu wielkie panoramiczne okna, w podwórzu tajna policja, na zapleczu oddział ochrony osobistej.

Przyboczny kucharz i kamerdyner Führera Wammen-berg podawał herbatę. Później, w amerykańskim obozie dla internowanych, figurował jako „lokaj Hitlera”. Tymczasem jednak podawał usłudze filizanki z nymphenbur-skiej porcelany i nalewał do nich indyjską herbatę.

Hitler: Żebyśmy mogli od razu przejść do rzeczy: Musimy wreszcie zająć wyraźne stanowisko w kwestii żydowskiej. Po tośmy się tutaj spotkali. Proszę o propozycje.

Wesel: Ukarać dla przykładu. Wykonać jakiś manewr odstraszący. Dać im sygnał grożącej, prędzej czy później, zagłady.

Heydrich: Zagłady Żydów!

Wesel: Wszystkich Żydów?

Hitler: Wszystkich Żydów!

Heydrich: Boisz się tu czegoś, Wesel?

Wesel: Oczywiście, że nie, Heydrich. Ale byłoby to gigantyczne przedsięwzięcie. Chodzi tu w końcu o kilka milionów ludzi. O około ośmiu milionów w samej Europie. Jak można ich dopaść z Niemiec?

Heydrich: To jest pytanie, Wesel, na które ty nie musisz odpowiadać. Tu by chodziło o to, aby przygotować jakiś praktyczny schemat tego przedsięwzięcia.

Hitler: Słusznie. I trzeba to opracować bardzo starannie. A jak mogłaby na coś takiego zareagować zagranica?

Heydrich: Prawdopodobnie dokładnie tak samo jak po nadzwyczaj skutecznej akcji Dahlem.

Hitler: Dobrze. To możemy przyjąć. Następne pytanie: jaka będzie reakcja samych Niemców? Jak oni się do tego odniosą?

Wesel: Prawdopodobnie, Führer, zgodnie z najbardziej cennymi cechami naszego narodu. A więc z właściwą mu skłonnością do całkowitej rzeczowości, której pozazdrościć może reszta świata. Z posłuszeństwem, zdyscyplinowaniem i zaufaniem do władzy.

Heydrich: To brzmi przekonująco. W poszczególnych przypadkach trzeba będzie zapewne wywrzeć pewien nacisk. Ale jest to w końcu problem dobrze przeprowadzonej i konsekwentnej propagandy, do której, o ile wiem, już się przygotowuje doktor Goebbels.

Hitler: Dobrze. Pozostaje więc jeszcze tylko jedna, prawdopodobnie niedostatecznie zbadana sprawa: jak się zachowają sami Żydzi. Jak zareagują na to, co się im wydarzy? Do czego ewentualnie są zdolni?

Wesel: Zajmowałem się ostatnio, Führer, poważnie tym problemem. Także moi ludzie otrzymali w tym zakresie gruntowne przeszkolenie. Dla umocnienia ich duchowych przekonań zetknąłem ich nawet z wybranym przeze mnie przedstawicielem tej niższej rasy. Przy tym wspólnie doszliśmy do następującego wniosku: Żydami o władnęła jedna jedyna idea, że muszą się oddać na ofiarę.

Heydrich: Ja mam takie samo wrażenie! Te szczury nauczyły się już z historii, że są z góry przeznaczone na ofiarę, i niczym więcej. Możemy wykorzystać tę ich gotowość.

Hitler: Jeśli istotnie tak jest, a ja też jestem o tym przekonany, musimy wyciągnąć z tego wnioski. Podejmiemy zatem to, co oznaczam w tym wypadku literą O. I tak w dalszym ciągu będzie się ta akcja nazywała. Tylko bardzo wąski krąg zaprzysiężonych może wiedzieć, że litera ta oznacza Ostateczne Rozwiązanie.

Wesel to przeczuwał, ale poruszyła go jednak jednoznaczna dobitność słów Führera.

Hitler podniósł się ze swego fotela i stanął przed nimi w pozie wieszacza.

— To jest właśnie to, czego ja chcę, przyjaciele! Ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. To jest najbardziej tajemne, a zarazem najważniejsze zadanie, jakie mnie jako przywódcy narodu niemieckiego powierzyła Opatrzność!

Podniósł ramię w pozdrowieniu i szybkim krokiem opuścił pokój. Wesel i Heydrich popatrzyli na siebie.

Heydrich: Wielkie zamierzenie! Spodziewałeś się tego?

Wesel: Nie można było oczekiwać nic mniejszego. Ale już samo przygotowanie takiego schematu będzie wymagało bez wątpienia poważnych środków i mobilizacji znacznych ludzkich sił.

Heydrich: Jakiegokolwiek wynikną potrzeby, czy to finansowe, czy personalne, będą zaspokojone. W każdym wymiarze.

Wesel: A organizacja całości?

Heydrich: Führer jest twórcą tego planu. Ja zostałem mianowany jego pełnomocnikiem. Ty jednak, przyjacielu Wesel, i twoja grupa stanowicie podstawową kadrę organów wykonawczych. Akcję przeprowadzamy wspólnie i wspólnie ponosimy odpowiedzialność. Zgoda?

Wesel: Zgoda, przyjacielu. A więc za dobrą współpracę!

Z przesłuchania inżyniera budowlanego Karla Rogalakiego przez kapitana Scotta ze służb specjalnych USA:

Naprawdę nie mogę pojąć, panie Scott, czego pan się po mnie spodziewa. Moją specjalnością jest wznoszenie budynków w trybie przyspieszonym. Wówczas, w latach trzydziestych, jako bardzo młody inżynier, pracowałem w pewnej firmie, której później zostałem współwłaścicielem. Naszym głównym zadaniem były wówczas baraki. Dla Służby Pracy, dla organizacji partyjnych, dla Wehrmachtu. Ale także obóz wypoczynkowy dla organizacji „Kraft durch Freude”, czy jak tam się ona nazywała. Dzisiaj także wznosimy hale fabryczne i magazyny metodą przyspieszoną, ale także domki letniskowe, po bardzo przystępnych cenach, bardzo solidne, według wzorów amerykańskich. Gdyby pan kiedyś...

Czy byłem w 1935 roku w pewnej willi w Feldafig? Tak, przypominam sobie, byłem tam. A dlaczego dotąd to pamiętam? Bo tam wszystko było nieco inne niż zazwyczaj w Trzeciej Rzeszy.

Pod jakim względem inne? No bo wtedy zazwyczaj obywano się bez większych ceregieli. Przy zamówieniach państwowych pieniądze nie grały szczególnej roli. Omawiało się główne założenia obiektu, przedstawiało plany i otrzymywało się zamówienie. No i robota szła. Ale tym razem było inaczej.

Pod jakim względem? Gdyż tym razem nie miałem, jak zwykle, do czynienia z jakimś tam małym nadętym bonzą partyjnym, ale z pewnego rodzaju komisją. Składającą się z ośmiu ludzi w większości bardzo młodych. A ich wnikliwość i dociekliwość była taka, że pozostali mi w pamięci. Chcieli ode mnie po prostu dowiedzieć się wszystkiego.

Na przykład szczegółów dotyczących zaopatrzenia baraków w światło i wodę, łazienek i toalet, a szczególnie, pomieszczenia możliwie największej liczby ludzi w ciasnej przestrzeni. Żądali na przykład szkiców trzech prycz stojących jedna nad drugą, podwójnej szerokości. Mogę pana zapewnić, że te narady były bardzo pracowite. Ale z drugiej strony imponowali mi ci ludzie. Nigdy przedtem nie

spotkałem się z tak drobiazgową wnikliwością, ani nigdy potem.

Kapitan Scott: Otrzymał pan to zamówienie, prawda?

Rogalski: Musiałem przy tym walczyć z dość silną konkurencją. Ale potem mogliśmy już budować! Tyle, że im się ogromnie spieszyło. W dodatku mieliśmy ciągle na karku tych młodych ludzi, którzy nas pilnowali. Może dlatego udało się nam dotrzymać wszystkich terminów.

Kapitan Scott: Więc zbudował pan ten obóz! Ten w Lesie Bawarskim. I utrzymuje pan, że nic pan nie wiedział o jego prawdziwym przeznaczeniu?

Rogalski: Myśmy budowali tylko baraki, mister Scott. Jak mi powiedziano, miał tam być jakiś ośrodek szkoleniowy. Ale, szczerze mówiąc, miałem pewne wątpliwości.

Kapitan Scott: Miał pan wątpliwości? Dlaczego?

Rogalski: Przy ogromnej staranności planowania cała ta budowa wydawała mi się chybiona. Po pierwsze, już z samego założenia wzniesiona na znacznie za ciasnej przestrzeni; po drugie, to zupełne odludzie. Samo doprowadzenie prądu i wody kosztowało niemal tyle samo co cała budowa. Ale co to mnie mogło obchodzić? Zamówienie to zamówienie. Byle kasa się zgadzała. A kasa się zgadzała.

Notatka służbowa kapitana Scotta, stanowiąca komentarz do powyższego:

Tak właśnie wtedy było. Jakaś firma dostawała zamówienie na budowę baraków. Zamówienie to zamówienie, byle interes szedł. Wkrótce przybyły nowe firmy, jedna doprowadzała linie elektryczne, inna zakładała rurociągi, jeszcze inna montowała sprzęty. Następne przedsiębiorstwa budowały drogi, instalowały łaźnie i latryny, jeszcze inne wznosiły piece. Piece wszelkich możliwych wielkości. Być może do wypieku chleba, a może do spalania wielkich ilości odpadów. Co to w gruncie rzeczy mogło obchodzić przedsiębiorcę?

To, co powstało wtedy w Lesie Bawarskim, było swego rodzaju podstawowym wzorcem tego, co później zasłynęło jako obozy zagłady. Było to tylko pierwszą próbką tego, co później, tysiącrotnie większe, stało się Oświęcimiem czy Treblinką.

Po wspańskiej staroniemieckiej kolacji, jedzeniu, którym od dawien dawna zjadali się myśliwi i żołnierze, Waldemar Wesel zebrał swoich ludzi w holu willi. Niezwłocznie przystąpił do rzeczy:

— Okres naszych przygotowań już się zakończył. Przystępujemy do wykonania. Zaczyna się akcja O. A więc, koledzy, na posterunki! Po waszej dotychczasowej wspólnej pracy uznałem za wskazane zróżnicować przydzielone każdemu z was zadania. Rozumiem przez to podział na rozmaite zakresy odpowiedzialności, pod moim kierownictwem oczywiście. Następujący podział zadań wymieniam w dowolnej kolejności i zaznaczam, że nie ma wśród nich ważniejszych i mniej ważnych:

Zakres zadań Siegfrieda: Pierwsza natychmiastowa klasyfikacja sprowadzonych do nas ludzi. Trzeba ich rozdzielić na element przydatny i nieprzydatny. Czynność, którą można by nazwać selekcją.

Zakres zadań Hageny: Natychmiastowe wyłączenie elementu nieprzydatnego. Następnie organizacja zatrudnienia pozostałych, przy tym dalsze załatwienie tych, którzy okażą się niezdolni lub niechętni do pracy.

Zakres zadań Nordena: Zapewnienie realizacji naszego wielkiego planu. Utrzymywanie łączności z jednostkami dostawczymi oraz nadzorem. Do tego odpowiedzialność za zachowanie tajemnicy oraz za ochronę obozu.

Zakres zadań Hermanna: Całkowita likwidacja wyselekcjonowanych, nadto wypróbowanie odpowiednich metod. To przy pomocy wybranego personelu z SS.

Zakres zadań Bernera i Bergmanna: Administracja i zaopatrzenie, nadzór służb wartowniczych i porządkowych.

Podlegacie bezpośrednio komendanturze, czyli będziecie współpracowali ze mną.

No to tyle, panowie. Spodziewam się, że wszystko jasne. Zastanówcie się nad tym, i to konstruktywnie, jeśli mogą prosić. Jestem zawsze gotów do wysłuchania waszych propozycji.

— Ile mamy na to wszystko czasu? — zapytał Norden.

— Trzy miesiące intensywnych przygotowań do stworzenia modelu akcji O powinno wam wystarczyć.

— Az liczbami jakiego rzędu — zainteresował się Hagen — mielibyśmy do czynienia w końcowej fazie?

— Setka tygodniowo — powiedział Wesel. — Piękna, okrągła liczba. Musicie przy wszystkich waszych kalkulacjach mieć na względzie ten właśnie zamierzony rezultat.

Hermann podsunął pod rozwagę pewne zagadnienie:

— Pracowałem kiedyś w krematorium. Można było spalić dziennie jeden do dwóch tuzinów. Ale setka na tydzień? Raczej wątpię.

Wesel na to: — Jest to pewien problem, jeden z wielu. Każdy jednak trzeba przemyśleć, jak go rozwiązać. Przed żadnym nie wolno nam skapitulować. A potem, koledzy, wypuścimy taką racę, że sam Führer się zadziwi!

Fragmety listu hrabianki Elisabeth do Heinza-Hermajma Nordena, znalezione w jego papierach w Lugano:

„...chciałabym Pana zapewnić, mój drogi przyjacielu, że ciągle myślę o Panu i z głębokim zrozumieniem i szacunkiem odnoszę się do pańskich szczególnych i doniosłych zadań.

Głęboko ubolewam, że tak rzadko możemy się spotykać w pięknej, harmonijnej i przychylnej nam atmosferze. Moje najlepsze i bardzo serdeczne myśli i życzenia są zawsze, każdej chwili z Panem.

A kiedy pewnego dnia wypełni się wszystko, co Opatrzność na Pana nałożyła...”

Waldemar Wesel zostawił swoim ludziom dostatecznie dużo czasu, by mogli starannie rozplanować wykonanie jego dyrektyw. Rozpoczęli intensywne badania, ustalali programy rozwojowe, dochodzili do bardziej lub mniej przydatnych wniosków. Willa w Feldafing zmieniła się w biuro planowania.

W bibliotece ustawiono czarne tablice, które przysłoniły większość regałów. Szkicowano na nich plany obozu w całości albo fragmentach, w powiększeniu i szczegółach. Prócz tego sporządzano listy zapotrzebowania na materiały, ludzi i finanse.

W pierwszych dniach i tygodniach Waldemar Wesel tylko się przyglądał tej pracy — i to nie bez satysfakcji. Ziarno zostało posiane, teraz mógł wkrótce oczekiwać żniwa. Ta sytuacja nie przeszkadzała mu jednak zajmować się w tym czasie i innymi akcjami.

Pewnego dnia, wyraźnie przygnębiony, oznajmił:

— Koledzy, wydarzył się pewien błąd, który jeszcze nie został naprawiony.

— O co chodzi tym razem? — zapytał Siegfried. Odkąd musiał zabić swojego psa, cały świat wydawał mu się pełen psów, których przeznaczeniem jest śmierć.

— Nie chodzi tu o nasz model akcji O — wyjaśnił z ubolewaniem w głosie Wesel — ale o akcję Lebensborn.

— To już na pewno nie nasza wina — roześmiał się Hermann.
— Tam funkcjonowaliśmy, jak należy!

Gruppenführer z uwagą spojrzął na swego młodego kolegę. Potem powiedział:

— W to nie wątpię. Gdzie my się pojawiajemy, tam wszystko musi się udać w stu procentach. Okazało się, niestety, że jedna z tych pań nie jest czystą aryjką. I to w pięćdziesięciu procentach. Co oznacza, że jedno ze spłodzonych przez was dzieci ma w żyłach żydowską krew.

— Trzeba zgładzić tę zarazę! — krzyknął wściekły Ha-gen.

— Całkowitą winę za to — zauważył rzeczowo Norden — ponosi kierownik Instytutu Lebensborn. Powinien być niezwłocznie pociągnięty do odpowiedzialności.

— To się już stało — oświadczył Wesel — to było oczywiste. Pracuje teraz jako lekarz okręgowy w Friesoythe. Ale to dla nas nie rozwiązuje problemu. Zwłaszcza dla ciebie, Hermann.

W tym momencie wszystkie oczy z najwyższym zainteresowaniem zwróciły się na niego, w oczekiwaniu, jakie to zrobiło wrażenie na człowieku, którego dotąd nic nie mogło poruszyć. Jednak — żadnego wrażenia.

Hermann rozparł się leniwie na krześle i zapytał:

— Czy chodzi tu o moją partnerkę w Lebensborn?

— Niestety, właśnie tak.

— A na czym — zapytał spokojnie Hermann — polega problem? Wystarczy dać mi adres i zrobić z tym porządek. — Z przyjemnością dostrzegł pełen uznania wzrok swoich towarzyszy.

Wesel wręczył mu adres.

— A więc ta osoba mieszka w Norymberdze — stwierdził Hermann rzuciwszy okiem na kartkę. — Można to bez trudu załatwić w dwa dni. Taki mały trening, co?

— Daję ci trzy dni urlopu — zdecydował Wesel. — Ale nie muszę ci chyba przypominać, że ma się to odbyć bez żadnej zbędnej sensacji.

— To się rozumie samo przez się, Gruppenführer!

Już po dwóch dniach, tuż przed obiadem, Hermann pojawił się z powrotem w willi. Szczercząc zęby w uśmiechu pokazał najświeższą poranną gazetę norymberską. W rubryce wiadomości lokalnych można było przeczytać:

„Tragiczny wypadek. W czasie służbowego pobytu w Berlinie Gauamtsleiters Heinerja Starkego, jego żona Edeltraut wraz z niedawno urodzonym synkiem Guntherem ulegli w mieszkaniu przy Dirckheimerstrasse śmiertelnemu zatruciu gazem. Pomoc przyszła za późno.

Wezwany lekarz mógł jedynie stwierdzić zgon matki i dziecka. Została powołana specjalna komisja w miejskim zakładzie gazowniczym do zbadania przyczyn tego wypadku. W wyniku dochodzenia stwierdzono, że ów godny ubolewania wypadek wydarzył się na skutek nieszczelności instalacji.”

— Dobra robota, Hermann! — skomentował uradowany

Wesel. — Szybko i radykalnie! Tak musi być ze wszystkim, co mamy jeszcze do załatwienia.

—

Późniejsze zeznania Brigadeführera Clausena z Komendy Głównej SS, złożone przed kapitanem Scottem:

Proszę pana, przecież już od pewnego czasu skończyliśmy z tymi zryczaltowanymi przesadami! To po prostu nonsens podejrzewać całą formację SS, skoro tylko niektórzy spośród nas mogli być uwikłani w jakieś mniej lub bardziej drastyczne przedsięwzięcia! Niektórzy — około stu tysięcy! Łatwo się zapomina, jak wielką, dającą się udokumentować liczebność przedstawiała SS. Już w samych jej początkach, w 1933 roku za Himmlera miała co najmniej trzydzieści tysięcy członków, a kilka lat później dziesięciokrotnie więcej. Do tego doszły jeszcze oddziały wojskowe SS. To, że mogły się wśród takiej masy znaleźć czarne owce — no dobrze, ale gdzież ich nie ma? Nawet w Kościele.

Celem naszym było stworzenie pewnej elity wojskowej — jak od wieków to robią wszystkie narody obdarzone świadomością państwową. Pozwolę sobie przypomnieć, kapitanie, waszą amerykańską armię, waszą piechotę morską; w porównaniu z nimi...

Scott: Niech pan zostawi te porównania! Nie widzę żadnego związku między specjalnymi jednostkami wojskowymi a zorganizowanym masowym mordem.

Clausen: Którym nas, SS jako całości, w żadnym wypadku nie wolno obciążać. Przywiążuję wagę do tego stwierdzenia, w imię obrony honoru moich licznych towarzyszy broni, chociażby poległych w walce z bolszewizmem.

Scott: Czy poza tym nie ma mi pan nic do powiedzenia?

Clausen: Możliwe, że pewna znikomo mała mniejszość z szeregów SS wdała się w jakieś nie do końca przemyślane poczynania. Mogło się to wydarzyć w jednostkach innych narodowości, w oddziałach litewskich, łotewskich czy

białoruskich. Ja byłem wtedy zatrudniony w Komendzie Głównej, przydzielony do oddziałów wojskowych SS, i nic o tych sprawach nie wiedziałem. Słowo honoru.

Scott: Ale kim był Waldemar Wesel, to pan wie?

Clausen: Naturalnie, kapitanie! Znam go, nigdy się tego nie wypierałem. Znałem go zresztą tylko przelotnie, ale wiem o kogo chodzi. Nie miałem z nim nigdy żadnych bezpośrednich kontaktów służbowych. Nie zależało mi zresztą na tym, jeżeli to pana interesuje. Według mnie to taki filozofujący mądrała, literacina w mundurze. Także Himmler go nie lubił. Ale na tym panu, Wielkie Nieporozumienie, jak go cichcem nazywaliśmy, położył łapą osobiście sam Hitler. A także Heydrich, który nam wszystkim wydawał się wtedy podejrzany. I właśnie on kombinował coś z Weselem.

Scott: Rozumiem. A więc Hitler, tylko on, jak zawsze. Ludzie tacy jak pan absolutnie niczego nie podejrzewali, co? A więc jesteście całkowicie niewinni? W porównaniu z wami taki Piłat umył sobie ręce w prawdziwej gnojówce!

Tymczasem w willi w Feldafig przygotowania do akcji O dobiegały końca. Potem odbyło się szereg narad, w których teraz już uczestniczył regularnie Müller. Rzucił zawsze serie krótkich, zmuszających do myślenia krzyżowych pytań:

— Co zrobicie, jeżeli któremuś z więźniów odbije i zacznie histerycznie wrzeszczeć?

Odpowiedź: Te kreatury mogą wyc jak zwierzęta w rzeźni. Nikt ich nie usłyszy. Obóz jest całkowicie odcięty od świata.

Pytanie: Taki histeryczny krzyk może się udzielić innym i spowodować panikę. Co wtedy?

Odpowiedź: Tak jak zaplanowano, wszelkie takie poczynania zdławimy w zarodku.

Pytanie: Jak? Czym? Czy na przykład przez próbę odizolowania takich osób?

Odpowiedź: Natychmiast na miejscu je załatwiając, na oczach wszystkich. To im najprędzej zamknie mordy.

Tego rodzaju gry w pytania i odpowiedzi trwały godzinami. Müller umiał w ten sposób doprowadzić do sytuacji, kiedy już nie pozostawia wątpliwości, wszystko jest zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

Wyglądało na to, że Müllerowi sprawia dużą satysfakcję sprawność logiczną młodych ludzi, osiągnięta nie bez jego udziału. Także Wesel czuł się wyraźnie dumny ze zdolności do właściwego reagowania całej grupy. Ten stan jego ducha trwał jeszcze, gdy w Feldafig pojawił się pewien mężczyzna, który wtargnął tam niczym czółg.

Waldemar Wesel przywitał go serdecznie partyjnym wyrzutem ramienia i przedstawił swoim ludziom:

— StandartenFührer Rauffer z Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, wyznaczony przez Obergruppenfthirera Heydricha do zadań specjalnych. Kolega Rauffer odpowiada za sprawy zewnętrzne naszego przedsięwzięcia, by tak rzec, za służby dostawcze.

StandartenFührer Walter Rauffer był wprawdzie mężczyzną tylko średniego wzrostu, ale mocnej budowy, z czerwoną, mięsistą twarzą, oczami jak szparki i ruchami zapaśnika. Tylko głos jego brzmiał zaskakująco cienko.

Najpierw w milczeniu mierzył wzrokiem obecnych, co trwało dobrą chwilę. Był wyraźnie zadowolony.

Następnie, stojąc ze ściśniętymi kolanami, z pięściami wspartymi na biodrach, jakby pozował do pomnika, przemówił głosem, który zaszeleścił niby delikatny wiaterek:

— Otrzymałem w związku z waszym przedsięwzięciem trzy zadania. Po pierwsze, aby zacząć od najprostszego: zorganizowanie dla tego powstającego obozu, a raczej dla jego mieszkańców, służb wartowniczych. Bez większych trudności znaleźliśmy do tego ludzi. Są gotowi i tylko czekają. Po drugie: wyszukanie zaufanego personelu wykonawczego. Ten jest już w dużej części zgromadzony i za jakieś dwa tygodnie będzie do dyspozycji. Po trzecie: zorganizowanie oddziałów zajmujących się dostarczaniem więźniów. Są to ludzie absolutnie nieustraszeni, zbadani dokładnie przeze mnie osobiście, którzy w odpowiednim momencie

natychmiast wkroczą do akcji. Według planu, dostawy będą co dziesięć dni, do dziennego załatwienia około stu osobników, w żadnym przypadku nie mniej, być może nawet nieco więcej.

— No świetnie, kolego Rauffer — ze szczerym uznaniem skwitował te słowa Wesel.

— Na jednym, Gruppenführer, szczególnie mi zależy. Na tym mianowicie, aby zaangażowani przeze mnie ludzie znaleźli możliwie dobre warunki zakwaterowania, pierwszorzędne wyżywienie i znakomite traktowanie. Czy dostatecznie o to zadbano?

Wesel jedynie skinął głową. Spojrzał na Bernera i Berg-manna, na których ciążyła odpowiedzialność za te sprawy. Obaj podeszli do tablicy z planem obozu.

Berner: Niech mi wolno będzie najpierw objaśnić podstawowe założenie naszego obozu. Na pierwszy rzut oka ten szkic przypomina wszystkie dotąd istniejące obozy koncentracyjne. Znajdują się tu jednak pewne rzeczy szczególne.

— Rzeczy szczególne są zawsze dobre — zauważył we soło StandartenFührer. — O co tym razem chodzi?

Berner, kontynuując: Zwykle między zabudowaniami administracyjnymi a barakami więźniów znajduje się swego rodzaju plac apelowy. Tak jest i tutaj. Jest on jednak szczególnie wielki i wyposażony w dodatkowe zabudowania. To, co na pierwszy rzut oka wygląda na halę gimnastyczną, jest w rzeczywistości dźwiękoszczelną strzelnicą. A ten budynek fabryczny zaraz za nią mógłby być wielkim piecem z bitą drogą dojazdową. I w rzeczywistości jest czymś w tym rodzaju.

— Aha, rozumiem — potwierdził z uznaniem Standarten Führer Rauffer. — Moi ludzie będą tu bardzo chętnie pracowali pod waszym kierownictwem. Oni nie złęką się ni czego! Ale właśnie dlatego należy im zapewnić sprzyjające warunki wypoczynku. Bardzo na to nalegam. Co przewzi dzieliście w tym zakresie?

Sprawa ta należała do obowiązków Bergmanna.

— Nasi ludzie mają do dyspozycji świetnie zaopatrzoną kantinę, dodatkowo wyposażoną w bar, salę bilardową,

czytelnię z najświeższą prasą codzienną i periodykami, pomieszczenie do słuchania radia i muzyki z płyt, stoły do różnych gier, od „człowieku, nie irtuj się”, poprzez warcaby, halmę po szachy. Ponadto biblioteka zaopatrzona jest w ważniejsze dzieła światopoglądowe oraz we współczesną literaturę rozrywkową. A tuż obok sala do wyświetlania filmów.

— Dobry Boże! — zapiszczał swoim cienkim głosikiem Rauffer. — Czy ty sobie wyobrażasz, że to ma wystarczyć? Dla moich chłopaków, którzy, by tak rzec, będą patrzyli śmierci w oczy? Setce dziennie!

Bergmann spokojnie wysłuchał zgłoszonych pretensji. Skinął na Bernera, który mówił dalej:

— Proszę zwrócić uwagę na pozycję B7. Jest tu pewne pomieszczenie, które będzie pozostawało pod nadzorem naszego kolegi Hermanna, a które my nazywamy żartobliwie Domem Schadzek. Już od pierwszego dnia sprowadzi się tu kobiety, tak od piętnastu do dwudziestu paru lat, oczywiście same ładne. Będą one, jak to się mówi, na okrągło do dyspozycji naszych panów. Rozumie się, w oddzielnych pokojach.

— To już brzmi znacznie lepiej! — stwierdził Rauffer wręcz zachwycony. — To właśnie jest to, o co mi chodziło! To właśnie lubię! Ale jedno jeszcze nie jest dla mnie całkiem jasne: jak zareagują te żydowskie świnię na nasze radykalne metody?

— Już od dłuższego czasu — wyjaśnił poważnie Wesel — zbieramy materiały na ten temat. — Tu rzucił zamyślane spojrzenie na Nordena. — Rozporządzamy pewnym eks pertem najwyższej rangi. Ale ten nie z każdym chce rozmawiać. A w każdym razie nie dostatecznie otwarcie. Ma do niego dostęp tylko jeden. Prawda, Norden?

— Możliwe, Gruppenführer — potwierdził Norden. — Wobec tego, jeśli dostanę takie polecenie, będę rozpracowywał tego Breslauera.

— Byłbym z tego rad — powiedział krótko Wesel. Ozna czało to rozkaz. Rozkaz, który miał przynieść złe następstwa.

Ale zanim do nich doszło, odbyła się nie zaplanowana wcześniej wyprawa na pewną imprezę kulturalną. Był to popołudniowy koncert kameralny na zamku nymphenburskim. W programie Haydn, potem Mozart, a potem znów Haydn, „perelki muzyczne”, jak głosił afisz.

Ale najważniejsza w tym wszystkim była obecność na koncercie hrabiego von Tannen oraz jego córki Elisabeth, która wyglądała wprost zachwycająco.

Hrabią już od samego początku zajął się jego przyjaciel Waldemar, hrabianka mogła więc zasiąść między Norde-nem a Hagenem. Bezpośrednio za nimi ulokował się Raffael, który otrzymał polecenia, by nadstawał ucha na rozmowy trójki. Co też robił bez żadnego skrępowania.

Niebo nad Monachium lśniło zupełnie południowym błękitem, od Alp jednak ciągnął wiatr powodujący duszności, odbierający ludziom siły, aż popadali w kompletną apatię.

Hrabia także poczuł się zmęczony. Muzyka klasyczna za*-wsze go usypiała, ale marsze i dźwięk rogu myśliwskiego dodawały mu życia. Waldemar Wesel spoglądał na niego nie bez współczucia.

Siegfried wsłuchiwał się w dźwięki orkiestry z zachwytem. Haydn wydał mu się niezwykle bliski natury, a więc tym samym był chyba także miłośnikiem zwierząt. Hermann natomiast patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Muzyka była dla niego tylko czymś w rodzaju duchowego smaru dla notorycznych nierobów. Berner i Bergmann gładzili się od czasu do czasu po ramionach.

Norden i Hagen zerkali na siebie ukradkiem kątem oka. Mieli powody, by wzajemnie sobie nie dowierzać. Elisabeth odchyliła się lekko do tyłu, swobodna, szczęśliwa, zachwycona. Siedzący za nimi Raffael zaniepokoił się: wypełnienie zadania przy niepełnym polu obserwacji było niemal niemożliwe.

Muzyka kameralna jest ponadczasowa. Pozostaje taka sama, czy panuje król, czy władzę sprawuje obieralny prezydent, czy rządzi Führer. Takie same są w każdym razie fraki na podium, zmienia się jednak publiczność. Tu na sali przeważały mundury: partyjne, SS, SA, Służby Pracy, Hitlerjugend, Związku Dziewcząt Niemieckich, Wehrmachtu.

Koncert się zakończył burzliwą owacją. Jak się pisało w recenzjach, „oklaskom nie było końca”. Klaskano z uniesieniem, czego nie najmniej ważną przyczyną było, że to już koniec. Potem publiczność udała się do parku zamkowego, starannie utrzymanego, jakby ufryzowanego dzieła sztuki ogrodniczej. Przechadzano się w małych grupkach po wygrabionych ścieżkach. Wesel razem z hrabią, dalej Elisabeth pomiędzy Hagenem a Nordenem, za nimi zaś postępował Raffael.

Waldemar Wesel skierował hrabiego, odrywając się od towarzystwa, w odległy zakątek parku. Zostali tu sami ze sobą i mogli już rozmawiać całkiem otwarcie. Uśmiechali się przy tym do siebie z przyjaźnią i zaufaniem.

Hrabia: Na ostatnim spotkaniu z korpusem oficerskim naszego pułku wypowiedziałem się na temat, który mi leżał na sercu. Powiedziałem krótko i węzłowato, że z kaprała żaden wódz naczelny! Można było zrozumieć, że odnosi się to do Hitlera. Jak sądzisz?

Wesel: Już od dawna wiem o tej twojej wypowiedzi, mój drogi. I myślę, że to naprawdę była lekkomyślność. Zarejestrowało ją nie tylko Gestapo, ale podchwyciło twoje słowa także dwóch korespondentów zagranicznych i mniej lub więcej dokładnie zacytowało w „Daily Telegraph” i w „New York Timesie”. Gdybym ja nie był wziął tego w swoje ręce, od dawna byś już siedział w obozie koncentracyjnym.

Hrabia: Dzięki ci, Waldemarze! Jak wiesz, jestem prostolinijnym człowiekiem, który mówi to, co myśli. A ostatecznie, mój drogi, ty sam to we mnie cenisz i nieraz mnie do tego zachęcałeś.

— Tak jest, przyjacielu! Mogę się w dodatku przyznać, że to ja kazałem o tym poinformować obu korespondentów, amerykańskiego i brytyjskiego. Mieli ogłosić światu czarno na białym, że jesteś zdeklarowanym przeciwnikiem narodowego socjalizmu.

Hrabia, szczerze przerażony: Na miłość boską, co teraz ze mną będzie?

Wesel: Ciężko zachorujesz. Twój stan zdrowia budzi poważne obawy. Potrzebny ci jest długi pobyt w sanatorium,

najlepiej w Szwajcarii. Nie sprawi ci to większych kłopotów materialnych, masz przecież wcale pokaźne konto w Bazylei, nie mówiąc już o twoich dwóch domach w Interlaken i w Locarno.

Hrabia: Do czego ty zmierzasz, Waldemarze?

Wesel: To jasne, Konstantynie. Wyemigrujesz do Szwajcarii. Możesz zresztą wiarygodnie utrzymywać, że jako prześladowany politycznie nie miałeś innego wyboru. Sam zadbam o to, aby jeszcze pogłębić to wrażenie. A w pięknej Szwajcarii zostaniesz moim osobistym łącznikiem. Najpierw założysz jakąś firmę, chyba najlepiej w Zurychu. Powiedzmy, biuro oceny patentów międzynarodowych, z kapitałem zakładowym jednego miliona dolarów, który ci dam do dyspozycji i z którego wspólnie będziemy ciągnęli zyski.

Hrabia: Na Boga! Ależ ty mnie kusisz! Do czego ty mnie zachęcasz?

Wesel: Do nader przyjemnego życia, z pożytkiem dla ciebie i dla mnie. Jeszcze tego nie zrozumiałeś?

Hrabia: I nic się za tym nie kryje? Czy nie mam być tajnym niemieckim agentem w neutralnym kraju?

Wesel: W żadnym przypadku! Będziesz powiązany, jak powiedziałem, tylko ze mną. Tylko my dwaj będziemy wiedzieli o tej sprawie.

Hrabia: Rozumiem. A co ja tam będę mógł robić?

Wesel: Popelniać wszelkie możliwe ekstrawagancje! Nawet takie, które mogą uchodzić za wyraźnie skierowane przeciw Niemcom. Możesz finansować organizacje przeciwfaszystowskie, opiekować się emigrantami, możesz nawet założyć pismo literackie. Wspierać biednych, bezradnych poetów. Bez trudu znajdziesz dziesiątki takich.

Hrabia: Gdybym tylko, Waldemarze, mógł być najgłębiej przekonany, że jesteśmy zaprzysięzonymi wspólnikami... Ale dobrze! Zgadza się. Twoja propozycja wydaje mi się niezmiernie nęcąca. Pozostaje do omówienia tylko jedno.

Wesel: Wiem, o czym myślisz. Chętnie byś zarobił, ale możliwie bez ryzyka. Rozumiem. I chętnie ci pomogę w zabezpieczeniu twoich tutejszych dóbr przez dokonanie uprzednich zapisów na rzecz rodziny. Wszystkie ewentualne przeszkody da się usunąć. Stawiam przy tym jeden wa-

runek: pohamuj swoją córkę, i to jak najszybciej! Zanim zdąży narobić takich szkód, których już nie da się naprawić.

Hrabianka Elisabeth przechadzała się tymczasem z Nor-denem i Hagenem po alejkach parkowych. Raffael nie spuszczał ich z oczu. Rozmawiano sobie o wspaniałej muzyce, wyrosłej z narodowych tradycji jej twórców, z których jeden był wprawdzie Austriakiem, ale jednak jako taki należał do wielkiej niemieckiej rodziny, mówiło się też o tym, jak piękny jest ten monachijski letni wieczór spędzony wśród podobnie odczuwających ludzi.

Nagle jednak Norden zatrzymał się i zapytał:

— Dlaczego pani pozwala, Elisabeth, aby Hagen trzymał rękę na pani ramieniu? Co to znaczy?

— Nie złość się! — krzyknął butnie Hagen. — To czysty przypadek. Elisabeth potknęła się o jakiś kamyk i chciałem ją podtrzymać.

— A pani, Elisabeth — zapytał Norden z rosnącym rozdrażnieniem — to toleruje? I to już od dłuższej chwili!

Hrabianka spojrzała z wyrzutem najpierw na jednego, potem na drugiego. Powiedziała łagodnie, ale zdecydowanie:

— Muszę panów prosić, drodzy panowie, o więcej szacunku dla mnie. I pozwólcie, że wam powiem: lubię i cenię was obu jednakowo. Do obu czuję sympatię, a nawet, szczerze mówiąc, może nieco więcej.

— A nie może się pani zdecydować na którego z nas?

— Jeszcze nie mogę — oznajmiła spokojnie. — Muszę dać im czekać, aż się upewnię, który z was zajmuje u mnie pierwsze miejsce.

Znaczne urywki tej rozmowy dobiegły uszu Raffaella. Opowiedział o niej Weselowi ze wszystkimi szczegółami.

— Wiesz, na co się zanosi między tymi chłopakami? — odcenił zatroskany. — Na pojedynek na ostrą broń!

Wesel był tego samego zdania.

— To tylko sprawa czasu i odpowiednich okoliczności. Musimy ich rozdzielić.

— Ale jak?

— To żaden problem. Hagen natychmiast przydzielimy StandartenFührerowi Raufferowi, a ten już go odpowiednio

zatrudni. Norden zaś będzie musiał się zająć znacznie gorliwiej niż dotąd naszym modelowym Żydem. Wchodzimy w końcowy etap i na tym musimy się skoncentrować.

— Nienawidzę tego Hagen! — wyznał Raffael w wybuchu szczerości. — To szakal! Stale gotów do babrania się w trupach!

— A więc jest nam przydatny — zauważył pobłaźliwie Wesel.

— Ale ten Norden jest jeszcze gorszy. Tego wprost nie znoszę. Czy wiesz, kogo mi on przypomina?

— Choćbym nawet nie chciał wiedzieć i tak mi powiesz.

— Chrystusika frasobliwego!

— Mój Boże! Raffael, co ci przyszło do głowy? Tó przecież całkiem bezsensowne porównanie!

— A mało to bezsensów w dzisiejszych czasach? A jednak stają się faktem!

Zarządzone przez Wesela spotkanie Nordena z „tym modelowym Żydem” Breslauerem odbyło się już następnego dnia. Norden starannie się do niego przygotował. Wiedza Breslauera opierała się przecież na doświadczeniach zbieranych przez całe życie.

Profesor przyjął Nordena w swoim pokoju zavalonym książkami. Tkwił wśród ich stosów niezwykle ożywiony. Niemal wesoło powitał swego gościa:

— Znów będzie pan próbował, by tak rzec, powyciągać mi z nosa wszystkie żydowskie robaki. Ale chyba się pan nie spodziewa, że powiem panu właśnie to, co pan chce usłyszeć?

— Pan mnie albo przecenia, albo niedocenia, panie Breslauer — powiedział Norden, siadając obok niego. — Chciałbym tym razem tylko postawić panu kilka pytań. Odpowie pan?

— Dlaczego nie? — Breslauer zasiadł głębiej w swoim fotelu. — Jeżeli potrafi pan wysłuchać nawet niegodnych dla pana odpowiedzi, których panu udzielię. A więc?

Norden jakby się przez chwilę ociągał, a następnie powoli, z namysłem sformułował pytanie:

— Czy potrafi pan sobie wyobrazić siebie, siebie osobiście, wobec śmierci? Wobec własnej śmierci? Jak by się pan w takiej sytuacji zachował?

Breslauer, jakby oślepiiony, zamknął swoje wielkie, błyszczące oczy. Pewnie po to, by nie musieć patrzeć na Nor-dena. Potem ledwie słyszalnym głosem powiedział:

— Przecież tak właśnie jest w rzeczywistości. Müller mi to zakomunikował, ale mu nie uwierzyłem. Kto by mógł w to uwierzyć?

Norden puścił mimo uszu nazwisko Müllera w tym kontekście.

— A więc obawia się pan śmierci? Boi się pan? Czy poszedłby pan na wszelkie ustępstwa, aby ratować własne życie? Czy tak?

— Śmierć — powiedział spokojnie Breslauer — jest nieuniknionym etapem życia. Tylko, jak się wydaje, szczególnie upodobała sobie Żydów. Mój ojciec był dentystą w Hanowerze. Napadnięto go w czasie wieczornego spaceru i zabito. Wkrótce potem umarła moja matka. Chyba jej serce tego nie wytrzymało. Moja siostra Ruth wyszła za mąż za pewnego sierżanta we Frankfurcie. Utonęła. Podobno było to samobójstwo. Mój brat Samuel, handlowiec, został potrącony przez samochód, którym jechała jakaś grupa narodowej obrony jadąca na nocne ćwiczenia. Urzędowo stwierdzono nieszczęśliwy wypadek. Mnie jednak było dane studiować. Pomógł mi w tym mój wuj Benjamin, handlarz byłem w Prusach Wschodnich. Ten także zginął w jakiejś bitwie z chłopami.

— I to wszystko — dopytywał się z naciskiem Norden — przyjmował pan jako rzecz zupełnie oczywistą. Taki los i nie da się go uniknąć. Czy tak?

— I właśnie na tej podstawie snujecie wasze rozważania, pan i panu podobni! — Breslauer podniósł wzrok na Nor-dena i przyglądał mu się przez chwilę. — Więc naprawdę będziecie próbowali nas wytepić?

— Czy obawia się pan więc biernej gotowości na śmierć pańskiego narodu, Żydów? Jego bezczynnej uległości,

w której się już wyćwiczył od setek lat? Pozwolicie się masowo wymordować jak bydło w jatce?

— Na drodze naszego ludu leżą setki tysięcy zabitych i zamordowanych. Na wschodzie, w Rosji, w Hiszpanii, w Polsce, na Bałkanach, na całym świecie. Wciąż próbowało się nas wytepić jak robactwo. A teraz także i tutaj!

— I może to być wasze, to znaczy waszego narodu, ostatnie miejsce postoj, panie Breslauer! Jesteście przecież teraz w Niemczech. Nie należy nie doceniać naszej dokładności. Czy zamierzacie się jednak może bronić?

— Przemoc jest nam obca. Ale obawiam się, że tak zawsze nie będzie. Nawet i dla nas może nadejść chwila, kiedy nie zechcemy już pokornie, jak bydło na rzeź, poddawać się naszym prześladowcom.

— I jest pan do tego gotów? Pan osobiście?

— Tak.

Norden roześmiał się krótko niewesołym śmiechem.

— Dobrze panu mówić! Jest pan tu w stosunkowo bezpiecznym położeniu. W znacznej mierze dzięki Müllerowi, do którego z pewnością ma pan zaufanie. Dlaczego więc próbuje mi pan wmówić, że w pewnych okolicznościach nawet pan może być gotów zaryzykować życie dla owego żydos-twa, w które pan sam w gruncie rzeczy nie wierzy?

— Możliwe, panie Norden, że chwila, w której się pan o tym dowie, jest już bliska. Czekam na nią tak samo, jak jej się obawiam.

Norden wyciągnął swój rewolwer, ową broń specjalną kalibru 10,5. Nie patrząc na Breslauera, położył go najpierw przed sobą, a potem popchnął lekko w kierunku profesora.

— Naładowany i odbezpieczony — powiedział zaprasza jąco. — Może pan tylko wziąć tę broń do ręki, skierować na mnie i nacisnąć spust. Z tak bliskiej odległości nawet pan nie może chybić.

Profesor Breslauer roześmiał się smutno.

— Nigdy w życiu nie miałem broni w ręku. Czy zamierza pan do mnie strzelić, jak tylko wezmę ten rewolwer?

Norden aż się zachnął:

— Nie mam przy sobie żadnej innej broni! — I dodał ci cho: — Niech pan sobie jednak wyobrazi, że może się przy-

darzyć sytuacją, że jeden z nas będzie musiał zabić drugiego! Czy pan słyszy? Zabić drugiego! Co wtedy?

— Szuka pan śmierci?

— Nie boję się jej!

— Ja także się jej nie boję, panie Norden. Ale nigdy nie zabiję człowieka. Pana także. Pan wie dlaczego.

— Nie chcę tego wiedzieć! — krzyknął Norden, jakby się broniąc. — I jedno musi pan wreszcie uznać: pan jest moim wrogiem, a ja pańskim!

— Wobec tego musi nadejść taka chwila, zapewne już bardzo niedługo, kiedy jeden z nas będzie musiał zginąć z ręki drugiego. No dobrze, niech to będzie ja!

— Jest jeszcze trzecia możliwość — powiedział Norden, wskazując leżący obok Breslauera rewolwer.

— Czy pan sądzi, że powinienem się sam zabić? Zachęca pan do tego mnie, Żyda? Jak wy nas mało znacie!

Norden zerwał się gwałtownie i popatrzył na Breslauera. Potem się odwrócił i wyszedł z pokoju.

Pozostawił swój rewolwer. Profesor przyglądał mu się smutnymi oczyma.

W tym czasie Berner i Bergmann, na zarządzenie Wesela, przygotowali kilka imprez swoistego rodzaju. Hasłem dla owego interludium było zde-maskowanie pewnych homoseksualistów, elementów usiłujących podkopać zdrowe, dojrzałe uczucia narodu. Niedawno zjawiska takie wystąpiły nawet w zasięgu Kościoła katolickiego.

Było to zadanie jedynie uboczne, ale Berner i Bergmann oddawali mu się z całym zapalem. Kartoteki partyjne, gorliwi dozorczy, spostrzegawczy młodzieńcy z Hitlerjugend, zrzeszone w związku niemieckie dziewczęta dostarczyły pełną obfitość poszukiwanych adresów. W każdym razie już po dwóch tygodniach zajęć, którym poświęcali swój wolny czas, mogli przedstawić pierwszą listę „odstrzału”, zawierającą pięć adresów wraz z poprawnie pod wzglę-

dem prawnym sporządzonymi opisami odpowiednich zajść.

Obaj doświadczeni eksperci zaprosili swoich przyjaciół, chętnych do wzięcia udziału w oczyszczającej moralnie imprezie, na pijacki przyjacielski wieczór, z niezwykle ekscytującym numerem programu: odegraniem scenki „przy konfesjonale”.

— No i co? Wyście także się spowiadali?

— Ze wszystkiego, co dusza zapragnie.

— Na to Wesel zawyrokował:

— Pokażcie to nam! Zróbcie taki domowy teatr! Spełniono to natychmiast. Berner wziął na siebie rolę

księdza. Okrył się kolorową serwetą i usadowił się, otoczony przez kolegów, na fotelu. Stąd pełnym namaszczenia ruchem przywołał do siebie Bergmanna. Ten, udając wiernego, upadł przy nim na kolana, schylając głowę. Ciężko wzdychając czekał na pytania księdza.

Spowiednik Berner: Słucham cię, mój synu. Zwierz mi się. Jakie grzechy popełniłeś?

Grzesznik Bergmann: Liczne, mój ojczu. A wśród nich bardzo ciężkie. Zaczynam od grzechu nieczystości.

Spowiednik Berner: A więc i ciebie, mój synu, pociągnęły uroki kobiecości?

Grzesznik Bergmann: Nie, ojczu. To nie kobieta mnie uwiodła. To był mężczyzna, któremu nie potrafiłem się oprzeć. Miał ręce tak piękne jak ty, ojczu. I wciąż ciągnie mnie do mężczyzn. Jeśli to jest grzech, to właśnie tak grzeszę. Czy czeka mnie za to potępienie wieczne?

Spowiednik Berner: Tylko spokojnie, synu. Zaufaj mi. Mnie możesz powiedzieć wszystko. Opowiedz mi o tym w najdrobniejszych szczegółach. Im więcej będę wiedział, tym głębiej będę mógł cię zrozumieć. I ufaj w jedno: Nic, co męskie, nie jest obce Bogu i jego sługom.

I w tym stylu ciągnęło się to dalej z coraz bardziej drastycznymi szczegółami. Obecni bawili się znakomicie. Wciąż rozlegały się gromkie wybuchy męskiego, żołnierskiego śmiechu. Trwało to jeszcze, kiedy Berner i Bergmann już zakończyli swoje przedstawienie i opowiadali o zakończeniu tej sceny.

Bergmann: A więc, koledzy, cóż wam mogę więcej powiedzieć? Tak systematycznie podniecałem tego capa w konfesjonale, że wreszcie zaprosił mnie do zakrystii, by tam mógł mi udzielić pomocy.

Berner: Co mu się nie udało, bo tam już ja trzymałem wartę. I kiedy ten lubieżny sługa boży przygotowywał się do zdjęcia spodni, krzyknąłem tylko: „Ręce do góry, wasza przewielebność!” Po prostu strzelić w to, co tam sterczało! Wyjący nędznik! A za chwileczkę już mieliśmy piękne, kompletne zeznanie!

Kilka dni później oznajmił Wesel swoim ludziom w czasie obiadu:
— Dziś kazałem wam podać tylko po pół talerza zupy, esencjonalnego bulionu, a do tego po jednym jajku. Aby wam nie burczało w brzuchach. Nie zrobiłoby to dobrego wrażenia na Führerze.

— Spotkamy się z nim? — zapytał uszczęśliwiony Norden?

— On się z wami spotka — poprawił Wesel. — Dziś po południu. Dlatego taki cienki obiadek. Führer, jak go znam, znowu będzie was podejmował ciastkami. Oczywiście macie spałaszować wszystko. Sprawi mu to przyjemność. Jak każdemu gospodarzowi, kiedy się docenia jego gościnność.

Führer był w bardzo dobrym humorze, gdy witał w Brunatnym Domu Wesela i jego ludzi. Wyszedł do nich uśmiechnięty, patrzył im w oczy, pozdrowił każdego z osobna wzniesieniem ramienia. Jeszcze raz udało mu się wpoić w nich przekonanie, że ich zna, wie o nich wszystko, że nic przed nim nie da się ukryć. Oto ten, co zna bieg słońca po niebie, serca niemieckich ludzi, wie, jak rządzić światem!

Szerokim gestem zaprosił Hitler swoich gości do stołu, na którym istotnie piętrzyły się góry wszelakich ciast: babki piaskowe, ciastka drożdżowe, biszkopty.

— Częstujcie się, przyjaciele. Mam nadzieję, że mamy te go więcej!

Wammenberg, służący Hitlera, podawał herbatę. Ludzie Wesela, goście Führera, jedli i pili w skupieniu.

Hitler, uradowany, przyglądał im się przez chwilę. Potem skinął na Wesela, odprowadził go pod okno i powiedział szeptem:

— Jak słyszę, Heydrich bardzo pozytywnie ocenia wasz śmiały projekt. To coś znaczy, bo Heydrich umie myśleć realistycznie. On polega na swoich ludziach, Wesel!

— Bardzo słusznie, Führer! — zapewnił Wesel. Po czym szepnął Hitlerowi na ucho:

— Moi ludzie na pewno byliby bardzo szczęśliwi, gdyby usłyszeli z ust swojego Führera ostateczne słowa zachęty. Nie jest to konieczne, ale mogłoby to im jeszcze dodać ducha!

Hitler skinął głową i podszedł do stołu, przy którym siedzieli niemal przysłonięci górami ciastek młodzi ludzie. Jego ściśnięty gardłowy głos wypełnił salę. Powiedział:

— Przyjaciele, jedynym celem mojego życia była zawsze służba swojemu niemieckiemu narodowi i jego ludziom. Musiałem walczyć z tchórzliwym zakłamaniem przeszłości, z nieustannymi zniewagami podstępnych przeciwników. Z duszącym bagnem złośliwych potwarzy. Ale przede wszystkim zwalczałem siłę, która stoi za tym całym zakłamaniem i zgnilizną. Wiecie, o jakiej sile myślę. Myślę o żydostwie. I oto nadszedł czas, by się z tym żydostwem rozprawić. Jest to, przyjaciele, moją niezachwianą wolą! Te szczury ludzkości są zarazą Niemiec, więc trzeba je wreszcie wytepić! Czy jesteście na to gotowi?

Ludzie Wesela powstali i ustawili się przed Führerem. Byli gotowi, zdecydowani. Führer był z nich dumny. Wesel-także.

Adolf Hitler spojrział każdemu z nich po kolei w oczy. Potem ciepło oznajmił:

— Drodzy przyjaciele, proponuję wam przejście na ty!

Zapanowała cisza głębokiego wzruszenia. W oczach tych twardych mężczyzn stanęły łzy. Niektórym dech zaparło, przede wszystkim Nordenowi. Hagenowi również.

Hitler wyciągnął do nich obie ręce. Otoczyli go kołem, jak gdyby mieli mu złożyć przysięgę wiecznego z nim przymierza, aż po śmierć i poza śmierć. Ściskali jego wyciągnięte ręce.

Adolf Hitler, głęboko uradowany, tylko kiwał głową. Jego propozycja miała raczej tylko symboliczne znaczenie. Któż by się odważył zwracać do niego inaczej niż w trzeciej osobie? Braterskie „ty” rezerwował tylko jednostronnie dla siebie i wiedział, jak się nim posługiwać.

Na pożegnanie hrabianki Elisabeth — hrabia już wyjechał przed kilkoma dniami — pojawili się na monachijskim Dworcu Głównym Hagen i Norden. Ubrani po cywilnemu i, co się rozumie samo przez się, za wyraźną zgodą Wesela.

Gruppenführer przydzielił im do towarzystwa Raffaela, a jako dodatkową osłonę Sobottkego. Zalecił im przy tym: podsłuchiwać dokładnie wszystko, co się da, nie spuszczać ich z oczu, a potem przedstawić sprawozdanie.

W praktyce jednak okazało się to wcale nie takie łatwe. Pociąg do Zurychu przez Lindau był przepełniony, a szczególnie pierwsza klasa. Podróżni się tłoczyli, bagażowi biegali wzdłuż pociągu, kolejarze musieli się więc przepychać przez tłumy ludzi między rozstawionymi walizami, kuframi i torbami.

Norden i Hagen i tutaj wykazali się kunsztem strategicznym. Jeden z nich zajął dla hrabianki miejsce przy oknie, przy czym musiał odepchnąć dwóch pasażerów, którzy się chcieli dostać do tego przedziału. Drugi czuwał nad bagażem hrabianki Elisabeth. Nie było okazji do rozmowy.

W pewnym momencie hrabianka zerknęła na zegarek i powiedziała:

— Mam jeszcze kilka minut do odjazdu. Czy mogę pana prosić, panie Hagen, żeby mi się pan wystarał o jakieś

pisma. Może „Berliner Illustrierte” i „Münchner Illustrierte Zeitung”, może także „Koralle”. A pan, panie Norden, czy może mi pan pomóc w ułożeniu bagażu?

I tak Elisabeth i Norden znaleźli się w ciasnym korytarzu zupełnie blisko siebie.

— Być może — powiedziała — nieprędko się zobaczymy.

— Będę bardzo tęsknił za panią.

— I będzie mi pan wierny! Prawda, Heinz-Hermann?

— Na pewno!

— Niech mnie pan odwiedzi w Zurychu — zaprosiła go serdecznie hrabianka. — Przyjmę tam pana gorąco. I może już na zawsze. Będę bardzo, bardzo szczęśliwa.

— Dziękuję — szepnął w uniesieniu Norden.

— A teraz, Heinz-Hermann, może mnie pan na pożegnanie pocałować. W czoło.

Norden uczynił to, drząc ze szczęścia.

A potem poprosiła go, by przyniósł jej na drogę trochę owoców i wodę mineralną. Właśnie pokazał się Hagen z gazetami, które złożył na miejscu hrabianki. I on także miał okazję, by znaleźć się z nią na krótkie sam na sam w ciasnym przejściu.

— Czy ma pani coś do oclenia? — dopytywał się troskliwie. — Jakies niedozwolone dewizy? Czy paszport pani jest w porządku?

— U mnie, Dietmar, wszystko jest w porządku.

— Mam nadzieję, Elisabeth — uśmiechnął się do niej. — Ale gdyby pani miała jakieś kłopoty, to proszę tylko dać znać, a wszystko dla pani załatwimy. Zwłaszcza ja. A także gdyby szanowny pani ojciec miał ewentualnie jakieś komplikacje.

— A co pan na ten temat może wiedzieć?

— Chyba wszystko — powiedział Hagen. — Przypadkowo miałem okazję przejrzeć pewne papiery na biurku Wesela. Dotyczyły one wielkich rzeczy. Ściślej mówiąc, wielkich, nader obiecujących interesów.

Teraz ona się roześmiała.

— Ma pan coś przeciwko temu?

— Ale skądże, Elisabeth? Życzę pani wszystkiego najlepszego, a w szczególności tego, w czym sam mógłbym moż-

liwie bezpośrednio uczestniczyć. Nawet finansowo. Wkrótce będę miał w Szwajcarii wcale pokaźną sumkę do rozporządzenia. Jeżeli będziemy zręcznie postępować, Elisabeth, przyszłość należy do nas!

Hrabianka w zadumie wyglądała przez okno na peron. Wolno, jakby z ociąganiem powiedziała:

— Bardzo wiele pan ryzykuje, Dietmar. Czy to dla mnie?

— Tak — stwierdził Hagen i przysunął się do niej bliżej.

Zauważył, że się nie odsunęła. Nie odsunęła się także, kiedy po chwili władczo objął ją w pól. Nie ruszyła się, kiedy przesuwał swoją dłoń niżej mocnym, zdecydowanym ruchem.

— Jesteśmy dla siebie stworzeni, Elisabeth. Należymy do siebie. Wiesz o tym. I ja także o tym wiem.

Kiedy pociąg sapiąc wolno ruszał, Elisabeth stanęła w oknie swego przedziału. Jej jasnyniebieska suknia miękko połyskiwała, oczy lśniły jakąś podejrzaną wilgocią. Powiewała ku nim śnieżnobiałą chusteczką, która wypadła jej po chwili z ręki.

Norden rzucił się i podniósł ją. Przypatrzył się jej ze wzruszeniem, wreszcie przycisnął do ust.

Stojący obok Hagen powiedział z pogardą:

— Daj spokój tym sentymentalnym wyglupom, człowieku! Elisabeth to taka baba, która tylko czeka, żeby ją kto dosiadł. A temu, kto jej dogodzi, dupę będzie całować!

Norden spojrział z oburzeniem na Hagen.

— Ależ z ciebie świnia! — A potem ochryplym, zduszonym głosem dodał: — Mógłbym cię zabić!

— Ja ciebie także — zapewnił go Hagen.

Po tygodniach i miesiącach intensywnej przygotowań i przeprowadzeniu wstępnych prób, zwanych „próbami na zimno”, akcja O, określana niekiedy jako akcja OZ — obozy zagłady — była całkowicie gotowa do przeprowadzenia.

Pierwszy dzień realizacji tego doświadczenia, które wstrząsnęło później całym światem, rozpoczął się zgodnie z planem, 1 sierpnia, w późnych godzinach popołudniowych.

Machina organizacyjna Rauffera dostarczyła pierwszy z dziesięciu zamówionych transportów, w trzech samochodach ciężarowych. Łącznie sto czternaście osób. Rauffer był bardzo dumny. Tego pierwszego dnia nie spodziewano się więcej niż dziewięćdziesięciu.

Siegfried odebrał ten pierwszy transport zaraz za bramą, nad którą na zlecenie Wesela widniało wypisane na czerwonym tle złotymi literami hasło: „Każdemu, co mu się należy”.

Konwojenci SS zaczęli zganiać pałkami więźniów z samochodów. Siegfried zaprotestował:

— Zabraniam wszelkiej przemocy! Wszystko ma tu się odbywać we właściwy sposób, nie inaczej!

Posłuchano go, ale nie bez gniewnego parskania.

Po niespełna kwadransie jako tako ustawiono więźniów: sześćdziesięciu pięciu mężczyzn i trzydzieści osiem kobiet, reszta dzieci. Wszyscy wpatrywali się w Siegfrieda. Ten mierzył ich wzrokiem, gotów do dokonania selekcji.

Wszystko to działo się w pełni słonecznego lata, w pięknym krajobrazie pełnym woni traw, porośłym srebrzystymi brzoźami, od których cały ten zespół został nazwany Obozem Brzozowym. A pośród tego ciemnobrązowe baraki na wydeptanym błotnistym terenie, ciasno otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego. Ludzie okrążeni przez czyhających na nich wartowników: więźniowie.

Przed tymi ludźmi stanął Siegfried jak kapitan na mostku dowodzenia. Wybrał z sześćdziesięciu pięciu mężczyzn trzydziestu pięciu. — Na lewo! — Byli to starcy, chuderlaki, intelektualisci. Za nimi poszło trzydzieści jeden spośród trzydziestu ośmiu kobiet i wszystkie dzieci.

Zakwalifikowanych przez Siegfrieda do przejścia na lewą stronę przejął Hagen z przydzielonymi mu do pomocy ludźmi z SS. Odprowadzono ich natychmiast do środkowej części obozu, do budynku przypominającego halę sportową. Tam ustawiono przed betonową ścianą i zlikwidowano.

Przygotowano do tego trzy karabiny maszynowe. Dwóch z nich użyto bezpośrednio do akcji, trzeci stał przygotowany w rezerwie. Później następowała jeszcze, jeżeli okazała się konieczna, egzekucja przez strzał w kark. Zużycie amunicji w tej akcji: pięć sztuk na osobę.

Tymczasem Hermann zaprowadził pozostałe siedem kobiet, jako personel bazowy, do obozowego burdelu. Postanowił sam osobiście dokładnie sprawdzić przydatność zawodową podległych mu pracownic specjalnej obsługi. Kobiety miały się przed nim przymierzać, podczas gdy on ważył w dłoni swój rewolwer.

Raz jednak musiał wystrzelić, do szczególnie krnąbrnej, która próbowała się na niego rzucić.

Tak więc pozostało tylko sześć „pań do randek”, wyraźnie przestraszonych, ale pogodzonych z losem. Hermann sprawdził ich użębie, pomacał ich piersi, uda, pośladki.

— Nic szczególnego — ocenił. — Ale ująd.

Norden w tym czasie zajmował się pozostałymi mężczyznami w liczbie trzydziestu. Miał ich wprowadzić do pierwszego baraku. Jego uprzejmość obudziła w nich strach. Stłoczyli się dysząc pod drewnianą ścianą. Norden przemówił do nich:

— Odłóżcie wasze rzeczy. Prycze na prawo są przeznaczone dla was. Każda dla przynajmniej dwóch. Musicie się tam pomieścić, bo niedługo zrobi się tu ciasno. Jednego z was wyznaczę na starszego baraku, pozostali podzielą się na grupy po dziesięciu. W każdej z nich jeden będzie grupowym, odpowiedzialnym za porządek. Mogą się z tym wiązać pewne korzyści. Gorliwość się opłaca. U nas za wsze!

Nad uformowanymi brygadami roboczymi przejęli nadzór Berner i Bergmann. Doszło przy tym do pierwszej kontrowersji. Bergmann odprowadził na bok Nordena i szepnął, oburzony:

— Co to ma znaczyć, człowieku? Tylko trzydziestu facetów?

— Więcej nie przeszło przez selekcję.

— Czy ten Siegfried jest kopnięty? Tylu właśnie trzeba do obsługi pieca! A gdzie personel pomocniczy do kuchni?

Do budowy latryn? Do umacniania dróg? Trzeba także założyć kwietniki!

— Dzisiaj tylko trzydziestu — odparł Norden energicznie te zarzuty — ale za trzy dni może ich być dziewięćdziesięciu, a może nawet i więcej. Na wszystko trzeba czasu.

Zmartwienia Bernera i Bergmanna dotyczące działalności powierzonej im „palarni” okazały się w praktyce bezpodstawne. Pięć pieców tego dnia poradziło sobie z siedemdziesięcioma siedmioma trupami. Należało jednak przewidywać, że wkrótce będą przeciążone.

Krótko przed północą było po wszystkim.

— Załatwione — można było zameldować Weselowi. — Ale ostatecznie nie możemy sami sobie wypruć żył. Mu simy mieć do pomocy o wiele więcej osób. Pod tym względem jeszcze niejedno trzeba będzie ulepszyć.

Należy przemyśleć tę ogromną stratę czasu przy spalaniu — skomentował na nocnym posiedzeniu Wesel wobec wszystkich odpowiedzialnych za przebieg zdarzeń tego pierwszego dnia. — Te urządzenia są wyraźnie jeszcze nie dosyć sprawne. Bergmann spojrzał na Bernera i oznajmił:

— Otrzymaliśmy oferty od pięciu firm, po bardzo przystępnych cenach, i wybraliśmy, kierując się najszybszym przerobem. Z punktu widzenia technicznego najlepsze są urządzenia firmy Haase-Herkules.

— Trzeba będzie opracować bardziej skuteczne metody — zauważył StandartenFührer Rauffer. — Już o tym myślałem. A gdybyśmy tak mogli dostarczyć ludzi już po ich likwidacji? To wiele by ułatwiło.

— Jak ty to sobie wyobrażasz, przyjacielu? — Wesel był wyraźnie sceptyczny wobec tego projektu.

— Bardzo prosto — powiedział Rauffer z głębokim przekonaniem. — Napuścić gazu. Odpowiednio dozowany gaz ma zupełnie pewne śmiertelne działanie. Musimy tylko odpowiednio uszczelnić wozy transportowe, dostarczające

więźniów, a potem wpuścić tam gaz. Z punktu widzenia technicznego to przecież drobnostka.

— Oszczędzi się przy tym — powiedział Hagen, zgodny w zasadzie z tym pomysłem — masę amunicji. I można będzie uniknąć tego całego świństwa, krwi, moczu, rozpryskanych mózgów. Niektórym z naszych ludzi już się nogi uginały, a dwóch rzygało. To, co proponuje nam tu kolega Rauffer, to na pewno czystsza metoda.

— Ale przy jej zastosowaniu nie będziemy mogli zdobyć ludzi koniecznie nam potrzebnych do pracy. Jak inaczej utrzymamy obóz? — zauważył Siegfried. — Nasze zadanie jest zupełnie wyraźne. Nie jesteśmy przecież zakładem pogrzebowym. Mamy zorganizować obóz zagłady!

— Dobrze powiedziane! — powiedział z uznaniem Wesel. Zwrócił się do Nordena z zapytaniem:

— Jak się zachowują ci pozostali Żydzi? Jak reagują?

— Trudno to jeszcze rozpoznać, Gruppenführer.

— Ale ja to muszę jak najszybciej wiedzieć, Norden. Być może, jest to najważniejsza sprawa. Nie wolno nam dać się zwieść pierwszym osiągnięciom. Powinniśmy raczej postawić pytanie: Czy się spokojnie podporządkują, czy będą próbowali się jakoś przeciwstawić? Wetkną bojaźliwie głowy w piasek czy będą próbowali wznieść barykady? Bo i na to także powinniśmy być gotowi. A będziemy mogli działać tym skuteczniej, im lepiej będziemy poinformowani, co się może zdarzyć, Norden.

— Ja wątpię — zgłosił się Hagen, patrząc na swego rywala — czy kolega Norden, przy całym szacunku dla jego osoby, jest tu odpowiednim człowiekiem. Nikt z nas nie ma stuprocentowego wyczucia żydowskiej mentalności. Ale jest ktoś taki.

— Czy chcesz w to wciągnąć Breslauera? — zapytał żywo Norden. — Ja bym tego nie radził.

— Tak się o niego troszczysz? — zapytał prowokacyjnie Hagen. — Można by cię o to posądzić.

— Nie troszczę się o niego — odparł energicznie Norden. — Ale uważam za wysoce niewskazane, by go tu sprowadzać. Możemy utracić nad nim kontrolę, a jego reakcje mogą się okazać nieobliczalne.

— Sprowadzimy go tutaj — rozstrzygnął Wesel. - Posadzimy go. Niech nam tu zatańczy!

Trzeciego dnia po rozpoczęciu akcji w późnych godzinach wieczornych pojawił się w Brzozowym Obozie Müller. Przyjechał z Feldafig. Przywiózł ze sobą, zgodnie z zarządzeniem Wesela, profesora Breslauera. Zatrzymał swój samochód przy bramie.

Tam Müller zażądał widzenia z Nordenem. Ten pojawił się natychmiast, jakby właśnie na to czekał. Sprawiał wrażenie zmęczonego, ale na twarzy jego malowała się stanowczość. Podał rękę Müllerowi, którą ten mocno uścisnął. Breslauerowi, który wciąż siedział w wozie, skinął tylko głową.

— To był dość trudny dzień — zwierzył się Müllerowi. — Ale udało się nam. Robimy postępy, choć może tego jeszcze nie widać. Poradzimy sobie jednak. Czy mogę pana prosić, by poszedł pan ze mną? Pomieszczenie jest już przygotowane do pańskiej dyspozycji. Wszystko inne zostawiemy na później.

Müller uważnie rozglądał się wokół. Zdawało się, że czegoś nasłuchuje.

— Niemal sielanka, prawda? — zapytał. — Ale to się już kończy. Ten, kto tu wchodzi, żegna się z nadzieją. A może nie?

— To zależy od punktu widzenia.

Müller przysunął się bliżej do stojącego obok Nordena i powiedział do niego z całym naciskiem:

— Powierzam panu naszego Breslauera. Panu osobiście.

— Wszystko w porządku. Po prostu jego udział w zadaniach naszej grupy okazał się niezbędny. To rozkaz Grup-penFührera.

Breslauer wciąż jeszcze siedział w samochodzie, który Müller sam prowadził. Wydawało się, że patrzy przed siebie, na swoje ręce spoczywające na małej walizeczce. Była to ta sama walizka, z którą podróżował do Ameryki i z którą stamtąd powrócił. Nie miał ze sobą żadnej książki.

— Przekazując panu Breslauera — mówił dalej Müller — składam na pana osobiście, całą odpowiedzialność za niego. Niezależnie od tego, jakie idiotyzmy będziecie tu wyczyniać, jemu nie może spaść włos z głowy! Niech pan to wytłumaczy swoim kumplom, każdemu z osobna. Może się pan przy tym powołać na mnie. Najbardziej stanowczo. Jasne?

— Wszystko jasne, panie Müller!

— Ale Breslauer to przede wszystkim pańska sprawa. I jestem pewien, że będzie pan go strzegł jak żrenicy oka.

Norden uważnie spojrzał na Müllera.

— Skąd ta pewność?

— Bo wiem, że dał pan Breslauerowi rewolwer kalibru 10,5. Właśnie jemu! Norden, człowieku, co pan właściwie przy tym myślał? Przecież on nie potrafi porządnie nabrać atramentu do pióra, a cóż dopiero posłużyć się bronią!

— Skąd pan wie o tym rewolwerze, panie Müller? I od kiedy?

— Już od pewnego czasu, Norden.

Norden, poruszony, spojrzał na doświadczonego kryminologa jak pojętny uczeń na nauczyciela.

— A więc już od pewnego czasu! Ale nikomu pan o tym nie powiedział, nie ujawnił pan żadnych podejrzeń, nie snuł pan żadnych domysłów? A więc pan nie chciał. Co w praktyce oznacza, że my obaj, wraz z Breslauerem na dodatek, jedziemy na jednym wozie.

Müller spojrzał z politowaniem na Nordena.

— Daj pan spokój takim śmiesznym wnioskom! Rozmowy w cztery oczy, niezależnie od tego, co się w niej powie, nie można udowodnić. Ja nic nie powiedziałem. Pan nic nie po wiedział. Pojmuje pan?

— Co jednak nie wyklucza, panie Müller, wspólnoty naszych interesów?

— Niech pan nigdy nie próbuje, Norden — roześmiał się Müller — posługiwać się mną dla własnych celów. Jeszcze pan do tego nie dorósł. Oczywiście przeprowadziłem dochodzenie w sprawie tego rewolweru. Wyszło przy tym na jaw, że to wcale nie był pański rewolwer, ale ten, który zgłoszono jako zaginiony w czasie trzydniowych ćwiczeń w styczniu.

— To zupełnie możliwe — przyznał z ociąganiem Nor-den.

— Tak jest — sprostował jego słowa Müller. — Stratę rewolweru zgłosił wtedy Hagen. I właśnie pan go odnalazł, zatrzymał u siebie, a potem przekazał Breslauerowi. A gdyby on w jakikolwiek sposób użył tego rewolweru, popełniłby taki czyn z broni Hagen. I taki właśnie był pański zamysł...

— Ależ pan jest przewrotny — próbował się bronić Nor-den. — Ja jestem na to zbyt prostoliniorny. — Ale nagle przystał na tę wersję. — Dobrze, panie Müller, przyjmijmy, że tak było. I zapominamy o tym?

— Czemu nie? Jeżeli pan pojmie, czego od pana oczekuję, Nor den.

— Wiem! Że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeżeli okażę szczególną sympatię Breslauerowi.

— I tylko dlatego — powiedział szorstko Müller — jest pan jeszcze tutaj.

Ze sprawozdania kapitana Scotta:

W Trzeciej Rzeszy było mnóstwo wypadków, z których, jak w górze lodowej, dostrzec można było tylko bardzo niewielki wierzchołek ich stanu faktycznego. I stanu tego nie dochodziło ani prawo, ani opinia publiczna. Zarejestrowaliśmy niemal wszystko, co wyszło na światło dzienne. Już w pierwszych latach ery Hitlera zdarzały się setki przypadków podobnych do niżej wymienionych.

W Siegburgu nie opodal Bonn znaleziono jedenaście trupów w piwnicy pewnej kamienicy czynszowej, nieco przysypanych węglem. Policja kryminalna przypisała tę zbrodnię obłąkanemu mordercy, który się specjalizował w zabijaniu gorliwych katolików.

W Hanno werze w ciągu jednego tygodnia znaleziono w czterech różnych miejscach, w sadzawce, w kanale ście-

kowym, w ogródkach działkowych i w zaroślach parku miejskiego, pięćdziesiąt trupów. Wszyscy zamordowani byli członkami Czerwonego Frontu. Przepuszczalnie były to ofiary napadów ulicznych, bójek w knajpach i wypadków drogowych, jak brzmiało wyjaśnienie.

W Berlinie przypadkowo powstał pożar w żydowskim domu starców, było przy tym szesnaście ofiar śmiertelnych. Następnie w Hamburgu odnaleziono jednego dnia dziewięciu topielców. Wszyscy byli socjaldemokratami. Orzeczono, że był to najprawdopodobniej wypadek w czasie wycieczki zakładowej. Także w Stuttgarcie stwierdzono siedem ofiar od rzekomego wybuchu gazu — wszystkie ofiary uczestniczyły w zebraniu Świadców Jehowy. Również w tymże Stuttgarcie, w dwadzieścia cztery godziny później, odkryto trupy czterech homoseksualistów, którzy po jakiejś orgii prawdopodobnie wzajem sobie poobcinali genitalia.

I tak dalej, i tak dalej. Informacje o podobnych zajściach liczą się w tysiące. Wiele domniemań, mnóstwo podejrzeń, ale żadnych świadków, żadnych dowodów.

A na to generał:

— A czego się pan spodziewa, kapitanie? Może tego, że umarli wstaną z grobów, jeżeli w ogóle mają jakieś groby, żeby świadczyć, dlaczego ich zabito?

— A sumienie tych, co przeżyli, generale?

— I jak pan to sobie wyobraża? Kto przeżył, ten przeżył. I czego ma więcej chcieć? Kiedy leje deszcz, nawet koty, które nie lubią wody, są mokre, a potem wylizują się do sucha. Większość ludzi nie robi nic innego.

— Ależ, generale, tutaj idzie o masowe morderstwo!

— Słusznie, kapitanie! Ale tego niemal nie sposób udowodnić. Przy jednym trupie najczęściej można wskazać sprawcę, najpewniej natychmiast po morderstwie. Tu jednak ma się do czynienia z masowymi grobami zwałów niemal nierozpoznawalnych zwłok. Sprawców możemy się domyślać, ale po tylu latach nie można ich dokładnie wskazać,

— Ja jednak nie zrezygnuję, generale! A zwłaszcza z przeprowadzenia dochodzenia w sprawie zajść w Bawarskim Lesie. Jak się zdaje, tam zaczęła się akcja tak zwanego ostatecznego rozwiązania.

- Czy pan jest Żydem, kapitanie?
— Nie, panie generale.
— Jeżeli pan nie jest Żydem, to dlaczego **tak uparcie próbuje** pan narobić sobie kłopotów?
— Pewnie już taki jestem, panie generale!

O zajściach w Bawarskim Lesie, w tak zwanym Obozie Brzozowym, dotarły do nas różne informacje. Usiłowaliśmy zbadać tę sprawę, ale z nikłym skutkiem. Dało się ustalić tylko tyle: W ciągu około dwóch tygodni dowożono tam po mniej więcej sto osób dziennie; z kominów, wyglądających jak kominy fabryczne, ział na okolicę przeraźliwy odór; dochodziły stamtąd odgłosy karabinów maszynowych. Wszystko wskazuje na to, że był to jeden z obozów koncentracyjnych o przeznaczeniu specjalnym, które później miały się stać tak liczne.

Dopiero po 1945 roku, a więc dziesięć lat później, można było przeprowadzić na ten temat intensywne dochodzenie. Było to jakby wydobywanie wykopalisk prehistorycznych. Znaleziono resztki ludzkie, sprowadzeni tam eksperci, oszacowali na około tysiąca osób. Była to stosunkowo nieznaczna liczba na tle ogólnego rachunku ofiar tak zwanego ostatecznego rozwiązania na terenie całych Niemiec.

Ale co tu jest najważniejsze: tego masowego mordu w Obozie Brzozowym, ukrytym w Lesie Bawarskim dokonano niemal pięć lat przedtem, nim zorganizowano wielką akcję zagłady Żydów!

GruppenFührer Wesel przyjął profesora Breslauera, którego doprowadził Norden, w parę minut po północy w baraku komendantury, w obecności Müllera.

Podłogę baraku Wesela ze skrzypiących surowych desek z świerkowego drewna zasciełały wschodnie dywany. Na środku stało dębowe biurko, frontową ścianę zdobiła ogromna kopia obrazu Altdorfera *Bitwa Aleksandra Wielkiego*. Pozostałe ściany izby były wręcz wytapetowane mapami,

schematami, obwieszczeniami. Okna zakrywały czarne ciężkie zasłony.

— Usiądźcie, proszę — uprzejmie zaprosił Wesel przybyłych, wskazując ręką wygodne skórzane fotele. — Głęboko ubolewam — zwrócił się przyjacielskim tonem do Breslauera — że nie mogłem panu oszczędzić tego, co pana tu czeka. Nie muszę nadmieniać, że sami siebie, poddani twardej dyscyplinie, także nie oszczędzamy. W każdym razie, panie Breslauer, pan także do nas należy.

— Co mam tu robić?

— Czy pan Müller tego panu nie wyjaśnił?

— Oczywiście, że wszystko powiedziałem — zapewnił Müller — ale nasz profesor uznał to za niemożliwe.

— Nie mogłem w to uwierzyć.

— Ale będzie pan musiał uwierzyć, panie Breslauer! — powiedział Wesel. — To, czego tu od pana zażądamy, będzie pana najważniejszą i zapewne ostatnią pracą wykonaną dla nas. Potem będzie pan mógł, oczywiście pod naszym nadzorem, zatrudnić się jako prywatny nauczyciel.

— A zatem będzie dla mnie jeszcze jakieś „potem”?

— To panu gwarantujemy — włączył się gorąco Müller. — Prawda, Gruppenführer?

Ten przytaknął.

— Nic tu panu nie zagraża, jeśli się pan sam nie wystawi na niebezpieczeństwo. Nasi ludzie otrzymali wyraźny rozkaz, by uważać na pana. Bacznie, ale niepostrzeżenie. Gdyby powstała jakaś groźna dla pana sytuacja, zapewnią panu bezpieczeństwo. Wystarczy, że się pan zwróci do kogoś z nas. Zna pan naszych ludzi. Ktoś będzie zawsze w pogotowiu. Pieczę nad panem będzie miał Norden. Może więc pan być całkiem spokojny.

— A na czym polega moje zadanie?

— Już jutro podrzuci się pana, panie Breslauer, z zachowaniem pełnej dyskrecji, do przybywającego transportu. Zajmie się tym Norden. Spotka pan przy tym Siegfrieda, który się będzie jednak tak zachowywał, jakby wcale pana nie znał. Skieruje pana na prawo, skąd zaprowadzą pana do baraku dla pracujących.

— I co dalej?

— Tam będzie pan mógł prowadzić intensywne badania, jakie kiedyś panu zaproponowałem. Przez jakieś dwa, trzy dni. A potem zda nam pan sprawę ze swoich spostrzeżeń i rozpoznania. Ze wszystkimi szczegółami. Zgadza się pan?

— Tak — odpowiedział Breslauer.

— W porządku — odrzekł Wesel. — Niech pan się dobrze wyśpi, profesorze. Musi pan dobrze wypocząć, nim zetknie się pan z całą surowością życia. Z tą jego stroną, z którą my się stykamy już od paru tygodni.

Norden wyprowadził Breslauera.

Wesel i Müller pozostali sami. Patrzyli na siebie bacznie, uważnie, ale z pewną nadzieją. Pili szkocką whisky z lodu, ale nie rozcieńczając jej wodą, wznosząc ku sobie szklanki.

— Chyba będzie próbował się czegoś dowiedzieć, prawda? — zauważył Gruppenführer. — Musi mi pan to potwierdzić. Zna go pan przecież jak nikt inny.

— Ależ, Gruppenführer, któż może powiedzieć, że naprawdę poznał Żyda? Mentalność tych ludzi nieraz wydaje mi się zupełnie niezrozumiała. Oni są nieobliczalni.

— Co też pan mówi? — odparł Wesel. — Żeby taki mądry człowiek jak Breslauer miał tu coś pokręcić! To wykluczone! No bo proszę, to przecież racjonalista z przekonania, a w dodatku zwolennik teorii względności! Ale jeżeli zechce teraz stulić ogon i skapitulować, jakoś się od tego wykręcić, to już będzie tylko jego własna wina.

— Liczy się pan z taką ewentualnością? — spytał Müller z ukrytą groźbą w głosie.

— Liczę się zawsze ze wszystkim — przytaknął Wesel. — Ale nie z tym, jeżeli to pana niepokoi.

Różne informacje o Brzozowym Obozie w Lesie Bawarskim:

Informacja pierwsza: Brigadeführer Clausen z Komendy Głównej SS, podczas późniejszego przesłuchania:

Obóz ten nie jest mi znany; innymi słowy, nigdy oficjalnie dla nas nie istniał. A jeśli o mnie chodzi, nigdy w ramach mojego urzędowania nie miałem ani bezpośred-

nio, ani pośrednio z tym obozem do czynienia. Nie wiem także, co tam się mogło dziać. Moje sumienie jest czyste.

Informacja druga: Właściciel posiadłości Hochberg-Walden: Byłem wówczas właścicielem rozmaitych terenów w Lesie Bawarskim, między innymi także niektórych torfowisk. Były to, praktycznie rzecz biorąc, nieużytki, nawet do polowania się nie nadawały. Bronilem się jednak przed ich sprzedażą, dla zasady. Potem tak na mnie nacierały pewne kręgi partyjne, że w końcu uległem.

Wydzierzawiłem więc ten teren. Nie miałem okazji się dowiedzieć, o co tam chodziło. Wkrótce wybudowano tam drogę, założono kanalizację, doprowadzono prąd. A to wszystko, jak mi mówiono, dla jakiegoś sanatorium.

Informacja trzecia: Christine Rothmund, przewodnicząca Związku Kobiet Niemieckich:

W kilka miesięcy po wybudowaniu tego obozu przekazała go nam jakaś organizacja partyjna. Nawet nie wiem, jaka. Zaadoptowałyśmy go na schronisko dla samotnych matek. Jedno sobie przypominam: Chociaż ten Brzozowy Obóz, kiedyśmy go przejmowały, wyglądał na całkiem nowy, robił wrażenie opuszczonego. Unosił się tam jakiś przenikliwy odór.

Naturalnie nie mogło to nas zniechęcić. Przede wszystkim zrobiliśmy tam gruntowny porządek. I mogę powiedzieć, że się nam udało w krótkim czasie stworzyć tam rodzinną, przytulną atmosferę. Z pożytecznym skutkiem: nasze samotne matki czuły się tam bardzo dobrze.

Opiekująca się nami organizacja partyjna okazała nam bardzo dużą pomoc. Szczególnie przy rozbiórce wielu pieców, których przeznaczenia nie umiałyśmy sobie przy najlepszej woli wyjaśnić. Przystosowano je do wypieku chleba, w którym ku pełnemu zadowoleniu, zaopatrywałyśmy inne obozy. Tak było aż do wojny.

Już siódmego dnia od rozpoczęcia Akcji O w Bawarskim Lesie wewnętrzna statystyka, prowadzona na bieżąco przez Bernera i Bergmanna, wykazywała znaczące postępy. Wyniki dawały się odczytać z poniższych liczb.

Grupa robocza uformowana z więźniów zakwaterowanych w trzech barakach liczyła już stu osiemdziesięciu mężczyzn. Ich dzienny czas pracy wynosił dwanaście godzin. Tak więc obóz zaczął funkcjonować zgodnie z założonym planem.

Liczba kobiet wyselekcjonowanych do obozowego burdelu wynosiła już pięćdziesiąt jeden. Według Hermanna, odpowiadały one w pełni wszelkim wymaganiom. Teraz można było dokonywać dalszych wyborów. Dziewiętnaście z nich, jako nie w pełni przydatne, przekazano do kuchni i do oddziału sprzątaczek.

Kwota L — poddanych likwidacji — w tych pierwszych dniach wynosiła: dwustu siedemnastu mężczyzn, dwieście sześćdziesiąt kobiet i do tego sto dziewięćdziesięcioro dzieci. Ale w tych pierwszych dniach udało się załatwić w piecach zaledwie siedemdziesiąt siedem obiektów w ciągu dwunastu godzin, więc teraz już rozbrzmiewał meldunek: Ta sama liczba, ale w o połowę krótszym czasie!

Osiągnięcie to omawiał właśnie w komendanturze obozu Waldemar Wesel z Raufferem, który był odpowiedzialny za wszelką działalność na zewnątrz obozu. Z uznaniem przyjął do wiadomości takie wyniki. Z własnej działalności mógł nie bez dumy zdać sprawę z następujących poczynań:

Po pierwsze: Współpraca z miejscowymi jednostkami SS, z organizacjami partyjnymi i z policją układa się wzorowo. Mogliśmy dzięki temu przeprowadzić akcje na większą skalę w Bayreuth, w Bambergu, Fiissen, Fiirstenfeldbruck, Rosenheim czy Kempten. W Norymberdze przeprowadzono dwie akcje, w Monachium nawet trzy. Bez najmniejszych trudności.

Po drugie: Przy tego rodzaju akcjach nasi pracownicy, ubezpieczani przez policję, wyprowadzili według przygotowanych list tych ludzi wprost z ich mieszkań. Sąsiedzi i współlokatorzy do tego się nie mieszały. Nasi drodzy rodacy trzymali się od tego z dala, odwracali głowy, przymykali oczy. Mogliśmy ich zbierać bez żadnych przeszkód.

Wesel, rozparty na fotelu, przytakiwał ze zrozumieniem głową.

— Mogę tylko potwierdzić twoje uwagi, Rauffer. A nawet coś jeszcze do nich dodać. Nie mamy najmniejszych trudności. Ani ze strony niczego nie przeczuwających dzielnych mieszczuchów, ani ze strony wtykających wszędzie nos dyplomatów; nawet te zagraniczne pismaki się uspokoiły.

— Już się nie odważą mieszać w nasze wewnętrzne sprawy. Akcja Dahlem złapała ich za frak. Czegóż więcej trzeba?

W tym samym czasie Hagen przechadzał się po obozie wokół brygady roboczej pracującej przy budowie drogi. Główna arteria, wiodąca prosto do pieców, wymagała poszerzenia i umocnienia, aby umożliwić obustronny ruch wielkich ciężarówek.

Pracowało tam trzydziestu ludzi pod nadzorem trzech grupowych, a wszystkich pilnowało sześciu ludzi z SS. Pracowali na kłęczkach, przygarbieni, nie odrywając oczu od roboty, w postrzępionych przepoconych ubraniach, z poszarzałymi, lśniącymi od potu twarzami.

Hagen przechadzał się leniwie wokół nich i nagle stanął, aby sprawdzić: A jednak śledzą jego poruszenia! Rozbawiło go to. W tym momencie jeden z mężczyzn spróbował się oderwać szybkim ruchem od otępiełej grupy. Nie śmiał się podnieść, ale mogło się wydawać, że podpełza w kierunku Hagen, by się na niego rzucić.

Esesman podskoczył z bronią gotową do strzału. Hagen go odsunął. — Możesz to mnie zostawić, kolego — powiedział, kładąc rękę na kaburze pistoletu. — Wracaj do szeregu.

A potem się zwrócił do patrzącego na niego błagalnie człowieka:

— Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

— Nazywam się London. Jestem lekarzem. Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów, panie Oberführer? — spytał

z drzeniem. Ale gdy dostrzegł w badawczym spojrzeniu Hagena jakby cień przyzwolenia, wyprostował się spieszenie i niemal wykrztusił: — Mam przyjaciół, panie Oberführer. Poniosą wszelkie koszty, gdybyście mnie wypuścili.

— Czy to ma znaczyć, że chcesz mnie przekupić? — zapytał miękko Hagen.

— Oczywiście nie, panie Oberführer! Nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwolił! — Ten człowiek patrzący błagalnie, ze spoconą, brudną twarzą ledwo mógł mówić. — Ale może mogłaby to być jakaś ofiara na dobry cel...

— A więc ile? — rzucił Hagen pozornie obojętnie.

— Ile pan zechce, panie Oberführer! Może sto tysięcy marek? Czy to by wystarczyło? Tyle mogą moi przyjaciele zebrać.

Hagen zachował zimną krew. Powiedział tylko:

— Można o tym pogadać. I to od razu. Jako trup na pewno nie będziesz tyle wart. Jak myślisz, jak prędko dałoby się to załatwić?

— W dwa, trzy dni! — zapewnił więzień lekko się prostując. — Kiedy będę mógł nawiązać kontakt z moimi przyjaciółmi? Wystarczy telefon, albo parę słów na kartce.

— To się da załatwić — powiedział Hagen.

I tak założył fundamenty pod swoją późniejszą milionową fortunę. Z myślą o pięknej, dobrze zabezpieczonej, obiecującej przyszłości z Elisabeth.

Ona — przymusowa emigrantka, on — potajemnie ratujący Żydów, stanowiliby parę, do której należy przyszłość. W razie gdyby Hitler poniósł klęskę, co od paru tygodni spędzonych w Brzozowym Obozie bynajmniej, w tym również Hagenowi, nie wydawało się wykluczone.

Waldemar Wesel w swoim biurze w obozowym baraku otworzył dla siebie i dla Rauffera butelkę szampana, Veuve Cliquot Ponsardina. Wpadające przez okno promienie zachodzącego słońca zaślniły na kielichach. Przepili do siebie.

— Wszystko idzie jak najlepiej — oświadczył Wesel, jakby śmiejąc się pobłaźliwie z siebie samego. — A mówiąc szczerze, muszę wyznać, że liczyłem się z pewnymi trudnościami, a także z tym, że mogą się zdarzyć niezupełnie bezpieczne sytuacje.

— Ale przecież nie z tymi Żydami! — roześmiał się Rauffer. — To wcale nie przypadkiem tępi się tych wszarzy ze wszystkich stron.

— No tak, to prawda — przyznał Wesel w zamyśleniu. — Ale nie ma reguły bez wyjątków, tak sobie pomyślałem. Mogłaby się wydarzyć przynajmniej jakaś mała nieprzyjemność. Moi ludzie mieliby piękną okazję, aby jeszcze raz wykazać się swoim zdecydowaniem.

— Co mówisz, kolego! Ta świńska hołota, gdybyśmy im tylko pozwolili, sami by się nawzajem wytępił!

— Niech cię Bóg usłysz — powiedział Wesel — a raczej jeszcze lepiej Führer!

Z namaszczeniem napelnił opróżnione tymczasem kielichy. Nie miał niezadowolonej miny, ale też nie wyglądał na całkiem szczęśliwego.

Kiedy znów do siebie przepili, rozbrzmiało nagle krótkie, energiczne stukanie do drzwi. Nie czekając na pozwolenie wejścia, wpadł do pokoju Siegfried. Był wyraźnie wzburzony i speszony. Zameldował od progu:

— Bunt w baraku numer trzy!

Rauffer spojrział z niedowierzaniem na Wesela. Ten patrzył przed siebie, sprężony, jakby gotów do skoku. Mechanicznym ruchem odstawił swój kielich. Milczał.

Tym gwałtowniej zareagował Rauffer.

— Co, bunt? W naszym obozie? Ale przecież to nie ci Żydz!

Siegfried przytaknął, lekko zmieszany.

— Odmawiają wyjścia do pracy! Mieli wyjść do następnej zmiany do transportu trupów na paleniska. Powiedzieli, że nie będą tego robić.

— No i co! No i co! — wrzeszczał Rauffer. — Te gnoje, powiadasz, się zbuntowały! I jeszcze żyją?! Dlaczego ich po prostu od razu nie zastrzeliliście?

— Powoli — powiedział z namysłem Wesel, patrząc niemal przyjaźnie na Siegfrieda. — Takie sprawy przecież

przewidywaliśmy i rozpracowali w naszych przygotowaniach. W przypadku, gdyby się zdarzyło coś takiego, miało się bezwzględnie użyć broni. Dlaczego tak się nie stało?

— Berner i Bergmann — meldował Siegfried jednym tchem — już mieli strzelać, ale wtrącił się w to Hagen, a Norden go poparł.

— Z jakiego powodu?

— Już chcieliśmy strzelać — wyznał Siegfried — ale wtedy musielibyśmy zabić także Breslauera. Wydaje się, że to właśnie on jest tu przywódcą. A Hagen był zdania, że jego można załatwić tylko na twój wyraźny rozkaz, Gruppen-Führer. A zdaje się, że to mógłby wykonać tylko Norden, który odpowiada za niego.

— Dać tu Nordena! — rozkazał energicznie Wesel.

Norden zgłosił się bezwładnie. Na propozycję Hageną przyprowadził go Siegfried. Zaraz po wejściu wyprężył się przed Weselem. Wydawało się, że nie dostrzega Rauffera. Ten jednak patrzył na niego uważnie.

— Ja tego nie rozumiem, Gruppenführer — wyznał jakby z trudnością Norden. — Ten Breslauer chyba nie jest przy zdrowych zmysłach. Czy mam go izolować?

— Człowieku, o czym ty mówisz? — wrzasnął Rauffer. — Gdzie my się znajdujemy? W sanatorium dla umysłowo chorych? Jak ktoś chce tu zgrywać wariata, to trzeba go załatwić!

— Izoluj go, Norden — zdecydował Wesel, jakby chodziło po prostu o rzecz zupełnie zrozumiałą. — A potem go załatw.

— Ale — pozwolił sobie wtrącić Norden — czy nie należałoby przedtem z panem Müllerem...?

— Czy ten rozkaz dla ciebie nie jest dość jasny, człowieku? — krzyknął Rauffer, a jego głos zabrzmiał jak u potrąconego kota.

— Całkowicie jasne — potwierdził Wesel, uważnie patrząc na Nordena. — Breslauera należy odizolować i załat-

wieć! I ma to wykonać ten, kto jest za niego odpowiedzialny. To jest rozkaz, Norden. Czy chcesz odmówić jego wykonania?

Norden stał wyprostowany jak świeca. Jego gotowość do bezwarunkowego posłuszeństwa nie budziła wątpliwości. Sztywnym krokiem wyszedł z pokoju.

W baraku numer trzy około trzydziestu mężczyzn siedziało na brudnej podłodze. Tkwili tam ściśnięci, przygarbieni, w ponurym milczeniu, otaczając półkregiem stojącą wśród nich postać. Był to Breslauer.

Jedynie on spojrzał na ludzi, którzy się do niego zbliżali. Berner i Bergmann trzymali się nieco w tyle, Hagen stanął tuż przed nim, nie patrząc jednak na niego. Za nim dwunastu esesmanów z wymierzonymi w niego pistoletami i bronią maszynową. Nawet to nie zrobiło na nim wrażenia. Gdy pojawili się Siegfried z Nordenem, profesor popatrzył na nich wielkimi, szeroko otwartymi oczyma.

Siegfried nie odpowiedział na jego spojrzenie. Jeden ruch ręki i tuzin esesmanów rzuciło się na Breslauera. Tak nim szarpali, że kiedy w końcu wypchnęli go z baraku zdawał się być jedynie rozpadającym węzełkiem skóry i kości.

Powlekli go potem główną ulicą obozową w kierunku miejsca straceń, do tej betonowej ściany, przy której rozstrzelano już setki ludzi. Tam rzucili go jak worek.

Norden sztywnym krokiem postępował za oprawcami... Kazał oddalić się esesmanom. Odeszli natychmiast. Nie chcieli zbytnio przewlekać egzekucji pozostałych trzydziestu. Po pierwsze, z czystego poczucia obowiązku, a po drugie, z powodu czekającej ich premii specjalnej za wykonanie tego zadania.

Norden pochylił się nad skulonym pod murem Breslauer em, który próbował się wyprostować.

— Dobrze wiem, panie profesorze — powiedział wstrząśnięty Norden niemal tonem skargi — że chce pan teraz umrzeć. Ale dlaczego pan chce właśnie mnie zmusić do tego, bym wykonał na pana wyrok śmierci? Dlaczego tak musi być? Dlaczego nie chce pan już żyć?

— A kto może chcieć żyć na świecie, w którym szaleństwo stało się metodą?

— Niezależnie od tego, co pan przez to rozumie — próbował się oczyścić Norden — pana to nie dotyczyło. Pan osobiście nie był w niczym zagrożony. Jeszcze nawet teraz nie musi się pan poddawać. Możemy przecież powiedzieć, jestem na to gotów, że było to przejściowe zaburzenie umysłowe.

— Ja? — zapytał Breslauer z nagłym przyływem wesołości. — To ja miałbym zwariować?

Norden udał, że nie słyszy.

— Tylko przejściowe zaburzenie, dlatego prosi pan o zrozumienie. Tak trzeba zrobić. To panu pozwoli wyjść cało z tej sytuacji. Natychmiast zaalarmowałbym Müllera, a ten z całą pewnością się w to włączy. A potem da się przekonać także Wesela.

Breslauerowi, mimo dotkliwego bólu, udało się jeszcze raz uśmiechnąć. Esesmani przez całą drogę z baraku do betonowej ściany okładali go razami. Przez gęstą zasłonę spływającej krwi jego oczy zabłyśły w zachodzącym słońcu.

— Mój Boże — powiedział z jękiem — co by mogło z nas być, Norden, gdybyśmy się spotkali w innym czasie?

— Już nie czas, panie profesorze, na takie pytania. Ma pan przed sobą ostatnią szansę przeżycia. A ja chcę, żeby pan żył. I zrobię wszystko, żeby pan żył. Musi mi pan tylko trochę pomóc!

Breslauer jeszcze raz próbował się wyprostować. Podniósł się z wykrzywioną twarzą i aby móc ustać oparł się rozłożonymi rękami o ścianę. Norden zobaczył z przerażeniem, że człowiek stojący przed nim przyjął postać Ukrzyżowanego.

— Czyż nie mówi się w waszych kręgach, panie Norden, że wszystko musi mieć jakiś sens, a więc także śmierć? Dla-

czego nie chce pan uznać, że ja także próbuję nadać mojej śmierci pewien sens, kiedy zmuszam pana do wykonania wyroku? Z wszystkich ludzi, których tu spotkałem, tylko pana uważam za zdolnego do zrozumienia, co tu się naprawdę dzieje.

— Niech pan nie zapomina — powiedział gwałtownie Norden — że przysięgaliśmy na bezwzględną wierność naszemu Führerowi.

— To, czego dopuszcza się wasz Führer w Niemczech, naznaczy go nieusuwalnym piętnem po wszystkie czasy. A was razem z nim! Przekleństwem na całą wieczność! I chce pan w tym uczestniczyć?

— Pan nie jest zdolny myśleć tak jak my — krzyknął Norden w ostatecznej obronie. — Pan nas nie rozumie. Pan nie widzi, co my robimy, czego żąda od nas historia. I co może z tego wynikać. Opatrzność nas rozgrzeszy!

Breslauer przymknął oczy. Potem powiedział.

— Jeżeli tak pan to widzi, niech pan strzela. Możliwie szybko.

Z ciężkim sercem, ale idąc za głosem swego sumienia, Norden wyciągnął swój rewolwer kalibru 10,5. Skierował go w pierś człowieka, który przed nim wpół stał, wpół klęczał, i pociągnął za spust.

Breslauer osunął się na ziemię. Zwinięty w kłębek drgnął jeszcze bezgłośnie, jakby zacisnął mocno zęby. Potem leżał już nieruchomo.

W

aldemar Wesel przyjął w milczeniu meldunek Nordena o wypełnieniu zadania. Nawet nie skinął głową. A gdy Norden, sprężyście wyprężywszy ramię, oddalił się, nie popatrzył w ślad za nim, tylko napełnił nowym szampanem najpierw kielich Rauffe-ra, potem swój. Rauffer zapytał: — Jesteś zadowolony, Gruppenführer? — Czemu nie? — odparł z namysłem Wesel. — W gruncie rzeczy ten Breslauer był moim jedynym problemem,

i w dodatku niezmiernie niebezpiecznym. Teraz już nim nie jest, wreszcie został załatwiony! I to właśnie przez Nordena, mojego najlepszego, najbardziej godnego zaufania człowieka. Teraz Müller musi zdecydować, czy pójdzie do Heydricha, czy nie, właśnie dlatego, że to Norden usunął nam z drogi tę przeszkodę. Przykładny czyn symboliczny na następne tysiąc lat naszej Rzeszy!

Epilog to Lugano

Komisarz policji kryminalnej w Lugano, Fellini, ponownie udał się do pisarza H. H. w Asconie. Ten przyjął go w swoim pokoju urządzonym na kształt pracowni, której ściany stanowiły rzędy ciasno ustawionych książek, wśród nich wiele wyszło spod jego pióra, przełożonych na niemal wszystkie główne języki świata.

— Czy wciąż jeszcze chodzi o sprawę zamordowania te go pana Nordena? — zapytał z nie ukrywaną ciekawością pisarz. — Czy odkrył już pan motyw zbrodni, a może nawet i mordercę?

Luigi Fellini bezradnym ruchem rozłożył ręce.

— Zwykle motywy: korzyści materialne, działanie w afekcie, sprzeczność interesów nie wchodzą w rachubę.

— A co — zapytał nieco prowokacyjnie H. H. — myślałby pan o morderstwie na tle przekonań światopoglądowych?

— To by było możliwe — przyznał Fellini. — I dość dokładnie by przystawało do obrazu, jaki sobie wyrobiłem przez dotychczasowe dochodzenie. Ale jak udowodnić taki motyw? Zwłaszcza, że chodzi tu zapewne o działania niemieckich faszystów.

— I sądzi pan, że tak trudno rozeznąć się w ich rozgrywkach — ze zrozumieniem zauważył H. H. Zajmował się takimi sprawami przez całe życie. Ale nie dał poznać po sobie, jak bardzo go dręczyły. — Takie morderstwa na tle ideologicznym stanowią twarde orzechy do zgryzienia nawet dla wytrawnych specjalistów.

— Ależ pan jest właśnie jednym z nich! — zapewnił gorąco Fellini. — Jestem pewien, że zechce mi pan pomóc.

— Chętnie, w miarę moich możliwości. Ale nie mam żadnego archiwum, żadnych odpowiednich zbiorów dokumentów. A przynajmniej nie tyle, ile zgromadził najbardziej niewygodny świadek współczesności w Europie Środkowej, Simon Wiesenthal w Wiedniu.

— Telefonowałem do niego. Ale nazwiska Hagen, Norden czy Siegfried nic mu nie mówiły. Nie figurują w jego kartotece, dotyczącej głównie tak zwanego ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej po 1939 roku.

— A co z panią doktor Fiola z Instytutu Historii Współczesnej w Monachium?

— Z nią także odbyłem dłuższą rozmowę telefoniczną. Ale ona interesuje się przede wszystkim jednostkami wojskowymi SS, w szczególności zatrudnionymi w obozach zagłady na Wschodzie, głównie w Oświęcimiu. Ona też nie spotkała się z tymi nazwiskami.

— Jest pan zadziwiająco uparty, signor Fellini — stwierdził z uznaniem H. H. — Co się często w Szwajcarii nie zdarza. Czy pana przełożeni to pochwalają?

— Trudno mi to osądzić — wyznał Fellini. — Ale jestem po prostu pracownikiem policji kryminalnej, który zawsze próbuje wyjaśnić okoliczności każdego zabójstwa. A że zamordowany był w tym przypadku nie mniej podejrzanym osobnikiem niż jego morderca, to już zupełnie inna sprawa.

— Czy zna pan niejakiego mister Scotta?

— Nie. A kto to jest?

— Były kapitan wywiadu amerykańskiego, który po 1945 roku, dysponując znacznymi pełnomocnictwami, przeprowadzał śledztwo w sprawie służb specjalnych SS. Mieszka obecnie w Nowym Jorku.

Fellini złożył ręce. — W Nowym Jorku — powiedział z namysłem. Chętnie bym zobaczył to miasto. Ale jak taki skromny policjant jak ja mógłby się tam dostać?

— Nie może pan zadzwonić?

— Nasz budżet przeznaczają na to środki jedynie w razie ostatecznej konieczności. W tej sytuacji raczej nie pozwolą mi.

— Wobec tego — powiedział H. H. — niech pan pozwoli,

że wezmę to na siebie. Powiedzmy, jako skromny wyraz mojej wdzięczności za ogromną gościnność waszego kraju.

Połączenie Ascona-Locarno-Nowy Jork uzyskano w kilka minut. Słychać było tak wyraźnie, jakby rozmawiano z Lo-carno z Bellinzony.

Po krótkim powitaniu i nakreśleniu sytuacji pisarz przekazał byłemu kapitanowi interesujące Felliniego nazwiska. Scott zareagował natychmiast:

— Od dawna już chciałem spędzić kilka dni urlopu w Tessin. A zrobię to tym chętniej, jeśli będę mógł przy tej okazji obejrzeć sobie tego przystojnego nieboszczyka.

Niecałe dwie doby później kapitan Scott, oczekiwany na lotnisku przez H. H. i Felliniego, wylądował w Mediolanie. W ciągu godziny mercedes kabriolet pisarza powiózł ich do Lugano. A tam pierwszą wspólną akcją był posiłek — świeże prawdziwki w polencie u Cossiego przy Ponte Cre-menaga.

Po podwójnej kawie mister Scott powiedział:

— To, co mam do powiedzenia na deser, mogłoby dla pana, panie Fellini, oznaczać coś jakby cios w żołądek. Choć winienem panu uczciwie poradzić, żeby sobie pan, z praktycznego punktu widzenia, za wiele po tym nie obiecywał. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z przestępstwami popełnianymi w imieniu i za zezwoleniem państwa. A to szerokie pole działania.

— A może — zaproponował troskliwie pisarz — powinniśmy się najpierw pokrzepić naszą grappą?

— Jeżeli można, to nawet podwójną! — przystał chętnie mister Scott.

Grappa pojawiła się na stole i okazała się skuteczna. Kapitan Scott rzeczywiście przedstawił coś, co mogło się wydawać nieco ciężkostrawne.

— Jak już powiedziano, przedstawiam to z wszystkimi zastrzeżeniami — podjął Scott swoje wywody. — Wystąpili tutaj bohaterowie. — Bohaterowie stanowią główny element tej tragedii. I kiedy tacy bohaterowie powodują śmierć, a sami jej uchodzą, jest to oczywiście zajściem czysto kryminalnym, nawet mordem. Tylko czy ta historia znajdzie kiedykolwiek swego sędziego?

Z badań kapitana Scotta:

Próbowałem śledzić wszystkie ślady działalności Grupy Wesela, gdzie tylko się pojawiały, nawet jakieś słabo rozpoznawalne jej przejawy. Były to raczej podejrzenia niż rzetelne dowody. Po wypróbowaniu modelu obozu zagłady w Brzozowym Obozie pojawiły się dalsze akcje Grupy Wesela.

Po pierwsze: Działania pomocnicze w przygotowaniu napadu włoskiego partnera osi na Abisynię. Przy tym kilka nieudanych zamachów na Negusa, dwa z nich da się udowodnić. Te akcje zdarzyły się na początku października 1935 roku. Podbój tego, uznawanego za zacofany, feudalnego kraju, zakończył się w pierwszych dniach maja 1936 roku. Zastosowano tam gazy trujące. Kierownikiem najważniejszych akcji na zapleczu frontu był prawdopodobnie Norden.

Po drugie: W czasie hiszpańskiej wojny domowej podejrzewano, że w obrębie Legionu Kondora pojawiły się próby jakiegoś porozumienia z komunistami. Szybko je przerwała jednostka specjalna na zlecenie Hitlera albo Heydricha. Wykonawcą wielu egzekucji był Hagen, który naprawdę nazywa się Dietmar.

Prócz tego Grupa Wesela brała prawdopodobnie udział w wypróbowywaniu technicznych możliwości różnych rodzajów broni oraz występowała jako grupa uderzeniowa w rozmaitych bitwach. Przynajmniej jeden z jej uczestników później, po powrocie Legii Kondora w czerwcu 1939 roku i jej defiladzie zwycięstwa w Berlinie, został odznaczony wysokimi odznaczeniami, także hiszpańskimi.

Po trzecie: Należy podejrzewać udział Grupy Wesela w tak zwanej sprawie Blomberga-Frischa w 1938 roku. Tym razem wchodzili w grę Berner i Bergman, szczególnie w tym kierunku uzdolnieni. Marszałkowi Blombergowi zarzucono, że wszedł w związek małżeński z byłą prostytutką. Za pomocą przemyślnie usnutej intrygi udało się także rzucić podejrzenie na generała Frischa, że uprawia praktyki homoseksualne. Dopiero później okazało się, że podejrzenie było fałszywe.

Po czwarte: Bezpośrednio po zajęciu Austrii w 1938 roku pojawił się w Wiedniu oddział specjalny z poleceniem udzielenia wsparcia tamtejszym nazistom, w szczególności Kaltenbrunnerowi. Pomiędzy ustalonymi w związku z tą akcją nazwiskami znalazły się dwa, które mogą się tu okazać interesujące: Hermann i Siegfried.

Po piąte: Od maja do września roku 1938 dochodziło w Sudetach do krwawych rozruchów. Jednym z nich była rzeź w Weisskirchen podczas nabożeństwa wieczornego w tamtejszym kościele. Wynik: dwunastu zabitych. Niemcy twierdzili, że był to podstępny napad okrutnych Czechów. Czesi ze swojej strony próbowali dowieść, że tam Niemcy mordowali Niemców — mordercza prowokacja! Próbowano sporządzić rodzaj listy takich politycznych morderstw. Na wykazie morderców, wśród jedenastu innych znalazły się również nazwiska Hagena i Nordena. Lista owa znikła gdzieś po wkroczeniu Wehrmachtu do Sudetów w październiku 1938 roku.

Po szóste: W dniu 20 kwietnia 1939 roku Adolf Hitler obchodził swoje pięćdziesiąte urodziny. Z tej okazji Waldemar Wesel został mianowany generałem SS. Zarazem jego ludzie, wciąż owa zaprzysiężona szóstka, otrzymali awans na Brigadeführerów.

Po siódme: W dniu 23 sierpnia 1939 roku udał się do Moskwy hitlerowski minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, aby zawrzeć ze Stalinem ów historyczny pakt o nieagresji. Wesel należał wtedy do najściślejszego sztabu współpracowników Ribbentropa. Na wielu sowieckich foto grafiach z tego zdarzenia można wyraźnie rozpoznać czte rech z sześciu ludzi Grupy Wesela, stanowiących rodzaj ochrony osobistej Ribbentropa.

Po ósme: Wśród tych wszystkich wyczynów prawdopodobnie numerem popisowym był tak zwany napad na niemiecką radiostację w Gliwicach w przeddzień drugiej wojny światowej. Wyczyn nazwany przez propagandę nazistowską brutalną napaścią polskich bandytów.

Po wojnie udało się wyjaśnić okoliczności tej zbrodni. Napastnicy, przebrani w polskie mundury, byli Niemcami. I właśnie wśród nich było także sześciu ludzi z Grupy We sela. Czego zresztą można się było spodziewać.

Wyznaję, że rozpocząłem moje badania przede wszystkim pod wpływem tego niepojętego wprost wydarzenia. Zabijanie rzekomych wrogów, rozprawianie się z konkurencyjnymi gangami, mordy na zamówienie — to wszystko w dyktaturach i syndykatach zbrodni wykonują jako zwykłe zadanie rozmaite grupy przestępcze. Ale tu pojawiało się coś nie do pojęcia: wymordowanie własnych ludzi dla ma-kiawelicznego celu. Potem powiem o tym więcej. Najpierw niech skończę moją prawdopodobnie bynajmniej niekompletną listę ich wyczynów.

Dziwiątę: Bezpośrednio po dniu 1 sierpnia — a więc w czasie kampanii polskiej, doszło prawdopodobnie do dalszych akcji specjalnych. Jedną z nich była akcja propagandowa, wspierana umyślnie do tego celu okaleczonymi zwłokami. Jak na przykład w Polsce, koło Mławy, gdzie miano znaleźć niemieckiego spadochroniarza z rozprutym brzuchem, obciętymi jądrami i z wyłupionymi oczami. Ten straszliwy czyn odkrył i natychmiast o nim zameldował niejaki Berner wraz z człowiekiem o nazwisku Bergmann.

Aby położyć tymczasowo kres tym wyliczeniom, wreszcie punkt dziesiąty: wieńczące wszystko odkrycie dotyczące śmierci Hitlera w bunkrze w Kancelarii Rzeszy w dniu 30 kwietnia 1945 roku. Według dokumentów sowieckich znajdował się tam wówczas mężczyzna nazwiskiem Norden. Co się z nim dalej stało, nie udało się ostatecznie ustalić, tak jak i miejsca pobytu Reichsleiters Bormanna, który miał podobno spłonąć w czołgu. W każdym razie Norden znikł. Ale, jak się okazuje, nie na zawsze.

Cóż za ogrom materiału! — zdumiał się Fellini. — Jeszcze i teraz dałoby się to wykorzystać. Nie sądzi pan, mister Scott?

— Nie, nie sądzę — powiedział pobłaźliwie Scott. — To, co tu panom właśnie wyłożyłem, są to jedynie moje przypuszczenia. Wprawdzie w pełni uzasadnione, uprawnione, ale nie dające się w pełni udowodnić. Najważniejsi

świadkowie, których słowo mogłoby mieć decydujące znaczenie, albo nie żyją, albo też z takich czy innych względów nie mogą złożyć zeznań. Czy przeszedł pan kiedykolwiek któryś z tych procesów w sprawie obozów koncentracyjnych?

— Nie — odpowiedział Fellini.

— Wobec tego nie może pan wiedzieć, co to znaczy występować w takim procesie jako świadek. Człowiek jest przy tym narażony, po pierwsze, na kpiące uśmiešky oskarżonych, którzy w odpowiedzi na każde zeznanie mają świadków dowodzących, że to potwarz z żądy odwetu; następnie na świdrujące przepytывanie przez adwokatów, którzy próbują wykazać niepoczytalność świadków; a do tego jeszcze ich klienci — oprawcy obozowi i tym podobne typy — oczywiście całkiem niewinni. I wreszcie spokojny, uparty sceptycyzm prawników zachodniemieckich, którzy nie mogą sobie wprost wyobrazić, że kiedyś najbardziej brutalna samowola była czymś w rodzaju normy prawnej.

— Jeżeli taka jest pańska opinia, mister Scott — zapytał Fellini — to dlaczego pan tu przyjechał?

— Aby wreszcie zobaczyć na własne oczy jednego z tych ludzi, których ściagałem przez pół życia.

— Ale tylko jako trupa, mister Scott.

— Właśnie dlatego — odpowiedział ochryłym głosem.

Teraz włączył się do rozmowy pisarz, który z ogromnym zainteresowaniem przysłuchiwał się słowom kapitana:

— Czy mogę coś zaproponować? — Dopuszczono go do głosu, więc powiedział: — Przed nami może być bardzo długa noc. Musimy się do tego przygotować.

Po czym przywołał signora Cossiego, gospodarza, i zamówił pełną butelkę grappy i do tego dwa dzbany kawy. Poprosił jeszcze, by na drzwiach wywieszono napis: „Impreza zamknięta: włosko-niemiecka”.

Następnie powiedział:

— Jestem pewien, mister Scott, że możemy panu zaofiarować coś więcej niż widok przystojnego nieboszczyka. Tak że rzut oka na pamiątnik tego Heinza-Hermann Nordena.

A na początek sensacyjny urywek, dotyczący śmierci Hitlera.

Spojrzał porozumiewawczo na Felliniego i sięgnął szybkim ruchem do swojej teczki. Podawał Amerykaninowi jeden po drugim zapisane arkusiki papieru, jakby rozdawał karty do gry w pokera.

Zapiski Heinza-Hermannna Nordena odnalezione w Lugano. Chodzi tu przy tym, o drugą wersję z istniejących trzech, nieznacznie się od siebie różniących:

Wkrótce po swoich ostatnich urodzinach, któreśmy godnie świętowali, Führer wezwał mnie do siebie. Podał mi rękę. Po jego twarzy przebiegało drżenie, jakby dolegał mu jakiś dotkliwy ból. Tylko jego oczy zachowały niezmaconą jasność.

— Przyjacielu Norden — powiedział do mnie Führer — nadeszła godzina rozstania. A wraz z nią godzina ostatniej próby wierności. Chcę i muszę ją wypróbować na jednym z moich najbardziej zaufanych ludzi. Na tobie. Czy jesteś gotów?

— Tak, Führer! — odparłem.

— Sporządziłem testament — ciągnął Führer dalej. — A wróg stoi już u bram. Od kilku dni myślałem wciąż o tym, aby stąd wyjść z bronią w rękę. Żyłem dla mego niemieckiego narodu, walczyłem i cierpiałem dla niego. Wzniósłem go na wyżyny, ale jak teraz widać, nie zniósł on ostrego powietrza tych wyżyn. Jeśli teraz ginie, to zasłużył sobie na ten upadek. Zbyt wielu padło już na polu chwały. Moim najgorętszym życzeniem w tej godzinie było, by podążyć za nimi i polec jako żołnierz frontowy, którym byłem, gdy rozpoczynałem tę walkę o Wielkie Niemcy. Czy pójdziesz ze mną w tę ostatnią drogę?

— Tak, Führer! — odpowiedziałem.

— Dziękuję ci, Norden. Tego właśnie od ciebie oczekiwałem. Ale tak nie będzie. Muszę pomyśleć, co by się stało,

gdybym nie poległ, gdybym tylko ranny dostał się w ręce wroga...

— To, Führer — powiedziałem, w pełni świadom strasznego wymiaru takiej ewentualności — stać się nie może! W żaden sposób! Nigdy!

— A więc tak się nie stanie — powiedział Führer. — Nie stanie się, jeśli jesteś gotów wyświadczyć mi ostatnią przysługę. Powiedziałem ci, że sprowadziłem cię tu, aby wypróbować twoją wierność. Próba tą będzie rozkaz. Jeszcze raz cię pytam: Czy jesteś gotów go wykonać?

— Tak, Führer — powiedziałem, a on, zanim odszedł, podał mi rękę.

Nie trwało to już długo. Potem pomogłem im się zabić, jemu i jego żonie, Evie Braun, i kres obojga uchronić zarówno przed wzrokiem ciekawskich, niegodnych tego widoku, jak i przed dostaniem w ręce wroga. Gdy już zażyli truciznę, strzałem skróciłem ich konanie. Zwłoki na dziedzińcu oblano benzyną i doszczętnie spalono.

Przyznaję, że na ten widok ogarnęło mnie najgłębsze, przemożne wzruszenie. Płakałem.

Co pan na to powie, mister Scott? — zapytał pisarz H.H. — Cóż ja mogę powiedzieć? — zapytał nieco pobłaźliwie. — Że jestem głęboko wzruszony? Nie, nie jestem. W tych ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy rozpuł się rodzaj piekła, którego by żaden Dante nie potrafił opisać. Byłem świadkiem wyzwalania obozów koncentracyjnych. To, co wtedy przyszło mi oglądać, tak mną wstrząsnęło, że byłem wprost chory od tego. Jeszcze dziś mam w oczach te koszmarnie sceny.

— Nie uważa pan tych pamiętnikarskich zapisków Nor-dena za zakłamane? — zapytał Fellini.

— Za zakłamane nie — powiedział Scott — ale za niepotrzebne.

H. H.: Chce pan przez to powiedzieć, że można by spokojnie wrzucić do kosza te zapiski jako egocentryczne wyznania osoby postronnej?

Scott: Człowiek taki jak ów Norden może nam się dzisiaj istotnie wydawać osobą postronną, ale wówczas był jedną z głównych osobistości Trzeciej Rzeszy. Sądząc z tego, co o nim wiadomo, był idealistą. Był człowiekiem wierzącym, ale to zupełnie co innego niż działający w dobrej wierze. Nie można o tym zapominać.

Fellini: Te zapiski przecież, mister Scott, z punktu widzenia prawnego nie przedstawiają żadnej wartości. Żadne zaświadczenie ani zaprzysiężenie nie potwierdza wiarygodności ich autora.

— A co ze świadkami? — dopytywał się H. H. — Sądząc po tym, co pan nam tu przedstawił, musiał ich pan przepytować chyba całe tuziny.

— Znacznie ponad setkę — oświadczył były kapitan. — Ale co to za świadkowie! Kierowca, który wciąż twierdził, że nic nie wie, że on sam jest w każdym razie czysty. Czy też ogrodnik, kucharka albo służąca — wszyscy z owymi fatalnymi, zabezpieczającymi ich zdankami: „Tak mogło być”, „To byłoby nawet możliwe”, „Tak dokładnie to tego nie wiemy”.

— A świadkowie z kręgu partii, jednostek specjalnych, SS?

Scott roześmiał się krótko.

— Ci są wszyscy niewinni. Ich wypowiedzi miały tylko jeden wspólny mianownik: naprawdę winien był w zasadzie jeden. Jeden jedyny. Hitler!

— A pozostałe przy życiu ofiary?

— Traktowano je przeważnie jak ofiary wypadków drogowych, nieuniknionych przy toczących się kołach historii. Mogą o sobie mówić, że miały szczęście przeżyć. Całkowicie rozumiem, że milczą, nie chcąc jeszcze raz wracać do swoich wspomnień.

— Próbował pan jednak — powiedział pisarz — z kamyczków tej mozaiki ułożyć jakiś czytelny obraz?

— Tak. I to nawet z pewnym skutkiem. Ale później złożono wyniki moich badań, a i mnie samego, na ołtarzu poli-

tycznych stosunków czy też, jeśli chodzi o mnie, konieczności. Sporządziłem wtedy, w 1954 roku, notatkę służbową. Oto ona.

Notatka służbowa kapitana Scotta sporządzona tuż przed wycofaniem go z czynnej służby:

Odprawa u generała Jamesa Clarka w Kwaterze Głównej w Wiesbaden dnia 1 sierpnia 1954 roku, godz. 10.00 do 12.00 czasu środkowoeuropejskiego. Złożyłem raport z moich ustaleń śledczych ułożony w dziesięciu punktach. Wyjaśniam przy tym, że przedłożone przeze mnie materiały, dotyczące działalności pewnej jednostki specjalnej SS, upoważniają do wszczęcia przeciwko niej postępowania karnego, jeśli należy to do kompetencji niemieckich sądów.

Po zaznajomieniu się z przedłożonym mu materiałem po głębokim namyśle generał oświadczył:

— Z tym daleko nie pójdziemy. To nas tylko spycha wstecz. Moja odpowiedź, cytując ją dosłownie, brzmiała:

— Czy pan myśli, generale, że czasy się aż tak zasadniczo zmieniły?

Generał Clark ciągnął dalej:

— Polityka Stanów Zjednoczonych jest zawsze jasna i wyraźna, w przeciwieństwie do polityki sowietów, z którymi w czasie ostatniej wojny byliśmy przejściowo związani. Im chodzi o zawładnięcie Europą, a także o kierunek polityczny, któremu Stany Zjednoczone muszą się z całą mocą przeciwstawić. I właśnie dlatego potrzebujemy godnych zaufania sprzymierzeńców, a także być może potencjalnych towarzyszy broni. I to lepiej dzisiaj niż jutro.

— Ale czy to mają być właśnie Niemcy, generale?

— A dlaczego nie, kapitanie? Jedynie Niemcy budzą pewien respekt w sowietach. I trzeba z tego skorzystać, Scott. A już przede wszystkim nie ma po co Niemców niepotrzebnie szokować. A na takie właśnie ryzyko narażają pańskie

ograniczone i ostatecznie nie w pełni udowodnione podejrzenia, których rozpowszechnianie i robienia z nich użytku panu bynajmniej nie zlecałem.

A w dalszym ciągu rozmowy generał jeszcze powiedział:

— Nie mogę pozwolić na prowadzenie tych badań także dlatego, że wchodzi, jak się zdaje, bezpośrednio w zakres działań amerykańskiej administracji wojskowej i cywilnej.

I dlatego są dla nas nieprzydatne.

Co miał wówczas na myśli generał, mówiąc o tym? — zapytał pisarz. — To, żeby przestępcy pewnej jednostki specjalnej SS mieli odgrywać jakąś rolę w strefie amerykańskiej, to przecież czysto absurdalne przypuszczenie.

— Niezupełnie — powiedział kapitan Scott. — Zwłaszcza jeśli się narzuci pewne oficjalne niemal niedostrzegalne zależności. Ale o tym pomówimy później. Tymczasem zostaliśmy tam, gdzie stoimy. Jestem ciekaw, signor Fellini, czy natrafił pan przy prowadzeniu tego śledztwa na nazwisko, którego z pewnością nie należy przeoczyć. Na hrabiego von Tannen.

— W spuściznie Nordena — poświadczył Fellini — znaleźliśmy wiele listów, przynajmniej z lat 1935 do 1939, pisanych przez jakąś hrabiankę Elisabeth von Tannen.

— Właśnie ta osoba niesłychanie mnie interesuje! — wykrzyknął uradowany mister Scott. — Czy są w tych listach jakieś konkretne dane, dotyczące nazwisk, dat, miejsc? A przede wszystkim liczb?

— Nie, nic podobnego — opowiadał Fellini. — Są to tylko czułe, niemal sentymentalne listy miłosne, ale utrzymane w stylu niedomówień, gdzie wszelkie decyzje odkłada się na później.

— Jakież to typowe dla hrabianki! — wykrzyknął ze śmiechem Scott. — To cała ona!

— Pan ją zna? — spytał zdziwiony H. H. — Jeżeli o mnie chodzi, to przed kilku laty poznałem ojca tej damy. Uchodził

za zdecydowanego, czynnego przeciwnika Trzeciej Rzeszy. Wyemigrował dość wcześnie i mieszkał w Zurychu. A teraz znów powrócił do swojej rezydencji Wasserschloß koło Passawy. Uważa się go za jednego z najbogatszych ludzi w Republice Federalnej Niemiec.

— I wciąż nie może przeboleć śmierci swojej ukochanej córki — dorzucił Fellini w zamyśleniu. — Pieniądze na tym świecie to jeszcze nie wszystko.

Scott roześmiał się głośno.

— Na miłość boską, signor Fellini, skąd panu przyszły do głowy takie bzdury!

Fellini obruszył się na słowo „bzdury”, a potem wyjaśnił:

— Jakież piętnaście lat temu znaleziono w kantonie Tes-sin, a dokładnie w okręgu San Bernardino, zwłoki pewnej kobiety, podobno ofiary lawiny. Ciało było już w stanie rozkładu, a więc trudne do zidentyfikowania. Przynajmniej wtedy nie wiadano, kto to jest.

— Ale potem uznano, że mogłyby to być zwłoki hrabianki Elisabeth? — Amerykanin jakby osłupiał ze zdziwienia.

— Kilka tygodni, a może nawet miesięcy później — opowiadał dalej Fellini — pojawił się hrabia von Tannen i zgłosił zaginięcie swojej córki. Skierowano go do Bellinzony, gdzie znajdowały się wszystkie materiały dotyczące tej sprawy, a on po zapoznaniu się z nimi oświadczył, że jest przekonany, że może tu chodzić o jego córkę Elisabeth.

— Powoli zaczynam rozumieć, co tu się miało rozegrać — powiedział mister Scott z kpiącym uśmiechem. — A wkrótce potem pojawił się w Lugano ów Norden, aby objąć przy tym grobie rolę rycerza Graala.

— Jak wynika z zeznań świadków, signor Norden osobiście opiekował się grobem i składał na nim kwiaty. Szczególnie w trzy dni każdego roku.

— Niech mi pan pozwoli zgadnąć, jakie to były dni — zwrócił się Amerykanin do Felliniego. — Po pierwsze, 1 maja, to był dzień ich pierwszego spotkania, a także dzień urodzin Nordena; po drugie, 10 października, urodziny hrabianki, i wreszcie bukiet kwiatów składał Norden również w przypuszczalnym dniu śmierci osoby, która została tam pochowana.

— Dokładnie tak — stwierdził zadziwiony Fellini. — No i co z tego wynika?

— Ze próbowano tutaj, z pożałowania godnym wynikiem, ostatecznie uwikłać tego niepojętego marzyciela Nordena w sieć wrodzonego mu sentymentalizmu. Być może próbował się z tego wyzwolić i niejako zmusił przez to swego długoletniego rywala, by ten ostatecznie usunął go z drogi.

— Czy to pana domysły, mister Scott, czy wie pan coś na ten temat?

— Po zwolnieniu mnie ze służby, prowadziłem dalsze poszukiwania. I przy tym, przed kilku laty, natknąłem się przy lekturze jakiegoś doniesienia z życia wyższych sfer w Ameryce na nazwisko, które już znałem. Byłej niemieckiej hrabianki.

— Jak to przed kilku laty? — zapytał Fellini z niedowierzaniem. — A więc nie przed dwudziestoma laty? Jeżeli zatem dobrze pana rozumiem, znaczyłoby to, że hrabianka Elisabeth żyje!

— I to jak żyje! — stwierdził Amerykanin, delektując się każdym słowem: — W fantastycznych warunkach! Wystarczy wymienić: niemal feudalna rezydencja w Chicago, willa w Miami Beach, luksusowa kamienica w Nowym Jorku ze wspaniałym widokiem na Central Park. Ale dla męża hrabianki są to tylko bagatelki.

— A kto jest jej mężem?

— Pewien wysokiej klasy businessman: wiceprezes koncernu stalowego, członek rady nadzorczej jednego z banków centralnych, członek zarządu dwóch innych banków, do tego główny akcjonariusz pewnego koncernu prasowego, a także towarzystwa ubezpieczeniowego oraz sieci handlowej. Wiadomo także o jego poważnych udziałach w przemyśle chemicznym, transporcie i komunikacji.

— Jak się nazywa?

— Jamec d. Hagen.

Pisarz H. H. chwycił za butelkę grappy, ale była już pusta. Natychmiast gromkim głosem zażądał następnej.

Fellini szybkim ruchem napełnił po brzegi swoją filiżankę czarną kawą. Scott popatrzył na obu z pobłażliwym uśmiechem i położył przed nimi dalsze swoje notatki.

Notatki byłego kapitana Scotta, obecnie współpracownika wielu wpływowych dzienników, między innymi „New York Timesa” i „Washington Post”:

Rozmowa z mister Jamesem D. Hagemem w tak zwanym Wieżowcu Capitol, na najwyższym piętrze, w jego prywatnym biurze. Spotkanie doszło do skutku po wielu próbach umówienia się najpierw telefonicznych, potem za pośrednictwem zaprzyjaźnionych dziennikarzy, a wreszcie przy pomocy dwóch senatorów. Przebieg rozmowy, którą właściwie stanowił monolog mister Hageny, przytaczam tu pokrótce:

— Panie Scott, długo i nie bez oporu oswajałem się z myślą, że tu, w wolnym kraju, mógłbym zostać wyzyskany jako cel podejrzanych napaści. Przyczyną ich jest zapewne moje pochodzenie. To, że tak jak Einstein czy Wernher von Braun, urodziłem się w Niemczech. To wiadomo. Jestem już od ponad dziesięciu lat obywatelem waszego kraju. I to nie tylko na papierze. Niech to będzie nasze wstępne ustalenie.

Wiem jednak o tym, że krążą o mnie rozmaite dwuznaczne pogłoski, celowo rozpowszechniane przez pewne czynniki. Ale, podkreślam, nie mające żadnego uzasadnienia.

— Jak długo, mister Haggen, mieszkał pan w Niemczech?

— Do 1939 roku mieszkałem w Monachium, a ściślej mówiąc w okolicach Monachium.

— Czy należał pan do jakiejś formacji wojskowej?

— Skąd panu to przychodzi do głowy, mister Scott? Pracowałem zawsze jako inżynier, jako technik w rozmaitych dziedzinach, przy budowie dróg, w budownictwie, w firmach samochodowych. Można to sprawdzić.

— Czy także przy wznoszeniu baraków?

— Także i przy tym. Ostatecznie człowiek musiał żyć, a właściwie mówiąc: przeżyć. I próbowałem tego tak samo jak miliony innych. Oszczędzone mi było wkradanie się w łaski panującego wówczas reżimu. Miałem szczęście spotkać hrabiego von Tannena, zdecydowanego przeciwnika Trzeciej Rzeszy. Już na kilka lat przed rokiem 1939 związałem się z nim przeciw knowaniom i metodom Hitlera i jego świty.

Wyemigrowałem wtedy do Zurychu. Pracowałem wówczas dla hrabiego i zarazem dla różnych organizacji emigracyjnych. Udało mi się wtedy pomóc urządzić się wielu politycznym zbiegom, wśród nich kilku Żydom. Gdyby ktokolwiek tego żądał, mogę przedstawić kilkadziesiąt świadectw wyrazów podziękii i uznania. W jednym z nich określa się mnie nawet jako anioła stróża prześladowanych.

Te sześć trudnych lat wojny od 1939 do 1945 roku dla mnie też nie były łatwe. Ale jakoś przetrwałem. Zaraz po wojnie okazało się, że pewne wielkie firmy amerykańskie chciałyby współpracować z naszą zurychską międzynarodową firmą patentową. Hrabia nawiązał odpowiednie stosunki. A ja nie miałem nic przeciwko temu.

W 1946 roku pojechałem wraz z hrabią, jako jego najbliższy współpracownik, do Stanów Zjednoczonych. Już w Zurychu bardzo się do siebie zbliżyliśmy — oddał mi nawet rękę swojej córki. On powrócił później do swojej ukochanej ojczyzny, my zaś, moja żona i ja, pozostaliśmy w Stanach.

I to byłoby wszystko, co miałem do powiedzenia. Ja jestem businessmannem, moja żona pracuje w instytucjach do-broczynnych. Oboje jesteśmy obywatelami amerykańskimi i czujemy się szczęśliwi w tym kraju.

Zadowolilo to pana? — zapytał pisarz. — Oczywiście, że nie — powiedział Scott. — Był to dla mnie tylko jeszcze jeden kamień do rekonstrukcji tego gigantycznego gmachu utajonego bezprawia. Tego właśnie poszukiwałem.

— A znalazł pan więcej takich kamieni? — zapytał Fellini.

— Oczywiście, że znalazłem — powiedział Scott. — Mogę wymienić na przykład taką sprawę: Przy moich dochodzeniach często natykałem się na nazwisko niejakiego Breslau-era, pewnego żydowskiego profesora, który, jak się zdaje, znał Wesela i Müllera; a nawet można by sądzić, że był w jakimś sensie zaprzyjaźniony z owym osławionym Müllerem z Gestapo.

— Żyd zaprzyjaźniony z szefem Gestapo?

— A dlaczego by nie? Czy cokolwiek było wtedy niemożliwe? W każdym razie bratanek tego profesora, mieszkający w Bostonie, udostępnił mi jego zapiski. W gruncie rzeczy zwykle skargi emigranta, jedna niekończąca się pieśń o utracie wolności, godności, miłości, bezpieczeństwa, mienia. Potem jednak kilka zdań, które nawet sobie przepisałem, ale znam je zresztą na pamięć:

„Oni są naznaczeni śmiercią, ale nie podejrzewają nawet, że śmierć idzie za nimi krok w krok. Przeraża się, kiedy ją poznają. A następstwa będą straszliwe!”

— Kogo on miał na myśli? Żydów?

— Nie. Myślał o hitlerowskich Niemcach.

— A co się stało z tym Breslauerem?

— Był przecież Żydem w Niemczech — powiedział mister Scott, jak gdyby to już mówiło wszystko. — Wiem tylko, że w pierwszych latach hitleryzmu zetknął się z Grupą Wesela. Potem ślad po nim zaginął.

— Być może niezupełnie — stwierdził H. H. — Można coś o tym wyczytać z zapisków Nordena.

Dalsze wyjątki z zapisów badań kapitana Scotta:

W połowie sierpnia 1939 roku, a więc tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, jak się zdaje Grupa Wesela została rozwiązana. Przymuszczałnie dlatego, że jej poszczególni członkowie otrzymali indywidualne poważne zadania. Przy czym Wesel niemal genialnie rozwiązał najbardziej drażliwy problem personalny swojej grupy, a mianowicie rywalizacji między Nordenem a Hagenem. Wysłał Hagen w tajnej misji do Zurychu, a więc prosto w ramiona hrabianki Elisabeth. Musiało to niewątpliwie wzbudzić najwyższą zazdrość w Nordenie.

W jeden tylko sposób można było uśmierzyć ból Nordena: wzniesć go na szczyty. Został więc przydzielony do oso-

bistej dyspozycji Führera. Mógł w tym nareszcie znaleźć potwierdzenie, że to on właśnie był numerem pierwszym w tej elitarnej grupie.

Bernera i Bergmanna przydzielono do gospodarczo-administracyjnej służby przy Komendzie Głównej SS, gdzie otrzymywali zadania specjalne, szczególnie przy wznoszeniu obozów zagłady. Wywiązywali się z nich wzorowo. Zaraz po wojnie, dzięki milionowym kontom w bankach szwajcarskich, udało im się założyć nader intratną sieć domów publicznych w Ameryce Południowej, od Mexico City po Rio de Janeiro i Buenos Aires. Zabił ich tam jakiś przygodny turysta, który zaczął do nich nagle strzelać jak oszalały. Był to chyba ktoś z Izraela.

Hermann i Siegfrieda zatrudnił Heydrich i obarczył ich różnymi zadaniami specjalnymi.

Podczas zamachu na Heydricha w Pradze w 1942 roku towarzyszył mu Hermann. Obaj zmarli na skutek odniesionych ran.

W akcji odwetowej, w której padli wszyscy mieszkańcy wsi Lidice, wraz z kobietami i dziećmi, łącznie ponad sto osób, najprawdopodobniej brał udział Siegfried.

Potem jak gdyby daje nura. Przy moich badaniach natrafiłem raz czy dwa na jego ślad w otoczeniu szefa Gestapo Müllera. Powierzano mu tam także zadania specjalne. Obaj przepadli gdzieś w ostatnich dniach wojny. Po Müllerze zaginął wszelki ślad, Siegfried zaś chyba jeszcze żyje.

— A co się stało z Weselem? — zapytał pisarz.

— Sam bym chciał to wiedzieć — odparł Scott z żalem. — Odkryłem tylko tyle, że Hitler zawsze wysoko cenił Wesela jako swego doradcę. Jego nazwisko pojawia się najczęściej wśród uczestników narad w Kwaterze Głównej Führera.

— Czy jeszcze żyje?

— To bardzo mało prawdopodobne. Musiałby już osiągnąć wiek biblijny. Jego najbliższego powiernika, tego Raffaela, znaleziono zastrzelonego w 1944 roku zaraz po zamachu na Hitlera. I w tym momencie urywają się wszelkie ślady po Weselu. Ale to jednak nic nie mówi. Taki człowiek jak Wesel był dostatecznie mądry, by się uratować. Ale na pewno nie tu, w Szwajcarii, gdzie mógłby łatwo stać się osobą podejrzaną.

— Powinien coś o nim wiedzieć hrabia von Tannen. Pytał go pan o to?

— Pytałem, ale łatwo zgadnąć, z jakim rezultatem. Hrabia tylko wzruszył ramionami. A jego komentarz brzmiał: Człowiek taki jak on nie należy do mojego świata. Żałuję, że go kiedykolwiek spotkałem.

— Skoro oficjalnie nie żyje już Wesel, a teraz zamordowano Nordena, to z pierwotnej grupy pozostało jedynie dwóch: Hagen i Siegfried.

— Nie tylko Hagen i Siegfried — poprawił przezornie Amerykanin. — Hagen i kierowany przez niego jako jego przyboczny, Siegfried oraz w zapleczu hrabia. Zresztą Hagen jest jego zięciem. A w ogóle, *to* bardzo zaniepokoiło go moje dochodzenie.

— Czy to znów tylko przypuszczenie?

— Z początku i mnie się także to wydało tylko przypuszczeniem, dopóki nie zapoznałem się tu z zapiskami Nordena. I właśnie tu leży klucz do tej ostatniej zbrodni. Siegfried odszukał Hagena w Ameryce, a ten z całą swoją bezwzględnością napuścił go na Nordena. Niewątpliwie podejrzewając, że pięknoduch Norden zechce spisać historię swego życia albo zgoła Grupy Wesela. I Hagen wmawiał w Siegfrieda, że to zdrada! Zdrada tajemnicy, której przysięgali dochować.

— Hagen wmówił więc Siegfriedowi, że ten Norden może być niebezpieczny.

— I był rzeczywiście, dla ostatnich nazistów! Snuł tu swoje filozoficzne rozważania, zdobył sympatię jako prywatny profesor, a także jako romantyczny opiekun grobu w Lu-gano. Być może, próbował nawet odnaleźć Hagena. Wybrał się w minionych latach dwukrotnie do Ameryki. Co mogło im się wydać podejrzanym.

— W każdym razie musieli teraz — wtrącił Fellini — akurat u nas w Szwajcarii wkroczyć znów do akcji. To przecież wręcz wyzwanie dla nas! Musimy coś postanowić! Ale co?

Na to pytanie Scott, były oficer służb specjalnych USA, miał kilka konkretnych propozycji:

— Po pierwsze, pozwolę sobie poradzić panu, panie Felini, aby pan sprawdził wszystkich gości, którzy w ciągu ostatnich siedmiu dni zatrzymali się w hotelach w Lugano.

Wchodzą tu przy tym w rachubą tylko najbardziej znane i ekskluzywne. Tacy ludzie, z jednej strony, mają wysokie wymagania, a z drugiej, pragną zachować pewną anonimowość. W małych hotelikach od razu rzucaliby się w oczy, a w luksusowych apartamentach są mniej widoczni.

Po drugie, chciałbym obejrzeć zwłoki tego Nordena. Mógłby pan mi to umożliwić, signor Fellini? Dobrze! A więc jutro, a raczej dzisiaj, bo przecież północ już dawno minęła. Sądzę, że będę mógł, jak to się mówi, zidentyfikować Nordena.

Po trzecie: Pogrzeb powinien się odbyć następnego dnia. I należy go pochować na tym samym cmentarzu, na którym leży ta nieznaną zmarła, która uchodziła za hrabiankę Eli-sabeth. I to możliwe gdzieś w pobliżu tamtego grobu. Da się to zrobić?

— Dokładnie obok — potwierdził Fellini. — Tak to było zaplanowane.

Scott zerknął z uznaniem na Felliniego. Można powiedzieć, że obaj nadawali na tej samej długości fali.

— Czy można by, to po czwarte, uczynić z tego pogrzebu sprawę publiczną. Bez szczególnego rozmachu, ale ze wzmiankami w lokalnej prasie? To znaczy we wszystkich gazetach Tessin, których jest zaledwie pięć. Cztery z nich ukazują się po włosku, ale najważniejsza jest ta piąta, w języku niemieckim, „Sudschweiz”. Da się to zorganizować?

— Bez żadnych trudności, mister Scott — potwierdził policjant. — Mogę także spowodować, żeby rozwieziono koło stu reklamowych egzemplarzy „Sudschweiz” do wszystkich hoteli i pensjonatów, by położono je jako rodzaj dodatku do śniadania przy nakryciach wszystkich gości niemieckojęzycznej eh.

— Znakomicie! — potwierdził z uznaniem Amerykanin. — Pan chyba orientuje się dokładnie, do czego zmierzam.

Fellini skinął głową i spytał:

— Zna pan tego Siegfrieda?

— To jest zupełnie możliwe — powiedział Scott. — Śledzę go już od ponad dwudziestu lat. Dokładnie wiem, jak wygląda, z licznych opisów, które mi jeszcze potwierdzały pewne zdjęcia. Można też przyjąć, że on również zna mnie. Wrogowie się znają!

— Czy mógłbym zobaczyć jakąś jego fotografię?

— Oczywiście, signor. Przyniosę panu najlepszą z nich, ze starannym powiększeniem szczegółów, jak się spotkamy przy oględzinach zwłok. Jeśli pan chce, może pan ją zatrzymać i dołączyć do akt.

— A byłby możliwy jeden egzemplarz dla mnie — poprosił pisarz. — A ściśle mówiąc, dla mojego przyjaciela, który raz się spotkał z tym Siegfriedem.

— Kiedy? Gdzie?

— W sierpniu 1935 roku. W obozie specjalnym w Bawarskim Lesie.

— Mój Boże! — wykrzyknął poruszony Amerykanin. — Jeżeli jest prawdą, że go widział, to mogło to być tylko w tamtym obozie, który wtedy był zbudowany jako model przyszłych obozów zagłady! I ktoś go przeżył? I ten ktoś widział Siegfrieda w działaniu? A może także innych członków Grupy Wesela? Nar przykład Hegena? Gdzie jest ten człowiek?

— Tu, w Lugano. Odwiedza swoją matkę. I właśnie spotkał Siegfrieda. W centrum miasta.

— To byłby wreszcie naprawdę uchwytny dowód! Muszę go zobaczyć! Mógłby pan to załatwić?

— Kiedy tylko pan zechce.

Kilka godzin później Fellini, Scott i pisarz znaleźli się w szpitalu w Lugano. Policja w Tessin nie miała własnej kostnicy. Mogłaby ją z pewnością zbudować, ale nie było to szczególnie potrzebne. Wypadków śmiertelnych, nawet w wyniku ruchu ulicznego, było niewiele.

Trzej przybysze, którzy spotkali się w małym, sterylnie czystym pomieszczeniu, wyglądali na zmęczonych i wyblakłych — może sprawiło to światło neonów w pozbawionym okien pokoju, a może przeżycia ostatniej nocy. Na znak Felliniego pracownik szpitalny wyciągnął jedną z wbudowanych w ścianę szuflad, w której na ruchomej półce leżały zwłoki mężczyzny.

Ukazał się im Heinz-Hermann Norden, sztywny i zimny, ale nawet teraz jeszcze promiennie jasny. Pod jego zamkniętymi powiekami można się było tylko domyślać stalowoniebieskiego koloru oczu.

— To on — stwierdził w skupieniu Scott. — Prawie się z biegiem lat nie zmienił, nie licząc zwykłych oznak postarzenia się. Ale w gruncie rzeczy jego twarz już w młodzieńczych czasach przybrała ten wyraz zdecydowania.

— I to ma być człowiek — zauważył z ostrożnym niedowierzaniem pisarz — przed którym tylu Niemców drżało? A którego inni ubóstwiali?

— Zwłoki — wyjaśniał pobłaźliwie Fellini — zawsze wprowadzają w błąd. Zwłaszcza ludzi, którzy przedtem ze zmarłym nie mieli nic do czynienia. Zawsze są jakieś małe, niepokazne, niemal nieważne. Jakby ten ktoś nigdy nie żył.

Późnym popołudniem Scott, Fellini i pisarz znów się spotkali. Po przywitaniu Scott wręczył policjantowi fotografię wielkości pocztówki. Ten wziął ją do ręki i przyglądał się jej podejrzliwie.

— A więc to jest ten Siegfried!

— Tylko sprzed trzydziestu pięciu lat. W Moskwie. W związku z podpisaniem niemiecko-sowieckiego paktu między Ribbentropem a Stalinem. Wesel, Norden i Siegfried towarzyszyli wówczas ministrowi spraw zagranicznych. A Rosjanie fotografowali wtedy wszystko, co im tylko wpadło pod obiektyw.

— Wiecie, kogo mi ten człowiek przypomina? — powiedział Fellini. — Jakiegoś germańskiego boga. Tak sobie wyobrażam Baldura.

— A więc on tak wygląda — powiedział pisarz H. H., patrząc w zamyśleniu na fotografię. — Jak bohaterski tenor w *Zmierzchu bogów*. Od tego czasu prawdopodobnie stał się przystojnym starszym panem. A jednak jest w nim coś przerażającego. — Zwrócił się do Scotta. — Pewnie to pana nie ucieszy, mister Scott — powiedział do niego drętym

głosem — ale nie pokażę tego zdjęcia mojemu przyjacielowi, o którym panu opowiadałem. Scott stanął głęboko zawiedziony.

— A jeśli on wie coś, co mogłoby rozstrzygnąć sprawę? Może by mógł zidentyfikować tego Siegfrieda? Może także innych, nawet Hagena? A może by zechciał stanąć jako świadek?

— Nie — powiedział zdecydowanie H. H. — W takim przypadku bym mu to odradzał. Nie powinien, jestem o tym teraz przekonany powracać myślami do tamtych czasów zagłady. Jemu by to bardziej zaszkodziło, mister Scott, niż panu pomogło. A oceniając trzeźwo, co pomogłoby to pańskim badaniom?

— Do diabła! — wykrzyknął Scott oburzony. — Człowiek całe życie się trudzi, aby pomóc wam Żydom wyrównać wasze rachunki, żeby dowieść winy za masowe morderstwa na was i chociaż kilku zbrodniarzy pociągnąć do odpowiedzialności! A co wy robicie? Wy się od tego odwracacie!

— Ja to rozumiem — powiedział signor Fellini wyraźnie zaskoczony. — Już na pierwszy rzut oka na tę fotografię można się przerazić tego człowieka. Przeciw takiemu można występować tylko z odbezpieczoną bronią i to tylko wtedy, jeśli się jest strzelcem wyborowym. A czy pan, panie Scott, jest takim strzelcem? Gdyby panu się kiedyś zdarzyło go spotkać, na pewno pana pierwszego wzięłby na cel.

Pogrzeb Nordena odbył się następnego dnia po oględzinach zwłok. Późnym popołudniem. Odbył się prosto i skromnie, bez gestów rozpacz, bez dziennikarzy, bez księdza. Obecni byli tylko Fellini, H. H. i Scott. Dwóch grabarzy bez pośpiechu przywiozło trumnę, zdjęło ją z wózka i spuściło do grobu.

Nad wszystkim tym jaśniało promienne słońce, takie samo, jakie obiecują prospekty biura podróży. Ale było jeszcze coś więcej: ciepło słoneczne, przybladła zieleń, zakurzone aleje. Pusty, jakby wymarły cmentarz.

Snuło się po nim jednak kilka osób. Jakaś kobieta z dzieckiem, jakieś niemłode małżeństwo, jakiś starzec wyraźnie już stojący nad grobem. Wszyscy oni okazali się później niezbyt wiarygodnymi świadkami tego, co tu się miało wydarzyć. Wprawdzie wszystko widzieli, ale przy dokładnym przepytywaniu ich odpowiedzi pozostawiały wiele wątpliwości.

Pisarz H. H. wpatrywał się w zadumie w trumnę, stojącą już na dnie grobu. Fellini wydawał się niespokojny, bacznie obserwował Scotta. A ten sprawiał wrażenie, jakby tu, w Lugano, znajdował się w dżungli pełnej dzikich zwierząt. Stał sprężony, z ręką w kieszeni marynarki, w której prawdopodobnie spoczywał jego rewolwer.

To, co się teraz zdarzyło, było kwestią paru sekund. Scott ujrzał nagle człowieka, który, zaczajony, wysunął się zza grubego pnia drzewa. W tym samym momencie dostrzegł go także Fellini. Obaj go rozpoznali.

— Kryć się! — krzyknął Fellini.

Pisarz H. H., jak o tym później opowiadał, stał osłupiały, jak wrośnięty w ziemię. Kapitan Scott, z rewolwerem w dłoni, błyskawicznie skrył się za najbliższym nagrobkiem.

Ale pracownik policji kryminalnej Fellini, zgodnie z tradycją szwajcarską świetnie wyćwiczony w używaniu broni palnej, był jeszcze szybszy. Padł na ziemię i z tej pozycji oddał serię strzałów.

Trafiony zachwiał się nieco, jakby z nagła uderzony w pierś. Następnie skulił się i padł na twarz. W bezwładnej już dłoni tkwił ciężki rewolwer. Leżał tak nieruchomo z podkulonymi nogami.

— To był Siegfried! — stwierdził Scott, ciężko oddychając.

Po niespełna godzinie zjawił się na cmentarzu szef policji kantonu Tessin, przybyły z Bellinzony. Bił od niego spokój i opanowanie. Skinął głową obecnym, a także Scottowi. Widocznie Fellini poinformował go telefonicznie, jaką tu odegrał rolę.

— Wciąż wierzymy — powiedział następnie — że żyjemy w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi. Nasz kanton ucho dził za jeden z ostatnich zakątków rajsu. Z małymi tylko, być może, usterkami. A tu okazuje się, że także nas nawiedziły jeszcze niedobitki niemieckich nadludzi. No dobrze, nie za praszaliśmy ich, ale jakoś sobie z tym poradzimy.

Mówiąc to, pełnym nadziei wzrokiem mierzył Felliniego. Był to jego najlepszy człowiek, ale nigdy mu tego nie mówił. — Mam nadzieję, że wszystko, co tu się stało, znajdzie swoje wyraźne uzasadnienie.

— Niewątpliwie — stwierdził policjant. — Było to działanie w obliczu wyższej konieczności. Ktoś zagrażał życiu mister Scotta, skierował na niego swoją broń, rewolwer kalibru 10,5. Prawdopodobnie ten sam, z którego zabito Nordena.

— Proszę bez żadnych domysłów — rozkazał szef policji.

— W każdym razie — zapewnił Fellini — musiałem stanąć w obronie mister Scotta. Gdyby się to nie udało, kosztowałoby to'jego życie.

— To możliwe — powiedział urzędowym tonem szef policji. — Ale teraz trzeba będzie bezstronnie wyjaśnić cały przebieg wydarzenia. Co przy pańskim talencie i przy pomocy pańskich współpracowników niewątpliwie się panu uda.

W dwie godziny potem zadanie było zasadniczo wykonane; Fellini mógł zameldować, co następuje:

— Po pierwsze, przy zastrzelonym znaleziono broń, re wolwer kalibru 10,5. Jest to ten sam, z którego zastrzelono Nordena. Badania techniczne potwierdziły to w całej pełni.

Po drugie; Zastrzelony był gościem hotelu „Paris in Pa-radiso”. Znaleziony w jego rzeczach brazylijski paszport był wystawiony na nazwisko: Siegfried A. Linz, agent handlowy, zamieszkały w Rio de Janeiro.

Po trzecie: W bagażach owego Siegfrieda Adolfo Linza, występującego także jako S. Fried, znalazła się fotografia przedstawiająca mister Scotta. Bardzo staranne powiększenie zdjęcia wyciętego prawdopodobnie z ujęcia telewizyjnego.

Amerikanin zapragnął obejrzeć zdjęcie. Gdy wziął je do ręki, tylko rzucił na nie okiem i oświadczył:

— Zdjęcie to zostało zrobione podczas mojej wizyty u Jamesa D. Hagena w Chicago. Wcale bym się nie dziwił, gdyby miał w swoim biurze ukrytą kamerę.

— Znów domysły?

— Z pewnością — potwierdził Scott. — Niemniej jednak przypuszczenie noszące wszelkie cechy pewności.

Wahał się chwilę przed przedstawieniem swego dowodu, jakby chciał to odłożyć na później.

— Mam pewną sentymentalną słabość. Kiedy przystępuję do jakiejś akcji, która wydaje mi się ważna, wiązę sobie wtedy pewien określony krawat w kolorach mojej jednostki piechoty morskiej. I miałem go właśnie na sobie, kiedy po szedłem spotkać się z Hagenem. Widać go na tym zdjęciu. I obecnie mam go także na sobie. A teraz śmiejecie się ze mnie, jeśli chcecie, panowie!

Nikt się nie roześmiał. Przyjęto z powagą to wyjaśnienie, a Fellini ciągnął dalej:

Po czwarte: Ów gość w Lugano nazwiskiem Siegfried Linz lub S. Fried, zarezerwował już sobie bilet powrotny z Mediolanu do Zurychu, a stamtąd do Rio, na dwudziestego o godzinie osiemnastej.

Skomentował to natychmiast H. H.:

— Był zatem dokładnie o tej samej porze na lotnisku w Mediolanie, kiedyśmy z panem Fellini spotykali mister Scotta. Siegfried musiał nas zatem widzieć i na pewno rozpoznał kapitana Scotta, którego zdjęcie miał przy sobie. Nie wsiadł więc do swego samolotu.

Dalsza opowieść Felliniego:

— Po piąte: Ów pan Linz bądź też Fried przebukował swój bilet co najmniej na trzy dni później. Pojechał z po wrotem do Lugano i zatrzymał się w tym samym hotelu. Jak panowie wiecie, nie ma możliwości stamtąd bezpośredniego połączenia telefonicznego z Ameryką, a zatem i z Chicago. Telefon został więc zarejestrowany na poczcie głównej w Lugano. Otrzymano połączenie z gmachem Capitol w Chicago. Zna pan ten adres?

— I to świetnie! Miał mnie więc załatwić?

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził signor Fellini z uprzedzającą grzecznością.

Trzy miesiące później pisarz H. H. otrzymał w Asconie list od mister Scotta z Nowego Jorku. Zawierał zwyczajowe słowa uprzejmości, serdeczne pozdrowienia i podziękowanie za piękne godziny w Tessin oraz wyrazy nadziei na rychłe spotkanie.

A na zakończenie takie zdanie:

„Pozwalam sobie załączyć wycinek prasowy, który najprawdopodobniej pana zainteresuje. A także signora Felliniego, którego proszę serdecznie ode mnie pozdrowić”.

Wycinek prasowy zawierał następującą informację:

„Na autostradzie około stu kilometrów na zachód od Chicago, prawdopodobnie na skutek nieprawidłowego wyprzedzania przez nie zidentyfikowanego kierowcę, uległ ciężkiemu wypadkowi samochód osobowy. Zderzył się on z przyczepą samochodu ciężarowego, zawierającą transport misek klozetowych. Przyczepa uległa tylko nieznacznemu uszkodzeniu.

Dwoje pasażerów wozu osobowego, granatowego cadil-laca ze specjalnym wyposażeniem, chromowanego, z beżową tapicerką, urządzeniem stereofonicznym i z klimatyzacją, poniosło śmierć. Ciała ich zostały zmiażdżone nie do rozpoznania.”

I dalej donosił mister Scott:

„Przypadkowo znalazłem się w pobliżu i mogłem dopomóc w identyfikacji zwłok. Byli to niejaki mister James D. Hagen i jego małżonka Elisabeth.

Pochowano ich na cmentarzu, który uchodzi tu za szczególnie pięknie położony. Pozwoliłem sobie postawić na ich grobie bardzo okazały krzyż z napisem czarno-czerwono--białymi literami: «Wszystko ma swoje znaczenie — trzeba tylko chcieć je właściwie odczytać)»).

SPIS TREŚCI

Prolog rozgrywający się w Lugano.....	7
Grupa Wesela.....	23
1. Jak się dobiera elitę?	25
2. Zaprzysiężenie i jego następstwa	39
3. Starannie zaplanowane szkolenie.....	57
4. Wielkie dni przed czarną robotą	83
5. <i>Rozkosze władzy</i>	117
6. Noc długich noży	151
7. Spokój przed burzą.....	187
8. Jeszcze kilka lekcji.....	223
9. Ostatnia próba	279
Epilog w Lugano	333

